

HARLEQUIN  
na życzenie

HARLEQUIN®  
na życzenie

3 POWIEŚCI  
TYLKO 15,99

Czy wyjdiesz za mnie?

ELIZABETH HARBISON PENNY JORDAN NICOLA MARSH

ELIZABETH HARBISON, PENNY JORDAN, NICOLA MARSH  
Tytuł oryginalny: THE GIRL WHO SAID YES  
Tłumaczenie: Irena Krawiec  
Cena 19,99 zł w tym 0,76 VAT

# Czy wyjdiesz za mnie?

ELIZABETH HARBISON  
PENNY JORDAN  
NICOLA MARSH

**ELIZABETH HARBISON**

# **Przepis na romans**

*A Taste For Love*

SALAŁKA Z KARCZOCHÓW Z SZALOTKAMI I TRUFLOWYM  
WINEGRETEM  
Porcja dla 4osób

3 łyżki oliwy extra virgin  
3 szalotki, pokrojone i wymieszane z odrobiną brązowego cukru  
1 duży zmiążdżony ząbek czosnku  
1 łyżka soku z cytryny  
1 łyżka wytrawnego szampana lub sherry  
2 łyżki octu z szampana  
3 łyżki oliwy truflovej  
szczypta soli  
świeżo zmielony pieprz  
2 filiżanki serc karczochów w oliwie, odsączonych  
1 filiżanka umytej i osuszonej rukoli

Na patelni o grubym dnie rozgrzać oliwę na średnim ogniu. Pokrojone szalotki podsmażyć na złoty kolor, dodać czosnek i smażyć jeszcze minutę.

Zdjąć patelnię z ognia.

Wymieszać sherry lub szampana z sokiem z cytryny i octem winnym. Ciągłe mieszając, powoli dolewać oliwę truflową. Dodać sól i pieprz.

Na patelnię wyłożyć serca karczochów i podgrzewać na małym ogniu, by smaki i zapachy się połączyły.

Karczochy z szalotkami przełożyć do salaterki, polać sosem i delikatnie wymieszać.

Dodać rukolę i jeszcze raz wymieszać sałatkę.

Podawać na gorąco lub na zimno.

## PROLOG

*Dwadzieścia pięć lat temu*

– Co za straszna tragedia! – wyszeptała Virginia Porter, dyrektorka domu małego dziecka, patrząc na niemowlęta, których rodzice tydzień temu zginęli w wypadku. Trzy małe dziewczynki wreszcie usnęły, wyczerpane niekończącym się płaczem. Virginia czuwała przy nich noc w noc. Przez ten tydzień jej ciemne włosy posiwiały. – Takie kruszyny zostały same na świecie. Boże, co za nieszczęście!

Włączyła się klimatyzacja i do sali wtargnęło chłodne powietrze.

– Oby tylko nie trzeba było ich rozdzielać! – załamując ręce, westchnęła siostra Gladys. – Nie mogę nawet o tym myśleć!

– Będziemy szukać ich krewnych – rzekła Virginia. – Choć na razie nie wygląda to dobrze. Chyba powoli musimy zacząć myśleć o rodzinie zastępczej. – Na jej twarzy odmalował się niepokój. Sytuacja trojaczek była bardzo trudna. Jeśli znajdą się chętni na jedno dziecko, nie będzie innego wyjścia, jak się z tym pogodzić, bo wtedy przynajmniej jedna z nich wychowa się w kochającej rodzinie. Dziewczynki miały niewiele ponad rok, były zbyt małe, by cokolwiek pamiętać. – Zrobimy, co tylko w naszej mocy.

– One powinny być razem – powtórzyła siostra. – Tak nagle straciły rodziców. Naprawdę musimy zrobić wszystko, by nie zostały rozdzielone.

Rudowłosa Rose poruszyła się niespokojnie i Virginia pośpiesznie pochyliła się nad jej łóżeczkiem. Pogłaskała ją czule po główce. Jeśli się obudzi, zaraz zacznie płakać. Rose była najdelikatniejsza i najbardziej wrażliwa z całej trójki.

– Postaramy się o to – cicho powiedziała Virginia, delikatnie gładząc miedziane loczki dziewczynki. – Obiecuję, że zrobimy wszystko.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Warren Harker, wiek czterdzieści jeden lat, wzrost sto osiemdziesiąt sześć, włosy czarne, oczy niebieskie, studiował w Stanford, dyplom zrobił w Harvard Business School.

Rose Tilden z niedowierzaniem popatrzyła na swoją szefową, Martę Serragno, właścicielkę firmy Serragno Catering. Pan Harker wynajął ich do obsługi dzisiejszego bankietu.

– Od 1988 roku działa w branży deweloperskiej, w 1992 założył Harker Companies – ciągnęła Marta. – Lubi mało wysmażone steki, chłodne podejście do interesów i gorące kobiety. Na koncie ma plus minus czterysta dwadzieścia siedem milionów. – Marta oblizwała usta. – I wkrótce będzie mój. – Popatrzyła na Rose. – Gwarantuję ci to.

– Jesteś bardzo pewna swego – zareplikowała Rose.

– Wątpisz we mnie?

Zdarzało się, i to wcale nie rzadko, pomyślała Rose, lecz nie powiedziała tego na głos. Z Martą nie warto było dyskutować. Zawsze musiała postawić na swoim.

– Nigdy.

– Mądra dziewczynka – pochwaliła szefowa. – To właściwa odpowiedź.

– Chociaż, gdybyś chciała znać moje zdanie... – mimowolnie zaczęła Rose. Jej siostra, Lily, nie raz napominała ją, by bardziej się pilnowała. Śmiała się, że to przez rude włosy Rose miała niepotrzebną skłonność do prezentowania własnej opinii. – Może lepiej koncentrować się na tym, co już istnieje, zamiast budować od nowa. Marta zmroziła ją wzrokiem.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz wyjechać z tą teorią w obecności Harkera.

– Tylko jeśli sam zapyta – odparła. Nigdy nie ukrywała własnego zdania, przez co czasami wpadała w tarapaty. Jednak nie umiała się powstrzymać.

Powinna być uprzejma i wyrozumiała dla klientów i ich gości, bez względu na okoliczności. A zdarzały się niedwuznaczne propozycje, czasami też wymaginowane pretensje, których celem było wyłudzenie bezpłatnej obsługi czy rabatu. Przez trzy lata pracy naprawdę dużo się nauczyła i na wiele spraw patrzyła teraz inaczej. Przekonała się, że im klient bogatszy, tym bardziej pazerny.

Nie potrafiła się z tym pogodzić, lecz dla Marty to nie był żaden problem. Dla niej najważniejsze były pieniądze.

– Raczej na to nie licz – rzekła Marta. – Nie jesteś tu po to, by z nim konwersować. Swoje zdanie możesz więc pozostawić dla siebie.

Rose skinęła głową. Marta nie była przyjemna w kontakcie. Jednak Rose nie zamierzała przejmować się jej uwagami, bo były po prostu śmieszne.

– No dobrze – rzekła szefowa. – Zrobiłaś tę sałatkę z karczochów, która cieszy się takim powodzeniem?

– Prawie dwa kilogramy – wskazała na wielką misę sałatki. To była jedna z jej specjalności. Domyślała się, czemu Marcie tak zależało na tym daniu. Chodziły słuchy, że ma właściwości afrodyzjaku.

– Jest taka jak zwykle? – z chytrym uśmieszkiem zapytała Marta.

Rose zdusiła uśmiech. Martę tak łatwo przejrzeć.

– Zawsze robię ją według tego samego przepisu – zapewniła.

– Doskonale. – Marta skierowała wzrok na atrakcyjnego mężczyznę stojącego na środku salonu wchodzącego w skład hotelowego apartamentu. – Nie omieszkam nałożyć sobie porządnej porcyjki. Mimo że naprawdę nie cierpię karczochów.

– No to jej nie jedz – powiedziała Rose.

– Jeśli to, co o niej mówią, jest prawdą, to na pewno zjem.

– Nie wszystko, co ludzie mówią, jest zgodne z prawdą.

– Lepiej, żeby tak było – odparła Marta. Trudno było jednoznacznie określić, czy miała to być groźba, czy żart.

Rose wzruszyła ramionami.

– Przecież nawet nie znasz tego Warrena. Może jest beznadziejny?

Marta wbiła w nią spojrzenie ciemnych oczu.

– Po pierwsze, już go poznałam. Po drugie, nawet jeśli jest beznadziejny, ma czterysta dwadzieścia siedem milionów. – Ściągnęła wąskie, pomalowane czerwoną szminką usta. – Dla takiej sumy jestem gotowa polubić karczochy. Zaraz... – Dotknęła palcem brody. – Choć to ma sens tylko pod warunkiem, że on lubi karczochy.

Rose pokręciła głową i zaczęła układać sery. Marta nie lubiła serów. Podobnie jak ryb, warzyw, słodczy. Właściwie prawie niczego nie kosztowała. Aż dziwne, że prowadziła firmę obsługującą przyjęcia.

Odziedziczyła ją po drugim czy trzecim mężu, który zmarł kilka lat temu. Marta jeszcze ją rozwinęła. Jedzenie jej nie interesowało, ale była chorobliwie ambitna i żądna sukcesu.

Zatrudniła najlepszych fachowców i wszystko trzymała żelazną ręką. Firma kwitła. Marta nie miała pojęcia o gotowaniu, robili to za nią inni.

Tacy jak Rose.

Rose wychowała się wraz z Lily w sierocińcu Barrie Childrens Home w Brooklynie. Sporo czasu spędziły w rodzinach zastępczych, jednak im były starsze, tym częściej z powrotem trafiały do domu dziecka. Ludzie woleli młodszych podopiecznych.

Ich pierwsza zastępcza matka zapisała im w spadku swój niewielki majątek, by mogły skończyć szkołę. Miały wtedy po szesnaście lat.

Rose wybrała szkołę gastronomiczną, siostra hotelarską. Teraz Rose

pracowała w cieszącej się wielką renomą firmie Marty, a Lily w jednym z najlepszych nowojorskich hoteli.

– Jak wam idzie? – zapytał drobny, zdenerwowany mężczyzna o ciemnych przylizanych włosach i w okularach w czarnej oprawie. – Wszystko zgodnie z planem?

– Jak najbardziej, panie Potts – ze słodyczą w głosie odezwała się Marta. – Może poinformować pan swego szefa, że wszystko jest jak należy. Może zechce przyjść i... – uśmiechnęła się obłudnie – skosztować moich wyrobów.

Pan Potts wysoko podniósł brwi i gniewnie poprawił okulary.

– Pani Serragno, pan Harker jest przekonany, że jakość waszych potraw jest jak zawsze bez zarzutu.

Rose stłumiła chichot.

Potts odszedł. Marta odwróciła się do Rose, – Czy ty to słyszałaś? Niech no tylko dopnę swego, to ta kreatura pierwsza wyleci na bruk.

– On nie miał złych intencji – pośpiesznie rzekła Rose. Mniej chodziło jej o uspokojenie Marty, a bardziej o Potts, który na pewno straci posadę, jeśli Marcie uda się złować Harkera. – Pan Harker jest zajęтым człowiekiem. Ma do nas zaufanie i liczy, że go nie zawiedziemy. Bo zawsze stajemy na wysokości zadania.

Marta skinęła głową.

– Ja na pewno się o to postaram. Podaj mi tę sałatkę.

Ogromny apartament, w którym odbywało się przyjęcie, rzeczywiście robił wrażenie. Rose miała okazję pracować w wielu wyjątkowych rezydencjach na Manhattanie, jednak rzadko zdarzało się jej widywać podobne wnętrza. Sam żyrandol pewnie był więcej wart niż jej roczne dochody. Podobno Harker miał jeszcze drugą rezydencję na Manhattanie i kilka innych w różnych zakątkach świata.

– Może małą przekąskę? – zapytała Rose, podchodząc do grupy gości i podsuwając półmisek z eleganckimi miniaturowymi przystawkami.

– Och, a co to jest? – z zachwytem w głosie zapytała zbyt pulchna tleniona blondyna.

– Krokieciki z awokado – wyjaśniła Rose. To była jedna z jej specjalności. – Wybornie smakują z sosem tamaryndowym.

Blondynka nałożyła sobie na talerz kilka krokiecików.

– Ja też tego spróbuję – za plecami Rose rozległ się głęboki męski głos. Odwróciła się zaskoczona i stanęła twarzą w twarz z Warrenem Harkerem.

Był nieco wyższy, niż się spodziewała, mimo iż Marta opisała go tak dokładnie. Miał jasne, niebieskie oczy, twarz ozłoconą opalenizną i delikatne zmarszczki od uśmiechu.

– Witam, panie Harker. – Podsunęła półmisek w jego stronę. – Może się

pan na coś skusi?

– Na wszystko, byle nie na sałatkę z karczochów, którą pani koleżanka próbuje we mnie wmusić. – Uśmiechnął się, sięgając po koreczek z sera.

– Nie lubi pan karczochów?

– Nie lubię być zmuszany do jedzenia czegośkolwiek. – Uśmiechnął się. – Od razu przypominam sobie, jak moja mama namawiała mnie do zjedzenia wątróbki. To niezbyt przyjemne wspomnienie.

– Rozumiem. – Skrzywiła się w duchu. Marta czasem nie znała umiaru, gdy za wszelką cenę chciała czegoś dopiąć. – Przepraszam za nią. Ona nie... – Urwała. Przecież to cała Marta. Przeczulona na swoim punkcie i zawzięta.

– Zwykle taka nie jest – skłamała.

– Długo pani z nią pracuje? – Miał piękny głos. Niski, aksamitny, ze wspaniałą modulacją.

– Około roku.

– Nie myślała pani o rozpoczęciu czegoś na własny rachunek?

Popatrzyła na niego.

– W jakim sensie?

– W cateringu. – Roześmiał się miło. – To pani odpowiada za jedzenie, prawda?

Marta ukrywała przed opinią publiczną, że nie ma pojęcia o gotowaniu. I bardzo jej zależało, by ta informacja nie wyszła na jaw.

– Nie tylko ja.

– Aha. – Uśmiechnął się szeroko. – Jest pani bardzo lojalna. Gdybym działał w branży gastronomicznej, od razu spróbowałbym panią podkupić. – Widząc jej minę, wyjaśnił: – Moja asystentka aranżowała to przyjęcie. Od niej wiem, że pani Serragno nie potrafi gotować, a tylko zatrudnia najlepszych. – Wzruszył ramionami. – Dlatego skorzystałem z jej usług. Zatrudniła panią, czyli jest pani najlepsza. W tym, co pani robi.

Rose uśmiechnęła się.

– Sałatka z karczochów to moje dzieło.

Warren zaśmiał się w głos, tak że kilka osób popatrzyło w ich stronę.

– W takim razie na pewno jest doskonała.

– Ach, tu jesteście! – Nieoczekiwanie tuż obok nich wyrosła Marta. Trzymała w dłoni miseczkę wypełnioną sałatką. Odwróciła się do Warrena i cofnęła o krok, popychając Rose. Nie można było oprzeć się wrażeniu, że zrobiła to celowo. Półmisek z przekąskami z hukiem upadł na podłogę.

Rose zamarła. Cała zawartość półmiska leżała na kosztownym dywanie.

– Rose Tilden! – gniewnie prychnęła Marta. – Coś ty najlepszego zrobiła! Jak można być taką niezdarą? Popatrz, jak teraz wygląda dywan pana Harkera! – Odwróciła się do Warrena. Rose była pewna, że Marta przybrała minę pełną oburzenia i pogardy.



– To nie była jej wina – stanął w jej obronie Warren. – Została popchnięta. Marta zachowywała się, jakby nie usłyszała tych słów.

– Proszę się nie martwić, Rose zaraz posprząta. – Ujęła go pod ramię, próbując odciągnąć w bok. – Pokaże mi pan widok z pana apartamentu?

Warren cofnął się i podszedł do Rose.

– Pomogę pani – rzekł. Nie bacząc na swój kosztowny garnitur, przykucnął obok niej.

– Dziękuję, ale nie ma potrzeby – spokojnie powiedziała Rose.

– Oczywiście, że nie – zawtórowała jej Marta. – Nabrudziła, więc niech teraz posprząta. No to jak z tym widokiem...

– Niech pani podejdzie do dowolnego okna – rzekł Warren, pomagając Rose zbierać rozrzucone przystawki. – Sama pani zobaczy.

Rose wręcz czuła bijący od Marty chłód.

– Poradzę sobie – powiedziała do Warrena. – Proszę, niech pan wraca do gości. Miałabym ogromne wyrzuty sumienia, że pana tu zatrzymałam.

– Powiem szczerze – rzekł, zniżając głos – że to zajęcie jest znacznie bardziej interesujące.

Poczuła, że policzki znowu jej płoną. Opuściła wzrok. Miała nadzieję, że Harker niczego nie zauważył.

– Przyjęcie pana nie bawi?

– To nie jest żadna przyjemność, a obowiązek – odparł. – Raz w roku, latem, wydaję taki wieczór dla nowojorskiej elity. Zapraszam grube ryby. Trzeba być na bieżąco, znać odpowiednich ludzi. Działam w nieruchomościach.

Ledwie się powstrzymała, by nie wyjawić, że wszystko o nim wie. Dzięki Marcie.

– Coś mi się obilo o uszy – rzekła powściągliwie. Przez chwilę przyglądał się jej badawczo.

– Tak to już jest. Przyjęcie mało ciekawe, ale interes kwitnie. Domyślam się, że nie jest to dla pani zaskoczeniem.

Rose się roześmiała.

– To prawda. Choć mało kto się przyzna, że marnie się bawił. – Podniosła się. – Ale po co pan to robi, skoro pan tego nie lubi?

Harker też się podniósł.

– Widzi pani tę panią? – Wskazał na obwieszoną brylantami matronę po osiemdziesiątce. Miała kwaśną minę i zaciśnięte usta. – To pani Winchester, matka burmistrza. Podobno burmistrz nie robi nic bez jej przyzwolenia.

– Czyli musi się jej pan przypodobać.

– Właśnie. Dlatego próbuję obłaskawić ją pysznym jedzeniem i doskonałym winem.

– A jeśli i tak pana nie polubi?

– Polubi. – Powiedział to z absolutną pewnością. – Przynajmniej teraz tak

jest. Choć z nią nigdy do końca nie wiadomo, jest zmienna. Ale jeśli ktoś się jej narazi... – Gwizdnął. – To człowiek przepadł.

– Przypomina mi pewną panią, którą pamiętam z dzieciństwa. Miała kwiaciarnię w Brooklynie.

– Pani jest z Brooklynu? Rose skinęła głową.

– Tak. A pan?

Zawahał się, a po chwili rzekł:

– Spędziłem tam większość życia. – Popatrzył na nią. – Jak się pani nazywa?

– Rose. Rose Tilden.

Po jego twarzy przebiegł cień zdziwienia.

– Tilden?

Rose kiwnęła głową.

– To raczej mało popularne nazwisko. Rzadko się takie słyszy.

– Ja dosyć często – odparła z uśmiechem. Sierociniec Barrie mieścił się przy ulicy Tilden. Dzieciom, których tożsamość była nieznana, nadawano nazwisko „Tilden”. Rose i Lily trafiły do domu dziecka z bransoletkami, na których były wypisane tylko ich imiona, dlatego też otrzymały takie nazwisko.

– No tak – odrzekł, ale już się nie uśmiechał. – To ciekawe.

– Rose – tuż obok rozległ się głos Marty. – Możesz iść do kuchni i pomóc Tonii?

Odwróciła się i zdumiała. Oczy Marty płonęły gniewem. Jeszcze nigdy nie widziała jej w takim stanie.

– Czy coś się stało? – zapytała. Marta uśmiechnęła się krzywo.

– Nie, skąd. Trzeba jej tylko pomóc przy deserze. Rose wymownie spojrzała na Martę, a potem przeniosła wzrok na Harkera.

– Wybacz pan.

Harker skinął głową i popatrzył na Martę. Nie wiedziała, co stało się później, bo szybko ruszyła do kuchni. Tym razem Marta przegięła. Rose miała dość i postanowiła zrezygnować ze współpracy. Szkoda, ale Marta zaszła jej za skórę. Ostatnimi czasy ciągle tylko łypie, czy Rose aby nie spoufala się z klientami. Wystarczyło, by ktoś ją zapytał, gdzie jest łazienka, a Marta już stała za jej plecami. Czego od niej chce? O co jej chodzi? Powinna zacisnąć usta i do nikogo się nie odzywać?

Rose nie pozwoli się tyranizować. Firma Serragno jest jedną z najlepszych, jednak nie jedyną. Lepiej pracować z kimś mniej porywczym, nawet jeśli zarobki będą mniejsze. Miała doświadczenie, bez trudu znajdzie pracę.

W kuchni nikogo nie było. Zerknęła przez drugie drzwi. Desery już zostały podane.

– Co ty sobie wyobrażasz? Zachciało ci się flirtować z moim klientem? – nieoczekiwanie usłyszała nieprzyjemny głos Marty.

– Och, przepraszam, to miała być twoja działka, prawda?  
– Żebyś wiedziała. – Marta zrobiła się czerwona ze złości. – I nie życzę sobie, byś wtrącała się w moje sprawy.  
– Ja z nim nie flirtowałam.  
– Ale tak to wyglądało.  
– Tylko rozmawialiśmy.  
– Nie płacę ci za rozmowy. Twoim zadaniem jest gotowanie, obsługiwanie gości i sprzątanie. Nic więcej. Rozumiesz? Żeby mi się to już nigdy nie powtórzyło.  
– O co ci chodzi? Miałam się nie odzywać, kiedy do mnie mówił? – Spochmurniała.  
– Nie udawaj niewiniątka. Przez ostatnie miesiące poczynasz sobie coraz śmieiej. To mi się nie podoba! Spędzasz więcej czasu na pogaduszkach z gośćmi niż na pracy, za którą ci płacę.  
– To nieprawda! – zareplikowała żarliwie Rose. – Nigdy nie zaniedbałam obowiązków! Mało tego, robię co najmniej o połowę więcej, niż do mnie należy. Podaj mi choć jeden przykład, kiedy tak nie było. – Zaczęła rozwiązywać firmowy fartuszek. – Widzisz? Nie masz co powiedzieć, bo tak się nigdy nie zdarzyło. – Zdjęła fartuch i złożyła go. – Ten układ przestał mi odpowiadać, tobie, jak widać, również. Dlatego odchodzę. Tonya, Keith i reszta skończą dzisiaj beze mnie, dadzą sobie radę. – Położyła fartuch na blacie. Była tak zdenerwowana, że ręce się jej trzęsły. Miała nadzieję, że szefowa tego nie widzi.  
Marta popatrzyła przez drzwi, po czym przeniosła wzrok na Rose. Twarz jej się zmieniła.  
– Och, Rose, przepraszam cię. Strasznie mi przykro. Wybaczysz mi?  
Zaskoczyła ją tą przemianą.  
– Słucham?  
– To dla mnie ogromny stres. – Gwałtownie wypuściła powietrze, otarła suche oczy. – Wiem, byłam okropna. Nie mogę mieć do ciebie żalu, że chcesz odejść.  
– Uśmiechnęła się ze skruchą. – Na twoim miejscu też bym tak zrobiła.  
– Tak? – Czowała, że coś tu nie gra. Marta skinęła głową.  
– Chodzi mi tylko o to, że to dzisiejsze przyjęcie jest dla mnie wyjątkowo ważne. Wśród gości jest burmistrz! To może oznaczać dla nas decydujący zwrot. Nie mogłabyś przynajmniej zostać do końca?  
– No nie wiem...  
– Zapłacę ci podwójnie. Obiecuję. Zaraz to zrobię. Podaj mi moją torebkę.  
– Pokazała na lśniącej skórzanej torebkę leżącą na fotelu w drugim pokoju.  
– Nie musisz. – Rose z westchnieniem włożyła fartuch. – Zostanę do końca wieczoru, zgodnie z umową. Ale na tym koniec.  
– Skoro tak się upierasz – prychnęła Marta. Nagle osunęła się na posadzkę.

– Och, ja już nie mogę! – wyszeptała chrapliwie. – Jak ja się teraz ludziom pokażę?

Rose znieruchomiała, zaskoczona takim rozwojem sytuacji.

– Marta, uspokój się. Nic złego się nie stanie.

– Czy... czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? Ogarnęły ją jakieś złe przeczucia.

– Ale co?

– Mogłabyś podać mi lekarstwo? Jest w torebce. Ta brązowa z żółtym.

Zawahała się, po czym westchnęła.

– Dobrze. Zaraz przyniosę.

Podeszła do torebki i podniosła ją. Była zaskakująco ciężka. Pierwsze, na co natrafiła, to cienka płócienna chusteczka. Dziwne. Czowała, że coś jest nie tak, lecz jeszcze nie wiedziała co.

– Czego pani szuka w mojej torebce?

Podniosła głowę. Pani Winchester, matka burmistrza, stała na wprost niej, oskarżycielsko mierząc w nią palcem.

Gwar raptem umilkł i zapadła głucha cisza. Oczy gości zwróciły się na Rose.

Nagle miała wrażenie, że wszystko zaczyna działać się w zwolnionym tempie. Odwróciła się. Marta już zdążyła się podnieść. Stała i przyglądała się jej z triumfującą miną.

– Co tu się dzieje? – przed tłum wyszedł Harker. Patrzył na panią Winchester. – Co się stało?

– Ta... ta dziewczyna chciała mi coś ukraść!

– Co takiego? – warknął, przeszywając Rose wzrokiem.

– Nie, wcale nie – broniła się. – Ja tylko...

– Proszę odłożyć torebkę – lodowatym tonem polecił Harker.

Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że wciąż ją trzyma. Rzuciła ją na fotel.

– Marta prosiła, bym przyniosła jej coś z jej torebki. To miała być ta torebka. – Odwróciła się do Marty. – Marto, proszę. Powiedz im.

– Nie wierzę własnym oczom – odezwała się Marta. Rose nie wierzyła własnym uszom.

– Co takiego?

Gdy Marta znowu się odezwała, dla Rose wszystko już stało się jasne. Została wrobiona.

– Panie Harker, nie wiem, jak pana przeproszać. Nie mam pojęcia, co Rose sobie myślała – z przejęciem zaklinała się Marta.

– Byłam przekonana, że to twoja torebka, tak jak mi powiedziałaś – ostro odparła Rose.

Marta pokręciła głową.

– Rose, wystarczy. Zostałaś przyłapana na gorącym uczynku.

Wiedziała, że nie ma co do niej apelować. Marta na pewno nie powie prawdy.

Odwróciła się do Harkera. – Przysięgam, zaszło ogromne nieporozumienie.

Pani Winchester jęknęła głucho.

– To się nie mieści w głowie! Nawet w takim miejscu człowiek musi się strzec przed złodziejem. – Jej syn poklepał ją po ramieniu. – To coś niebywałego! Karygodnego!

– Owszem – potwierdził Warren. Nie odrywał oczu od Rose. – Lepiej niech pani stąd wyjdzie.

– Zrobię to – odparła, zdejmując fartuch. – Ale jeszcze raz zaklinam się, że nie chciałam niczego ukraść. Miałam tylko przynieść Marcie coś z jej torebki. Powiedziała, że...

– Dość już! – prychnęła Marta. – Kłamiesz w żywe oczy! Nie zdziwię się, jeśli pan Harker zaraz tu wezwie policję.

– Należy tak zrobić – poparła ją pani Winchester. – Trzeba po nich zadzwonić.

Rose znieruchomiała.

– To nieporozumienie! – wykrzyknęła z rozpaczą.

– Niech pani już idzie – cicho rzekł Warren. Ujął ją za ramię i poprowadził do wyjścia.

Szarpnęła się, by uwolnić się z jego uścisku.

– Nie musi mnie pan tak traktować. Nie zamierzam tu zostać.

Popatrzył na nią, a po chwili pokręcił głową i otworzył drzwi. Za jego plecami widziała potępiające miny wszystkich gości. Moźni tego świata, którzy wolą wierzyć, że chciała coś ukraść, niż wysłuchać prawdy.

Przez chwilę myślała, że może Warren jest inny.

Cóż, pomyliła się.

Teraz tylko jedno jest pewne: takiego błędu już nigdy nie powtórzy.

## ROZDZIAŁ DRUGI

– Niezły z niego buc – skomentowała Lily.

– No wiesz, facet jest na szczycie – potwierdziła Rose. – Chyba powinnam nabrać dystansu do takich jak on. Bogatych czy wyjątkowo atrakcyjnych. Albo tych, o których można powiedzieć i jedno, i drugie.

Obok Rose i Lily wyciągniętych na podłodze ich mieszkania poniewierała się gazeta z ogłoszeniami o pracy.

– Nie musisz od razu tak generalizować – zaproponowała Lily. – Zamiast spisywać na straty całą męską populację, wpisz na czarną listę tylko tego Harkera.

– Zobaczę – rzekła z westchnieniem Rose. – Na tę czarną listę dodam jeszcze Martę. Nieźle mnie załatwiła.

– Zagroziła, że w tym mieście nie będzie dla ciebie żadnej pracy – przypomniała Lily.

– I dotrzymała słowa. – Rose zakreśliła w gazecie kolejne ogłoszenie. – Wszystkie najważniejsze firmy w branży mi odmówiły. Nawet dwie czy trzy z tych znacznie mniejszych. Nigdy bym nie pomyślała, że Marta do nich dotrze.

– No wiesz – z powagą zaznaczyła Lily. – Zostałaś przyłapana na gorącym uczynku, więc teraz ponosisz konsekwencje.

– Bardzo śmieszne, Lily. Bardzo śmieszne.

– Nie gniewaj się! – Lily objęła siostrę i uścisnęła ją serdecznie. – Chciałam cię tylko rozbawić. Przecież to niemożliwe, że już nigdy w życiu nikt cię nie przyjmie do pracy.

– Na to wygląda. – Spostrzegła ogłoszenie ze stacji benzynowej. Zakreśliła je.

Lily zajrzała jej przez ramię.

– No nie, nie wygłupiaj się.

– Z czym?

– Na pewno dostaniesz pracę w gastronomii. Gerard powiedział, że bez wahania by cię zatrudnił, gdyby już nie przyjął Miguela.

Rose uśmiechnęła się z przymusem.

– To miłe z jego strony, ale nic z tego nie wynika. Skoro już kogoś ma, to teraz może mówić, co mu pasuje. – Gerard był właścicielem jednego z luksusowych hoteli, w którym pracowała Lily. Miały z nim doskonałe kontakty. – Chyba że... Może by mnie przyjął na pokojówkę?

– Na pewno, ale skutki byłyby opłakane.

– To co, lepiej umrzeć z głodu?

– Miałam na myśli co innego. Słabo nadajesz się na pokojówkę – wyjaśniła Lily. – Popatrz na swój pokój. Cała podłoga zasłana, ledwie gdzieś gdzieś przeziiera dywan.

- Lily, nie mam nastroju do żartów – rzekła Rose, uśmiechając się blado.
- No dobrze. Chciałam cię tylko rozruszać. Mam pomysł. A gdybyś nieco zmieniła profil i poszukała czegoś w restauracjach? Choćby posady kelnerki?
- Z wielką chęcią. Tylko że już to zrobiłam. Bez efektu. Marta wszędzie ma wejścia. Okropna baba. Jedni się jej podlizują, a inni boją.
- Poczekaj! – Lily poklepała się dłonią po brodzie. – Widziałam gdzieś ogłoszenie... Już wiem! To była restauracja „Cottage Diner”. Zaraz przy Coney Island!
- „Cottage Diner”? Pierwszy raz słyszę tę nazwę. Lily wzruszyła ramionami.
- To bardziej garkuchnia niż restauracja, ale jest w rewelacyjnym miejscu. Nad samą wodą. Lokal wygląda niemal jak sprzed wojny. Mogłabyś zacząć od kelnerki i stopniowo piąć się w górę. Postarać się, by to miejsce zaistniało. Poza tym to rejon, gdzie bywa wielu turystów. Można chyba liczyć na hojne napiwki.
- Rose błysnęły oczy.
- To nie jest zły pomysł. Nie ma szans, by Marta dotarła do zapyziałej knajpki w Brooklynie. Gdyby udało mi się podnieść ich zyski... – Zmarszczyła brwi. Chyba trochę się zagalopowała. Jeszcze nie dostała tej pracy, ba, nawet nie widziała tego miejsca, a już myśli o podnoszeniu zysków?
- Lily chyba czytała w jej myślach, bo powiedziała:
- To na pewno się uda. A mówię ci, że lokalizacja jest fantastyczna.
- Hm. – Z jakichś trudnych do określenia powodów czuła, że z tego naprawdę coś będzie. Może to tylko przeczucie, że warto spróbować, a może coś więcej. – Gdzie to dokładnie jest?

Weszła do restauracji i zdjęła z okna wywieszkę z ogłoszeniem, by pójść z nią do właściciela. Czuła się jak bohaterka ze starych filmów, dzielnie szukająca pracy.

Pomocnik kelnera sprzątał naczynia ze stołu. Podeszła do niego.

– Przepraszam pana – zagadnęła go.

Chłopak odwrócił się zaskoczony, niechcący upuszczając kubek, który z hukiem uderzył o podłogę, ale na szczęście się nie rozbił.

– Słucham? – zapytał młody człowiek. Zarumienił się, patrząc na Rose.

– Przyszłam w sprawie pracy. – Pokazała wywieszkę. Chłopak zrobił się jeszcze bardziej czerwony.

– Musi pani iść z tym do właściciela – burknął ktoś za nią. – Tim jest tylko pomocnikiem.

Odwróciła się. Starszy pan o pobrużdżonej twarzy siedział w sąsiedniej łoży, trzymając przed sobą gazetę. Na stoliku stała filiżanka z parującą kawą i leżało chyba z dziesięć pustych torebek po cukrze.

– Doc jest na zapleczu – dodał mężczyzna, obrzucając ją sceptycznym

spojrzeniem. – Ale on chyba szuka kogoś innego. Jak myślisz, Al?

Przeniósł wzrok na siwowłosego otyłego pana siedzącego przy drugim stoliku. Poza nimi nie było więcej gości. Mężczyzna kichnął i sięgnął po chusteczkę.

– Dick, daj pani spokój. – Kichnął ponownie. – Bywały tu ładne kelnerki, ale nigdy długo nie popracowały.

– Mnie to jednak wcale nie zraża. Zawsze chętnie zatrudnię ładną dziewczynę. – Z kuchni wynurzył się starszy, zupełnie łysy pan opasany poplamionym białym fartuchem. Wytarł dłonie w papierowy ręcznik. – Doc Sears – przedstawił się, odkładając ręcznik na bar i wyciągając rękę na powitanie.

Rose podała mu dłoń.

– Rose Tilden.

– Szuka pani posady kelnerki?

– Jeśli jest wakat.

Popatrzył na nią bez przekonania.

– Wygląda pani inaczej niż kelnerki, jakie tu dotąd mieliśmy. W centrum mogłaby pani zarobić naprawdę spore pieniądze.

Miał na myśli Manhattan, to jasne. Tylko że tam nie chcieli jej nawet do sprzątania naczyń ze stołów.

– Mieszkam w pobliżu.

Przyglądał się jej przenikliwie, jakby rozważał, czy ma jej uwierzyć.

– Może pani pracować wieczorami? Rose rozłożyła ręce.

– Mogę pracować o każdej porze.

– I zostanie pani tu dłużej niż tydzień?

– Gwarantuję, że tak.

– Dobrze. – Wziął od niej wywieszkę i przedarł ją na pół. – Ma pani tę pracę, Rose. Może pani zacząć od dzisiaj?

W porze lunchu ruch był niewielki, wieczorem było podobnie. Poza Dokiem, który obsługiwał grill, był jeszcze drugi kucharz, Elwood Happersmith, w skrócie zwany Hap. Przyrządzał szybkie dania.

Zajęta była tylko połowa stolików. W restauracji był jeden kelner, Paul. Przez większość czasu drzemał przy wolnym stoliku.

Rose pracowała więc za dwoje, lecz nie narzekała. Cieszyła się, że w ogóle ma pracę.

Wieczorem padała z nóg. Zaczęła o drugiej, a restauracja działała do jedenastej wieczór. Do zamknięcia została jeszcze godzina. Marzyła o chwili, gdy zanurzy nogi w gorącej kąpieli. I właśnie wtedy do sali wszedł ostatni klient.

Warren Harker.

Znieruchomiała. Gdyby przyszło jej zrobić listę osób, których pojawienie się tutaj było najmniej prawdopodobne, Warren byłby na jednym z pierwszych



miejsc, między Gandhim a Fidelem Castro.

Serce biło jej jak szalone. Czy to z powodu oświecenia, czy też dlatego, że przez cały dzień obracała się w kręgu mężczyzn w typie Dicka, Doca czy Ala, Warren Harker wydał się jej ideałem męskiego piękna. Czarne włosy lśniły, elegancki niebieski garnitur leżał nienagannie, zaś poluzowany krawat i odpięty kołnierzyk koszuli dodawały mu uroku.

Buc.

Co za pech, że przyszedł akurat tutaj. Pośpiesznie zerknęła na Paula. Spał, wcale się nie krępując. Czyli to ona musi obsłużyć spóźnionego gościa.

Nabrała powietrza i wyprostowała się. Da sobie radę. Nie ma sprawy. Przy odrobinie szczęścia Harker jej nie rozpozna.

Podeszła do jego stolika. Czowała się jak skazaniec prowadzony na śmierć. Że też musiał tu przyjść, akurat tutaj! Jakby w całym Nowym Jorku nie było innej restauracji!

– Co pan zamawia? – zapytała, celowo przybierając brooklyński akcent i odwracając wzrok.

Nie zdało się to na wiele. Dick nie przesadzał, mówiąc, że rzadko miewali tu kelnerki, bo Warren natychmiast podniósł głowę znad gazety. Był wyraźnie zaskoczony.

– Jest pani nowa – rzekł. Starła się na niego nie patrząc.

– Pracuję tu od dzisiaj. Zaśmiał się.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem tu kelnerkę. Czyżby to znaczyło, że przychodzi tu regularnie?

No nie. Jeśli tak, to jest ugotowana. Zaraz straci kolejną pracę. Biorąc pod uwagę, jak ciężko było ją znaleźć...

– Co panu podać? – zapytała krótko.

– Tylko kawę. Ze śmietanką, nie z mlekiem. Doc zawsze jej żałuje.

Wszystko jasne, jest stałym gościem.

– Oczywiście. – Odwróciła się. Cieszyła się w duchu, że szczęście jej dopisało. Nie poznał jej.

Nie zrobiła jeszcze trzech kroków, gdy dobiegł ją jego głos.

– Chwileczkę.

Zamknęła oczy. A więc wszystko na nic.

– Czy ja pani skądś nie znam?

Czuła na sobie jego wzrok. Przebiegły jej ciarki po plecach.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała na pozór spokojnie, nie odwracając się.

– Proszę podejść – rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu. Pewnie był przyzwyczajony do rozkazywania innym.

Wzięła z baru dzbanek z kawą, podeszła do stolika. Miała spuszczonego wzrok w rozpaczliwej nadziei, że jeśli nie będzie na niego patrząc, to jej nie

rozpozna. Strusia polityka.

– Słucham?

– Wiem, że skądś się znamy. Pokręciła głową.

– Raczej nie. – Popatrzyła na niego. I to był błąd. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, po czym pstryknął palcami.

– Serragno Catering. – Ja...

– Pani jest Rose Tilden!

## ROZDZIAŁ TRZECI

– Co pani tutaj robi? – prychnął z niedowierzaniem, nim zdążyła zebrać się w sobie i coś powiedzieć.

Ten ostry, wręcz oskarżycielski ton na moment odebrał jej mowę.

– Pracuję tutaj.

– Co takiego? – Rozejrzał się, jakby szukając potwierdzenia, że to rzeczywiście jest prawda.

– Pracuję tutaj.

– To niemożliwe.

Zacisnęła palce na dzbanku z kawą. Już miała na końcu języka zapewnienie, że nie musi się martwić o bezpieczeństwo swojego portfela, ale opamiętała się. Zależy jej na tej pracy.

– Czy podać więcej cukru?

Przez długą chwilę przyglądał się jej w milczeniu, wreszcie pokręcił głową.

– Nie słodzę.

I nie jesteś słodki, pomyślała w duchu, nalewając mu kawę.

– Czy jeszcze coś? Niedługo zamykamy.

– Dziękuję. – Był pochłonięty swoimi myślami. – Od dawna tu pani pracuje?

– Czy pan mnie przesłuchuje, panie Harker?

– A powinienem?

O Boże, on wziął to na poważnie!

– Oczywiście, że nie! – odparła pośpiesznie. – To był żart.

– To mnie pociesza – rzekł chłodno. Bardzo chłodno.

– Panie Harker, czy to jakaś aluzja? Jeśli tak, to bardzo proszę, by powiedział pan wprost.

– Hej, co się tu dzieje? – z kuchni wynurzył się Doc. Podszedł do łóżki Warrena. – Państwo się znacie?

– Spotkaliśmy się już – odparł Warren, nie odrywając oczu od dziewczyny.

Serce biło jej niespokojnie. Czekwała w napięciu, co teraz się stanie, co Warren powie jej pracodawcy. Bardzo możliwe, że straci posadę. Stała nieruchomo, zdjęta lękiem.

Opamiętała się jednak. Najlepiej, jeśli sama powie Docowi prawdę. Po co ma drżeć, że ktoś inny będzie decydować o jej losie.

– Pracowałam w firmie cateringowej obsługującej przyjęcie wydawane przez pana Harkera. Zostałam fałszywie oskarżona o kradzież i w rezultacie straciłam pracę. Zapewniam pana, że to było oszczerstwo. Zostałam niewinnie oskarżona.

Doc się roześmiał i poklepał ją po ramieniu.

– Jesteś nakręcona jak stary zegar, no nie? Wiem, że niczego byś nie ukradła.

Rose odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję.

– Co za idiota cię o to oskarżył?

Rose niechętnie popatrzyła na Warrena.

– Nie! – wykrzyknął Doc. – Tylko nie ty!

– Warren nieznacznie wzruszył ramionami.

– Dowody jednoznacznie przemawiały przeciwko niej. Doc popatrzył na Warrena z niedowierzającym zdumieniem. Westchnął.

– Czyś ty zwariował?

– Padły już gorsze określenia – mruknął Warren. Spochmurniał i dodał: – Nawet gorsze niż te, które słyszałem z twoich ust.

Doc zmarszczył czoło.

– W takim razie zapracowałeś sobie na nie, to jasne. Daj już spokój tej młodej damie. Wyluzuj, Harker, bo inaczej będziesz dostawać zimną kawę.

Warren sięgnął po portfel, wyjął dwudziestodolarowy banknot i położył go na stole. Rachunek wynosił półtora dolara.

– Doc, ta twoja kawa nie jest aż taka super, nie przesadzaj z samozadowoleniem.

– Naprawdę? – Doc skrzyżował ramiona. – I tak za dużo jej pijesz.

Warren się roześmiał i nie oglądając się na Rose, ruszył do drzwi.

– Do zobaczenia!

– Bądź miły dla mojej kelnerki! – rzucił za nim Doc. Odwrócił się do Rose.  
– Widzisz? On nie jest taki zły.

– Może i tak – powiedziała bez przekonania, odprowadzając Warrena wzrokiem. – Czy on tu jest częstym gościem?

– Wpada kilka razy na tydzień. Ostatnio dość często. Zwiesiła ramiona. Sytuacja nieoczekiwanie bardzo się komplikuje.

– Po co tu przychodzi? Przecież nie mieszka w pobliżu.

– Pewnie lubi te rejon. – Doc uśmiechnął się do niej pokrępiąco. – Nie przejmuj się nim. W centrum jest grubą rybą, ale tu jest klientem jak każdy inny. Obudź Paula i zbierajcie się do domu. Jutro też jest dzień pracy.

Harker oparł głowę na skórzanym oparciu fotela. Elegancka limuzyna płynęła bezszelestnie. Znowu siąpił deszcz. Cały dzień był taki zimny i mokry. Nic dziwnego, że nie opuszczał go ponury nastrój.

Samochody stały w korku. Czeką go długa jazda. Ma czas, by przemyśleć sobie parę rzeczy.

Niepokój, jaki nie opuszczał go od dwóch dni, miał jeden powód: Rose Tilden.

Od dwóch dni wciąż wracał do niej myślami.

Nie potrafił dociec, co kryło się za tym ostatnim spotkaniem. Jakim cudem znalazła się w „Cottage Diner”? W Nowym Jorku są tysiące knajp i restauracji. To nie może być dziełem przypadku. Wniosek nasuwa się sam. Rose Tilden najprawdopodobniej zajmuje się szpiegostwem przemysłowym. Nie raz zdarzało mu się słyszeć o tego typu działaniach, lecz nigdy nie zwracał na to uwagi. Sądził, że te relacje są mocno przesadzone. Teraz już nie miał takiej pewności.

Gdyby ich kontakt zakończył się na tamtym przyjęciu, niczego by się nie domyślił. Ten, kto ją tam posłał, wykazał się bystrością i sprytem. Doskonały sposób, by kogoś podejść. Sam mógłby to kiedyś wykorzystać, gdyby udało mu się zapomnieć o zasadach.

Jednak pojawienie się Rose w tej knajpce... to już było przegiecie. Nikt nie uwierzy, że stało się to przypadkiem. Z jej kwalifikacjami mogła znaleźć pracę w o wiele lepszych miejscach niż ta obskurna knajpka. Nawet nie pamięta, by mieli tam kiedyś kelnerkę. To dość podejrzana okolica. Choć jest w niej ukryty ogromny potencjał. Dlatego ostatnio tak często tu bywał. Wpadł mu w oko budynek na wprost knajpki Doca. Jeśli zręcznie pogra, kupi go za grosze i bardzo szybko zrobi na tym majątek.

Są ludzie, którzy wiele by dali, żeby poznać jego plany. Miał co najmniej trzech groźnych konkurentów, którzy gotowi byli wiele zapłacić za informacje.

Czyby Rose odkryła jego tajemnicę? Przychodził tu przecież często, by trzymać rękę na pulsie. Sędziwy właściciel nieruchomości nawet nie chce słyszeć o sprzedaży. Na parterze prowadzi niewielką pralnię, do której nie zagląda pies z kulawą nogą. Chodzą słuchy, że to pralnia pieniędzy kontrolowana przez mafię. Dlatego musi być czujny. I gdy przyjdzie właściwy moment, działać bardzo szybko.

Na miejscu tego ponurego, rozsypującego się domu wzniesie kompleks luksusowych apartamentów. Coraz więcej ludzi wynosi się z centrum, z różnych powodów. Ten rejon ma szansę na wspaniały rozkwit.

Chyba że Monroe Associates, Chuck Donohue czy Apex coś zwietrzą i zablokują jego plany.

Czy któryś z nich mógł posunąć się do tego, by zatrudnić piękną dziewczynę w roli szpiega?

I czy ona już zaczęła się czegoś domyślać?

Dwa tygodnie pracy minęły jak z bicza strzelił. Rose nie narzekała. Miała sentyment do tych stron, tu się wychowała. Mimo połowy października wciąż było bardzo ciepło i nie brakowało turystów.

W czwartkowy wieczór nagle uzmysłowiła sobie, że dawno nie pokazał się Warren. A gdy już zaczęła o nim myśleć, nie mogła przestać.

– Nie bądź taka smutna – powiedział pomocnik Stu. Rose przysiadła na

chwilę i z ulgą rozprostowała obolałe nogi.

– Stu, znasz Warrena Harkera?

Stu się zasepił i popatrzył w lewo, jakby szukając natchnienia.

– Hm... chyba nie.

– Pewnie, że go znasz – ziewnął przechodzący obok nich Paul. Niósł talerze. – Pan Harker.

– Och, pan Harker. No tak. On często przychodzi. Stłumiła uśmiech. Ze Stu rozmawiało się zupełnie jak z dzieckiem.

– Mówisz, że często przychodzi? – dociekała.

– Jasne. – Paul włożył talerze do zlewozmywaka. – Kilka razy w tygodniu.

Zawsze siada przy tym samym stoliku.

– Po co on tutaj przychodzi?

– Mamy najlepsze jedzenie w Brooklynie.

– Akurat! – ironicznie skrzywił się Dick. – Nie opowiadaj bzdur!

Hap wychylił się przez okno z zaplecza.

– Jeśli tak, to czemu tu ciągle przesiadujesz? – zapytał z szerokim uśmiechem.

Dick lekceważąco wzruszył ramionami i znowu zagłębił się w lekturze gazety.

– Mam po drodze – mruknął.

– Klient to klient – zaśmiał się Hap. – Po co tu przychodzi, to jego sprawa.

– A według ciebie, po co ten Harker tu przychodzi? – zapytała Rose. – Pytam, bo facet jest nieprzyzwoicie bogaty. Może wybierać najdroższe knajpy albo zatrudnić sobie prywatnych kucharzy, gotowych na każde skinienie. Po co taki ktoś przychodzi akurat tutaj, choćby jedzenie było najlepsze?

– Myślisz, że mu u nas nie smakuje? – zaniepokoił się Stu.

– Nie, tego nie powiedziałam. Zastanawiam się tylko, czy może są jakieś inne powody. – Jej żaden nie przychodził do głowy. Niemożliwe, by w odwecie za zdarzenie na przyjęciu chciał spowodować jej zwolnienie z pracy. Do tego mogła posunąć się jedynie Marta.

Harker i ta knajpka to dwa różne światy. Od kilku dni się nie pokazał. Może dlatego, że nie ma do niej zaufania.

– O kim mówicie? – zapytał ktoś za nią. Była pewna, że to Al. Odwróciła się.

– O, pan... – urwała zaskoczona, bo przed nią stał Harker. – Pan Warren Harker, co za miła niespodzianka – rzekła pośpiesznie.

– Podziwiam refleks – skomentował. – Usłyszę, dlaczego pani tak o mnie wypytuje, czy mam wypowiedzieć moją opinię?

Z kuchni wyjrzał Doc.

– Harker, przestań się jej czepiać. Już prosiłem, byś dał jej spokój.

– Nic się nie stało – łagodziła Rose. Warren uniósł brwi.

– Pozwoli pani na chwilę?

Popatrzyła na zaniepokojone twarze współpracowników i uśmiechnęła się, by dodać im otuchy.

– Oczywiście – odparła i ruszyła za Warrenem do jego stolika.

Usiadł i gestem zaprosił, by również usiadła.

– Wolę postać – rzekła. Teraz spostrzegła, że trzymała w ręku dzbanek z kawą. Nie wycofa się, by go odstawić. Westchnęła cicho.

Niebieskie oczy Warrena patrzyły na nią chłodno.

– Chciała się pani dowiedzieć, dlaczego tu wpadam.

– Owszem, byłam ciekawa.

– A ja chciałbym usłyszeć, dlaczego była pani taka ciekawa – rzekł, zniżając głos i zwięzając oczy.

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Była ciekawa... bo była ciekawa. Co więcej można dodać? Jednak jego złowrogie spojrzenie jednoznacznie świadczyło, że poczytywał to za coś niewłaściwego.

– O co naprawdę pani chodzi? – zapytał cicho.

– O co mi chodzi? O nic! Ma pan jakieś sugestie?

– Chcę je usłyszeć od pani.

– To z powodu zdarzenia na przyjęciu, tak? – Została niewinnie oskarżona i dalej ma się bronić? – Nie zrobiłam nic złego. Zatrudnił pan osobę, która celowo mnie w to wrobiła. Marta Serragno miała swoje plany związane z panem. Postąpiłam nierozsądnie, bo wdałam się z panem w rozmowę. To obudziło w niej zazdrość i szybko się mnie pozbyła. Nie ma w tym żadnej filozofii.

– Niby po co miałyby posunąć się do takiego zagrania? – zdumiał się. – Pokazać, że zatrudnia złodziei? Dla jej firmy to mógł być gwóźdź do trumny.

Skrzywiła się mimowolnie.

– Myślę, że postąpiła pod wpływem chwili. Może wybrała mniejsze zło. Nie wiem. – Rozłożyła ręce. – Coś panu powiem. Nie obchodzi mnie to. Jeśli chce pan wierzyć takiej zołzie jak Marta Serragno, to pana sprawa.

Odchylił się i nabrał powietrza.

– Dobrze, grajmy w otwarte karty. Przecież pani doskonale wie, że nie chodzi mi o to, co stało się na przyjęciu.

– Nie? Pokręcił głową.

– Nie. Za to obchodzi mnie, co pani tu robi. Proszę powiedzieć prawdę, pani Tilden, a okażę pani wspaniałomyślność. Czy ktoś pani zlecił, by mnie pani szpiegowała?

Takiego obrotu sprawy w życiu by się nie spodziewała.

– Czy ktoś mnie zatrudnił do śledzenia pana? – powtórzyła ze zdumieniem.

Warren skinął głową.

– Podwoję ich stawkę. Chcę się dowiedzieć, kto to jest. Nie wiedziała, czy ma się śmiać czy poczuć urażona.

– Na Boga, po co ktoś miałby zatrudniać mnie... czy kogokolwiek... by pana szpiegować? Robi pan coś podejrzanego?

Szybko zaprzeczył ruchem głowy.

– Zapewniam panią, że nie. Jednak prowadzę rozliczne interesy. Nie wszyscy dobrze mi życzą.

– I uważa pan, że zatrudniają szpiegów? – Roześmiała się. – Żeby dowiedzieć się, co pan jada? Nie wydaje mi się, by to mogło mieć jakieś znaczenie. Chyba że wynajęto mnie, bym doprawiła panu kawę arszenikiem.

Warren uniósł brwi.

– Nikt mnie nie wynajął. – Potrząsnęła głową. – Choć znając pana podejście do innych, wcale by mnie to nie zdziwiło.

Popatrzył na nią zwięzionymi oczami.

– To zaskakujący zbieg okoliczności, że pracowała pani na moim przyjęciu, a teraz tutaj.

– To nie jest żaden zbieg okoliczności – odparła krótko. – Nie?

– Nie. Pracuję tu, bo zostałam fałszywie oskarżona i to było jedyne miejsce, gdzie zgodzono się mnie przyjąć. Dlatego bardzo proszę, by zaprzestał pan tych insynuacji, bo przez pana stracę kolejną pracę.

– Wcale tego nie chcę.

– Miło mi to słyszeć. Zareczam, że nie szpieguję i nie czyham na pana portfel. Czy to wystarczy? Jeśli tak, to może przyjmijmy, że wcale się nie znamy?

– Zgoda.

– Dziękuję. Czy podać coś jeszcze oprócz kawy? Pokręcił głową.

– Nie. Ale potem poproszę o dolewkę. To może być długi wieczór.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Do diabła! I co teraz?

Powoli sączył kawę, ukradkiem obserwując Rose krzątającą się po sali. Obsługiwała gości, a gdy Stu się zagapił, pozbierała za niego talerze i zanosła do kuchni.

Przyjemnie było na nią patrzeć. Zgrabna, apetycznie zaokrąglona, w różowo-białym uniformie wyglądała jak dziewczyna z reklamy coca-coli z lat pięćdziesiątych. Długie kasztanowe włosy upięte w koński ogon, czerwone usta i duże zielone oczy. Wyglądała jak dziewczyna z sąsiedztwa.

Czy to możliwe, że tak bardzo pomylił się w jej ocenie?

Musi to wyjaśnić. Szkoda mu marnować czas tak wytrawnego asa jak George Smith, jednak nie ma wyboru. Jeśli ta Tilden rzeczywiście jest szpiegiem, jego interesy mogą być zagrożone. Gdyby się okazało, że posadził ją niesprawiedliwie, przeprosi.

Choć nie cierpi przeproszać.

Wyjął komórkę i wybrał numer George'a. Detektyw odebrał po pierwszym sygnale.

– Smith.

– Tu Harker – rzekł Warren, przyglądając się Rose krążącej po sali. Podeszła do Ala, stałego klienta. Powiedział coś do niej i oboje wybuchnęli śmiechem.

Ładnie się śmieje, pomyślał mimowolnie.

– Mam dla ciebie zadanie – oznajmił detektywowi, zniżając głos. Rose znowu zaśmiała się perliście. – To pilne.

Sześć dni później George Smith siedział w gabinecie Warrena na Manhattanie.

– Panienska jest czysta jak łza – zagaił, kładąc na blacie biurka cienką teczkę. – Z tego co ustaliłem, nie ma nic na sumieniu. Nie zdarzyło się jej nawet przetrzymać książki wypożyczonej z biblioteki.

– Co z jej rodziną? To nazwisko Tilden...

– Wszystko zgodnie z twoimi informacjami. Wychowywała się w domu dziecka Barrie, wraz z siostrą Lily. Teraz obie mieszkają razem w południowej części miasta. Mają jeszcze jedną siostrę, która została adoptowana. Nazywa się Laurel Standish. Pracowała jako pielęgniarka gdzieś na północy stanu. Chcesz, bym poszperał na jej temat?

– Jest zżyta z Rose i tą jej siostrą?

– Nie. – George pokręcił głową. – Wygląda na to, że od lat nie utrzymują ze sobą żadnego kontaktu.

– W takim razie zostawmy ją w spokoju. – Warren zaczął przerzucać raport

detektywa.

– Masz tam wszystkie informacje. Chodziła do miejscowych szkół, chyba tych samych co ty. Szkołę skończyła z wyróżnieniem. Nie poszła do college'u, ale do szkoły gastronomicznej. – George wzruszył ramionami. – Nie znalazłem niczego, co mogłoby wskazywać na jakikolwiek związek z ludźmi, których podejrzewasz. Tym bardziej żadnej przesłanki, że dla nich pracuje.

– Czyli nie ma nic z typowego szpiega?

– Absolutnie nie.

– To tylko znaczy, że jest idealną kandydatką. George się uśmiechnął.

– Spodziewałem się, że powiesz coś takiego. Dlatego przez cały tydzień chodziłem za nią jak cień. Zobaczysz to w moim raporcie.

Warren przerzucił kilka stron. George nie przesadzał.

– Poświęciłeś mnóstwo czasu.

– Przecież chciałeś mieć pewność. Warren zamknął raport.

– Mów dalej.

– Nie ma o czym. Prowadzi zupełnie normalne życie. Idzie do pracy, wraca do domu, gotuje, ogląda telewizję, śpi. Rozmawia z siostrą. Kilka razy przyjmowały znajomych. Sprawdziłem. Żaden z nich nie budzi najmniejszych podejrzeń. Zwyczajna dziewczyna.

– Wcale nie jest taka zwyczajna – rzekł Warren, mając przed oczami Rose krzątającą się między stolikami. – Bardzo się wyróżnia.

– Mówiłem o sposobie życia – zaśmiał się George. – Nie płacisz mi za wyciąganie wniosków na temat jej kobiecości.

– Nie, za to ci nie płacę – chłodno zareplikował Warren, posyłając mu ostrzegawcze spojrzenie. – Zapamiętaj to sobie.

George się zarumienił i chrząknął.

– No dobrze, akurat tego jej nie brak. Z rozmów telefonicznych nic szczególnego nie wynikało.

– Założyłeś jej podsłuch?

– Płacisz mi za informacje.

Warren skinął głową i wzruszył ramionami. To było ryzykowne działanie, zwłaszcza że Rose okazała się Bogu ducha winna. Jednak stało się i nic na to nie poradzi. Co najwyżej nie będzie o nic pytać. – I co usłyszałeś?

– Nic takiego. Typowe rozmowy ze znajomymi. – Jacyś... mężczyźni? – Warren poruszył się w fotelu i przybrał obojętną minę. Chciał, by to pytanie wyglądało na zwykłą ciekawość.

George nie dał się zwieść. Popatrzył na niego znacząco.

– Od prawie roku żadnego. – Wskazał na teczkę. – Masz to w raporcie.

– Dobra. Dzięki, George. – Warren wstał i wyciągnął rękę. – Świetnie się spisałeś, jak zawsze.

George uściskał mu dłoń i skinął głową.

- Jeszcze coś. – Tak?
- Ten facet, który ma pralnię w Brooklynie. Pinkney? Umarł w zeszłym tygodniu. Teraz jego syn przejął interes.
- Warren w zamyśleniu pokiwał głową. Pora na decydujący ruch.
- Wielkie dzięki, George. George się uśmiechnął.
- Daj znać, jak będę potrzebny.
- Jasne – odparł Warren. Usiadł przy biurku. – Na pewno to zrobię.
- Gdy George wyszedł, Warren sięgnął po telefon i zadzwonił do Marka Benninga, zaufanego prawnika.
- Właściciel zmarł, jego syn przejął teraz pralnię. Złóż ofertę.
- Już to robię.
- Mark? – Tak?
- Działaj szybko. Przedstaw propozycję nie do odrzucenia. – Odłożył słuchawkę. Nieźle to zabrzmiało. Jak z „Ojca chrzestnego”. Choć wiele wskazuje, że w tym przypadku taka odzywka była jak najbardziej na miejscu.
- Benning oddzwonił jakąś godzinę później.
- Nie chce sprzedać domu.
- Co takiego? Ile mu zaproponowałeś?
- Benning podał sumę. Bardzo wysoką. Właściwie maksymalną, jaką Warren brał pod uwagę. Nie wierzył własnym uszom.
- Do diabła, o co tam chodzi?
- Wygląda na to, że te plotki są bardzo bliskie prawdy.
- Też mi się tak wydaje.
- Mam złożyć nową ofertę?
- Tak. – Warren kiwnął głową, choć jego rozmówca nie mógł tego widzieć.
- Daj, ile zażąda.

Był czwartkowy wieczór i do zamknięcia pozostało ledwie piętnaście minut, gdy do lokalu wszedł Warren Harker. Nieco wcześniej na ulicy wiele się działo. Policja otoczyła dom naprzeciwko restauracji Doca i mnóstwo ludzi przyszło do knajpki, by obserwować rozwój wydarzeń.

Nikt nie miał pojęcia, co mogło się stać, choć podejrzewano, że ma to związek z mafią. Wreszcie policja wycofała się, nikogo nie wyprowadzając. Dick skomentował to, że „tacy są nie do ruszenia, bo wszędzie mają wejścia”.

Gdy przyszedł Warren, szykowali się do zamknięcia.

- Kawy? – zapytała Rose, nakrywając już stoliki do śniadania.
- Bardzo proszę – odparł. – Jeśli znajdzie pani kilka minut, chciałbym zamienić parę słów.

Miała za sobą długi dzień i żadnej ochoty na wysłuchiwanie jego impertynencji. Jednak trudno jej było odmówić. Lily na pewno by powiedziała, że to z powodu jego niebieskich oczu, ale prawda była inna. Nie chciała być

niegrzeczna. To wszystko.

Rozejrzała się po sali, szukając wymówki, ale poza Warrenem nie było żadnych klientów. Czyli nie miała wyjścia.

– Zastrzegam tylko od razu, że nie zamierzam wysłuchiwać pańskich kolejnych oskarżeń – zagaiła. – Zależy mi na tej pracy, i to bardzo. Dlatego proszę, by przestał pan...

– Chciałem panią przeprosić.

Przez chwilę była pewna, że się przesłyszała.

– Co takiego?

– Słyszała pani.

– Nie jestem pewna.

Mruknął coś niezrozumiałego, przeciągnął ręką po włosach.

– Uświadomiłem sobie, że mogłem się mylić w pani ocenie.

– Że mógł się pan mylić?

– No tak. – Położył rękę płasko na stole. – Takie domniemanie niewinności.

– Bardzo pan łaskawy. – Omiotła go spojrzeniem zielonych oczu.

Przeszkodził im Doc.

– Wychodzę dziś odrobinę wcześniej – rzekł. – Moja żona czeka z kolacyjką, by uczcić naszą rocznicę ślubu. Rose, pozamykasz wszystko?

– Oczywiście. Wszystkiego najlepszego! Która to rocznica?

Doc uśmiechnął się szeroko.

– Pięćdziesiąta druga. Dłużej niż można sobie zamarzyć, prawda?

– Moje gratulacje! – dołączył się Warren. – Esther zasłużyła sobie na medal.

Zaskoczył ją. Zna imię żony Doca? Nie miała pojęcia, że znają się tak blisko. Może Warren nie jest tak wyobcowany i zdystansowany, jak przypuszczała.

Doc wyszedł. Rose odwróciła się do Warrena.

– Słyszał pan. Mam już zamykać. Warren się podniósł.

– Poczekam i odwiozę panią do domu. Rose zaśmiała się lekko.

– Dziękuję, ale dam sobie radę. Patrzył na nią poważnie.

– Będę miał lepsze samopoczucie, gdy pozwoli pani się odwieźć.

Przypomniała sobie wcześniejsze zamieszanie z policją. Ale przecież nikogo nie zabrali. Poszli, czyli nic złego się nie dzieje. Zresztą woli iść sama, niż wchodzić w jakieś układy z Warrenem.

– Dziękuję, nie ma takiej potrzeby. Mieszkam zaledwie kilka przecznic stąd.

– Mieszka pani siedem przecznic stąd, a o tej porze to nie jest bezpieczny spacer.

– Skąd pan wie, gdzie mieszkam?

Poruszył się niespokojnie, jakby go na czymś przyłapała. Za bardzo się zagalopował.

– Nie wiem.

– Powiedział pan, że mieszkam siedem przecznic stąd. I rzeczywiście tak jest.

– Tak mi się tylko powiedziało. Przez pierwsze trzy przecznice nie ma domów mieszkalnych. Równie dobrze mógłbym powiedzieć jednaście czy osiem.

Spochmurniała. Może rzeczywiście tylko tak strzelał. Jednak...

– Mówię szczerze – rzekł. – Nigdy nie widziałem pani domu.

– Nie mieszkam w domu. W mieszkaniu.

– No widzi pani? Po prostu dobrze trafiłem. Skoro więc ustaliliśmy, że wcale nie mieszka pani tak blisko, proszę pozwolić się odwieźć.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Dziękuję za propozycję, ale wolę iść na piechotę. Warren wzruszył ramionami.

– Jak pani sobie życzy.

Ruszył do drzwi, a ona za nim. Kiedy wyszli na dwór, otoczyło ich ciepłe nocne powietrze. Warren czekał, aż Rose upora się z zamkami.

Gdy skończyła, odwróciła się do niego.

– Dobranoc – powiedziała.

– Dobranoc – odparł. Nie zrobił ani kroku. Czarna limuzyna bezszelestnie podjechała pod wejście.

Rose ominęła ją tyłem i przeszła przez ulicę. Nic nie jechało, więc pobiegła na skos. Już miała skręcić na zachód, gdy naraz spostrzegła coś leżącego na chodniku.

Coś lub kogoś.

Obejrzała się nerwowo. Warren właśnie wsiadał do samochodu. Nie patrzył w jej stronę. Przez moment myślała, by go zawołać, ale szybko się rozmyśliła. Nie ma powodu, by wpadać w panikę.

Zagryzła usta i popatrzyła na ciemny kształt. Może to paczka ubrań z pralni? Pewnie tak.

Podeszła bliżej, wmawiając sobie, że ma rację. Jednak na wszelki wypadek sprawdzi.

Zrobiła kilka kroków. I już wiedziała, że to nie ubrania.

Na jasnym chodniku ciemniała struga krwi. Obok leżał Doc.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Warren właśnie polecił kierowcy, by zawrócił i wolno jechał za Rose, utrzymując dystans, gdy nagle nocną ciszę przerwał rozpaczliwy krzyk dziewczyny.

– Stój! – Samochód jeszcze dobrze się nie zatrzymał, gdy Warren wyskoczył i puścił się pędem w stronę Rose.

– Co się stało?

– To Doc! – wykrztusiła, wskazując palcem na niekształtny cień ciemniejący na chodniku. – Jest ranny! – Pochyliła się nad leżącym.

– Nie dotykaj go! – rzucił Warren, błyskawicznie wyjmując z kieszeni komórkę. Pośpiesznie podał policji ich namiary. Przykucnął nad Docem.

Sytuacja wyglądała niewesoło. Doc miał porządnie rozciętą głowę, z rany lała się krew. Leżał nienaturalnie skręcony. Puls miał ledwie wyczuwalny, ale żył. Może jeszcze nie jest za późno.

Rose delikatnie gładziła Doca po piersi.

– Wszystko będzie dobrze, Doc – przemawiała do niego łagodnie. – Zaraz przyjedzie pogotowie. Nic ci nie będzie – zapewniała cicho, lecz głos jej drżał. Była przerażona.

– Wiesz, co się mogło stać? – zapytał Warren. Dziewczyna przecząco poruszyła głową. Nie odrywała oczu od Doca.

– Zobaczyłam go leżącego – powiedziała, patrząc na Warrena szeroko otwartymi oczami. – Wyszedł jakieś piętnaście minut temu. Czyli przez cały ten czas tu leżał. Jest tyle krwi. – Głos uwiązł jej w gardle, ale nadal trzymała się dzielnie.

– Przy ranach głowy zawsze jest dużo krwi – uspokajał ją Warren. – Może nie jest tak źle, jak wygląda.

– Wygląda kiepsko – powiedziała, ujmując bezwładną dłoń Doca. – Bardzo kiepsko.

Przyglądał się jej spod oka. Niemożliwe, by ta dziewczyna potrafiła aż tak grać. Naprawdę źle ją ocenił. Jest wrażliwa i ma dobre serce. Zbył ją zdawkowymi przeprosinami. To za mało.

Postara się jej to wynagrodzić. Gdy wyjaśni się sprawa z Dokiem. Może kupi restaurację i zatrudni ją jako szefa. Wprawdzie sam nie ma pojęcia o tej branży, ale zasady biznesu wszędzie są podobne.

Teraz nie czas się nad tym zastanawiać. Najważniejszy jest Doc.

Z daleka dobiegł dźwięk zbliżającej się karetki. Po chwili ambulans zatrzymał się obok nich i wybiegli ratownicy. Przykucnęli nad leżącym Docem. Po kilku minutach położyli go na nosze i wnieśli do karetki.

Rose przyglądała się temu, załamując ręce. Co chwila prosiła, by

obchodzili się z nim delikatnie. Wreszcie ambulans odjechał do szpitala.

Znowu zrobiło się cicho. Dopiero teraz Rose pozwoliła sobie na łzy. Zakryła twarz rękami i szlochała cicho. Wstrząsał nią płacz.

– Rose. – Był w kropce. Czuł się nieswojo, widząc płaczącą kobietę. Ale przecież nie mógł stać bezczynnie. – Doc się wyliże – rzekł, kładąc rękę na jej ramieniu. – Jestem tego pewien. To twarda sztuka.

– Leżał tu na chodniku, na zimnie, zupełnie sam – łkała Rose. – A jeśli on umrze?

– Nie umrze. – Ale...

– Teraz nie ma co gdybać – rzeczowo powiedział Warren. – Wyjdzie z tego. – Położył rękę na jej barku. Objąłby ją, lecz obawiał się, że ten gest mógłby zostać opacznie zrozumiany. – Doc jest bohaterem wojennym. Przeszedł gorsze rzeczy niż to.

– On już dawno nie jest młodym żołnierzem.

– Nie jest – zgodził się, patrząc jej w twarz. – Ma swoje lata. A nie ma większego twardziela niż doświadczony wojak.

Rose popatrzyła na niego i uśmiechnęła się blado.

– Obyś miał rację.

– Na pewno. – Chciał w to wierzyć. – Powiedz mi, nie znasz przypadkiem telefonu Doca?

– O Boże! Jego żona musi odchodzić od zmysłów! Trzeba jak najszybciej do niej zadzwonić!

– To właśnie chcę zrobić. Znasz jego numer? Rose pokręciła głową.

– Nie. Ale wiem, że mieszka w Gooding.

Warren połączył się z biurem numerów i po chwili rozmawiał z żoną Doca. Esther była tak zdenerwowana, że nawet Rose słyszała jej głos. Warren umówił się z nią za kwadrans w izbie przyjęć. Gdy skończył rozmowę, zadzwonił i zamówił taksówkę, by podjechała pod dom Esther.

– To było bardzo miłe z twojej strony – powiedziała Rose. – Esther ma szczęście, że byłeś na miejscu. Wszyscy mieliśmy szczęście.

Warren wzruszył ramionami.

– Chodź, po drodze odwiozę cię do domu. Rose pokręciła głową.

– Nie, ja też pojedę do szpitala. Muszę mieć pewność, że z Dokiem wszystko będzie dobrze.

– To może długo potrwać.

– Trudno. I tak pojedę.

Popatrzył na nią uważnie. Ta dziewczyna wie, czego chce. Nie pozwala sobą rządzić.

A jak już coś postanowi, za nic nie daje się od tego odwieść.

Czyli nie warto strzepić sobie języka.

– Dobrze. – Wskazał na samochód. – To jedźmy.

Rzeczywiście przyszło im długo czekać.

Mówiono o drobnym zabiegu, szyciu, rozszerzonych żrenicach. Już wyglądało, że sprawy idą w dobrym kierunku, lecz później nagle okazywało się, że nie jest dobrze. Sytuacja zmieniała się z godziny na godzinę.

Koło drugiej w nocy Esther pozwolono wejść do męża. Niedługo potem wyszła na korytarz po Warrena i Rose.

Doc leżał na łóżku. Miał zabandażowaną głowę i nogę w gipsie. Był bardzo blady.

– Dziękuję, że zostaliście z Esther – odezwał się słabym głosem. – Dobrzy z was przyjaciele.

Warrenowi ścisnęło się serce. Znał Doca od ponad trzydziestu lat i po raz pierwszy widział go w tak marnym stanie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Doc jest starszym człowiekiem.

– Skarbie, mogłabyś przynieść więcej lodu? – poprosił żonę Doc.

– Oczywiście – odparła Esther. Jej charakterystyczny brooklyński akcent zawsze rozbrajał Warrena. – Już idę do pielęgniarek.

Domyślił się, że Doc chciał na chwilę pozbyć się żony z sali, lecz nic nie przygotowało go na zaskoczenie, jakim były słowa starego druha.

– Ten, co mnie tak urządził – zaczął Doc, przenikliwie patrząc na Warrena – przekazał ostrzeżenie dla ciebie.

– Dla mnie? – Poczul na sobie wzrok Rose. – Jakie ostrzeżenie?

Doc popatrzył na Rose.

– Pewnie wolałabyś tego nie słyszeć, jednak powinnaś to wiedzieć. Jeśli zrezygnujesz z pracy, nie będę miał do ciebie pretensji.

– Nie zamierzam odejść – zapewniła, kładąc dłoń na jego rękę.

– Co to za ostrzeżenie? – niecierpliwie powtórzył Warren. Doc zwrócił na niego bladoniebieskie oczy.

– Byś trzymał się z dala od tamtej okolicy. Zmienił swoje plany.

– Ja?

– Tak. Powiedział wyraźnie: Warren Harker.

– A co to za plany? – z niepokojem zapytała Rose. – Jesteś jakoś powiązany z tymi ludźmi, którzy napadli Doca?

– Ależ skąd! – obruszył się.

– W takim razie czemu ci grożą? – dociekała.

– Nie mam pojęcia. Lecz na pewno się dowiem.

– Byle szybko. Nim dopadną kogoś następnego.

Nie chciał jeszcze bardziej denerwować Doca. Dlatego musi uciszyć Rose.

– Nikogo nie dopadną – rzekł przez zęby.

– Skąd taka pewność? Sam przed chwilą powiedziałeś, że nie masz pojęcia, co to za ludzie i o co im chodzi!



– Powiedziałem, że szybko się tego dowiem – odparował. – Zostawmy to teraz.

– Uspokójcie się – mitygował ich Doc. – Przestańcie się kłócić.

Warren się opamiętał. Docowi potrzebny jest spokój.

– Myślę, że to sprawka jakiegoś lokalnego gangu. Zauważyli, że bywam w tamtych rejonach. Te zdewastowane domy to ich rewir, gdzie obowiązują ich własne prawa. Boją się, bym na miejscu tych ruder nie wybudował nowoczesnego osiedla. – Dokładnie to chciał zrobić.

– To raczej nie chodzi o lokalnych opryszków – z zamyśloną miną rzekł Doc. – To grubszy interes.

Warren doskonale wiedział, co miał na myśli.

– Nie obawiam się ich.

– To dobrze. Tylko postaraj się, żeby nikt przy okazji nie ucierpiał. – Wskazał głową na Rose.

– Nie martw się teraz o innych – odezwała się Rose. – Musisz jak najszybciej wyzdrowieć. Możemy ci jakoś pomóc? Pomyśl.

– Dzięki za dobre chęci. Prawdę mówiąc, jest coś, o co chciałbym was prosić.

– Mów śmiało – z powagą rzekł Warren.

– Co tylko trzeba – dodała Rose.

– Przez jakiś czas będę wyłączony z pracy – zaczął Doc.

– Nie dam rady gotować. – Popatrzył na swoją unieruchomioną nogę i zaśmiał się. – Tylko nie mów, że i tak sobie z tym nie radziłem.

Warren się uśmiechnął.

– Rose, mówiłaś, że masz doświadczenie w gotowaniu – ciągnął Doc. – Myślisz, że mogłabyś mnie zastąpić?

– Bardzo chętnie, ale co na to Hap? Doc pokręcił głową.

– Można na nim polegać, ale sam sobie nie poradzi. Trzeba mu mówić, co ma robić. Obracć pięć kilo ziemniaków, takie rzeczy. Do tego jest świetny. Ale na szefa się nie nadaje.

– No dobrze. – Uśmiechnęła się do niego. – Zgoda.

– Dziękuję. – Doc przeniósł wzrok na Warrena. – Do ciebie też mam prośbę. Bardzo poważną.

– Mów.

Doc wypuścił powietrze.

– Prowadzę restaurację od ponad pięćdziesięciu lat. Przedtem należała do moich rodziców. Przez cały ten czas nie zdarzyło się, by ktoś z rodziny nie doglądał interesu dłużej niż przez dwa dni. Aż do teraz. – Westchnął ciężko.

– Lekarze mówią, że przez kilka tygodni będę wyłączony z pracy. – Popatrzył na swoją nogę. – A nawet i potem nie będzie mi łatwo. Jest niewiele osób, którym ufam na tyle, by powierzyć im mój biznes. – Skrzyżował wzrok z

Warrenem. – Do ciebie mam zaufanie.

– Nie ma sprawy – odparł Warren. – Zaraz się tym zajmę. Znajdę odpowiedniego człowieka. Do jutrzejszego wieczoru będziesz miał najlepszego menedżera.

Doc wyciągnął rękę.

– Nie chcę kogoś, kogo nie znam. Chcę ciebie. Warren się zawahał. Jego potężna firma to prawdziwe imperium, które nijak się ma do rodzinnego interesu Doca. Brakowało mu czasu, by się w to bawić.

Zamierzał to otwarcie powiedzieć, ale popatrzył na starego kumpla. Dla Doca ta knajpka ma zupełnie inną wartość. Od pokoleń należała do jego rodziny. Wokół wyrastały nowoczesne bary i restauracje, ale Doc się nie poddawał. Wciąż robił swoje. Teraz okazał mu zaufanie. Liczył na przyjaciela.

Poza tym Warren miał przykrą świadomość, że w jakimś sensie przyczynił się do obecnego położenia Doca.

– Dobrze – rzekł. – Zrobię co w mojej mocy. Możesz na mnie polegać.

Rose dotarła do domu o wpół do czwartej. Umówili się, że rano sama powiadomi pracowników o tym, co się stało, i przejmie kierownictwo. Warren miał przyjechać dopiero wieczorem, po załatwieniu swoich najpilniejszych spraw. Wtedy zamierzali ustalić plan działania.

– Czy Doc wyzdrowieje? – z niepokojem dopytywał się Stu.

Rose za każdym razem zapewniała go, że tak. Nawet Paul zmobilizował się do roboty. Obsługiwał gości, a Rose zajęła się kuchnią. Doc miał rację: Hap rzeczywiście nadawał się do prac pomocniczych, ale o gotowaniu nie miał pojęcia.

Doc nie zostawił swoich przepisów. Nie pozostało jej nic innego, jak robić wszystko po swojemu. W wolnej chwili podzwoniła do dostawców i zamówiła mięso i warzywa. Miały być przywiezione skoro świt. Czekало ją mnóstwo pracy, lecz była gotowa na wszystko. Stanie na głowie, by interes Doca się kręcił.

Warren przyjechał koło ósmej wieczorem. Wyjął z szafki dokumenty finansowe i usiadł nad nimi przy jednym ze stolików.

Koło dziesiątej miał już pewność, że lokal jest na skraju bankructwa.

– Co ty opowiadasz? – z niedowierzaniem oponowała Rose. – To niemożliwe! Doc płaci nam regularnie. Mamy klientów. Dziś zrobiłam dwa duże zamówienia i żaden z dostawców nic nawet nie pisał.

Warren zmarszczył brwi.

– Zrobiłaś dziś zamówienia? Rose kiwnęła głową.

– Musiałam. Skończyła się wołowina, w lodówce została jedna zwiędnięta marchewka.

Warren odsunął papiery, popatrzył na wyciąg z banku.

– Mogę zerknąć na to zamówienie? Rose wzruszyła ramionami.

– Jeszcze nie mam faktur, ale mogę pokazać ci listę. – Podeszła do kontuaru, wzięła spis i podała mu.

Warren przebiegł go wzrokiem, popatrzył na dziewczynę.

– Czy naprawdę musisz kupować najlepszą wołowinę? Nie może być trochę gorszego gatunku?

Wiedziała, że krótka i jednoznaczna odpowiedź do niego nie trafi.

– Jeżeli podasz klientowi marne jedzenie, więcej do ciebie nie wróci. Gdy dostanie coś, co będzie mu smakowało, stanie się stałym bywalcem.

– Piękna teoria – uciął. – Jednak nadal nie widzę sensu w kupowaniu produktów najlepszego gatunku. Przejrzałeś może poprzednie rachunki? Chodzi mi o to, co zwykle zamawiał Doc.

– Nie – przyznała. – Nie znalazłam żadnych przepisów, więc gotuję według własnych. I zamawiam produkty, które mi będą potrzebne. – Wołała nie wspominać mu o swoich podejrzeniach. Doc prawdopodobnie kupował tanie produkty, co potem odbijało się na jakości potraw.

– Organiczna marchew – czytał Warren. Podniósł oczy na Rose. – Organiczna?

Rose wyprostowała się, gotowa bronić się do upadłego.

– Jest smaczniejsza i, o czym jestem przekonana, znacznie zdrowsza.

– I kosztuje dwa razy tyle co zwykła.

– Jest dwa razy lepsza. – Policzki jej płonęły. Domyślała się, co Warren sobie teraz myśli. Uważa ją za rozrzutnicę, która szasta pieniędzmi, w dodatku cudzymi. Nie dociera do niego, że właśnie nadarza się okazja, by przyciągnąć tu nowych klientów. Skusić ostatnich turystów i zachęcić lokalnych bywalców. Nie raz słyszała utyskiwania gości na smak potraw. Doc tak prosił, by pomogli mu utrzymać restaurację. Poprawiając jakość jedzenia, służy dobrej sprawie.

– Wycofaj to zamówienie – polecił Warren.

– Słucham?

– Powiedziałem jasno. Odwołaj je. Albo daj mi numer, sam to zrobię.

– Przecież to nie ty tutaj gotujesz!

– A ty nie kontrolujesz finansów. – Odchylił się na krześle i popatrzył na nią ze znużeniem. – Doca nie stać na zapłacenie takich rachunków.

– Za kilka dni to się zmieni – zareplikowała. – Przekonasz się.

– A jeśli się mylisz? – Oczy błysnęły mu wyzywająco. Odpowiedziała podobnym spojrzeniem.

– Na pewno nie. Nie masz pojęcia, jak funkcjonuje restauracja.

– Na razie wygląda, że wcale nie funkcjonuje. Rose westchnęła.

– Sam wiesz, że tak nie jest. To miejsce działa od ponad pięćdziesięciu lat. Może dłużej. Czasami trzeba wyłożyć niewielką sumę, by zarobić więcej. – Wzruszyła ramionami. – Kto nie gra, na pewno nigdy nie wygra.

Popatrzył na nią spokojnie.

– Kiedy złożyłaś zamówienie?

– Po południu.

– Czyli już za późno, by je cofnąć? Zawahała się, w końcu kiwnęła głową.

– Tak. Ale to nie dlatego tak się przy nim upieram. Warren pokręcił głową.

– Pokryję ten rachunek. Tylko ani słowa Docowi. Poczuliby się dotknięty.

– Nie musisz tego robić. W tym tygodniu jest święto, w dodatku mamy wyjątkową pogodę. Zjedzie mnóstwo turystów, będziemy mieli dużo klientów. Zarobimy wystarczająco, by pokryć wydatki.

– Gdyby tak się nie stało, miałbym satysfakcję, że stanęło na moim. Ale chodzi o Doca. Dlatego tak mi zależy, by wyjść na czysto. Lecz boję się, że to niewykonalne. Zagotowało się w niej.

– Gdyby nie chodziło o Doca, to na pewno bym nie wychodziła ze skóry, by interes ruszył – rzekła lodowatym tonem. Rozwiązała fartuch. – Niech każdy z nas zajmie się swoim. Jeśli w ciągu kilku tygodni sytuacja się nie poprawi, to na pewno nie z mojego powodu.

– I tu masz rację, bo teraz ja będę zamawiał produkty. Rose rzuciła fartuch na blat i wzięła się pod boki.

– Tak? To powiedz mi, ile trzeba zamówić truskawek do ciasta na dwa dni?

– Dowiem się tego.

– Naprawdę? Ciekawe od kogo? Warren rozłożył ręce.

– Zapytam kogo trzeba. To zasada Henry’ego Forda. Jeśli się na czymś nie znasz, zapytaj fachowca.

– Uważasz, że Henry Ford chciałby marnować czas na szukanie innego fachowca, skoro miałby pod ręką właściwą osobę? Tylko dlatego, że jej nie lubi?

– Z pewnością, jeśli ta osoba radziłaby produkować samochód ze złota, a nie z blachy. To nie ma żadnego związku z osobistymi sentymentami. – Urwał na moment. – Zakładam, że twoja niechęć w stosunku do mnie również nie wynika z takich przyczyn.

– Oczywiście, że nie – odparła szybko. Zbyt szybko. – Nie mam do ciebie żadnego osobistego stosunku.

– To dobrze. – Nawet nie mrugnął. – W takim razie jedynie czasowo ze sobą współpracujemy.

– Właśnie. – Skąd wzięło się to nieoczekiwane ukłucie, gdy oświadczył, że w stosunku do niej nie kieruje się żadnymi osobistymi uczuciami?

– Czyli nie powinno być więcej problemów. Rose rozłożyła ręce.

– Nie będzie problemów. Póki nie będziesz się wtrącać w to, co ja robię.

– Podobnie jak ty.

Nic na to nie odpowiedziała.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Jak bokserzy szykujący się do walki.

Przesunął wzrok na jej usta. Przeszył ją dziwny dreszcz. Przez jedną ulotną chwilę łudziła się, że zaraz ją pocałuje.

I przez tę jedną ulotną chwilę myślała, że to naprawdę się stanie.

Warren zrobił krok w jej kierunku i spojrzał na nią. Miał niesamowicie niebieskie oczy. Jak komuś takiemu się oprzeć? Delikatny zapach jego kosztownej wody kusił, by znaleźć się jeszcze bliżej niego. Na szczęście zdołała się opamiętać.

– Rose – odezwał się cicho.

– Tak? – Ledwie mogła oddychać.

– Jesteś świetnym fachowcem. Doceniam, że chcesz zrobić wszystko, co tylko się da, ale nie zapominaj, że to jest zwykła knajpka, nie pięciogwiazdkowa restauracja. Możesz kupować najdroższe produkty, ale nikt się na tym nie pozna. Jedynie ja. I Doc, gdy przyjdzie i zobaczy rachunki.

Czuła się, jakby uszło z niej powietrze. Warren chyba ma klapki na oczach, bo nic do niego nie dociera.

– Wiesz co? – zagała po chwili. – W twojej branży takie jednostronne podejście dobrze działa, lecz dogadać się z kimś takim naprawdę jest bardzo trudno.

– Ja nie narzekam. – Pochylił się nad papierami. Nic więcej nie powiedział, ale wniosek był oczywisty.

Rozmowa skończona.

Przez minutę patrzyła na niego w milczeniu. Nawet nie drgnął.

– To ja już idę do domu – powiedziała. – Muszę jutro zacząć z samego rana, gdy przyjdzie dostawa. Pozamykaj tu wszystko.

– Dobrze. – Nie podniósł oczu znad papierów. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że ją uraził. Albo nic go to nie obchodziło. – Możesz iść.

Popatrzyła na niego. Miał potargane włosy. Już wcześniej spostrzegła, że gdy się denerwuje, przesuwając palcami po włosach. Teraz też tak było. Liczył coś na kalkulatorze, wzdychał i zanurzał palce we włosach.

To nawet było zabawne. Warren Harker, milioner, a może nawet miliarder, siedział przy odrapanym stoliku z laminatu i wyliczał, jak zrównoważyć budżet nędznej restauracyjki. Sam pewnie wydawał większe kwoty na własne rozrywki. Mógłby oszczędzić sobie trudu i wypisać czek na pokrycie strat, bo takiej sumy nawet by nie poczuł, ale dla Doca to byłby policzek. Dlatego Warren nie miał wyjścia. Musiał dwoić się i troić, by coś wymyślić.

Miała satysfakcję, patrząc, jak się wije. I żadnych wyrzutów sumienia, bo przecież robił to dla Doca.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rose rzeczywiście gotowała wyśmienicie. Musiał jej to przyznać. Potrawy Doca nie umywały się do tych, jakie podawała Rose. Wszystko było inne: smak, zapach, konsystencja. Kurczak rozpływał się w ustach, chili smakowało wybornie, hamburgery były jak marzenie. Ciasto truskawkowe okazało się tak pyszne, że nawet ulubione ciasto czekoladowe straciło dla Warrena urok.

To nie było po prostu jedzenie, a prawdziwa sztuka kulinarna.

Co jednak niewiele go wzruszało.

Nadal był przeświadczony, że Rose mogłaby zastąpić niektóre składniki tańszymi, a smak potraw byłby taki sam. To prawda, że mieli mnóstwo gości, lecz przecież nie z powodu jedzenia. Przy takiej dobrej pogodzie klienci przysliby tak czy inaczej.

Oczywiście cieszył się, że mieli ruch. Ze względu na Doca i Esther.

– To o tej knajpce mi opowiadałaś? – Warrena dobiegł głos wchodzącej do środka dziewczyny. Była w zaawansowanej ciąży. Towarzyszyła jej koleżanka. Obie elegancko ubrane, bardziej pasowały do Manhattanu niż tych okolic.

– Już dwie osoby mi o niej mówiły – odparła. – Tylko coś tu przekąsisz, a zaraz rodzisz. To jak jakieś czary.

– A co one tu jadły?

– Różne rzeczy. Wydaje mi się, że chodzi o przyprawy, jakie tu stosują. Czy coś w tym stylu.

Przyszła mama poklepała się po zaokrąglonym brzuszku.

– No to zjedźmy coś!

Warren obserwował, jak siadają przy stoliku i energicznie sięgają po menu. Zaśmiał się w duchu. W sumie każdy powód, który ściąga tu gości, jest dobry. Choć to naprawdę śmieszne. Raczej trudno uwierzyć, że zjedzenie jakiejś potrawy może przyspieszyć poród.

Naraz przypomniał sobie przyjęcie, na którym poznał Rose. I sałatkę z karczochów, którą bez skutku chciała wmusić w niego Marta Serragno. Rzekomo miała działać jak afrodyzjak.

Pokręcił głową. Jeśli ludzie naprawdę wierzą, że potrawy Rose w jakiś sposób wiążą się z magią, to dobrze. Okazuje się, że Rose jest świetnym marketingowcem. Zaskoczyła go.

– Chciałabym zamienić z tobą słówko. – Głos Rose wyrwał go z zamyślenia.

– Bardzo proszę. – Odsunął na bok trochę papierów. – Usiądź.

Rose usiadła, popatrzyła na niego.

– Musimy zatrudnić dodatkową osobę do pomocy. Czasowo. Jest taki ruch, że się nie wyrabiamy.

Warren popatrzył po sali. Komplet. Przed wejściem kilka osób czeka, by zwolnił się stół. Jednak ta knajpka to nie ogromna restauracja.

– Jest was pięcioro. Wystarczy.

– Nie wystarczy – zaproponowała. – Nie da się pracować po szesnaście godzin, dzień w dzień.

– Przecież tak było do tej pory. Jedyna różnica, że od dwóch tygodni nie ma Doca. Ale tylko czasowo. Musicie dać sobie radę.

Rose pokręciła głową.

– To nie jest jedyna różnica i dobrze o tym wiesz. Czy wcześniej widziałeś tu takie tłumy?

Nie widział.

– Po prostu jest piękna pogoda. Rose się skrzywiła.

– Dla mnie nie ma znaczenia, czy to z powodu pogody czy czegoś innego. Ważne, że lokal pęka w szwach. Musimy mieć kogoś do pomocy.

Podobała mu się, gdy była taka zdeterminowana. Oczywiście jej tego nie powie. Podobało mu się też, że umiała walczyć o swoje i nie dawała się zbyć.

– No dobrze, znasz kogoś, kto by się nadał? Uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Gdy pracowałam dla Serragno, często korzystaliśmy z pomocy Deb. Zatrudnialiśmy ją na godziny. Zawsze była chętna i bardzo sumienna. Wydaje mi się, że ona mieszka gdzieś w tych stronach.

– Dobrze. – Wzruszył ramionami. – Tylko od razu uprzedź, że to czasowe zlecenie. Zapłacę jej sam. Zdajesz sobie sprawę, że jak Doc wróci, to będzie musiało się skończyć.

– Zobaczymy. – Wstała, wygładziła spódniczkę. – Sądząc po tym, jak teraz biznes się kręci, Doc chyba będzie musiał jeszcze kogoś zatrudnić.

– To kwestia pogody – powtórzył.

– Niech ci będzie. – Ruszyła do kuchni. Przyjemnie było na nią patrzeć.

– Rose.

Odwróciła się i spojrzała na niego. To też był miły widok.

– Muszę teraz wyjść. – Jego prawnik chciał jak najszybciej sfinalizować sprawę zakupu nieruchomości po drugiej stronie ulicy. Jeśli dobrze pogrąją, może im się poszczęści.

– Dasz sobie radę?

Rose kiwnęła głową, uśmiechnęła się lekko.

– Jak tylko zwolnisz ten stół, od razu będzie mi lżej.

Wieczorem, gdy restauracja opustoszała, Rose wzięła książkę telefoniczną i zaczęła szukać numeru Deb Frey. Dwa pierwsze okazały się pomyłką. Trzeci rozmówca rozłączył się, nim zdążyła zapytać.

Nieoczekiwanie to Deb odezwała się do niej. Dzwoniła wcześniej do domu i Lily podała jej numer do lokalu. Słyszała, że Rose pracuje w pobliżu i pytała,

czy przypadkiem nie szukają pracowników.

To był niebывały zbieg okoliczności. Deb szukała pracy wieczorami, a wtedy w restauracji był największy tłum. Umówiły się, że zaczną nazajutrz.

Rose wyprostowała bolące nogi i ziewnęła. Czuła się zmęczona, lecz praca dawała jej zadowolenie. Nie tak dawno planowała, by założyć własną firmę cateringową, ale teraz bardziej pociągała ją restauracja. Przyjemnie byłoby kiedyś prowadzić taką na własny rachunek.

Ruchu już nie było, więc puściła wszystkich do domu.

Do zamknięcia zostało tylko pół godziny, gdy zadzwonił dzwonek nad drzwiami.

– Znajdzie się miejsce dla dwunastu osób? – zawołał wesoły głos.

Rose wybiegła z kuchni.

Zamiast tuzina gości, była tylko jedna osoba. Lily.

– A mam cię! – roześmiała się. Postawiła torebkę na blacie. – Poczęstujesz mnie kawą?

– Pijesz za dużo kawy – odparła Rose. – Co powiesz na czekoladę?

– Hm – uśmiechnęła się siostra. – Według twojego przepisu?

– No nie. Z automatu. – Rose podstawiła kubeczek i nacisnęła przycisk. Po chwili podała siostrze parującą czekoladę z pianką na wierzchu. – Jest naprawdę pyszna.

Lily upiła łyk.

– Rzeczywiście. – Postawiła kubeczek. – Jak leci? Przez ostatni tydzień wciąż się mijałyśmy.

– Niestety. – Rose usiadła na stołku obok siostry. Wyprostowała bolące stopy. – Bez przerwy mamy ruch.

– Wcale się nie dziwię. Nikt nie gotuje tak jak ty.

– Nie przesadzaj. Lily uniosła brew.

– Wcale nie żartuję. Nie zdajesz sobie sprawy, jakim jesteś skarbem.

– Och, daj spokój.

Lily potrząsnęła głową, jej jasne włosy zalśniły.

– Czasami się zastanawiam, czy twoja niska samoocena bierze się z tego, że wychowywałyśmy się bez rodziców.

– Wcale nie mam niskiej samooceny!

– Nie wierzysz w siebie. Pozwalasz wykorzystywać się takim ludziom jak ta Serragno. I nigdy nie upominasz się o płacę adekwatną do twoich umiejętności.

Rose się roześmiała.

– No dobrze, wiem, że powinnam dostawać więcej, ale jak chyba sobie przypominasz, nikt nie chciał mnie zatrudnić.

Lily wzruszyła ramionami.

– Założę się, że ten Harker by cię zatrudnił.

– W jakim charakterze?



– Może prywatnego szefa kuchni? Rose przewróciła oczami.

– Po pierwsze, wątpię, by on w ogóle miał takiego szefa. Po drugie, nie przepadamy za sobą.

– Właśnie, to kolejna sprawa – Lily popatrzyła znacząco. – Czujesz się niepewnie w obecności mężczyzn.

Łatwo jej mówić. Lily nie może opędzić się od facetów. Przy niej każda wygląda na niepewną siebie. Choć siostrze raczej chodzi o coś innego. Nie raz nawiązywała do tego, że straciły rodziców i zostały same na świecie.

– Dużo o nich myślisz, prawda? – zapytała.

– Masz na myśli naszych rodziców? Rose kiwnęła głową.

– Tak.

– Staram się nie skupiać na tym, że ich nie mamy. Choć rzeczywiście często o nich myślę. Mam poczucie, że czegoś mi brak.

– Ja też. Jakby jakaś istotna część mnie została mi zabrana. Wciąż mnie to dręczy.

– Cóż, to chyba naturalne – westchnęła Lily. – Jako malutkie dzieci straciłyśmy rodziców. Nic dziwnego, że tak to odbieramy.

– Masz rację – odparła Rose, choć to wyjaśnienie nie zadowalało jej do końca. – Chociaż przeczuwam, że to, czego mi brak, jest gdzieś na wyciągnięcie ręki. Też czasem tak czujesz?

– Tak – powiedziała Lily, przygarniając do siebie Rose. – Oczywiście. Ale to zupełnie normalne.

– Chyba tak.

Naszła ją chęć na czekoladę. Nalała sobie kubeczek.

– Tak to już jest – powiedziała. – Tęsknimy za rodzicami. Dobrze, że przynajmniej mamy siebie!

– Żebyś wiedziała! – Lily uścisnęła ją serdecznie. – To co, idziemy do domu?

Rose rozejrzała się po sali. Wszystko przygotowane na rano. Zerknęła na zegarek. Powinna mieć jakieś siedem godzin na sen. Jeśli zaraz stąd wyjdzie.

– Idziemy! – zdecydowała.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

To był prawdziwy pech, gdy następnego wieczoru, jak tylko Warren skończył podsumowywać dzienne wydatki i zyski, pękła rurka pod zlewem.

Rose kończyła sprzątanie i liczyła minuty do wyjścia. Padła ze zmęczenia. I właśnie wtedy usłyszała dziwny syk wydobywający się z szafki pod zlewozmywakiem. Zakręciła wodę i zajrzała pod zlew.

W pierwszej chwili nie dostrzegła niczego niepokojącego. Jednak dźwięk stał się głośniejszy.

Popatrzyła uważnie. Z rurki doprowadzającej wodę ściekała wąska strużka.

Nie tracąc zimnej krwi, spróbowała zakręcić kurek znajdujący się na tylnej ściance, jednak nie dała rady. Kurek ani drgnął, choć użyła całej siły.

Zamruczała pod nosem i pobiegła do magazynku, by znaleźć jakiś klucz czy inne narzędzie. Niczego takiego nie było. Jedynie złamana rączka od patelni.

Wzięła ją i posługując się nią, daremnie próbowała poruszyć zardzewiały kranik. Stalowa rączka zaczęła się wyginać.

Wróciła do magazynku. Może będzie tam jakaś taśma, którą zalepi przeciek? Pewnie nie obejdzie się bez hydraulika. Pośpiesznie przejrzała półki. Fartuchy, ręczniki, zapasowe naczynia. Nic, co mogłoby się nadać.

Wzięła fartuch i znowu zanurkowała pod zlew. Ostrożnie owinęła rurkę tkaniną. Nagle zardzewiała rurka skruszyła się jej w dłoni.

Woda ciekła teraz strumieniem.

Rose zakłęła pod nosem. Siostrze Gladys zwiędłyby uszy, gdyby usłyszała popisy swej wychowanki.

Zaczęła pośpiesznie wystawiać z szafki trzymane tam garnki.

– Co to za hałasy? – dobiegło ją pytanie Warrena. Zamarła i na moment zamknęła oczy. Nie chciała, by dowiedział się o awarii. Mało się nasłuchiwała, że za dużo wydaje i kupuje zbyt drogie produkty? I że zachciało się jej dodatkowego pracownika? Teraz wyjdzie, że trzeba wezwać hydraulika. Dopiero Warren będzie marudził. Nabrała powietrza i wyczołgała się spod zlewu.

– Ja... porządkuję szafkę.

– Teraz?

– A dlaczego nie?

– Dopiero co się żaliłaś, że padasz z nóg. Groziłaś, że pójdziesz do domu spać, a ja będę musiał otworzyć rano i serwować ludziom śniadanie.

Uśmiechnęła się.

– To były tylko żarty. Popatrzył na nią dziwnie.

– Tylko żarty.

– Tak. Chciałam się odgryźć, bo czepiałeś się mnie, że planuję kogoś zatrudnić.

– Rose, mylisz różne rzeczy. Nie czepiałem się, tylko Doc nie ma na to pieniędzy.

Słyszała cichy odgłos kapiącej wody.

– Masz rację – odparła, uśmiechając się obłudnie. – To ładnie z twojej strony, że o tym myślisz. Choć ja też chcę dobrze. Cieszę się, że dzięki tobie nie muszę się o nic martwić i mogę się skupić wyłącznie na gotowaniu.

Patrzył na nią podejrzliwie.

– To chyba znaczy, że mnie doceniasz.

– Uhm. – Kapanie stało się głośniejsze. Jeszcze dwie, trzy minuty i woda zacznie się przelewać. – Oczywiście. Podsumowując, idź do domu i odpocznij sobie. W końcu masz teraz dwie prace. Powinieneś się wyspać.

Nie poruszył się.

– Chcesz się mnie stąd pozbyć.

– Ależ skąd!

– Owszem, tak.

Przesunęła językiem po zębach.

– Niby dlaczego chciałabym się ciebie pozbyć?

– Właśnie to próbuję ustalić. – Popatrzył na nią, potem na zlewozmywak.

– Wydaje ci się. Przeniósł wzrok na nią.

– Przesuń się na chwilę. Chrząknęła.

– Słucham?

– Przesuń się.

– Jestem w połowie roboty. – Zerknęła na rurę. Przeciek się powiększył. – Chcę jak najszybciej skończyć i iść do domu.

Warren podszedł bliżej i zatrzymał się przed nią. Jego kosztowne włoskie buty kontrastowały ze zniszczonym linoleum pokrywającym podłogę. Jeśli ich szybko nie ściągnie, zmarnuje je na amen.

– Co ty tu właściwie robisz? – Pochylił się i zajrzał do szafki.

Zamknęła oczy, modląc się w duchu, by nie spostrzegł cieknącej rurki.

Jej prośby nie zostały wysłuchane. Patrzyła, jak wyciąga rękę.

– Nie dotykaj tej rurki! – zawołała przerażona, ale już było za późno.

– Co, do cholery... – Rurka została mu w dłoni, a woda chlusnęła mu prosto w twarz, oblewając też jego kosztowny garnitur.

– Po coś ją w ogóle ruszał! – wykrzyknęła zdenerwowana Rose. Też była mokra.

– Po co? – Popatrzył na nią.

– Szybko! Musimy podstawić jakieś naczynia! Warren przyklęknął i wsunął głowę do szafki.

– Trzeba zamknąć dopływ wody.

– Już próbowałam, ale się nie daje.

– Jak to?

– Nie można zakręcić zaworu.

Popatrzył na nią z wyższością. Jak dzielny mężczyzna na słabą niewiastę. Sięgnął do kurka.

– Nie idzie – powiedział po kilku minutach.

– Mówiłam ci.

– Musimy użyć jakiegoś narzędzia.

– Nie ma żadnych narzędzi.

Na jego twarzy pojawiła się złość. Nagle dostrzegł leżącą na ziemi rączkę od patelni.

– Spróbuję tym.

– Ja już próbowałam.

Warren nie krył zdenerwowania.

– Jak długo się z tym bawiłaś? Rose wzięła się pod boki.

– Dla mnie to wcale nie było zabawne. Robiłam, co mogłam. Ty powtórzyłeś moje czynności. Z tą różnicą, że ja nie urwałam rurki.

– Czyli to moja wina?

– Nie, ale moja też nie.

– Rose – odezwał się spokojnie, nie zważając na tryskającą na niego wodę.

– Słucham?

– Może odłożymy tę sprzeczkę na później, a teraz spróbujemy coś zrobić, nim nas tu zaleje?

Nie mogła się nie roześmiać.

– Zaraz podstawię duże garnki.

Gdy to robiła, Warren ściągnął marynarkę.

– Zdejmij też buty – poradziła mu. – Bo nic z nich nie zostanie.

– Co tam buty. – Popatrzył na nią dziwnie.

– Jak sobie chcesz – odparła. – Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Kiwnął głową.

– Zapamiętam sobie. To co, może wezwiemy hydraulika?

– Bardzo chętnie. Poczekaj tu, a ja zadzwonię.

W informacji podano jej trzy numery. Za trzecim razem miała szczęście – hydraulik obiecał zjawić się za pół godziny.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do Warrena. Opróżniał właśnie pełny gar wody. Przeciekił chyba znowu się trochę powiększył.

– Jest coraz gorzej – stwierdziła. Warren kiwnął głową.

– Co z hydraulikiem?

– Ma przyjść za pół godziny. Warren tylko westchnął.

– Mam pewien pomysł. Popilnuj tu, a ja zaraz wrócę. – Poszedł do łazienki na zapleczu i po chwili przyszedł, niosąc w ręku rurkę. – Nic się nie denerwuj – rzekł uspokajająco, widząc jej zaniepokojoną minę.

Przyglądała się, jak próbuje umieścić rurkę pod zlewem.

– Może ci coś podać?

– Dużą szkocką z małą ilością wody.

Poruszył się i niechętny uderzył głową o szafkę. Zaklął cicho.

– Może też kompres z lodu – dodał.

– Mamy sporo mrozonek – odparła. – Nadadzą się. Warren się roześmiał.

Po kilku minutach sytuacja była opanowana. Woda przestała się lać.

Wynurzył się więc z szafki, wyprostował i otarł ręce o spodnie.

– Gotowe.

Była zachwycona.

– Naprawiłeś!

– Nie jestem całkiem do niczego. – Zaczął podwijać rękawy koszuli. Był cały mokry. Cienka tkanina przylgnęła do jego ciała, podkreślając muskularną sylwetkę. Wyglądał bosko.

Uśmiechnęła się.

– Jestem pod wrażeniem. Mam na myśli twoje umiejętności hydrauliczne – uściśliła szybko, by nie pomyślał sobie czegoś innego.

Bo wcale by się nie pomylił. Warren odpowiedział uśmiechem.

– Dzięki. To dla mnie nic wielkiego.

I właśnie wtedy znów usłyszała ten dźwięk. Niepokojące syknięcie.

– Uważaj! – wykrzyknęła. – Rurka chyba puściła! Popatrzył na nią i w tej samej chwili woda prysnęła mu prosto w twarz. Zrobił krok w stronę szafki, poślizgnął się na czymś i upadł jak długi.

Rose głośno wypuściła powietrze.

– Nic ci nie jest? – Ruszyła pędem, by mu pomóc. I nagle sama się poślizgnęła i upadła na Warrena.

– A tobie nic nie jest? – powtórzył pytanie, obejmując ją.

– Chciałam ci pomóc.

– Dobrze się spisałaś.

Popatrzyli na siebie i oboje wybuchnęli śmiechem.

– Kuchnia zaraz zatonie – rzekła Rose i zaczęła się podnosić.

Przytrzymał ją.

– Niech tonie – powiedział. – Kupię nową.

– Kupisz nową?

– Nową kuchnią albo arkę. Co będzie trzeba. Znowu się roześmieli.

Popatrzyła na niego i jej radosny nastrój nieoczekiwanie się zmienił. Warren wyglądał cudownie. Ogarnęła ją przemożna pokusa, by go pocałować.

Podniósł na nią wzrok, a jego uśmiech zbladł. Jakby nagle i on poczuł to samo.

– Pięknie wyglądasz, gdy jesteś taka przemoczona – powiedział, przesuwając dłońmi po jej ramionach.

Poczuła, że policzki jej płoną.

– Nie licz, że nie będę się z ciebie nabijać. Pochlebstwem nic nie wskórasz – Odsunęła się, by wstać.

– Nawet bym nie śmiał – odparł. Gdy się uśmiechał, robił mu się dołeczek na policzku. Jednak w jego spojrzeniu było coś więcej niż jeszcze przed chwilą.

Zabrakło jej tchu. Czowała się rozdarta. Jeśli ulegnie pokusie i pocałuje go, w przyszłości może tylko stracić.

Natomiast jeśli się powstrzyma, może długo żałować.

Niech Warren zdecyduje.

Nic nie powiedział, tylko przysunął usta do jej ust.

Nie cofnęła się. Znieruchomiała. Oboje zamarli. Popatrzyła mu prosto w oczy. I to w zupełności wystarczyło. Przywarli do siebie, już nie myśląc o konsekwencjach. Objęła go mocno i przyciągnęła bliżej. Na moment zapomnieli o bożym świecie. Wiedziała, że bardzo go chce. I że już nie ma odwrotu.

– Czy ktoś wzywał hydraulika?

Nieoczekiwane pytanie przywołało ich do rzeczywistości. Odskoczyli od siebie.

– Tak – powiedział Warren zduszonym głosem, pośpiesznie cofając rękę. – Mamy tu... – wskazał na zlewozmywak – jakiś przeciek.

Hydraulik z trudem maskował uśmiech. Kiwnął tylko głową.

– Mogę zacząć?

– Bardzo proszę – szybko powiedziała Rose. Policzki jej płonęły.

– Idź do domu – cicho rzekł Warren. – Mój samochód czeka przed wejściem. Podaj kierowcy adres, to cię zaraz odwiezie.

Przeciągnęła palcami po włosach, by je przygładzić.

– Nie musisz tu zostawać.

– Muszę – zareplikował rzeczowo. – Trzeba będzie wypisać czek.

Trudno było jej z tym dyskutować.

– Na pewno mam iść? – zapytała z nieśmiałą nadzieją, że może zechce ją zatrzymać. Mogliby potem dokończyć to, co zaczęli.

Jednak oboje wiedzieli, że chwila minęła.

– Wracaj do domu. Odpocznij.

– W takim razie idę – rzekła niepewnie. – Do zobaczenia... później.

Uśmiechnął się do niej.

– Do zobaczenia.

W drodze do domu zastanawiała się nad tym, co zaszło. Czowała się dziwnie. Speszona, trochę niepewna. Pocałował ją, ale nie wiedziała, jak to potraktować. Czy ten pocałunek miał coś znaczyć? A może nie? Warren jest znanym playboyem, może nie powinna robić sobie niepotrzebnych nadziei.

Mogłaby zapytać go wprost, lecz nie zrobi tego. Są z różnych światów. Nie jest od niej lepszy pod żadnym względem, ale jest bogaty. Zaś bogaci, o czym nie

raz miała okazję się przekonać, są inni. Co z tego, że między nimi iskrzy, skoro nie mają ze sobą nic wspólnego? Ona jest pracującą dziewczyną z Brooklynu, on magnatem z Manhattanu. Zbyt wiele ich dzieli.

Lepiej zostawić wszystko, jak jest. Przyjemna chwila zapomnienia, która im się przydarzyła. I która się nie powtórzy.

Już ona tego dopilnuje.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dni mijały, a ich wzajemne kontakty układały się coraz bardziej harmonijnie. Warren droczył się z Rose, wypominając jej zakup ekologicznych wykałaczek, ona odpłacała pięknym za nadobne, nazywając go skapiradłem.

Zdarzało się, że razem ślęczeli nad rachunkami, podsumowując codzienne dokonania. Warren bez wahania przystał na propozycję Rose, by niesprzedane jedzenie oddawać potrzebującym. Zgodził się tym chętniej, że można je było odpisać od podatku. To w jakimś stopniu rekompensowało spore wydatki na pierwszorzędne produkty.

Rose powoli zaczynała utwierdzać się w przekonaniu, że są prawdziwymi przyjaciółmi. Wprawdzie pod wieloma względami nadal stali po różnych stronach barykady, jednak nawet sprzeczki, do których dochodziło, kończyły się pogodnie.

Nie wracali do tamtego pocałunku. Rose starała się nie przywiązywać do niego żadnej wagi i przekonywała samą siebie, że Warren ma podobne podejście. I wyciągnął podobne wnioski. Za bardzo się różnią, by móc coś budować. Lepiej nie komplikować sobie życia i poprzestać na ściśle zawodowym kontakcie.

Któregoś popołudnia nadeszła paczka dla Warrena.

Wprawdzie czasem zamawiał coś na siebie, by nie obciążać Doca, jednak w tej przesyłce było coś zastanawiającego. Paczka była niewielka, mniejsza niż pudełko od butów. Została dostarczona przez kuriera i nie miała adresu zwrotnego.

Gdy tylko Rose znalazła wolną chwilę, zadzwoniła do biura Warrena. Był na spotkaniu, więc zostawiła wiadomość sekretarce. Odłożyła paczkę i wzięła się do pracy.

Warren oddzwonił koło siódmej wieczorem.

– Przyszła dla ciebie paczka – powiedziała bez wstępów, by sobie nie pomyślał, że dzwoni prywatnie.

– Otworzyłaś ją?

– Skądże. Jest adresowana do ciebie. Warren westchnął.

– Skoro przyszła do restauracji, to jest w niej coś potrzebnego na miejscu.

Otwórz ją.

– Dobrze, poczekaj. Nie rozłączaj się. – Położyła słuchawkę i sięgnęła po paczkę. Była zabezpieczona taśmą. Gdy wreszcie ją otworzyła, w środku było drugie pudełko. I napis „Do rąk własnych”. Wzięła słuchawkę.

– Do rąk własnych? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Tak. Wypisane dużymi czarnymi literami.

– Jest adres zwrotny? Coś, co wskazuje, skąd zostało wysłane?

Popatrzyła jeszcze raz.



– Nie. Nic takiego nie ma. Zwykle brązowe pudełko. Nie zamawiałeś czegoś, co wymaga... dyskrecji?

– Nie. – Po jego tonie poznała, że nie był w nastroju do żartów. – Jak duże jest to pudełko?

– Nieduże. Jakies dwadzieścia na piętnaście centymetrów, wysokie na piętnaście. W każdym razie na pewno nie są to produkty spożywcze dla restauracji – zakończyła ze śmiechem.

Zapadła chwila ciszy.

– Rose, niechętnie cię o to proszę, ale czy mogłabyś ją do mnie przywieźć, gdybym przysłał po ciebie samochód?

– Na Manhattan?

– To jakiś problem?

– Mamy mnóstwo gości. Jest pora kolacji.

– Przecież są jeszcze inni! Chyba możesz wyjść trochę wcześniej? Niech Hap zamknie lokal.

– Czy ja wiem...? – Popatrzyła po sali. Wszystkie stoliki zajęte. Wolałaby teraz nie wychodzić. – Czy to nie może poczekać do jutra?

– Obawiam się, że nie – odparł. Poznała po jego głosie, że jest spięty. – Proszę cię.

Ten ton ją zaniepokoił.

– Dobrze. Daj mi godzinę.

– No to do zobaczenia. – Rozłączył się.

Godzina minęła jak z bicza strzełił. Czekwała na dochodzące w piecyku szarlotki, gdy na progu stanął kierowca Warrena. Przykazała Hapowi, by wyjął ciasto za pięć minut i przypomniała, by dokładnie pozamykał drzwi. Potem wzięła paczkę i wsiadła do czekającej czarnej limuzyny.

Zapadła się w miękką, obitą skórą fotel. W kubelku mroził się szampan, obok stał smukły kieliszek. Wnętrze wypełniała cicha muzyka Beatlesów.

Łatwo można przyzwyczaić się do takich luksusów.

Też pomyśl! Nie zanoszą się, by kiedykolwiek miała zakosztować takiego życia. Jednak jest w tym coś wciągającego. Miękką skórą, ciche dźwięki muzyki, ciemne okna odgradzające wnętrze auta od zewnętrznego świata.

Ta jazda mogłaby trwać nawet dłużej, pomyślała, gdy samochód zatrzymał się przed eleganckim budynkiem mieszkalnym. Kierowca otworzył drzwi limuzyny. Podziękowała mu skinieniem głowy i ruszyła do wejścia. Niemal natychmiast z budynku wyszedł portier w kapeluszu i smokingu. Ukłonił się i otworzył przed Rose drzwi.

Podeszła do recepcji.

– Dzień dobry, ja do pana Warrena Harkera.

– Pani Tilden? – Tak.

– Pan Harker już na panią czeka.

Strażnik wskazał jej drzwi prywatnej windy i podał kod.

Nacisnęła przycisk. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie, ukazując wykończone lustrami i złoceniami wnętrze. Winda obsługiwała tylko trzy kondygnacje. Rose wystukała kod do penthouse'u Warrena. Drzwi zamknęły się i winda błyskawicznie ruszyła w górę.

Jazda trwała kilka sekund. Drzwi się rozsunęły i Rose znalazła się w przestronnym marmurowym holu, mimowolnie przywołującym obrazy z kręconych z rozmachem klasycznych musicali.

– Czemu tak długo?

– Wybacz, ale są godziny szczytu. Samochody nie rozstępowały się przede mną jak Morze Czerwone, tak jak to robią przed tobą. Trochę trwało, nim tu dotarłam.

– Bardzo zabawne. Coś ci powiem, pewnie się ucieszysz. Doc już wrócił do domu i dzwonił do mnie. Najgorsze na szczęście minęło.

Nie myślała, że było z nim tak źle. Tym bardziej się cieszyła, że teraz już nic mu nie grozi.

– Kiedy wróci do pracy?

– Nieprędko, może za kilka tygodni. Czy to ta paczka? – wskazał na trzymany przez Rose pakunek.

– Tak. – Podała mu pudełko i rozejrzała się po pokoju. Ogromne szklane tafle wychodziły na Central Park, a z drugiej strony na Radio City Music Hall. – Tu teraz mieszkasz?

Warren oglądał pudełko.

– A gdzie miałbym mieszkać?

– Myślałam, że w tym apartamencie, w którym wydawałeś przyjęcie.

– Nie, tutaj – odparł z roztargnieniem, ściągając taśmę zabezpieczającą pudełko. – Tam jest dobre miejsce do przyjmowania gości. Mieszkanie jest dla mnie. Cenię sobie moją prywatność.

Zaskoczył ją tym wyznaniem.

– Czy to znaczy, że dopuściłeś mnie do swego, nazwijmy to, sanktuarium? Popatrzył na nią, a po jego twarzy przemknął psotny uśmiech.

– Jeszcze nie.

– Jeszcze?

– Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Rose uniosła brew.

– Jesteśmy kolegami z pracy. I to tylko czasowo.

– To prawda. Ten biznes nie jest dla mnie. Za dużo pracy w stosunku do niewielkiego zysku.

Rose wzruszyła ramionami.

– Wiesz, jak to jest. Albo wkładasz w coś serce, albo nie. I tylko to się liczy.

– To twoja pasja?

– Co, restauracja? – Tak.

– Owszem – potwierdziła.

– W takim razie Doc ma cholerne szczęście, że na ciebie trafił.

– Podobnie jak ty. – W zamierzeniu miał to być żart, ale zabrzmiało inaczej. Szybko się zreflektowała. – W tym sensie, że ty też pomagasz Docowi.

Przez długą chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Poczwała ciarki na plecach. Warren kiwnął głową.

– Powiem ci, że z tobą wcale nie jest tak trudno się dogadać.

Uśmiechnęła się.

– Inaczej śpiewałeś, gdy oglądałeś faktury.

– Potem się wiele zmieniło. Popatrzyła mu w oczy.

– Czyżby?

Nie cofnął wzroku.

– A nie?

Oblała się rumieńcem.

– Nasz układ raczej się nie zmieni. Nie ma szans. – Zmusiła się, by to powiedzieć. – Niezależnie od okoliczności, nie stanę się światowcem. – Uśmiechnęła się. – A ty nie zostaniesz hydraulikiem.

– No wiesz! Spisałem się całkiem nieźle. Przynajmniej przez parę minut sytuacja była opanowana. A na jakiej podstawie sądzisz, że chciałbym, byś się zmieniła?

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

– To się samo nasuwa. Takie jest twoje życie.

– Co możesz wiedzieć o moim życiu?

– To chyba żadna tajemnica. Założę się, że nie ma dnia, by jakaś gazeta o tobie nie pisała.

– Możliwe. – Poruszył głową. – Jednak nie wiesz wszystkiego.

Zaintrygował ją.

– Czy to znaczy, że chcesz mnie wtajemniczyć? Serce jej zabiło. Sekundy mijały.

– Nie wiem – odparł wreszcie. Co mogła na to odpowiedzieć?

– Otwórz paczkę – zmieniła temat. Podeszła do okna, by nie widział jej rumieńców. – Wymusiłeś na mnie, bym ci ją przywiozła, to przynajmniej powiedz, co jest w środku. – Zatrzymała się i wyjrzała na rozciągającą się w dole ulicę.

Przesuwały się po niej samochody, trąbiły klaksony, błyskały światła. Było już późno, lecz na chodnikach kłębiły się tłumy. Znajdowali się w sercu miasta, oglądanego z wysokości pięćdziesiątego piętra.

Mogłaby się godzinami tak przyglądać. Nagle Warren zaklął siarczyście.

– Co się stało? – zapytała, odwracając się do niego. Wpatrywał się w zawartość brązowego pudełka. Znowu zaklął.

– Co tam jest?

– To – powiedział, przechylając pudełko w jej stronę. Popatrzyła uważnie, lecz nie potrafiła rozróżnić tego dziwnego kształtu. Nie zdążyła zapytać, bo Warren sam pośpieszył z wyjaśnieniem.

– To zdechły szczur – rzekł, kładąc pudełko na stoliku przy kanapie.

– Zdechły szczur? – powtórzyła, pewna, że się przesłyszała.

Warren ponuro skinął głową.

– Dlaczego? Kto go wysłał? – zapytała, krzywiąc się z odrazą.

– Ktoś próbuje mnie zastraszyć. I to mi się wcale nie podoba. Bardzo mi się nie podoba.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Co to za wiadomość? – zapytała, idąc w jego stronę.

– Pokaż.

Stanął jej na drodze, nim zdążyła dojsć i zajrzeć do pudełka.

– Lepiej nie patrz.

Zerknęła mu przez ramię i znieruchomiała. Może rzeczywiście ma rację. Po oglądać martwego szczura?

– Ale co to ma znaczyć? Dlaczego ktoś ci to przysłał?

– Z tego samego powodu, z którego ktoś napadł na Doca – odrzekł. Miał niespokojną twarz. – To przestroga.

Poczuła zimny dreszcz. W pierwszej chwili nie przyszło jej do głowy, że ta przesyłka może mieć jakiś związek z atakiem na Doca.

– Jaka przestroga? – zapytała. – Żebyś był dobry dla zwierząt? Robił dobre uczynki? Przecież to bez sensu.

Warren popatrzył na nią przenikliwie. Widziała, że jest poważnie zaniepokojony.

– To ostrzeżenie, żebym trzymał się z daleka od tamtej okolicy, bo inaczej ucierpią niewinni ludzie.

– Ale o co im chodzi? – dopytywała się. – Co takiego zamierzasz? Czy to coś niezgodnego z prawem? – Żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło jej do głowy.

– Ależ skąd!

– Co to za ludzie? Przecież nie ministranci strzegący kwiatków w ogródku.

– Wskazała na pudełko. – Ta przesyłka to coś okropnego.

Warren nie odpowiedział od razu. Wreszcie skinął głową i westchnął.

– Masz rację, to nie są ministranci. Ale też nie prawdziwi biznesmeni, bo oni nie postępują w taki sposób.

– A ty? – zapytała z lękiem. Uśmiechnął się półgębkiem.

– Ja jestem prawdziwym biznesmenem, działam zgodnie z prawem.

– Tylko masz podejrzanych przeciwników. Popatrzył na pudełko i kiwnął głową.

– Na to wygląda.

– Warren... – Nie mieściło się jej w głowie, że musi o to pytać. – Posłuchasz ich, prawda?

Popatrzył na nią z niedowierzającym zdumieniem.

– Nie ma mowy.

– Jak to? Tak bardzo zależy ci na zarobieniu kolejnych pieniędzy?

– Nie chodzi tylko o pieniądze.

– Nie obchodzą mnie twoje motywacje! Doc mało nie przypłacił tego życiem!

– Pomyślała o pozostałych pracownikach. Zwyczajni ludzie, którzy chcą normalnie żyć. – Zamierzasz narazić niewinnych ludzi?

Warren pokręcił głową, popatrzył na Rose z napięciem.

– To groźby od ludzi, którzy kontrolują tamte rejony. To niebezpieczne bandziory. Boją się stracić wpływy. Jeśli wybudują tam nowe osiedle, skończy się ich działalność.

Chciała mu wierzyć, lecz myślała, że Hap, Stu czy inni mogą ucierpieć, była nie do zniesienia. Podeszła do okna, popatrzyła na Manhattan.

– Wcześniej nikomu nic się nie stało – powiedziała. Warren stanął za nią.

– Gdy tacy ludzie rządzą okolicą, nikt nie jest bezpieczny. Naprawdę. – Był tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło. – Co do restauracji... Wynajmę ochronę, będą mieli wszystko na oku. Nic ci nie grozi, nie martw się.

Odwróciła się. Zaskoczyło ją, że stoi kilka kroków od niej. Była pewna, że znajdował się tuż obok.

– Nie martwię się o siebie, ale o innych.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Uśmiechnął się.

– Jesteś niesamowita, wiesz?

Znieruchomiała, zaskoczona jego tonem. Nagle nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– W jakim sensie? Na plus czy na minus? Podszedł krok bliżej.

– Na plus. – Dotknął palcem jej policzka i uniósł jej buzię, by patrzyła na niego. – Na plus – powtórzył.

Nie cofnęła się.

– Tego nigdy bym się po tobie nie spodziewała. Zaśmiał się cicho.

– Ja też bym się po sobie nie spodziewał, że ci to powiem. A jednak...

Wstrzymała oddech.

– Uważaj. Żeby ktoś nie odniósł mylnego wrażenia.

– Nikt nas tutaj nie widzi. Przełknęła ślinę.

– W takim razie żebyśmy my nie odnieśli mylnego wrażenia.

Nie poruszył się. Ani drgnął.

– A co byłoby mylnym wrażeniem?

– Że my... – Chrząknęła. – Że coś nas łączy. Że między nami coś jest. – Popatrzyła na jego usta. Serce zatrzepotało jej w piersi. Popatrzyła Warrenowi w oczy. – Że jesteśmy sobą zainteresowani.

– Aha, rozumiem. Czyli... – Przesunął kciukiem po jej policzku. – A jakie wrażenie jest odpowiednie?

Nie miała na to gotowej odpowiedzi. Raczej nie da się o nich powiedzieć, że są przyjaciółmi. Współpracownicy? To też nie oddaje istoty sprawy.

– Że jesteśmy znajomymi? – zaproponowała, przymykając oczy, by nasycić się przyjemnym dreszczykiem, jaki budziło w niej jego dotknięcie.

Chyba się uśmiechnął, słyszała to w jego głosie.

– To już jakiś początek. Nie cofnął dłoni.

A ona wcale nie chciała, żeby to zrobił. Rozchyliła usta. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że na chwilę przestała oddychać.

– Początek?

– Gdyby podejść do tego bardziej dosłownie, to można powiedzieć, że początek miał miejsce kilka tygodni temu.

Przełknęła ślinę.

– Można też uznać, że było to tylko chwilowe zaćmienie. Nic więcej.

– Chwila słabości? – Uhm.

Roześmiał się i położył ręce na jej ramionach.

– A może zauroczenie – rzekł, zaglądając jej w oczy. Zaczepnęła powietrza.

– Być może.

– Czy to coś złego?

– Być może.

Popatrzył na nią wymownie. Pochylił się i odszukał jej usta.

Nie знаła takich pocałunków. Mężczyźni, z którymi dotąd miała do czynienia, śpieszyli się, by zaznać czegoś więcej. Ten pocałunek to była prawdziwa sztuka. Warren delikatnie przesuwał dłonią po jej twarzy i włosach, a każde dotknięcie było jak deszcz rozkosznych igiełek.

Drugą ręką przygarnął ją do siebie. Miał mocne, muskularne ciało. Topniała przy nim. Objęła go ramionami i przycisnęła dłonie do jego pleców. Czowała drżenie, jakie przebiegło po jego skórze. To było upajające przeżycie.

Płoneła w jego uścisku. Jeszcze nigdy dotąd nie doświadczyła takiego nieokiełznanego pragnienia. Toneła, a jego usta były powietrzem, które przywracało ją do życia. Marzyła, by ta chwila trwała. By nigdy się nie skończyła.

Spalała się w tym pocałunku. Ciało jej płonęło, wrywało się do niego. Jak łatwo byłoby ulec, zatracić się.

Zbyt łatwo.

Odpychała od siebie głos rozsądku. Choć wiedziała, że nie powinna. Że będzie tego żałować.

Cofnęła się. Brakowało jej tchu.

– Znajomi nie robią takich rzeczy.

– W takim razie trzeba zmienić to określenie. – Znowu przygarnął ją ku sobie. Całował jej usta, przesuwał wargami po jej twarzy, szyi...

Odchyliła głowę, rozkoszując się pieszczotą, odurzając jego zapachem. Opamiętała się jednak i cofnęła.

– To nie pomoże nam w działaniu na rzecz Doca. Warren wzruszył ramionami, – Ale też nikomu nie szkodzi.

– Może zaszkodzić, jeśli nie przestaniemy.

– Tak? – Zanurzył palce w jej włosach i bawił się nimi. Popatrzył na Rose.

– Myślisz, że moglibyśmy nie przestać?

Zapiekły ją policzki.

– Wcale tak nie myślałam.

– Ale powiedziałaś. Nie wyglądasz na kogoś, kto mówi, byle tylko mówić. Cofnęła się o krok. Oparła się o chłodną szybę.

– A ty nie wyglądasz na kogoś, kto obywa się smakiem i nie sięga po to, czego chce. Chyba więc oboje musimy zejść z naszych utartych ścieżek. Dla dobra Doca – dodała jeszcze.

Warren żartobliwym gestem uniósł rękę.

– Wygrałaś. Powiem nawet, że chyba masz rację. Po co komplikować sytuację, która i tak jest trudna? Ta przesyłka – wskazał na pudełko – a raczej jej przesłanie, wyprowadziła mnie z równowagi. Widzę, że muszę znacznie przyspieszyć moje plany.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

– Ale czy to ich jeszcze bardziej nie rozjuszy? A jeśli zechcą to sobie na kimś odbić?

– Już ci mówiłem, że zatrudnię prywatną ochronę.

– Nie jestem pewna, czy to wystarczy.

– Nic więcej nie mogę zrobić.

– Możesz zrezygnować z tych swoich planów.

– Nie mogę. – Ten aksamitny niski głos działał na nią hipnotyzująco. Chciała mu wierzyć. Zdać się na niego. Zaufać, że o wszystko się zatroszczy. – Już ci tłumaczyłem, że to by niczego nie zmieniło. Wcale nie byłoby bezpieczniej.

Poczuła ciarki na plecach.

– Jakoś nie mam takiej pewności. Popatrzył na nią przenikliwie.

– Rose, musisz mi zaufać. Roześmiała się niewesoło.

– Już nie raz coś takiego słyszałam.

– Ale pierwszy raz ode mnie – zareplikował. – Nie rzucam słów na wiatr. – Ujął ją za ramię i przyciągnął do siebie. Zajrzał jej w oczy. – Zaufaj mi.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Postaram się.

Przez chwilę wpatrywał się w nią z napięciem. Skinął głową i puścił jej ramię.

– To dobrze.

– Już sobie pójdę – odezwała się drżącym głosem.

– Zadzwońię po samochód.

– Dziękuję. Pojadę taksówką.

– Ściągnąłem cię tutaj, więc teraz zapewnię ci powrót. Nie chcę, byś tłuła



się jakąś zapuszczoną taksówką.

Rose tylko westchnęła.

– Dzięki.

Warren podszedł do telefonu. Przykazał kierowcy, by podjechał pod dom.

Przysłuchiwała się tej rozmowie. Sprawiał wrażenie człowieka całkowicie panującego nad każdą sytuacją. Pewnie właśnie tym tak ją ujął. I to dlatego straciła dla niego głowę. Dwukrotnie. Zawsze to ona musiała o wszystkim myśleć, do niej należało podejmowanie decyzji. Większość mężczyzn, z jakimi do tej pory miała do czynienia, wołała się nie wychylać. Czekali, by to ona o wszystko zadbała, przejęła za wszystko odpowiedzialność.

Cudownie było choć raz nie musieć się o nic martwić. Znaleźć się przy kimś, kto nie boi się działać. I bez obawy zdać się na niego.

Warren skończył rozmowę, odwrócił się do Rose.

– Odprowadzę cię na dół.

– Dzięki, ale nie ma takiej potrzeby. Nie musisz ze mną jechać.

– Wiem, że nie muszę, ale chcę. – Podszedł do drzwi i otworzył je.

Wyszła pierwsza, on za nią.

Winda wydała się jej mniejsza niż wtedy, gdy wjeżdżała do Warrena na górę.

– Jak sardynki w puszcze – rzekła, by rozładować trochę sytuację.

Warren rozejrzał się wokół, wygiął usta w lekkim uśmiechu, ale nie skomentował uwagi.

Bijące od niego ciepło napływało do niej falami, uderzało ją i wabiło.

Otaczał ją jego zapach. I kusił.

Milcząc, patrzyła na migające cyferki oznaczające piętra. Czterdzieści jeden, czterdzieści, trzydzieści dziewięć. Wydawało się, że to się nigdy nie skończy. Brakowało jej powietrza, miała gęsią skórę. Prawie chciała, by nacisnął przycisk swojego piętra i zabrał ją do siebie. Oczywiście za nic by mu tego nie powiedziała. Stała tuż obok niego i rozpaczliwie czekała na chwilę, gdy wreszcie się z nim pożegna, wyjdzie na dwór i ochłonie w wieczornym chłodzie.

Odprowadzał wzrokiem odjeżdżający samochód, póki nie zniknął za rogiem. Stał nieruchomo, pochłonięty myślami.

Minęło tyle lat od czasów, gdy przeprowadził się do centrum i stracił kontakt z ludźmi, którzy wcześniej byli mu bliscy, wśród których wyrastał. Z ludźmi takimi jak Rose. Sam był temu winien. Dążenie do sukcesu przesłoniło mu inne rzeczy. Bardzo ważne. Zdobył majątek, lecz nie zyskał przyjaciół.

Póki nie spotkał Rose, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakuje mu takich ludzi. Szczerych, otwartych, walących prawdę prosto w oczy. Ludzi, którzy niczego nie ukrywali, nie grali, by coś zyskać. Dla Rose jego pieniądze nie miały znaczenia, nie imponowały jej. Nie kręciły jej i nie chciała ich. Nie od

niego.

Niczego od niego nie chciała.

Dlatego tak bardzo go pociągała. Pragnął być przy niej, mieć ją przy sobie.

Co było niemożliwe. Doskonale o tym wiedział. Gdyby zatrudnił ją u siebie, wszystko by się zmieniło. Przestałaby być obiektywna i niezależna, a właśnie to tak go w niej ujmowało. Gdyby ich znajomość przekształciła się w bardziej osobistą więź... To zupełnie nie wchodziło w rachubę. Nie miał czasu na takie związki, był zbyt pochłonięty pracą. Zwłaszcza teraz, gdy dodatkowo miał na głowie interes Doca.

– Panie Harker? – nagły głos portiera wybił go z tych rozmyślań.

Odwrócił się.

– Czy wszystko w porządku, panie Harker?

– Tak. Dziękuję. – Skinął mu głową i wszedł do budynku. Gdy pięć minut później wchodził do holu, zadzwonił telefon. Nie miał teraz ochoty na żadne rozmowy. Odsłucha później wiadomość. Telefon umilkł, lecz po chwili znowu zabrzączał. Warren podniósł słuchawkę.

Nie mylił się. To rzeczywiście była ważna rozmowa. Dzwonił jego prawnik.

– Do przodu – rzekł bez wstępów. Warren się uśmiechnął.

– Dobiłeś targu.

– Czy ja cię kiedyś zawiodłem? Umowa już jest gotowa, musisz ją tylko podpisać.

– Przyślij ją kurierem – rzekł Warren. Przepelniało go radosne podniecenie. Czuł smak zwycięstwa. – Nie można z tym czekać.

– To fakt. Inni też ostrzą sobie zęby na ten teren. Właściciel może przebierać w ofertach. Podobno Apex przebija wszystkie.

Poczuł skurcz w żołądku. Larry Perkins, prezes Apeksu, cieszył się ponurą sławą człowieka nieprzebierającego w środkach. Był niebezpiecznym przeciwnikiem. I niezwykle groźnym.

W dodatku Warren już raz wystrychnął go na dudka. Tym gorzej, bo do względów finansowych dołączają się osobiste urazy.

Nie wygląda to najciekawiej.

– Nie mam zaufania do Perkinsa – skrzywił się.

– Ja też nie – potwierdził Benning. – Odetchnę, dopiero gdy umowa będzie podpisana i zatwierdzona. Zaraz ją przywiozę.

– Czekam na ciebie.

– Będę za dwadzieścia minut. Przygotuj szkocką, bo ta sprawa nadszarpnęła mi nerwy.

– Jasne. Świetna robota, Benning. – Odłożył słuchawkę. Udało się. Zdobył ten teren i zmieni go nie do poznania. To będzie jedna z najbardziej dochodowych inwestycji. Gdy tylko umowa zostanie zatwierdzona, zaczną prace ziemne.

Na razie wszystko pozostanie w tajemnicy. Dopiero gdy kompleks będzie prawie gotowy, odbędzie się oficjalna prezentacja.

A wtedy konkurencja będzie mogła tylko pluć sobie w brodę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Chodzą słuchy, że twoje potrawy mają czarodziejską moc – zagaiła Deb, znacząco spoglądając na Rose.

Deb pracowała od dobrych kilku tygodni i była świadkiem, jak pustawa dotąd knajpka stała się coraz bardziej oblegana przez klientów.

– Ostatnio ta moc mnie opuszcza – uśmiechnęła się Rose.

– Całe szczęście, że mam tutaj ciebie.

– Gdy do mnie zadzwoniłaś, to było jak... czy ja wiem? Przeznaczenie, kismet? Po prostu w samą porę. Naprawdę nie mogłaś trafić lepiej.

– Serragno nie miała dla ciebie wiele pracy? Deb wzruszyła ramionami.

– Powiedzmy, że to jest świetne uzupełnienie. Dostaję dwie pensje, a poza tym mogę podpatrzeć, jak gotujesz. Poznać twoje czarodziejskie sekrety. Dla mnie to wspaniały układ.

Rose się roześmiała, choć takie opinie na temat jej potraw budziły w niej mieszane uczucia.

– Biorąc pod uwagę, ile masz tutaj roboty, miło mi to słyszeć.

Rzeczywiście nie mogły narzekać na nudę. Restauracja cieszyła się ogromnym powodzeniem, z każdym dniem przybywało gości. Poczta pantoflową przekazywano sobie, że sałatka Rose przyśpiesza porody, jej zupy w czarodziejski sposób skłaniają mężczyzn do oświadczeń, a dzięki jej szarlotce co najmniej dwie osoby wygrały na loterii, choć nie główne wygrane.

Rose cieszyła się, że interes tak świetnie się kręci. Jednak kilka dni po tej rozmowie z Deb stało się coś, co obudziło w niej niepokój.

Szykowała się do otwarcia restauracji, gdy nagle po drugiej stronie ulicy dostrzegła jakiś ruch. Było to dziwne, bo w zaniedbanym ponurym budynku nikt nie mieszkał. Do pralni na dole też nie zaglądali klienci. Tym bardziej o szóstej rano.

Podeszła do okna. Dzień dopiero wstawał, ulica jeszcze była w cieniu rzucanym przez wysokie budynki. W bladym świetle spostrzegła dwoje ludzi. Stali na rogu i patrzyli w stronę restauracji. Postawny, masywnie zbudowany mężczyzna z wystającym brzuchem i szczupła, wysoka kobieta z włosami ukrytymi pod chustką.

Kobieta się odwróciła. Rose poczuła skurcz w żołądku.

Marta Serragno.

W pierwszym momencie była pewna, że to jej wybujała wyobraźnia, jednak po chwili uważnej obserwacji nie miała już wątpliwości. To z całą pewnością ona.

Wyraźnie przyglądali się restauracji Doca. Rose się przeraziła.

Nasuwało się tylko jedno wytłumaczenie: Serragno przyszła tu z powodu

Rose.

Wiedziała, że Marta jest chorobliwie zazdrosna. I zawsze chce grać pierwsze skrzypce. Może dotarły do niej wieści o „Cottage” i jedzeniu podawanym przez Rose, a przecież mogło tak być, sądząc po liczbie klientów. Jeśli nadal jest na nią cięta, gotowa się tu pofatygować, by ją skompromitować.

A jeżeli na domiar złego dowiedziała się, że Rose współpracuje z Harkerem, to tylko dołało oliwy do ognia.

Te niespokojne myśli kotłowały jej się w głowie, gdy z ogromnym napięciem przyglądała się obserwującej „Cottage” parze.

– Czy coś się stało?

Głos Deb zaskoczył ją. Odwróciła się.

– Jesteś blada jak ściana – zdumiała się Deb. – O co tu chodzi?

– Przed chwilą widziałam Martę Serragno.

Na twarzy dziewczyny odmalował się prawdziwy szok.

– Co takiego? Widziałas ją?

– Tak. – Dlaczego Deb jest aż tak przejęta? Może Marta zdradziła się przed nią?

– To niemożliwe – powiedziała Deb. – Po co miałyby tu przychodzić? Akurat tutaj?

– Nie wiem. – Jej niepokój jeszcze się wzmógł. Skoro Deb jest tak zdenerwowana, to tylko potwierdza jej przypuszczenia, że Marta jest gotowa na wszystko, byle jej dopiec. Z pewnością powiedziała coś Deb na ten temat. – Kiedy ostatnio ją widziałas?

– Czy ja wiem... – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Jakiś tydzień temu.

– Mówiła coś o mnie?

Deb roześmiała się z przymusem.

– Nie, skąd. Dlaczego miałyby coś mówić?

– Była na mnie wściekła – przypomniała Rose. – Dlatego mogła wam coś powiedzieć.

– Aha – roześmiała się Deb. – Ale nic nie mówiła. Teraz spotyka się z nowym facetem i jest cała w skowronkach. Na pewno już zapomniała o dawnych urazach.

Deb próbowała ją pocieszyć i poprawić jej humor, lecz Rose wiedziała swoje.

Nie chciała, by dziewczyna widziała jej zdenerwowanie i obawy. Po co i ona ma się niepokoić, skoro jest Bogu ducha winna?

– Pewnie masz rację – rzekła z uśmiechem. – Bardzo możliwe, że to wcale nie była ona.

– Też tak myślę – pośpiesznie potwierdziła Deb. – Jak ją znam, to na pewno by tutaj nie przyszła. Nie rusza się poza Manhattan.

Rose zmusiła się do bladego uśmiechu i kiwnęła głową. Jednak w głębi

duszy wciąż drażył ją niepokój. Miała złe przeczucia.

Ten niepokój nie opuszczał jej przez cały dzień. Wieczorem, gdy pracownicy już poszli, zaczęła szykować knajpkę do zamknięcia. Wkładała słomki do pojemnika, gdy nagle ktoś zastukał do drzwi. Zaskoczona, upuściła słomki na podłogę.

Warren. Lęk, jaki w niej wybuchł, zmienił się w radosne podniecenie.

– Co ty tu robisz? – zapytała, przekręcając zamek i otwierając mu drzwi.

– Jakie miłe powitanie.

– Nie jestem tu po to, żeby być miłą.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

– Owszem, jesteś.

– Tak, to fakt. – Wróciła do baru i schyliła się, by pozbierać rozsypane słomki. – Ale poważnie, co cię tu przywiodło o tej porze?

– Mam parę rzeczy do zrobienia. Interes się kręci, więc trzeba trzymać rękę na pulsie.

Podniosła na niego wzrok.

– Wolałbyś nie zawracać sobie tym głowy, co? Masz swoje zajęcia, a tu tylko tracisz cenny czas.

Warren wzruszył ramionami.

– To ma pewne plusy – zagaił.

– Tak? – Uniosła brwi. – Na przykład jakie? Przyjemnie było czuć na sobie jego ciepłe spojrzenie.

– Na przykład twoja wyborna szarlotka.

– Aha. – Skinęła głową i wrzuciła do kosza pęk słomek. – Nie jesteś pierwszym, który mi to mówi.

– Nie?

Wyprostowała się i zaczęła rozwiązywać fartuch.

– Nie. Często mi mówiono, że mojej szarlotce nie sposób się oprzeć.

Wygiął usta w lekkim uśmiechu.

– Słyszałem o twoich czarach.

Serce zabiło jej mocniej. Powiesiła fartuch i oparła się o blat.

– Nie wyglądasz mi na kogoś, kto wierzy w takie bzdury.

– Dotąd nie wierzyłem – odezwał się cicho. Ten głos robił z nią coś dziwnego. Załaskotało ją w żołądku.

– To dość rozsądnie.

– Chyba tak.

Popatrzyła na jego usta i, zmieszana, w popłochu podniosła wzrok na jego oczy.

– A teraz?

– Teraz... sam nie wiem. Może to się zmieniło. Pocałuj mnie, błagała w duchu. Zupełnie irracjonalnie.

Proszę, pocałuj mnie.

– Zmieniłeś się?

Warren zaczerpnął powietrza i chwilę milczał.

– Zadajesz dużo pytań.

– Bo je prowokujesz.

Wyciągnął rękę i przesunął dłonią po jej policzku.

– Podobnie jak pani, pani Tilden.

Robiło się niebezpiecznie. On był niebezpieczny. Nie tylko dlatego, że tak fantastycznie wyglądał. Bo był uroczy. Ten aksamitny głos, elektryzujące spojrzenie. Pragnęła go, wbrew sobie. Nie chciała być jednak kolejną panienką z jego kolekcji.

– Napijesz się kawy? – zapytała nieoczekiwanie, chcąc przerwać tę chwilę.

Popatrzył na nią. Miał zaskoczona minę.

– Kawy?

– Uhm. – Odwróciła się do ekspresu. – Zamierzałam zrobić sobie filiżankę przed wyjściem do domu. Masz ochotę?

– Na kawę? Jasne. Poproszę. – Chyba jeszcze się nie otrząsnął. Po chwili dodał ledwie słyszalnym szeptem: – I zimny prysznic.

Rose uśmiechnęła się do siebie i wyjęła z szuflady nowy filtr do ekspresu.

– Jeśli sobie życzysz, mogę cię polecić zimną wodą.

– Już to zrobiłaś.

Ten niewinny flirt mógł szybko przekształcić się w coś zupełnie innego.

– Co do diabła...

Stała odwrócona do niego tyłem, lecz słyszała, że wstaje i idzie do okna.

– Co się stało?

– Ktoś tam był.

Poczuła skurcz w żołądku.

– Gdzie? Za rogiem, koło tego starego domu? Posłał jej czujne spojrzenie.

– Tak. Widziałaś może, że ktoś się tam szwendał?

– Zgadłeś. – Westchnęła. – Dziś rano widziałam tam Martę Serragno.

– Martę Serragno? Rose skinęła głową.

– Była tu wtedy Deb, ale jej nie widziała. Rozmawialiśmy o tym. Wmawiałam sobie potem, że chyba mi się tylko przywidziało, ale przez cały dzień nie mogłam przestać o tym myśleć. A teraz... teraz myślę, że to naprawdę była ona.

Warren spochmurniał.

– Po co by tutaj przychodziła?

– Chce się na mnie zemścić.

– Chyba żartujesz – rzekł, ale szybko się zreflektował. – Była sama?

– Nie. Z jakimś mężczyzną.

– Może to była randka.

– Nie wyglądał na faceta w jej typie.  
– Jaki był?  
– Masywny, krzepki blondyn. Wyglądał na ochroniarza czy kogoś w tym rodzaju.

Warren w jednej chwili spowaźniał.

– Blondyn? Podobny do Nicka Nolte'a, tego aktora? Zastanowiła się.

– Tak, chyba rzeczywiście był bardzo podobny. Skąd wiedziałeś?

Warren zacisnął szczęki.

– Po prostu zgadłem.

– Warren, nie wygłupiaj się. Chcesz mnie jeszcze bardziej zdenerwować?

Co to za facet?

Warren postukał palcami w blat.

– Jeśli moje przeczucia są słuszne, to jest to znany deweloper.

– Tak jak ty. Wzruszył ramionami.

– Powiedzmy.

– Coś mi się tu nie podoba.

– Mnie też. Jak sądzisz, co ta Serragno knuje?

Rose spojrzała na niego. Wciąż miała przed oczami widzianą dzisiaj parę. Marta z całą pewnością patrzyła na „Cottage”.

– Myślę, że chce się zemścić. Jest wściekła, że znalazłam pracę. Chce mnie wykończyć.

Warren popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Naprawdę jest aż taka mściwa?

– Niestety. Poza tym ma bardzo dziwny charakter – odparła. – Jak czegoś chce, to na nic się nie ogląda. Idzie do celu po trupach. Założę się, że po tym przyjęciu próbowała cię jeszcze poderwać.

– Zgadłaś – skinął głową. – Nie raz.

– Sam widzisz. Chciała cię zdobyć, a ty się nie dałeś.

– Może dowiedziała się, że ci pomagam, i to ją tym bardziej wpieniło. –

Uśmiechnął się.

– Śmiejesz się, ale to wcale nie jest zabawne. Nie można jej lekceważyć. Sam widzisz, jaka jest zawzięta. Gotowa na wszystko.

– Żeby ci dopiec?

– To bardzo prawdopodobne. Podszedł do niej.

– Nie bój się. Ona nic nie może ci zrobić. To absolutnie wykluczone.

Rose kiwnęła głową.

– Masz rację. Może próbować, ale nie zdoła mi już więcej zaszkodzić. Pewnie popadam w paranoję. – Chyba rzeczywiście tak było. Co Marta może jej zrobić? Przecież nie wyrzuci jej fizycznej krzywdy. Jedyne, na co może liczyć, to doprowadzenie do wyrzucenia jej z pracy. Na co Doc na pewno nie pójdzie.

– Rose – rzekł Warren. – Jeśli chcesz, wynajmę ci ochroniarza. Poczujesz



się bezpiecznie.

– Ochroniarza? – Roześmiała się. Odwróciła się do ekspresu. – O nie. Nie mam ochoty, by ktoś ciągle się za mną włóczył.

– Czy... czy może masz już kogoś takiego? Zerknęła na niego przez ramię.

– Jakoś to dziwnie zabrzmiało. Warren się roześmiał.

– Chodziło mi o to, czy masz chłopaka.

– Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości.

– Odpowiesz na takie samo pytanie?

– Oczywiście. Aktualnie nie jestem z nikim związany.

– To dobrze – powiedziała i szybko dodała: – Ze względu na to, co... no wiesz... – Zarumieniła się gwałtownie.

– Że się całowaliśmy? – zapytał z rozbawieniem. – Uhm.

– Rozumiem przez to, że też jesteś wolna.

– Tak. Aktualnie.

– Jesteś kimś zainteresowana? – Podeszedł i położył ręce na jej ramionach.

Spięła się.

– I kto tu zadaje pytania? – Podeszła do zamrażarki. Łudziła się, że powiew mroźnego powietrza ostudzi palący ją żar. Sięgnęła po puszkę i wsypała porcję kawy do filtra. Zapachniało świeżo palonym ziarnem. – Jaka ma być? Mocna?

– Mocniejsza niż ja. Bo nie mogę się tobie oprzeć.

– Pewnie powtarzasz to każdej dziewczynie – zareplikował, drżącymi rękoma dosypując kawę.

Znowu położył ręce na jej ramionach i powoli obrócił ją ku sobie.

– Mylisz się. Jesteś niesamowita, Rose. Jest w tobie coś magicznego. Nie wiem, co to jest, ale masz nade mną jakąś władzę.

Z trudem się opanowała, by nie rzucić się w jego ramiona.

– Muszę dolać trochę wody – powiedziała, sięgając po dzbanek.

– Rose. – Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. – Dlaczego tak przed tym uciekasz?

Zabrakło jej powietrza.

– Przed czym?

– Przed tym. – Odszukał jej usta. Nie mogła się już dłużej opierać.

Jego zapach, przemieszany z mocnym aromatem kawy, uderzył jej do głowy i odebrał zdolność myślenia. Czowała na twarzy dotyk jego rąk, palce błędzące po policzkach, we włosach, ramiona przygarniające ją coraz bliżej i obejmując coraz mocniej...

Szarpnęła się w tył. Wbrew sobie.

– Nie powinniśmy tego robić.

– Chyba nie. – Znowu ją pocałował.

Przywarła do niego całym ciałem. Wiedziała, że to błąd, że nie powinna...

jednak nie mogła się powstrzymać.

Drżała pod dotykiem jego dłoni i rozkoszowała się jego bliskością.

Naraz za oknem coś błysnęło. Odskoczyli od siebie.

– Co to było? – wyszeptała. – Błyskawica?

Warren jednym skokiem znalazł się przy oknie. Popatrzył na niebo.

– Nie ma żadnej burzy. – Spochmurniał, popatrzył na coś w dali i cicho zaklął. – To był błysk flesza.

– Flesza? Jak to?

– Sam chciałbym wiedzieć – odparł ponuro. Ten jego ton obudził w niej niepokój.

– Chyba często robią ci zdjęcia? To pewnie dla ciebie chleb powszedni? – Myśl, że w takiej sytuacji została uwieczniona na zdjęciu, była dla niej przykra.

– Robią mi zdjęcia podczas oficjalnych imprez – rzekł. – Do tej pory nikt się za mną nie skradał.

Nic jej tu nie pasowało.

– Może to nie był flesz – powiedziała, podchodząc i stając obok niego. – Zobacz, ta lampa się nie pali. Może to ona tak błysnęła.

Warren popatrzył na latarnię.

– Może – rzekł. – Rose, gdy dzisiaj widziałas Martę i tego mężczyznę, czy oni robili zdjęcia?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

– Nie. W każdym razie nie jestem pewna... Chyba nie. – Próbowała przypomnieć sobie tę scenę, lecz była tak skoncentrowana na ostrych rysach Marty, że niczego innego nie zauważyła. – Nie wiem.

Warren przez chwilę rozważał jej słowa.

– A twoje siostry? Żadna nie zauważyła, by ostatnio w pobliżu kręcił się ktoś nieznamy?

– Siostra – poprawiła go. – Skąd o niej wiesz?

– Zrobiłem rozpoznanie – odparł spokojnie. Patrzył w okno. – Gdy podejrzewałem, że może mnie szpiegujesz.

– Co takiego?

Popatrzył na nią, wyraźnie zaskoczony jej reakcją.

– Poprosiłem o informacje na twój temat. Podstawowe informacje.

Była w szoku. W życiu nie przypuszczała, że ktoś będzie grzebać w jej przeszłości. Nie miała nic do ukrycia, jednak czuła się fatalnie.

Warren chyba się tego domyślił, bo wyjaśnił:

– Nie denerwuj się, to było rutynowe działanie. Detektyw zebrał najistotniejsze fakty. Dowiedział się, że razem z siostrami trafiłaś do Barrie Home i jedna z was została adoptowana. Gdzie chodziłyście do szkoły, gdzie pracowałyście. Żadnych tematów osobistych czy wypytywania dawnych sympatii.

Nie słyszała, co mówił dalej. Bo poraziło ją jedno słowo.

– Adoptowana?

– Słucham?

– Powiedziałeś, że moja siostra została adoptowana. Ale ja z nią mieszkam.

Zawsze byliśmy razem.

– Z Lily. To wiem. Miałem na myśli drugą. Laurel, chyba dobrze pamiętam?

Zaschło jej w gardle.

– Przykro mi to mówić, ale ten twój detektyw marnie się spisał.

– Co ty opowiadasz? To najlepszy człowiek w branży. Poza tym dostarczył dowody.

– Mam tylko jedną siostrę – powiedziała Rose, zniżając głos do szeptu.

Warren spochmurniał, lecz po chwili w jego oczach błysnęło zrozumienie.

– O mój Boże, Rose! Strasznie cię przepraszam, ja... To nie ja powinienem ci o tym powiedzieć. W dodatku w taki sposób... Bardzo mi przykro.

Popatrzyła na niego, ale łzy zacierały jej obraz.

– Wiesz to na pewno?

– Na pewno. – Kiwnął głową. Delikatnie poprowadził ją do stolika. – Pokażę ci wszystkie dokumenty dostarczone mi przez George'a, mojego detektywa. Jeśli chcesz, zlecę mu dokładniejsze rozeznanie. Wprawdzie nie zajmuje się takimi sprawami, ale na pewno sobie poradzi.

– Laurel – cicho powiedziała Rose. Dziwne, lecz to imię wydawało się jakieś znajome. Jakby zawsze je znała.

Tym bardziej zdumiewające, że do tej chwili nie miała pojęcia o istnieniu tej siostry.

– Laurel Standish. – Warren wolno wypuścił powietrze. – George powiedział, że od lat nie utrzymujecie ze sobą kontaktu. Teraz wszystko jasne. Myślałem, że z jakiegoś powodu ze sobą zerwałyście. Przez myśl mi nie przeszło, że w ogóle nie wiesz o jej istnieniu.

Siostra. Laurel. Laurel Standish. Lily, Rose i Laurel. Tak. Właśnie tak. Popatrzyła na Warrena.

– Jeszcze raz cię przepraszam – powiedział miękko. Rose pokręciła głową.

– Nie przepraszaj. – Uśmiechnęła się z głębi serca. – Gdyby nie ty i twoja obsesja, że cię szpieguję, może nigdy bym się o niej nie dowiedziała.

Poczuł, że kamień spadł mu z serca. Odetchnął z ulgą. Uśmiechnął się.

– Czy to znaczy, że mi wybaczasz?

– Tym razem tak. – Uśmiechnęła się szeroko. – To najcudowniejsza rzecz, jaka mi się zdarzyła. I tylko dzięki tobie. – Popatrzyła na niego żarliwie. – Bardzo ci dziękuję.

– Zawsze do usług. Zwłaszcza w takich wypadkach. – Przesunął palcami po jej włosach. – Mam zadzwonić do George'a, by dowiedział się czegoś więcej?

– Tak. Chociaż poczekaj, muszę najpierw pogadać z Lily. – Myślała gorączkowo. Oby tylko Lily była już w domu, bo nie wytrzyma czekania na nią. A ostatnio siostra często musiała zostawać po godzinach.

– Możesz jeszcze coś dla mnie zrobić? – zapytała.

– Co tylko zechcesz. – Rozłożył ramiona. – Tylko powiedz.

– Mógłbyś mnie podwieźć do domu? Chciałabym jak najszybciej porozmawiać z Lily.

Warren zapraszającym gestem wskazał na samochód.

– Nie ma sprawy – rzekł. – Jedźmy.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lily jeszcze nie było w domu. Rose przyszło czekać na nią prawie godzinę. Gdy tylko usłyszała zgrzyt klucza w zamku, zerwała się z kanapy i pobiegła do drzwi. Raptownie otworzyła je na oścież. Lily zastygła z kluczem w dłoni.

– Nie uwierzysz, czego się dzisiaj dowiedziałam!

– Trafiłaś główną wygraną w totka i teraz możemy rzucić pracę, pojechać na tropikalną wyspę i wylegiwać się w słońcu, a przystojni tubylcy będą donosić nam drinki!

– Lily zdjęła płaszcz, położyła torebkę i weszła do salonu.

– O Boże, padam ze zmęczenia! Nie daję rady pracować po czternaście godzin na dobę. – Usiadła, układając wysoko nogi.

– Lily. – Rose ledwie nad sobą panowała. – Muszę ci coś powiedzieć.

Siostra popatrzyła na nią z niepokojem.

– Co się stało?

– Nic złego. Tylko... – Nagle zabrakło jej słów. – Nie wiem, od czego zacząć.

– No już, wyrzuć to z siebie, siostrzyczko. Bo zaczynam się martwić.

– No dobrze... mamy siostrę.

Lily zmieniła się na twarzy. Zmęczenie zniknęło, teraz była spięta i zaskoczona.

– Co takiego?

Rose kiwnęła głową.

– Nie jesteśmy bliźniaczkami. Jesteśmy z trojaczek. – Uśmiechnęła się. – Okazuje się, że miałyśmy siostrę. Trafiłyśmy do Barrie Home. Ona została adoptowana. Byłyśmy za małe, by cokolwiek pamiętać.

Lily jeszcze nie doszła do siebie.

– To niemożliwe.

– Lily, mówię serio.

– Nie wierzę. Gdybyśmy miały siostrę, tobyśmy o tym wiedziały. – Wciąż była w szoku. – Przecież ktoś by nam o tym powiedział.

Rose wzruszyła ramionami.

– Na przykład kto?

– Siostra Gladys, Virginia Porter.

– Mogły uznać, że tak będzie dla nas lepiej. Zawsze kierowały się dobrem dzieci. Gdyby uważały, że to może źle na nas wpłynąć, na pewno nie pisnęłyby słowa. Być może istnieje coś w rodzaju kodeksu etycznego czy coś w tym rodzaju, który ma zastosowanie w takich sytuacjach. Nie mam pojęcia.

Lily nadal nie mogła się pozbierać.

– Opowiedz mi wszystko od początku. – Głos jej się łamał. – Chcę usłyszeć

wszystkie szczegóły.

Rose dławilo w gardle. Z trudem zmusiła się, by po kolei opowiedzieć jej to, czego się dowiedziała. Obie płakały rzewnie.

– Widzisz, zawsze miałyśmy poczucie, że czegoś nam brakuje – wydusiła Rose przez łzy. – Może to nie chodziło tylko o rodziców. Może jakoś podświadomie wiedziałyśmy, że gdzieś tam jest jeszcze Laurel.

Lily pociągnęła nosem i kiwnęła głową.

– Chyba tak. Ale dlaczego ona nie próbowała nas odnaleźć?

– Skąd wiesz, że nie próbowała? Lily zaśmiała się gorzko.

– Przecież nigdzie się nie ukrywałyśmy.

– Trudno teraz powiedzieć. Miałyśmy inne nazwisko, a bardzo możliwe, że siostra Gladys i pani Porter trzymały język za zębami... – Wzruszyła ramionami. – Kto wie, czy one jeszcze tam pracują.

Lily pokiwała głową.

– No to co teraz zrobimy?

– Musimy ją znaleźć. Choćby nie wiem co. – Żarliwie pragnęła odnaleźć siostrę, lecz z drugiej strony bała się tej chwili. Nie widziały się ponad dwadzieścia lat. Może być różnie.

Wczesnym rankiem szła do pracy, gdy nagle na wprost niej ruszył czarny samochód.

Głośny ryk silnika skłonił ją, by uskoczyć w bok. Ku jej przerażeniu samochód skręcił na chodnik jakby chciał ją przejechać.

Strach ją sparaliżował. W ostatniej chwili samochód zjechał na jezdnię. Brudna woda z kałuży chlusnęła jej na płaszcz. Rose szarpnęła się w bok, potknęła i upadła. Samochód pomknął w dal. Była mokra i z trudem łapała powietrze, ale żyła.

Dick, który zwykle zaczynał dzień od porannej kawy w „Cottage”, właśnie podjechał pod restaurację. Widział całą scenę.

– Co to było? – ryknął, podbiegając do leżącej dziewczyny. – Nic ci się nie stało? – Przykucnął przy niej i z zaskakującą jak na niego delikatnością dotknął jej ręki.

– Chyba nie – odparła niepewnie, oszołomiona tym, co przed chwilą przeszła. – Kostka strasznie mnie boli.

– A jak głowa? – zapytał z niepokojem. – Uderzyłaś się w głowę?

– Nie, nie uderzyłam. Nie boli. Dzięki.

– Chodź, wejdźmy do środka. – Pomógł jej się podnieść i poprowadził do drzwi.

– Co się stało? – zapytał Stu wychodzący z małej bocznej uliczki.

– Jakiś idiota omal nie rozjechał naszej Rose! – ze złością prychnął Dick. – Niech no ja tylko dorwę tego su...

– Już dobrze, Dick – uciszyła go Rose. Uśmiechnęła się z przymusem, bo wcale nie było jej do śmiechu. – Przyjmijmy, że to był przypadek.

– Niech ci będzie.

Stu w milczeniu otworzył drzwi i gwałtownie poruszył dzwonkiem, by ściągnąć z zaplecza Hapa i Tima. Rose, mimo protestów, została posadzona przy stoliku, z nogami na ławie. Miała sobie odetchnąć. Nawet Dick włączył się w prace i sam zaparzył kawę.

Gdy nieco ochłonęła, przeniosła się do kuchni, by zabrać się do gotowania. Choć i tam kazali jej siedzieć na stołku i wołać, gdy tylko czegoś potrzebowała. Była im wdzięczna za pomoc, ale po kilku godzinach ta nadopiekuńczość zaczęła jej doskwierać.

Miała czas, by się zastanowić nad tym, co się wydarzyło. To nie był przypadek, a celowe działanie. Przez przyciemnione szyby drogiego samochodu pędzącego prosto na nią nie widziała twarzy kierowcy, jednak była pewna, że nie był to ktoś wracający z nocnej pijatyki.

Intuicyjnie czuła, że stoi za tym Marta. Była tu wczoraj. Wciąż ma ją przed oczami. Serragno poluje na nią. Dotąd Rose nie podejrzewała, że Marta jest zdolna posunąć się tak daleko, ale dzisiejsze zajście mówi samo za siebie.

Gdy Deb przyszła do pracy, Rose wzięła ją na stronę. Uważała za swój moralny obowiązek ostrzec ją przed Martą. Jeśli Serragno się dowie, że Deb tu pracuje, dziewczyna może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

– Rose – powiedziała Deb po wysłuchaniu jej przemowy. – Przykro mi to mówić, ale chyba przesadzasz. To jakaś paranoja.

– Obyś miała rację – cierpko rzekła Rose. – Jednak na wszelki wypadek wolałam cię uprzedzić.

– Dzięki, ale nie obawiam się Serragno. Zastanawiało ją, że Deb tak stanowczo zbyła jej lęki, lecz cieszyła się, że postąpiła zgodnie ze swoim sumieniem. Deb jej nie uwierzyła, ale przynajmniej została ostrzeżona. Może choć trochę się tym przejmie.

Warren nie planował przyjazdu do restauracji, jednak ostatnio nie zawsze działał zgodnie z planem. Zwłaszcza gdy miało to związek z Rose.

Ledwie przestąpił próg, Stu i Tim z miejsca go poinformowali, że „ktoś chciał zabić Rose”.

– Gdzie ona jest? – zapytał ostro. Musiał jak najszybciej usłyszeć o tym od niej.

Tim, stropiony jego tonem, poczerwieniał.

– Jest w kuchni.

Warren nie czekał ani chwili. Jak burza wpadł do kuchni.

– Co się stało?

Rose podniosła głowę. Była zaskoczona jego nagłym przybyciem.

– Nic takiego, dziękuję. Jak się miewasz?

– Rose, pytam poważnie – powiedział z przejęciem. – Co się stało? Tim mówi, że ktoś próbował cię zabić. Mam ogromną nadzieję, że przesadzał.

Musiła się zorientować, że nie jest w nastroju do żartów, bo natychmiast spoważniała.

– Szłam do pracy i gdy już prawie dochodziłam do drzwi, jakiś samochód ruszył prosto na mnie i specjalnie ochlapał mnie wodą z kałuży.

Popatrzył na nią badawczo. Jego uwadze nie uszły zadrapania i siniaki na twarzy i ramionach.

– Uderzył cię?

– Nie. Potknęłam się i upadłam. On odjechał na pełnym gazie. – Zawahała się i dodała: – Myślę, że to sprawka Marty.

Warren z miejsca zaoponował.

– Nie wydaje mi się. Rose sposepniała.

– Co ty opowiadasz?

Warren nabrał powietrza, by się uspokoić, lecz na niewiele się to zdało. Wciąż był spięty. I nie mógł powiedzieć jej prawdy.

– Warren, czy to znaczy, że ty wiesz, kto za tym stoi? Już wcześniej sytuacja była skomplikowana, lecz teraz stawiała się coraz groźniejsza.

– Nie mam pewności, ale żywię pewne podejrzenia. Wynajęłam ochronę, widać jednak, że się nie popisała. Czyli nie mamy innego wyboru, jak zamknąć lokal. Póki nikomu nie stała się krzywda.

– Zamknąć? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Oszalałeś? Po tym, co Doc nam opowiedział o rodzinnej tradycji? Po tym, jak powierzył nam „Cottage”?

Warren potrząsnął głową.

– Myślę, że Doc też byłby za tym. Wolałby zamknąć knajpę, niż kogoś narażać.

– Mnie to nie przekonuje – zareplikowała. – Doc na pewno by nie chciał, żeby komuś stała się krzywda, ale niby dlaczego ma się stać? Przecież nie uzyskaliśmy żadnych dowodów, że napad na Doca i to dzisiejsze zdarzenie mają ze sobą jakiś związek!

Chciał wytknąć jej brak rozwagi, lecz natychmiast ugryzł się w język.

– Póki nie dojdzie do kolejnego przykrego zdarzenia.

– To wykluczone – powiedziała kategorycznie. – Nie możemy tego Docowi zrobić.

– Tak będzie bezpieczniej.

– Może tak, a może nie. Jednak interes na tym bardzo ucierpi.

– Mówię o chwilowym zamknięciu. Zaśmiała się gorzko.

– Co ty bredzisz? Po czymś takim lokal się już nie podniesie.

Widział, że jej nie przekona. Była głucha na wszystkie argumenty. Co teraz? Domyślał się, co się dzieje. Nie miał żadnych dowodów, lecz



instynktownie wiedział, że za tymi zdarzeniami stał Larry Perkins. To jego typowe zagrywki. Przesłanie było jasne: albo Warren wycofa się ze swoich planów, albo ucierpią najbliższe mu osoby. Nie raz słyszał, że Perkins stosuje taką właśnie taktykę. Tyle że dotąd konkurent nie miał do niego dostępu. Nie było nikogo, w kogo mógłby uderzyć. Warren nie miał rodziców, żony ani dzieci.

Nie można go było zastraszyć.

Do dzisiaj. Z pewnością go śledzono. Te wczorajsze zdjęcia, gdy całował się z Rose. To było Perkinsowi potrzebne, by przejść do ataku.

Jego wyobrażenia na temat relacji Warrena z Rose były całkowicie błędne, bo ich drogi się rozejdą, gdy tylko Doc wróci do pracy. Ale co z tego, skoro teraz Rose znalazła się w niebezpieczeństwie?

Jeśli spotka ją coś złego, on będzie temu winny.

Nie chce, by coś się jej stało.

– Upierasz się przy tym, by restauracja nadal działała?

– Oczywiście. – Mierzyła go spokojnym spojrzeniem. Widział po jej minie, że jest zdecydowana na wszystko.

Nabrał powietrza.

– W porządku. Ale proszę cię, byś była wyjątkowo czujna. To samo powiem innym. – Potrząsnął głową. – Choć osobiście uważam, że to bardzo nierozsądne. Powinniśmy ją zamknąć.

– Zarejestrowałam. – I zignorowałam.

– Nie, nie zignorowałam – zaprotestowała. – Mam to na uwadze. – Uśmiechnęła się. – Będę bardzo ostrożna, obiecuję. Nie myśl, że chcę niepotrzebnie ryzykować. Zdaję sobie sprawę, że to dzisiejsze zdarzenie to nie był przypadek. To mnie niepokoi. Zgłoszę je na policję, ale co więcej mogę zrobić? Zgodzić się na zamknięcie restauracji, którą powierzył nam Doc? Odpada.

– Nawet jeśli ktoś na ciebie dybie? Spochmurniała.

– Zanim odpowiem, chciałabym usłyszeć od ciebie wszystko, co wiesz na ten temat. Proszę. – Usiadła przy barze i wskazała sąsiedni stół. – Siadaj i mów. A potem się zastanowimy nad następnym ruchem.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przez długą chwilę patrzył na nią badawczo. Wreszcie usiadł.

– Dobrze. – Wypuścił powietrze i oparł łokcie na barze. Odwrócił się do Rose. – Pamiętasz, co Doc powiedział w szpitalu? Że człowiek, który go zaatakował, groził mi?

Kiwnęła głową.

– Ten budynek po drugiej stronie – wskazał na okno – teraz należy do mnie. Kupiłem go. To doskonała inwestycja i wielu deweloperów ostrzyło sobie zęby na ten teren.

– Po co ci ten budynek? – zapytała. Warren postukał palcami w blat.

– Nie ty jedna chciałabyś wiedzieć. Raczej wymijająca odpowiedź.

– Odpowiesz mi czy nie? – Miała nadzieję, że to zrobi, że ma do niej wystarczające zaufanie. Chciała, by tak było, choć czym miałyby go do siebie przekonać?

Minęło kilka chwil.

– Wybuduję tu luksusowe apartamenty. Jednak moi konkurencji też o tym marzą. To doskonała lokalizacja dla osób, które pracują w centrum, a nie stać ich na mieszkanie na Manhattanie.

– To fakt – przyznała, choć nadal nie bardzo rozumiała sens tych gróźb. – Skoro ten teren już należy do ciebie, to czemu ktoś chce cię zastraszyć?

– Człowiek, który prawdopodobnie za tym stoi, jest znany z takich metod. Od dawna mamy ze sobą na pieńku. Tylko że dotąd nie miał czym mnie szachować. – Popatrzył na nią ciepło. Serce jej zabiło.

– A teraz ma? Uśmiechnął się niewesoło.

– Ma ciebie.

Poczuła skurcz w żołądku.

– Mnie?

– Uważa, że coś nas łączy. – Serce znowu zatrzepotało jej w piersi. Teraz też z powodu lęku. – To zdjęcie... To dowód, że jesteś właściwą osobą. – Zaśmiał się gorzko. – Nie chce celować na ślepo. To taka jego swoista moralność.

Nie przypuszczała, że coś takiego zdarza się naprawdę.

– Sądzi, że ze względu na moje bezpieczeństwo machniesz ręką na wielomilionową inwestycję?

Warren kiwnął głową.

– Mniej więcej.

– Przecież to szaleństwo! Jak z kiepskiego filmu. – Naraz ją tknęło. Warren chciał zamknąć knajpkę Doca, a ją pewnie zatrzymać w domu, póki nie minie zagrożenie. – Czyli zdajesz sobie sprawę, że z twojego powodu mogą ucierpieć niewinni ludzie, a mimo to nadal chcesz robić swoje, bo najważniejsze są

pieniądze?

– Nie – odparł stanowczo. – Tutaj nie chodzi o pieniądze.

– W takim razie o co? Co jest takiego ważnego, że bez wahania narażasz innych?

– Chodzi o to, że takim ludziom nie można ulegać – spokojnie rzekł Warren. Bardzo spokojnie. – Nie można dopuścić, by wygrały takie metody i zastraszanie. Jeśli Perkins teraz dopnie swego, można z góry przewidzieć, co stanie się dalej. Sięgnie po nieruchomość Doca.

– Po „Cottage”? – spytała z jawnym sceptycyzmem. Warren pokręcił głową.

– Nie chodzi o knajpę, ale o teren. Już jest cenny, a jego wartość błyskawicznie wzrośnie, gdy zmieni się sąsiedztwo. Uważasz, że Doc zechce go sprzedać?

Powoli zaczynały otwierać się jej oczy.

– Nie – przyznała. – Bardzo w to wątpię. – Była pewna, że Doc za żadną sumę nie sprzeda tego miejsca. To było jego rodzinne dziedzictwo, jego duma. Nie było dla niego nic ważniejszego.

Sama nic nie wiedziała o swojej przeszłości. Tym bardziej zdawała sobie sprawę, jak dla każdego człowieka ważne są korzenie.

– Ktoś napadł na Doca, potem ktoś mało cię nie rozjechał – ciągnął Warren. – Jak ci się wydaje, do czego jest zdolny taki drań, jeśli Doc nie zgodzi się na sprzedaż?

Wzdrygnęła się.

– Nie wiem. – I chyba nie chciała tego wiedzieć.

– Dopadnie go. Jego, Esther, Hapa, Tima, Stu – pokazywał na palcach. – Każdego, kto według niego jest bliski Docowi. A Doc ma znacznie dłuższą listę takich osób niż ja.

Ile by dała, by się dowiedzieć, czy ona też jest na jego liście! Czy może niepokoi się o nią tylko dlatego, bo ma wyrzuty sumienia? Czuje się winny, że naraził ją na niebezpieczeństwo, ponieważ ktoś przyłapał ich na pocałunku?

Za nic go nie zapyta.

Bo też się boi tego, co by usłyszała.

Nie powinna się łudzić, że Warren coś do niej czuje. Oboje zdają sobie sprawę, że są z różnych światów. On, nawet bardziej niż ona, rozdziela sprawy zawodowe od osobistych. Nigdy nikogo nie przyprowadził do „Cottage”. Ani znajomych, ani przyjaciół. Zawsze przychodził sam. I wychodził sam.

– Co to znaczy? – zapytała. – To co będzie dalej?

– Co będzie dalej? Ja stąd zniknę. Sama prowadź lokal, póki nie wróci Doc. To nie potrwa długo, Doc już dochodzi do siebie.

– Czyli ty sobie pójdiesz i wszystko zwalisz na mnie? Warren wzruszył ramionami.

– Nie mamy wielkiego wyboru. Albo znikam, albo zostaję. Tylko wtedy powstanie wrażenie, że łączy nas uczucie.

– Tego byś na pewno nie chciał.

– No właśnie – odparł z powagą. – Tego bym na pewno nie chciał. – Popatrzył na nią ciepło. – To ja już idę. W razie czego masz moją wizytówkę, ale... – Wyciągnął rękę.

– Miło mi było z tobą pracować.

Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Tyle razem przeszli, tyle przeżyli. I po tym wszystkim takie pożegnanie. Uścisk ręki i „było mi miło”. Jakby nic więcej ich nie łączyło.

Nie podała mu dłoni. Popatrzyła tylko na niego.

– Dziękuję. Warren opuścił rękę.

– Jakby co, to zadzwonisz?

– Nie będzie takiej potrzeby.

Nie powie mu, że go potrzebuje. Nie po tym, jak zdecydował się zakończyć ten układ. Ale jak teraz będzie żyła? Gdy bez zapowiedzi wpadał do „Cottage”, od razu czuła zastrzyk adrenaliny. Dostawała skrzydeł, gdy z nią flirtował. Odurzały ją jego pocałunki.

Znali się tak krótko, a odmienił jej życie. Jak teraz będzie?

– Dam sobie radę – zapewniła z udanym spokojem. – Nie martw się.

– To dobrze – odparł. Zabrzmiało to nieco sztywno. Czyżby trochę żałował, że już się nie będą spotykać? – No to nasza współpraca dobiegła końca.

Nie mogła się zdobyć, żeby na niego spojrzeć. Nie ręczyła za siebie. Bała się, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Niestety – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to lekko. – Dzięki za wsparcie.

Miała wrażenie, że Warren nie bardzo wie, jak się teraz zachować, lecz może to były tylko jej pobożne życzenia. Może to tylko ona czuła się fatalnie.

Patrzyła, jak sięga po płaszcz i idzie do drzwi. Nie poruszyła się. Nie odezwała się choćby słowem. Choć czuła, że jej dusza wrywa się do niego.

Gdy wyszedł, opadła bezwładnie, jakby uszło z niej życie. Wiedziała, że Warren nie wróci. Powiedział, że wszystko skończone.

A Warren nie rzuca słów na wiatr. Na tyle już go poznała.

– Poczekaj, bo jakoś to do mnie nie dociera – z niedowierzaniem rzekła Lily. – Pozwoliłaś mu odejść? Człowiekowi, który ma dokumenty na temat naszej siostry i dojście do detektywa, który wpadł na jej trop? Ma możliwości, by dowiedzieć się czegoś więcej. I ty go wypuściłaś?

Zbierało się jej na płacz.

– A co miałam zrobić? Oznajmił, że już się wycofuje. Przecież nie mogłam go do niczego zmusić i zatrzymać wbrew jego woli.

Lily popatrzyła na nią przenikliwie.

– Może i mogłaś. Gdybyś mu powiedziała, co do niego czujesz.

Rose popatrzyła na nią niespokojnie.

– O czym ty mówisz?

– Aha! Teraz już mam stuprocentową pewność! Jesteś w nim zakochana!

– Nie jestem! – zaprzeczyła Rose, choć sama w to nie wierzyła. – Przecież ja go prawie nie znam.

– Wystarczająco dobrze, by się z nim całować. Gorąco całować.

Nie myliła się.

– To nic nie znaczy.

– Zależy, o kim mowa, siostrzyczko. Znam twoje podejście. Nie całujesz się z pierwszym lepszym. Tylko jeśli to ktoś naprawdę dla ciebie ważny. Liczyłaś, że może coś z tego wyjdzie.

– Wcale nie! – prychnęła. Lily się roześmiała.

– Tylko tak mówisz. Wycofał się, żeby te oprychy nie zrobiły ci krzywdy. Oni wiedzą, że mu na tobie zależy.

– Boję się, że wyciągasz zbyt daleko idące wnioski.

– To nieistotne. Problem polega na tym, że nie chcesz mu powiedzieć, że go kochasz. I nie chcesz skorzystać z jego pomocy w odszukaniu naszej siostry. Z tym pierwszym nic nie mogę zrobić, bo ty już masz określony pogląd. Ale ta druga sprawa nie jest oczywista. Może coś zdziałamy.

– Mówisz o odszukaniu Laurel? Lily skinęła głową.

– Znamy jej imię i nazwisko, to już coś. Musimy poszperać w Internecie. Jutro skoro świt pójdziemy do biblioteki i może wpadniemy na jakiś ślad.

Tak też zrobiły, lecz efekty ich starań były mizerne. Dowiedziały się tylko, że Laurel pracowała wcześniej jako pielęgniarka w prywatnym szpitalu w Nowym Jorku. Pięć lat temu wyszła za mąż, ale po trzech miesiącach małżeństwo się rozpadło. Później pracowała w ośrodku rehabilitacyjnym, lecz półtora roku temu zwolniła się i ślad po niej zaginął.

Po wielu godzinach spędzonych przed komputerem czuły się wykończone. Niewiele się dowiedziały. Jedno tylko było teraz pewne: miały potwierdzenie, że Laurel rzeczywiście istniała. Sprawdziły też, z drżeniem serca, że nie było jej wśród osób zmarłych.

Nie miały dużo danych. Lecz poprzysięgły sobie, że nie spoczną, póki nie znajdą siostry.

Tydzień po tamtej rozmowie Warren nieoczekiwanie przyjechał do „Cottage”. Wcześniej zazwyczaj przybywał tuż przed zamknięciem i wtedy Rose mimowolnie na niego czekała. Teraz się nie spodziewała, że jeszcze go zobaczy.

Kiedy jednak się zjawił, nie udawał, że to jedynie grzecznościowa wizyta.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Cześć – powitała go Rose. Czowała, że policzki jej płoną. Serce też biło szybciej. Aż się bała, że Warren to usłyszy. – Co cię tutaj sprowadza? Nie zrozum tego źle. Cieszę się, że cię znowu widzę.

Miała wielką, ogromną nadzieję, że przyjechał, bo chciał ją zobaczyć. Że ten ostatni tydzień dla niego też był ciężki do przeżycia. Tak jak dla niej. Ale niestety nic na to nie wskazywało.

– Czy nic więcej się nie wydarzyło? – zapytał bez wstępów. – Tobie czy komuś innemu?

Rose niespokojnie zerknęła na Deb.

– Nie – odparła, zniżając głos do szeptu. – Proszę, nie wprowadzaj tu takiej atmosfery. Deb wciąż chodzi podminowana.

Warren zmarszczył czoło.

– Dlaczego?

– Bo najpierw ktoś chciał mnie rozjechać, a potem ty zaczęłaś straszyć, że to nie koniec. Że jeszcze może się coś stać. Coś złego.

– Przykazałaś Deb, by miała się na baczności? – zapytał, przyglądając się jej badawczo.

– Tak, oczywiście. I chyba dlatego wciąż jest taka spięta.

Doc jeszcze co najmniej przez tydzień nie wróci do pracy. Jeśli Deb zrezygnuje, nie mam pojęcia, jak sobie poradzimy. Teraz jest po godzinie szczytu, ale trzeba było zobaczyć, ilu mieliśmy klientów.

– To świetne wieści dla Doca – rzekł cierpko.

– Dla nas masz gorsze? – zapytała. – Widzę, że coś cię gryzie. Może powiesz, w czym rzecz?

Przysunął się trochę bliżej, położył ręce na jej ramionach i zajrzał w oczy. Nic nie mówił. Milczenie przeciągało się. Wreszcie przerwał ciszę.

– Perkins, ten facet, o którym ci mówiłem, przysłał mi ofertę. Chce odkupić teren za bardzo wysoką sumę.

– Nic nie rozumiem.

Warren mówił cicho, lecz bardzo stanowczo.

– Coś się za tym kryje, to oczywiście. To groźba. Rose popatrzyła na Deb nakrywającą stoliki.

– Deb, idź do kuchni i dokończ swoją szarlotkę. Ja nakryję stoły.

Deb niespokojnie zerknęła na Warrena.

– Na pewno?

– Tak, idź. Jestem głodna i tylko czekam, żeby jej spróbować. – Odprowadziła wzrokiem odchodzącą dziewczynę. Odwróciła się do Warrena. – Czyli masz potwierdzenie, że bardzo zależy mu na tej nieruchomości. Tę

propozycję odbierasz jako groźbę.

– Właśnie. Dlatego proszę – zacisnął palce na jej ramionach – byś zamknęła restaurację do końca tygodnia. Póki w mediach nie ukaże się oficjalna informacja. Bo wtedy Perkins już nic nie zdoła.

– Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej?

Puścił jej rękę.

– Bo żeby zawiadomić prasę, muszę mieć skompletowane wszystkie dokumenty i dokładne plany. Poza tym... – Pokręcił głową. – Rose, proszę cię, zaufaj mi.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Poruszył ją ich wyraz. Warren nie tylko prosi, ale błaga.

– Ufam ci – powiedziała cicho. – Jednak wydaje mi się, że wyolbrzymiasz zagrożenie. Pochodzisz z innego środowiska, wychowałeś się w innych warunkach. Tutaj jest inaczej niż na Manhattanie, gdzie każdy żyje własnym życiem. Tutaj ludzie się znają, nie są anonimowi. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale tak jest.

– Rozumiem to lepiej, niż myślisz – rzekł cicho.

– To znaczy?

Głośno wypuścił powietrze, po czym usiadł przy stoliku i gestem zaprosił, by zrobiła to samo.

– Sierociniec Barrie. Rose usiadła – Nie rozumiem.

– Mieszkałem tam do szóstego roku życia.

Poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w żołądek. Oboje wychowywali się w tym samym miejscu. Nic o tym nie wiedziała. I wytworzyła sobie zupełnie inny obraz Warrena. Z gruntu fałszywy.

– W Barrie Home? – Może się przesłyszała? – Tutaj, w Brooklynie?

Warren skinął głową.

– Na Tilden Street. Gdy tylko usłyszałem twoje nazwisko, od razu wiedziałem, że byliśmy w tym samym domu dziecka. Tylko w innym czasie.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Nie odpowiedział od razu.

– Rzadko wracam do tamtych czasów.

– Dlaczego? Czy to dla ciebie trudny temat? Wstydzisz się o tym mówić?

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Żartujesz? Oddałbym wszystko, by nigdy stamtąd nie odchodzić.

– Nie rozumiem.

Pochylił się i popatrzył jej w oczy.

– Nie lubię roztrząsać przeszłości i użalać się nad sobą. Krótko mówiąc, życie z przybranymi rodzicami było... niełatwe.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było tylko dochodzącą z kuchni krzątaninę Deb.

– Nie zamierzam być wścibska – ostrożnie zaczęła Rose. – Chcesz coś

dodać?

Popatrzył na nią ze znużeniem.

– Mój ojciec, człowiek, który mnie adoptował, nie chciał mieć dzieci. Uległ pragnieniom żony. By oddać mu sprawiedliwość, chyba nie przypuszczał, że stanie się zazdrosny o czas, jaki mi poświęcała. Odgrywał się na mnie, znęcał psychicznie...

Serce jej pękało, gdy słuchała jego opowieści. Sześciolatnie dziecko stało się ofiarą w rozgrywce przybranych rodziców. Przez lata Rose i Lily miały tylko jedno marzenie: by ktoś je adoptował. Jednak teraz widziała, że może miały szczęście, że do tego nie doszło.

Gdyby tak umiała cofnąć się w czasie i pocieszyć zdruzgotanego malca, ukoić jego ból!

– A twoja mama? – zapytała. – Nie próbowała cię chronić?

Warren położył dłoń na blacie.

– Miała swoje problemy. Za dużo piła. Też chciała jakoś ułożyć ich relacje. Nie było im łatwo.

– Tak mi przykro – wyszeptała.

– To już przeszłość. Nie było mi lekko, ale dzięki temu jestem tym, kim jestem.

– I jesteś szczęśliwy? – zapytała żarliwie. Popatrzył na nią.

– Wprawdzie jestem sam, lecz generalnie zadowolony z życia.

– Nie musisz być sam.

Wyciągnął rękę przez stół i położył ją na dłoni dziewczyny.

– Już dawno zdecydowałem, że nie związę się z nikim na zawsze. Pochłania mnie praca, na nic innego nie zostaje czasu. Taki układ byłby nie fair.

– Chcesz powiedzieć, że jedna kobieta by ci nie wystarczyła? – zaryzykowała.

Uśmiechnął się lekko.

– Aż do niedawna tak właśnie myślałem.

– I co się stało?

– Poznałem ciebie i na parę dni straciłem głowę. – Zaśmiał się cicho. – Ale ty zasługujesz na kogoś lepszego niż ja. Na mężczyznę, który poświęci wszystko, byś była szczęśliwa.

Goście łązy napłynęły jej do oczu.

– Czy to nie ja powinnam decydować o tak ważnej sprawie?

Popatrzył na nią z bólem i uściśnął jej rękę.

– Chciałbym zachować się jak egoista i przyznać ci rację, ale nie mogę.

Musiała zebrać całą odwagę, by zadać mu to pytanie.

– Czy dobrze mi się wydaje, że coś do mnie czujesz?

– Nie mylisz się. Dotąd żadna kobieta nie budziła we mnie takich uczuć. Nawet mi się nie śniło, że może tak być. – Zacisnął usta. – Dlatego choć raz



postąpię jak należy, nie jak egoista.

– Podejmując decyzję za mnie? – sprzeciwiła się. – To nie będzie egoistyczne działanie? Dlaczego boisz się na zapas? Daj mi wybór. Pokażę ci, jak może być. – Wzięła jego ręce w swoje dłonie. – Warren, proszę. W życiu nie ma nic bez ryzyka, a cóż jest więcej warte niż miłość?

– Nie mogę.

Znieruchomiała. Nic do niego nie trafia, nie przemawiają do niego żadne argumenty. Podjął decyzję i już jej nie zmieni.

– Warren, proszę cię – wyszeptała, choć wiedziała, że stoi na straconej pozycji.

Popatrzył jej prosto w oczy i uśmiechnął się smutno.

– Któraś dnia mi za to podziękujesz. – Podniósł się.

– Nie będę cię błagać – powiedziała wolno. Choć gdyby miała choć cień nadziei, że błaganie coś zmieni, nie zastanawiałaby się ani chwili.

– Rose, ty nigdy nie błagasz. To nie w twoim stylu. Łzy zapiekły ją pod powiekami.

– I to wszystko? Po tym, co ci powiedziałam, po prostu sobie pójdziesz?

Uciekł wzrokiem w bok.

– Muszę iść. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. – Sięgnął po płaszcz i ruszył do wyjścia. Otworzył drzwi.

Deb wybiegła z kuchni, słysząc dźwięk dzwonka.

– Rose, nie wychodź jeszcze! Och! – spostrzegła Warrena i Rose stojących na progu. – Ciasto już dochodzi – powiedziała.

Rose uśmiechnęła się z przymusem.

– Dzięki, Deb.

Warren skorzystał z zamieszania.

– Cześć, Rose – powiedział. – Dam ci znać, gdy mój detektyw zdobędzie jakieś informacje.

– Dziękuję – wyszeptała.

– W razie czego dzwoń. Gdyby coś się działo.

Już się działo. Serce pękało jej z żalu i miłości. Do człowieka, który też ją kochał, tego była pewna. I który niestety od niej odszedł. Wmawiając sobie, że robi to dla jej dobra.

Jego obraz, jaki sobie stworzyła, okazał się fałszywy. Tak bardzo się myliła. Teraz ujrzała go w zupełnie innym świetle. Warren też bardzo się mylił w jej ocenie.

Cóż za ironia losu!

– Gdzie jest pan Harker? – zapytała Deb, wychodząc z kuchni. Otarła ręce o fartuch.

– Już poszedł.

– Jeszcze wróci?

– Nie. Myślę, że już tu więcej nie przyjdzie.

– Przepraszam. – Deb była dziwnie zdenerwowana. – Nie chciałam go wypłoszyć.

– To ja go wypłoszyłam – odparła Rose. Starła się robić dobrą minę, ale z trudem powstrzymywała płacz.

– Chcesz o tym pogadać? – usłużnie podsunęła Deb, niecierpliwie czekając na szczegóły.

– Nie. – Rose westchnęła ciężko. – Prawdę mówiąc, chyba pójdę już sobie do domu.

– A moje ciasto? – Deb zrobiła minę zawiedzionego czterolatka. – Musisz spróbować i powiedzieć, co o nim myślisz. Upiekłam według twojego przepisu. Mniej więcej. Dodałam kilka składników.

Nie chciała jej robić przykrości, choć z drugiej strony siedzenie z nią i kosztowanie szarlotki było ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz ochotę.

– Słuchaj, odłóżmy to do jutra.

– Ale ciasto jest świeżo upieczone! Prosto z piekarnika! Widziała, że wszelkie dyskusje są daremne. Deb od rana nie mówiła o niczym innym, tylko o tej szarlotce. Jeśli chce stąd wyjść, musi zjeść kawałek.

– No dobrze – przystała. – Może to poprawi mi humor.

– Super! – Deb klasnęła w dłonie. – Siadaj, a ja już pędzę po ciasto. – Nie ruszaj się stąd.

– Dobrze. – Usiadła przy barze i oparła głowę na rękach. Myślała o Warrenie.

Ich relacje były burzliwe, lecz od początku ciągnęło ich ku sobie. Teraz było jeszcze coś więcej. Warren stał się jej bliski jak jeszcze nikt dotąd. Zaczynała myśleć, że jest może tym jednym jedynym.

Intuicyjnie czuła, że to coś więcej niż tylko romantyczne marzenia.

Warren przyznał dzisiaj, że też do niej coś czuje. Czyli intuicja jej nie myliła.

Jednak odszedł. I nie zdołała go zatrzymać. Nic by zresztą nie pomogło. Ani błagalne prośby ani łzy. Dobrze, że tego nie próbowała.

– Proszę – oznajmiła Deb, stawiając przed nią talerz z porcją ciasta. – Jesteś moim pierwszym królikiem doświadczalnym.

Rose wzięła widelczyk i popatrzyła na Deb.

– Na przyszłość raczej nie wyrywaj się z takim określeniem, gdy będziesz kogoś czymś częstować.

– Och! – zachichotała Deb. – Przecież mnie znasz... Rose skosztowała ciasta. Było dziwnie ostre w smaku.

– I jak? – z przejęciem spytała Deb.

– Dobrze – skłamała.

– No to jedz!

– Dobrze. – Wzięła drugi kęs. Smakował jeszcze gorzej. Jakby ktoś dodał do ciasta płynu do naczyń.

– Dobrze, co? – żarliwie pytała Deb. – Tak chciałam, by było takie jak twoje.

– Jest... prawie takie samo.

– Weź jeszcze.

– Dobrze. – Czuła się niezręcznie. Nigdy nie wybrzydzała, jednak to ciasto było nie do przełknięcia. Gdyby Deb wyszła do kuchni, wyrzuciłaby je do kosza.

Deb nie spuszczała jej z oczu.

– Zjedz do końca. – Nieoczekiwanie jej głos przybrał inną barwę.

Stał się zimny i ostry. Rozkazujący. Budzący lęk.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zaczynało się jej kręcić w głowie.

– Dziękuję, ale już wystarczy. Deb uśmiechała się szyderczo.

– Nie tak prędko, Rosie. To ciasto według twojego przepisu. Nie smakuje ci?

– Co do niego dodałaś? – Z trudem wydobywała z siebie głos. Miała wrażenie, że zaklejono jej usta.

Deb popatrzyła na talerzyk z resztą szarlotki. Została może jedna czwarta porcji.

– Och, to i owo – powiedziała lekko.

– Ale co dokładnie? – Rose spróbowała wstać, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Usiadła. – Co dodałaś?

Deb przez chwilę lustrowała ją nadzwyczaj badawczym spojrzeniem.

– Prawdę mówiąc, trochę mi przykro.

– Dlaczego?

– Że musiałam to zrobić. – Wskazała na ciasto. – Marta mnie zmusiła. A sama wiesz, jak ciężko jej odmówić.

Wirowało jej w głowie. Nie bardzo docierał do niej sens słów Deb.

– Do czego Marta cię zmusiła?

– Kazała mi odpowiednio doprawić to ciasto. Teraz ten twój forsiasty kochaś odsprzeda jej ten budynek czy coś w tym stylu.

Rose uchwyciła się blatu baru. Robiło jej się ciemno przed oczami.

– Zadzwoń po pogotowie – wydusiła. – Proszę. Deb pokręciła przecząco głową.

– Przykro mi, ale nie mogę. Marta zapłaciła mi za dobrą robotę.

– Zapłacę ci.

– To by mi nie wystarczyło nawet na bar szybkiej obsługi! – Deb zaśmiała się złośliwie. – Nie, już dobiłam targu z Martą. To nie był mój pomysł, a jej. Przepraszam cię.

Sala zaczęła wirować, coraz szybciej i szybciej. Rose nie miała pojęcia, co się z nią dzieje, lecz czuła, że zostało jej niewiele czasu.

– Jaki pomysł? Co ty zrobiłaś?

Deb popatrzyła na nią uważnie. A raczej patrzyły na nią dwie Deb, po chwili trzy.

– Chyba poszło jak trzeba. Mała szansa, byś powtórzyła komuś tę historię. Marta namówiła mnie, bym zatrudniła się tutaj, odczekała na właściwy moment i dodała ci do jedzenia jej rozkruszone leki uspokajające. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie chodziło jej o to, by zastraszyć twojego absztyfikanta, choć nie wiem tego na pewno. Zastrzegłam się, że chcę wiedzieć jak najmniej. Biorę jej czek i

pryskam do Meksyku. Szybko zapomnę o całej sprawie. – Zaciśnięła usta i popatrzyła na Rose. – Choć szkoda mi ciebie, bo byłaś dla mnie miła.

Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła sformułować słów. Błat i stojący na nim talerzyk z resztką ciasta mnożyły się w nieskończoność. Desperackim gestem zepchnęła talerzyk na podłogę.

– No i co zrobiłaś? Będę musiała posprzątać – obruszyła się Deb. – Wielkie dzięki!

– Zadzwoń... – Rose spróbowała sięgnąć po leżącą obok torebkę, lecz okazało się to ponad jej siły.

– Nigdzie nie zadzwonisz – rzekła Deb, odsuwając torebkę na bok. – Nic z tego. Zaśnij. No, sama powiedz. Czy nie będzie przyjemnie trochę się zdrzemnąć?

Rose popatrzyła na nią przymrużonymi oczami. Nagle uświadomiła sobie, że Deb ma na rękach gumowe rękawiczki.

Żeby nie zostawić odcisków palców.

– Co ty chcesz... – zabrakło jej tchu. Z trudem zbierała myśli. – Co ty chcesz zrobić?

Odpowiedź już do niej nie dotarła. Nim Deb zdążyła otworzyć usta, Rose ogarnęła ciemność. Osunęła się ze stołka i z hukiem upadła na zimną podłogę.

Był w rozterce. Miał pretensje do siebie, że tak pograł z Rose. Otworzyła się przed nim, była szczerą. Za to on schował głowę w piasek. Zamiast wyznać prawdę, wołał się wycofać.

Zadręczał się świadomością, że przecież Rose doskonale zdaje sobie sprawę, o co naprawdę chodzi. Próbowała przemówić mu do rozsądku, lecz nie chciał jej słuchać. Zapał się i postawił na swoim. Bez sensu.

Być może to Rose miała rację. Może nie powinien wmawiać sobie, że zrobił to dla jej dobra. Może sam się w ten sposób oszukuje.

Mówiła mu, że warto spróbować.

Sam nie wie.

Życie nauczyło go ostrożności. Na własnej skórze przekonał się, że może liczyć tylko na siebie. Nawet ci, którzy powinni być przy nim i go bronić, zawiedli.

Z Rose było inaczej. Nie raz skakali sobie do oczu, jednak nie przestali się lubić i szanować.

Ona nadal chciała z nim być. Mimo wszystko.

Wyjrzał przez okno limuzyny. Jeszcze trochę i znajdzie się na Manhattanie. I nagle uświadomił sobie, że to wcale nie tam jest jego dom, a tutaj, w Brooklynie. Nie chodzi nawet o miejsce, a o kobietę.

Rose. Przy niej poczuł się sobą. I wiedział, że ona go akceptuje. Takiego, jakim jest.

Pochylił się i zastukał w szybę oddzielającą go od kierowcy.

– Denny, zawróć. Muszę wrócić do „Cottage”. Kierowca z miejsca zawrócił. Na szczęście w pobliżu nie było policji, bo za taki manewr w tym miejscu groziła słona kara. Nie zważał teraz na to. Da choćby milion, by zdążyć do „Cottage”, zanim Rose uzna... albo nim do niej dotrze? ...że nie jest jej wart.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Bębnił palcami w oparcie, liczył barierki na moście i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie dojadą na miejsce. Karmił się nadzieją, że Rose jeszcze nie wyszła.

Gdy podjechali pod restaurację, Deb właśnie ją zamykała.

Warren jeszcze w biegu wyskoczył z samochodu.

– Czy jest Rose? – zapytał.

Deb odwróciła się raptownie, a w jej oczach błysnęła panika. – Kto?

– Rose.

– Nie, nie ma jej. – Zerknęła do środka. – Już dawno poszła do domu.

Warren podążył za jej wzrokiem. Wewnątrz panował półmrok. Wydało mu się, że na podłodze przy barze ciemnieje jakiś kształt.

– Co to takiego? – zapytał bardziej siebie niż Deb. Deb rzuciła się do ucieczki. Warren, który nawet na nią nie patrzył, usłyszał tylko tupot jej nóg.

Nie zastanawiał się ani sekundy. Puścił się za dziewczyną, złapał ją za ramię i przyciągnął do wejścia.

– Daj mi klucze! – huknął. – Ale...

– Natychmiast daj klucze!

– Dobrze, już dobrze. – Wyciągnęła je z kieszeni i rzuciła mu. – Proszę. I niech mnie pan puści.

Nie zwolnił uścisku.

– Ani mi się śni. Nigdzie nie pójdziesz. A jeśli się okaże, że... – zawiesił głos i popatrzył na nią groźnie. Gotował się z gniewu. – Jeśli Rose coś się stało, ty za to odpowiesz.

Próbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją w stalowym uścisku.

Już nie miał wątpliwości, że stało się coś niedobrego. Jeśli nawet to nie jest sprawka Deb, ona z pewnością wie, kto jest za to odpowiedzialny.

Jedną ręką otworzył zamek i pchnął drzwi. W ciszy rozległ się głośny dźwięk dzwonka.

– Niech mnie pan puści! – szarpała się Deb.

Warren wciągnął ją do środka, zamknął drzwi i schował klucze do kieszeni.

– Gdzie jest Rose? – zapytał, zaciskając palce na ramieniu Deb.

– Nie wiem. – Szarpnęła się jeszcze mocniej.

– Uważaj, bo ci uwierzę. – Pociągnął ją dalej. Podszedł do ściany i włączył światło.

Od razu zobaczył leżącą Rose. Natychmiast puścił Deb i podbiegł do niej.

– O mój Boże, Rose! – Przykląkł obok, dotknął dłonią policzka

dziewczyny. Był przerażająco zimny. – Dzwon po pogotowie! – warknął do Deb.

– Co się stało? – zapytała obłudnie.

– Zaraz sama mi powiesz! – rzucił złowrogo, wyciągając z kieszeni komórkę. Jedną ręką wciąż trzymał Rose. – To ty ją tak załatwiłaś. Co jej zrobiłaś?

– Ja jej nic nie zrobiłam!

– Mów, może policja weźmie to pod uwagę. Deb zaczęła nerwowo splatać ręce.

– To nie był mój pomysł.

– Jaki pomysł?

– By zrobić jej krzywdę.

– Co jej zrobiłaś?

Dalej załamywała dłonie.

– Dodałam jej coś do szarlotki.

– Co to było? – dociekał, gdy skończył rozmawiać z pogotowiem.

– Jakiś środek uspokajający – powiedziała. – Dostałam go od Marty.

– Od Marty Serragno? Deb kiwnęła głową.

Warren popatrzył na leżącą nieruchomo Rose. Miała twarz bladą jak papier.

– Trzymaj się, skarbie – wyszeptał, ściskając jej dłoń. – Wytrzymaj jeszcze tylko kilka minut. – Przeniósł wzrok na Deb. – To była inicjatywa Marty czy działała z kimś w zмовie?

– Ja nie...

– Nie wmawiaj mi, że nic nie wiesz. Mój detektyw przyjrzał ci się dokładnie. Śledził cię przez ostatnie dni. Doniósł mi, że spotkałaś się z Martą Serragno na moście. Kto oprócz niej maczał w tym palce?

– Jakiś mężczyzna – odparła, siadając przy stoliku i zalewając się łzami. – Nie wiem, jak się nazywa. Larry coś tam. To jej chłopak – łkała. – Niech mnie pan nie wysyła do więzienia! Nie chcę tam wracać.

Nie musiał o nic pytać. Jej przeszłość mówiła sama za siebie. Detektyw wszystko sprawdził. Deb dwukrotnie przyłapano na kradzieży, raz skazano za ciężkie przestępstwo. Ta dziewczyna była gotowa na wszystko, nie miała żadnych skrupułów. Sądząc po tym, co stało się dzisiaj, nie cofnie się przed niczym.

W dali rozległ się dźwięk nadsyłającej karetki.

Odetchnął z ulgą. Wyjął komórkę i zadzwonił do Marka Benninga. Pokrótkie zdał mu relację. Mark miał natychmiast poinformować o wszystkim policję. Nie ma szans, by Deb, Marcie i Perkinsowi uszło to na sucho.

Trzymał bezwładną rękę Rose i modlił się w duchu, by wytrzymała, by z tego wyszła.

Nie zważał na Deb, sanitariuszy i policjantów. Pochylił się nad Rose.

– Kocham cię – wyszeptał jej do ucha. Pocałował ją w policzki, musnął ustami jej usta. – Kocham cię – powtórzył. – Trzymaj się. Wytrwaj, zrób to dla mnie. Nie pozwolę ci odejść, nie puszcze cię. Musisz wytrwać, bo cię kocham i potrzebuję. Znalazłem cię i już nie mogę bez ciebie żyć.

Rose poruszyła się lekko. Słyszała dochodzące do niej dźwięki, przez powieki przeświecało jaskrawe światło. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.

Wreszcie zmusiła się, by otworzyć oczy. Powieki ciążyły jak z ołowiu.

– Lily? – zapytała słabym głosem.

– Jestem przy tobie. – Poczowała na ramieniu lekkie dotknięcie. Poznała chłodną dłoń siostry.

Wciąż ta jedna myśl nie dawała jej spokoju.

– Warren powiedział, że...

– Jestem tutaj – rozległ się czyjś głos. Dopiero po chwili go rozpoznała. Warren. – Spokojnie, nie ruszaj się, skarbie. Na wszystko będzie czas.

– Warren? – Ledwie bijące serce dziewczyny poruszyło się żywiej. Zamrugła, próbując skupić wzrok na rozmówcy. – Naprawdę tu jesteś?

Uśmiechnął się do niej tym swoim cudownym uśmiechem. Serce znowu zabiło szybciej.

– Jestem tu. I nigdzie się nie ruszę.

– Co się stało? Deb... Coś zrobiła z tym ciastem...

– Dodała do niego trucizny. Posiedzi sobie za to przez długie lata – gniewnie rzekł Warren. – Miała współników.

Martę i Perkinsa. Spotkało cię nieszczęście, ale teraz już nikomu nic nie grozi.

– A Doc?

– Wczoraj wrócił do pracy. Radzę ci szybko wydobrzeć, bo chce ci tu przynieść trochę swojego rosołku.

Rose uśmiechnęła się blado.

– Dzięki za ostrzeżenie.

Warren wyciągnął rękę i pogładził Rose po włosach.

– Możesz na mnie liczyć.

– Czy ty naprawdę powiedziałeś to, co mi się wydaje? – zapytała niepewnie. – Kiedy... tak dokładnie trudno mi sobie przypomnieć, chyba gdy przyjechała karetka? Czy to była prawda?

– Co ci powiedział? – zainteresowała się Lily, pochylając się nad siostrą.

– Powiedziałem, że ją kocham – spokojnie rzekł Warren, nie odrywając oczu od twarzy Rose. Uśmiechnął się ciepło. Serce w niej topniało. – Prosiłem, żeby się trzymała, bo nie mogę bez niej żyć. O to pytałaś?

Rose się uśmiechnęła.

– Mniej więcej – potwierdziła z uśmiechem. – Naprawdę tak myślałeś?



– Niczego w życiu nie byłem tak pewny jak tego – odparł żarliwie. Nie wypuszczał z ręki jej dłoni. – Jesteś, i teraz już nigdy nie pozwolę ci odejść. Wiesz o tym, prawda?

– Tak, proszę pana.

Sięgnął do kieszeni i wyjął maleńkie pudełeczko. Nosił je ze sobą od trzech dni, jak tylko Rose trafiła do szpitala. Wyjął pierścionek z ogromnym brylantem i zwrócił się do Lily:

– Jesteś jej najbliższym członkiem rodziny, jak mama czy tata, dlatego chcę prosić cię o rękę Rose. Jaką dasz mi odpowiedź?

Lily rozjaśnionymi oczami popatrzyła na Rose, szukając potwierdzenia.

– Cóż, myślę, że pozytywną.

Rose wybuchnęła śmiechem. Warren przeniósł wzrok na nią.

– Rose, przepraszam za bzdury, jakie plotłem na temat związku i małżeństwa. Nie chcę, by jakiś inny mężczyzna cię uszczęśliwił, sam chcę to zrobić. Obiecuję, że zawsze będziesz dla mnie na pierwszym miejscu, bez względu na wszystko. Co mi odpowiesz? Wyjdiesz za mnie?

Nie musiała zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Tak. Im szybciej, tym lepiej. Jak dla mnie.

– Dla mnie też – odparł, promieniejąc. – Muszę cię złapać, nim zmienisz zdanie.

– Nie ma obawy – odparła.

– Tak czy inaczej, nie chcę czekać. – Pochylił się i pocałował ją. – Tyle czasu minęło, nim cię znalazłem. I teraz nie zamierzam spędzić bez ciebie ani jednego dnia.

## EPILOG

Ledwie stała na nogach. Teraz żałowała, że na taką okazję nie kupiła sobie lepszych pantofli. Jednak dawne nawyki wzięły górę.

– Co ci jest? – szeptem zapytał Warren. Stał obok niej, a przed nimi ciągnęła się długa kolejka osób składających życzenia i gratulacje młodej parze.

– Buty ją uwierają! – mruknął Dick, który właśnie do nich podszedł. – Naprawdę nie stać cię było na coś lepszego?

Warren z niedowierzaniem popatrzył na Rose.

– To prawda?

Rose ze śmiechem skinęła głową.

– No to zdejmij te buty! – Ale...

– Czym się przejmujesz? To twój wielki dzień. Rób, co ci się podoba. – Uśmiechnął się do niej. – Będziesz musiała przyzwycząić się do luksusów.

– Spróbuję. – Wiedziała, że taka będzie kolej rzeczy. Zamieszka w luksusowym apartamencie na Manhattanie, z najcudowniejszym mężczyzną na świecie.

To nie koniec zmian. Niedługo razem z Lily poznają swoją siostrę. Detektyw już zdobył jej adres. Laurel też mieszka na Manhattanie.

Odwiedzą ją wkrótce. Zaraz po podróży poślubnej.

Następny w kolejce był Hap. Miał na sobie wygnieciony i nieco przyciasny garnitur, który wyglądał, jakby Hap nie wkładał go od czterdziestu lat. Doceniała, że tak się wystroił na ich ślub.

– Bardzo się cieszę – rzekł rozpromieniony, klepiąc Warrena po ramieniu. – Ale z ciebie szczęściarz!

– Wiem – zaśmiał się Warren.

Al, który podszedł po nim, kichnął w chusteczkę.

– Przepraszam, to przez te kwiaty – tłumaczył się. – Od razu mam uczulenie. Ale nie żałuję. Warto było przyjść i zobaczyć, jak wstępujecie w związek małżeński.

Stojący za nim Tim patrzył niepewnie, jakby nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

– Tim, dzięki, że przyszedłeś. – Rose ujęła go za rękę. – Bez ciebie nie byłoby tak miło.

Tim oblał się rumieńcem.

– Dzięki. – Popatrzył na Warrena. – Moje gratulacje.

– Dziękuję, Tim.

Po nim życzenia złożył Stu. I Paul, który jak zwykle ziewał. Potem podszedł Doc.

– Moi kochani! – rzekł wylewnie, kładąc jedną rękę na ramieniu Warrena, a

drugą na ramieniu Rose. – Naprawdę wciąż nie mogę uwierzyć, że tak wspaniale się ułożyło!

– To dzięki tobie – powiedziała Rose, z trudem powstrzymując łzy. – Przyjąłeś mnie do pracy, gdy inni mnie nie chcieli. Tylko dzięki tobie tak wyszło z Warrenem. Inaczej nigdy więcej bym go nie spotkała. Uratowałeś mi życie.

Doc zaśmiał się cicho.

– Kto to może wiedzieć? Widać tak wam było pisane.

W każdym razie bardzo się cieszę, że to stało się pod moim dachem. – Sięgnął do kieszeni i coś z niej wyjął. Podał to Rose.

Chyba jakaś moneta.

– Co to jest? – zapytała, obracając ją na dłoni. Doc zachichotał.

– Przyjrzyj się.

Popatrzyła uważniej. Rzeczywiście moneta. Przypominała srebrny dolar, jednak na wierzchu był tylko napis „Życie długo i szczęśliwie”.

– Och, Doc! – Podała monetę Warrenowi. – Skąd wziąłeś coś takiego?

– Ktoś dał nam to w prezencie, gdy ponad pięćdziesiąt parę lat temu braliśmy z Esther ślub – wyjaśnił. – I sprawdziło się. Wy też na to zasługujecie.

– Będziemy jej strzec jak oka w głowie – powiedziała Rose.

– Dziękuję, Doc – rzekł miękko Warren. – To naprawdę wiele dla nas znaczy. – Podał monetę Rose. Ścisnęła ją w dłoni.

– No to dotąd się teraz wybieracie? – zapytał Doc.

– Nie mam pojęcia – zaśmiała się Rose. – Warren jeszcze mi tego nie zdradził. Myślałam, że jedziemy na lotnisko, a wylądowaliśmy tutaj.

– Jesteśmy w drodze – rzekł Warren. – Mówię szczerze.

– A dokąd jedziemy?

– Na razie to jeszcze tajemnica. Powiem ci tylko, że na pewno będzie piasek i palmy. Nie będziesz potrzebowała żadnych strojów, jedynie krem z filtrem. – Zaśmiał się.

– No dobrze, ruszajmy w drogę.

– Ja jestem gotowa!

Po chwili już wsiadali do czekającej na nich limuzyny.

Zajęli miejsca z tyłu. Gdy się usadowili, Warren postukał w szybę, dając sygnał kierowcy. Samochód ruszył. Warren nalał szampana do kieliszków.

– Wznoszę toast za ciebie – powiedział, podając kieliszek Rose. – Za moją żonę. Moje życie.

Uśmiechnęła się i delikatnie stuknęła z nim kieliszkiem.

– Za ciebie. – Położyła na stolyczku obok szampana srebrną monetę. – I żebyśmy żyli długo i szczęśliwie!



***Penny Jordan***



***Narzęczona  
bankiera***

---

Tytuł oryginału: Blackmailing the Society Bride

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Chce pan powiedzieć, że mój były mąż zrujnował firmę i oboje jesteśmy bankrutami?

Lucy wpatrywała się w swojego prawnika. Zrobiło się jej niedobrze ze strachu, miała wrażenie, że to jakiś koszmarny sen.

Niestety, była to prawda. Lucy siedziała w kancelarii mecenasa McVicara, a on tłumaczył jej, że Nick tak bardzo nadszarpnął reputację i status finansowy firmy, którą Lucy założyła jeszcze przed ślubem, że obecnie firma jest całkiem niewiarygodna.

Nick zdradzał ją i okradał przez całe ich krótkie małżeństwo, ale czyż i ona go nie oszukała, i to już na wstępie?

Wyrzuty sumienia nic ci teraz nie dadzą, skarciła się w duchu.

Należało się zająć bieżącymi problemami.

- Mam zlecenia do końca roku - powiedziała adwokatowi. Liczyła na to, że nie zapyta o dokładną liczbę, gdyż było ich zastraszająco mało. - Może w świetle tej informacji bank...? - przerwała.

Adwokat pokręcił głową. Lubił swoją młodą, ładną klientkę i było mu jej naprawdę żal, ale jego zdaniem zupełnie nie nadawała się do tego, by przetrwać w bezwzględnym świecie interesów.

- Bardzo mi przykro, moja droga - westchnął. - Sama pani przyznała, że kilku klientów odwołało zlecenia i poprosiło o zwrot zaliczki. Cóż, obracamy się w świecie, gdzie zaufanie jest bezcenne.

- Przez to, co zrobił mój mąż, nikt już nie będzie uważał Pret a Party za firmę godną zaufania? To chce pan powiedzieć? - zapytała z goryczą. -

Mimo że Nick zniknął i z firmy, i z mojego życia, i mimo tego, że to ja ją założyłam?

Współczujące spojrzenie adwokata musiało wystarczyć Lucy za odpowiedź.

- Właściwie nie powinnam winić klientów za to, że się wycofali. W ich oczach jestem idiotką, skoro wyszłam za Nicka, i nie można mnie traktować poważnie - mruknęła z przebłyskiem czarnego humoru.

Na pewno Marcus tak uważał. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

Marcus. Gdyby mogła usunąć z pamięci wspomnienie jednej jedynej osoby, wcale nie byłby to Nick, tylko właśnie Marcus.

- Czy mogę zrobić cokolwiek, by ocalić firmę? - zapytała.

- Może pani znaleźć nowego partnera. Kogoś wiarygodnego i o dobrej renomie, kogoś, kogo ludzie szanują, komu ufają i kto byłby gotów zainwestować wystarczająco dużo we wszystkie zaległe zobowiązania Pret a Party.

- Zamierzam spłacić je sama - przerwała mu Lucy. - Mam jeszcze pieniądze w funduszu powierniczym.

- Naturalnie. Zdaję sobie z tego sprawę. Obawiam się jednak, że sama splata długów, aczkolwiek konieczna, nie podniesie wiarygodności firmy, droga pani. Niestety, zachowanie pani byłego męża niesłychanie nadwerżyło wizerunek firmy, a to, że obie pani wspólniczki odeszły...

- Tylko dlatego, że wyszły za mąż i teraz mają inne obowiązki! - wykrzyknęła Lucy. - To jedyny powód! Carla jest w ciąży, musi się też zajmować starszym synem, a do tego pomaga Ricardowi zakładać sierocińce. Julia też urodziła dziecko i doszła jej praca w Fundacji...

- Naturalnie. - Prawnik pokiwał głową. - Rozumiem to wszystko, jednak w oczach tych, których usiłuje pani przyciągnąć, czyli potencjalnych klientów, sprawa wygląda inaczej. Bardzo mi przykro, moja droga. - Zamilkł na chwilę. - Myślała pani o tym, żeby skontaktować się z Marcusem?

- Nie! Nigdy! Absolutnie zabraniam panu wspominać mu o tej sprawie - oświadczyła.

Wstała tak raptownie, że niemal przewróciła krzesło. Panika ścisnęła ją za gardło. O, niewątpliwie ta nowina by go zachwyciła. Z rozkoszą oznajmiłby Lucy, że od samego początku ją ostrzegał. Zadzierałby ten swój arystokratyczny nos i spoglądał na Lucy lodowatym wzrokiem, wyliczając przy okazji wszystkie jej potknięcia i pomyłki.

Czasem Lucy miała wrażenie, że całe jej życie składa się wyłącznie z porażek. Po pierwsze, nie była synem, lecz córką, którą należało wydać za męża. Ojciec pragnął spadkobiercy. I choć rodzice doczekali się w końcu dziedzica, Lucy zawsze odnosiła wrażenie, że ich zawiodła, urodziwszy się jako pierwsza. Naturalnie, mama i tata nigdy nie dali jej do zrozumienia, że są rozczarowani, ale wrażliwa Lucy pewne rzeczy rozumiała bez słów. Wyczuwała ich zawód, podobnie jak w późniejszych latach wyczuwała irytację Marcusa.

Nikt nie musiał tłumaczyć Lucy, co Marcus o niej myśli. Nigdy tego nie krył. Od pierwszego spotkania, gdy usiadła po drugiej stronie wielkiego biurka w londyńskim gabinecie, jasno dał jej do zrozumienia, że zmarły cioteczny dziadek dziewczyny zupełnie niepotrzebnie zostawił jej w spadku dużą sumę.

- Właśnie dlatego zgodziłeś się zostać zarządcą mojego majątku, prawda? - spytała go wtedy oskarżycielskim tonem. - Nie podoba ci się, że mam te pieniądze, więc zamierzasz utrudniać mi życie?

- Takie uwagi tylko upewniają mnie, że twój dziadek miał poważne kłopoty z głową, kiedy sporządzał testament - usłyszała w odpowiedzi.

- Pewnie liczyłeś na to, że tobie zostawi pieniądze?! - warknęła.

Marcus popatrzył na nią tak, że mimowolnie oblała się rumieńcem i zapragnęła skryć się w najciemniejszym kącie.

- Nie bądź taka cholernie infantylna - powiedział krótko.

Naturalnie wtedy nie miała pojęcia, że Marcus dysponuje milionami, jeśli nie miliardami własnych pieniędzy. W końcu był prezesem zarządu rodzinnego banku.

Mecenas McVicar patrzył na Lucy ze współczuciem. Doskonale zdawał sobie sprawę z napięcia i niechęci pomiędzy niezwykle bogatym bankierem a klientką, której zmarły cioteczny dziadek wyznaczył Marcusa na zarządcę majątku.

Pieniądze prawie całkiem zdążyły się rozejść - pochłonęły je chciwość i oszustwa byłego męża Lucy, który zrujnował jej niewielką, lecz dobrze prosperującą firmę.

- Jeśli zdoła pani znaleźć bogatego wspólnika, który będzie gotów zainwestować godziwe pieniądze w firmę, wtedy...

- Właśnie się staram. Negocjuję z kimś.

Gdy Lucy wypowiedziała te słowa, natychmiast zaczęła się zastanawiać, co też wyprawia. Czy to wzmianka o Marcusie skłoniła ją do oszukiwania własnego prawnika? Zrozpaczona dziewczyna zamknęła oczy.



Pan Mc Vicar wydawał się równocześnie zadowolony i zdumiony.

- To znakomita nowina, proszę pani. Całkiem zmienia sytuację - oznajmił z entuzjazmem. Wydawał się tak rozradowany, że natychmiast dopadły ją wyrzuty sumienia. - Nie mogło być lepiej. Musimy jednak omówić pewną kwestię. Zorganizujemy spotkanie z pani współnikiem czy współpracowniczką i doradcami prawnymi. Jak najszybciej. No i musimy powiadomić bank. Jestem pewny, że w takiej sytuacji, gdy do Pret a Party napłyne nowy kapitał, podejście banku całkiem się zmieni. Warto też powiadomić o wszystkim opinię publiczną, na przykład zamieścić duże ogłoszenie w prasie najczęściej czytanej przez pani klientów. Niech się dowiedzą, że pani były mąż nie ma już nic wspólnego z firmą i że pojawił się nowy biznesowy partner.

Lucy miała wrażenie, że trafiła do bagna i z każdym krokiem coraz bardziej się pogłębia. Co ją skłoniło, żeby wygadywać takie głupstwa? Co też narobiła? Jak miała się teraz przyznać panu McVicarowi, że skłamała. Po co?

- Hm, w tej chwili nie mogę panu powiedzieć, kto to taki - zaczęła z wahaniem. - Na razie to tajne. Negocjacje są... sam pan wie, co mam na myśli.

- Naturalnie. Proszę jednak pamiętać, droga pani, że w naszej sytuacji czas to pieniądz.

Lucy pokiwała głową i najszybciej jak mogła, zakończyła spotkanie. Po co kłamała? Pozostawało to w całkowitej sprzeczności z jej przekonaniami. Wstydziła się za siebie, nie miała pojęcia, co robić, gdy stanęła w jesiennym słońcu przed biurem adwokata McVicara w Mayfair.

I co teraz? Mógł ją ocalić jedynie cud. Pograżona w rozmyślaniach, skręciła za róg i wyszła na Bond Street. Nawet nie zerknęła na ekskluzywne wystawy sklepów. Nigdy nie była wielbicielką kosztownych, designerskich ubrań. Lubiła rzeczy ze sklepów z używaną odzieżą i z rodzinnych strychów. Dawne tkaniny były wspaniałe, uwielbiała ich dotyk na swoim ciele - prawdziwy jedwab i kaszmir, szorstką wełnę, chłodną bawełnę i len. Być może materiały z tworzyw sztucznych były praktyczne, ale Lucy pod wieloma względami była staroświecka.

Tak naprawdę marzyła tylko o tym, żeby wyjść za mąż i urodzić gromadkę dzieci, które razem z mężem wychowaliby w wielkim, wiejskim domu. Zazdrościła przyjaciółkom udanych małżeństw i maluchów. Pocieszała się tym, że ma swoją firmę. I właśnie dlatego tak głupio skłamała.

Zerknęła na czasopisma na pobliskim stoisku i się zatrzymała. Na samym wierzchu, jak zwykle stało „A-Liste Life”. Lucy uśmiechnęła się do siebie.

Ekscentryczny właściciel i redaktor czasopisma Dorland Chesterfield był jej dobrym przyjacielem. Firma Lucy zorganizowała dla niego kilka przyjęć, na których pojawiły się światowe gwiazdy. Teraz przemknęła jej myśl, czy nie zwrócić się do niego o pomoc w zaistniałej sytuacji. Powstrzymało ją to, że choć Dorland miał bardzo dobre serce, był też potwornym plotkarzem. Tego tylko brakowało, żeby jej historia trafiła na strony „A-List Life”.

Obie przyjaciółki Lucy i byłe współpracownicy miały niezwykle bogatych mężów i z pewnością nie odmówiłyby jej pomocy, ale ona nie mogłaby jej przyjąć. Po pierwsze, ze względu na swoją dumę, a po drugie, nie chodziło

tylko o pieniądze, ale także o partnera. Przede wszystkim musiała udowodnić sobie i innym, że nie jest taką idiotką, za jaką bez wątpienia ją teraz uważano. Chciała udowodnić, że jeszcze zdoła odnieść sukces.

Owszem, ślub z Nickiem okazał się potwornym błędem, i jak to bezlitośnie wytknął Marcus, pospieszyła się z małżeństwem, ale miała ku temu powody. O nich Marcus nigdy, przenigdy się nie dowie.

Lucy wzięła do ręki egzemplarz „A-List Life” i zapłaciła kioskarzowi, po czym przeszła na drugą stronę ulicy. Słońce lśniło na jej naturalnie jasnych włosach. Wyglądała tak olśniewająco, że kierowca dużego mercedesa zwolnił i popatrzył na nią z uśmiechem.

Otworzyła pismo i szybko przejrzała jego zawartość, właściwie z przyzwyczajenia. Od ponad trzech miesięcy jej firma nie zorganizowała żadnego dużego przyjęcia. Nagle ze zdumieniem Lucy dostrzegła nazwę swojej firmy pod nagłówkiem: „Nasze ulubione przyjęcie”.

Zdumiona przewróciła kartki i wbiła wzrok w zdjęcia zajmujące całą rozkładówkę czasopisma. Zrobiono je na wielkim letnim zeszłorocznym przyjęciu, które Pret a Party zorganizowała dla „A-List Life”.

Łzy napłynęły do oczu Lucy. Taki życzliwy gest był typowy dla Dorlanda, nawet jeśli naczelny pisma przy okazji piekł dwie pieczenie na jednym ogniu.

Chociaż nikomu wtedy nie dała nic poznać, w trakcie tamtego przyjęcia wiedziała już, że jej małżeństwo jest pomyłką i że Nick ją zdradza. Nie przypuszczała jednak, że również defrauduje pieniądze firmy. Carla i Julia od dawna to podejrzewały, jednak ze względu na przyjaciółkę milczały - w przeciwieństwie do Marcusa. Lucy pomyślała, że nigdy nie

zapomni tamtego upokorzenia, gdy stała przed Marcusem, a on z lodowatą wściekłością wyliczał niegodziwe uczynki Nicka.

- Po jaką cholere w ogóle za niego wyszłaś? - zapytał, po czym dodał natychmiast: - Nie fatyguj się z odpowiedzią. Znam ją. Nie przyszło ci do głowy, że możesz uprawiać seks bez ślubu?

Na samo wspomnienie tamtej wymiany zdań Lucy ponownie oblała się rumieńcem.

- Może pragnęłam nie tylko seksu - odparła wtedy.

Rzeczywiście pragnęła więcej, lecz nigdy tego nie otrzymała. Ze swojej strony też nie dała Nickowi miłości. A co do seksu... Znowu się zarumieniła, tym razem z innego powodu.

Ten sam Nick, który tak jej pochlebiał, ciągle podkreślał, jak bardzo jej pragnie, po ślubie zaczął wyśmiewać brak doświadczenia i niewielki temperament żony. Nie mogła go za to winić. Oświadczył, że jest oziębła, a ona stopniowo coraz bardziej odsuwała go od siebie.

- Nie tylko seksu chciałaś? Doprawdy - prychnął Marcus lekceważąco. - I naprawdę uwierzyłaś, że dostaniesz coś więcej od kogoś takiego jak Nick?

- Pewnie świetnie się czujesz, tak mnie krytykując! - wybuchnęła. - Niestety, jakoś nie widzę, żebyś sam odnosił sukcesy w relacjach z kobietami.

- Może dlatego, że nie zdecydowałem się na poważny związek. Zapewniam cię, że jeśli kiedykolwiek to zrobię, moja decyzja będzie przemyślana. Z całą pewnością po weekendowej kotłowaniu w łóżku nie dojdę do wniosku, że połączyła mnie miłość na całe życie.

Lucy zacisnęła pięści na wspomnienie tych okrutnych słów i pogardy w głosie Marcusa. Naturalnie wtedy usiłowała się bronić.

- To wcale nie... Ja nie... - zaczęła, ale jak zwykle Marcus nie pozwolił jej skończyć.

- Daj spokój, Lucy - przerwał szorstko. - Przecież wszyscy dobrze wiemy, co się stało. Nie zapominaj o paparazzi. Topless kleiłaś się do Blayne'a i twierdziłaś, że zamierzasz dobrze się bawić.

- Widzę, że dobrze to zapamiętałaś - powiedziała cicho. - Długo musiałeś powtarzać moją kwestię, Marcusie.

Naturalnie teraz żałowała idiotyzmów, które wygadywała i które znalazły się w czasopiśmie. Była po długiej podróży samolotem, pakowała się w takim pośpiechu, że zapomniała bikini i potem została przyłapana przez paparazzi. Gadała więc, co jej ślina na język przyniosła - zwłaszcza że paparazzi są niezbędni do tego, by biznes prosperował.

Niektóre znane osoby, niezależnie od tego, co mówią przed kamerami, tak naprawdę wcale nie pragną unikać obiektywów. Wiele z nich specjalnie szuka przyjęć i uroczystości, na których mogą liczyć na zdjęcia. Dlatego też Lucy miała przekonanie, że nie wolno jej obrażać fotografa niezależnie od tego, co o nim sądziła.

Gdyby widział ją dwadzieścia cztery godziny później, miałby zupełnie inne zdjęcie. Wtedy, już w odpowiednim stroju, wyjaśniłaby, że po prostu relaksuje się na wakacjach po stresującej pracy związanej z prowadzeniem świetnie prosperującej firmy.

Niestety, ów fotograf wbił sobie do głowy, że życie Lucy jest niesłychanie interesujące i bezustannie ze swym aparatem jej towarzyszył.

Nickowi bardzo to odpowiadało. Wtedy odebrała to jako sygnał, że w przeciwieństwie do innych mężczyzn, z którymi się spotykała, dobrze będzie sobie radził z pracą żony i wpływem tej pracy na ich życie osobiste. Nie sądziła, że dla Nicka wszystko ma swoją cenę - w tym także wspólne fotografie.

Zresztą o ich publikacji dowiedziała się po fakcie. Byli już z Nickiem małżeństwem.

Naturalnie publicznie musiała ukryć swoje uczucia i udawać, że wita ten śmiały wizerunek z zadowoleniem, radosna, że cały świat widzi, jak bardzo pragnęła świeżo poślubionego małżonka. Już wtedy ów mąż zaczął nazywać ją oziębłą i beznadziejną w łóżku. Dość szybko większość nocy spędzał poza ich wspólnym łóżem.

Lucy z niepokojem zerknęła na zegarek. Spędziła z prawnikiem więcej czasu, niż zamierzała, a wkrótce miała się pojawić na dziewięćdziesiątych urodzinach swojej ciotecznej babci Alice.

Babcia Alice mieszkała w Knightbridge, w olbrzymim, staroświeckim mieszkaniu, w którym było przeraźliwie zimno, gdyż mimo ogromnego majątku starsza pani uparcie nie godziła się na zainstalowanie centralnego ogrzewania.

Zimą nikt z rodziny nie chciał jej odwiedzać, nawet latem zapobiegliwi krewni przychodzili z dodatkowymi swetrami i szalami, żeby jakoś wytrzymać w chłodnych przeciągach, tak cenionych przez ciocię Alice. Twierdziła, że są dobre dla zdrowia i że tylko dzięki nim tak się trzyma, choć ma dziewięćdziesiątkę.

- Akurat - powtarzał zawsze młodszy kuzyn Lucy, Johnny. - Żyje, bo jest zbyt złośliwa, żeby umrzeć. Boże, tak strasznie chciałbym uszczknąć część z tych jej milionów.

- Dlaczego uważasz, że cokolwiek dostaniesz? - spytał kiedyś Piers, brat Lucy.

- Ani trochę w to nie wątpię - odparł Johnny z uśmiechem. - Jestem jej ulubieńcem.

- No, nie da się ukryć, że się o to starasz. - Piers pokiwał głową.

Dziewiętnastolatek Johnny, buntownik o czarującym uśmiechu, bez grosza przy duszy, uchodził w rodzinie za hazardzistę. Lucy podejrzewała, że Marcus gardzi nim podobnie jak nią.

Marcus! Lucy jednak nim nie gardziła. Właśnie to było przyczyną większości problemów w jej życiu. W końcu to z nieodwzajemnionej miłości do Marcusa rzuciła się w ramiona Nicka. A ponieważ wciąż kochała Marcusa - choć robiła wszystko, by to uczucie minęło - traktowała go z wrogością. To była tarcza. Tylko tak mogła chronić się przed potencjalnym upokorzeniem. Marcus nie mógł się dowiedzieć, co Lucy do niego czuje.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Boże, tu jest ciepło! - Lucy już na progu mieszkania babci Alice ściągnęła kaszmirowy szal, który narzuciła na delikatną jedwabną sukienkę.

- Przekupiłem Johnsona i kazałem mu napalić. - Piers uśmiechnął się do siostry.

- Mogłeś mnie uprzedzić - mruknęła i powachlowała się dłonią. - Przecież tu jest jak w saunie. Kwiaty, które kupiłam dla cioci, zwiędną, zanim je wręcę.

- Co tam twoje kwiaty. Pomyśl tylko o moich czekoladkach. - Piers westchnął ze smutkiem.

- Piers sądził, że Johnson posługuje się skalą Fahrenheita - wtrącił ojciec rodzeństwa. - Kazał mu nastawić temperaturę na sześćdziesiąt osiem stopni. Żadne z nas nie wiedziało, co się dzieje, dopóki Johnson nie wrócił i nie powiedział, że podziałka sięga wyłącznie do czterdziestu.

Lucy dołączyła się do ogólnej wesołości. Nagle zamarła, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Marcus.

Czy tylko to sobie wyobrażała, czy wszyscy naprawdę przestali się śmiać i spojrzeli na niego z podziwem?

Marcus miał niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był świetnie zbudowany. Zwracały też uwagę jego gęste ciemne włosy i niezwykle szare oczy, które czasem wydawały się zielonkawe.

Co zatem sprawiało, że nawet mężczyźni milkli w jego obecności? Czy miało to coś wspólnego ze świetnie prosperującym bankiem, od lat w



rękach rodziny Marcusa? Z tym, że to on był prezesem zarządu i znał wiele sekretów swych klientów-kuzynów, tak jak jego przodkowie znali sekrety ich przodków?

Nawet gdy szedł ulicą, ludzie się za nim odwracali. Zwłaszcza kobiety nie mogły oderwać wzroku od Marcusa. Był seksowny.

Lucy pośpiesznie odwróciła spojrzenie i zajęła się lampką szampana, którą podał jej brat.

- Chcesz jeszcze? - spytał Piers, widząc, jak pośpiesznie siostra wypija drinka.

Pokręciła głową. Nie przepadała za alkoholem, w jej pracy bardzo istotne było zachowanie trzeźwości. Szybko nauczyła się upijać mały łyk, a potem dyskretnie odstawiać kieliszek. Zawsze miała trzeźwy umysł, ale była zupełnie nieprzyzwyczajona do alkoholu. Teraz potrzebowała jednak znieczulenia, żeby dać sobie radę z obecnością Marcusa.

- Wspaniale, Marcus jednak przyszedł - usłyszała głos matki. - Charles, poproś go, by do nas dołączył.

- O rany, jak tu gorąco - mruknęła Lucy. - Chyba wstawię te nieszczęsne kwiaty do wody.

Serce waliło jej jak młotem, kiedy uciekała z kieliszkiem w dłoni po korytarzu, aż dotarła w głąb olbrzymiego mieszkania. Tę część cioteczna babka nazywała pokojami dla służby.

Lucy zastanawiała się, jak państwo Johnsonowie, wspomagani jedynie przez pokojówkę, radzą sobie z tak wielką przestrzenią. Weszła do „pokoju kwiatowego”. Na kredensie już przygotowano puste wazony z wodą. Lucy odwinęła swój bukiet i włożyła kwiaty do wody.

Zastanawiała się, dlaczego spotkanie z Marcusem wzbudza w niej takie emocje. Czy naprawdę musiała zadawać sobie to pytanie? Skończyła dwadzieścia dziewięć lat. Dużo czasu minęło, odkąd świeżo po studiach przybyła do Marcusa, spojrzała mu w twarz i pojęła...

Nagle w jej oczach pojawiły się łzy.

Tak, od początku wiedziała, że jest w nim zakochana, i że on z pewnością nie odwzajemni jej uczuć. Co więcej, będzie wzbudzała w nim wyłącznie złość i irytację.

Ponieważ była młoda, to pozwalała sobie na marzenia, na nadzieję, iż pewnego dnia wszystko się zmieni, że kiedyś wejdzie do gabinetu Marcusa, a on spojrzy na nią tak, jakby chciał natychmiast zderzyć z niej ubranie i porwać w objęcia. Czasem jednym uchem słuchała jego połajanek, jednocześnie wyobrażając sobie, jak Marcus się z nią kocha. Naturalnie też miała wtedy chęć pozbawić go ubrania.

Pewnego dnia zerknęła na niego i zrozumiała, że te erotyczne i romantyczne fantazje nie mają żadnego sensu. Marcus ani jej nie pragnął, ani nie kochał, i to nie mogło się zmienić. Właśnie wtedy postanowiła znaleźć sobie innego mężczyznę - bo bała się, że kiedyś nie wytrzyma, i wyzna swoje uczucia Marcusowi, narażając się na totalne upokorzenie.

Doszła wtedy do wniosku, że mąż i własna rodzina z pewnością wszystko zmienią. Popełniła jednak błąd, jej małżeństwo okazało się porażką.

Lucy nie potrafiła być sama, i wcale tego nie pragnęła. Kochała dzieci i od wczesnej młodości była zdecydowana urodzić całą gromadkę. Mimo olbrzymiej sympatii do obu przyjaciółek, czasem zwyczajnie, po

ludzku, zazdrościła im rodzinnego szczęścia i miłości mężów. Wiedziała, że pewnego dnia Marcus też się ożeni, a kiedy tak się stanie...

Zadrzała.

Kiedy tak się stanie, miała nadzieję, że da sobie radę. Że wcześniej znajdzie swoje szczęście i miłość u boku innego mężczyzny. Sama siebie oszukiwała.

Uświadomiła sobie, że nie może w nieskończoność tkwić w pokoju z kwiatami. Być może Marcus już sobie poszedł.

Gdy otworzyła drzwi do salonu, pierwszą osobą, którą ujrzała, był jej kuzyn Johnny. Złapał ją za rękę i głośno się ucieszył:

- Super, że jesteś, właśnie cię szukałem. Jeszcze szampana?

Nie czekając na odpowiedź, wziął lampkę od przechodzącego kelnera i wręczył go Lucy.

- Dlaczego nie siedzisz z innymi? Ty zorganizowałaś to przyjęcie?

- Tak - odparła ze smutkiem.

Po długich negocjacjach umówiła się z ciocią, że zorganizowanie przyjęcia będzie prezentem urodzinowym. Alice miała tylko zapłacić za szampana, przekąski i opłacić kelnerów.

Usiłowała nie patrzeć na Marcusa, który stał po drugiej stronie pokoju i z niezwykle ponurym wyrazem twarzy uważnie obserwował Lucy. Pośpiesznie łyknęła szampana, potem upiła jeszcze kilka łyków. Nawet nie mogła myśleć o tym, co się wydarzy, jeśli Marcus jakimś cudem dowie się o idiotycznym kłamstwie u pana McVicara. Ponieważ mogła liczyć tylko na cud, musiała jak najszybciej pozbyć się domniemanego inwestora.

- Lucy, muszę z tobą o czymś koniecznie porozmawiać.

- Co? - Z trudem oderwała wzrok od Marcusa.
- Muszę z tobą porozmawiać - powtórzył Johnny cierpliwie.
- Naprawdę? - Lucy natychmiast wróciła do rzeczywistości. -

Johnny, jeśli znowu chodzi o pożyczkę, to pozwól, że ci przypomnę, że nadal jesteś mi winien pięćdziesiąt funtów.

- Nie, to zupełnie co innego - zapewnił ją kuzyn. - Chodzi o to...

Pewien mój znajomy od interesów prosił, żebym ci go przedstawił.

- Tak? - zapytała ostrożnie.

- Uhm. Napij się jeszcze. - Wyjął z dłoni Lucy na wpół opróżniony kieliszek i machnął na przechodzącego kelnera, który natychmiast wręczył jej nowy.

Po drugiej stronie pokoju Marcus demonstracyjnie się skrzywił.

Dłonie Lucy zaczęły drżeć tak mocno, że niemal rozlała szampana.

- Jeśli chciałby, żeby Pret a Party zorganizował mu przyjęcie... - zaczęła, usiłując stanąć tak, żeby nie widzieć Marcusa.

Niestety, nic z tego nie wyszło, gdyż on również się przemieścił.

- Nie, myślał o tym, żeby zainwestować w twoją firmę.

- Co? - Teraz naprawdę wylała kilka kropli szampana, a potem szybko się go napiła.

- To przedsiębiorca. Zarobił kupę forsy w swojej firmie. Zatrudnia sprzątaczkę, kucharzy, ludzi, którzy zaczekają na montera z gazowni, zabiorą pranie, wiesz, takie drobne usługi dla bogaczy z City, którzy nigdy nie mają czasu. Widział zdjęcia w ostatnim „A-List Life”, dowiedział się, że jesteś moją kuzynką i oświadczył, że właśnie takiej inwestycji szuka. Powiedziałem, że dziś się spotykamy i że cię spytam.

- Johnny? - Lucy kręciło się w głowie.

Nie skojarzyła, że może mieć to coś wspólnego z większą niż zwykle konsumpcją alkoholu.

- Może sama z nim pogadasz? Dam mu numer do twojego biura...

Wtedy Lucy zrozumiała, że jednak zdarzył się cud. Tego naprawdę się nie spodziewała. Jeszcze bardziej zakręciło się jej w głowie, tym razem ze szczęścia.

- Dobrze. W porządku, Johnny - powiedziała.

- Świetnie. - Johnny spojrział na zegarek i głośno oznajmił: - To już tak późno? Muszę lecieć. Facet nazywa się Andrew Walker.

Lucy nie dokończyła szampana, lecz odstawiła kieliszek na tacę przechodzącego kelnera. Mimochodem wzięła kolejny, po czym skrzywiła się lekko. Nie powinna była wkładać wysokich obcasów, nie pasowały do niej. Kupiła takie buty tylko dlatego, że idealnie pasowały do niebieskiej sukni. Niestety, czuła się w nich tak, jakby stąpała po bardzo śliskim lodzie.

Rozejrzała się po pokoju, lecz nigdzie nie dostrzegła ani rodziców, ani brata. Zaczęła się zastanawiać, czy zdoła dyskretnie się wyniknąć, kiedy nagle wyrósł przed nią Marcus.

- Nie sądzisz, że masz już dość? - odezwał się ponuro.

Czego dość, miała ochotę zapytać. Miłości do ciebie? Tęsknoty? Dość marzeń o tobie? Świadomości, że nigdy mnie nie pokochasz? Owszem, miała tego dość.

- Nie, Marcusie, nie sądzę.

Powrócił znajomy ból, nasilał się z każdą sekundą, którą musiała spędzać w towarzystwie tego mężczyzny.

Spoglądał na nią z typową dla siebie pogardą i irytacją. Lucy jęknęła, gdy ktoś, kto stał za jej plecami, niechcący się z nią zderzył. Zachwiała się, ale Marcus mocno chwycił ją za ramię.

- Ile szampana wypiałś? - zapytał.

- Za mało - odparła z beztroską, której wcale nie czuła.

- Ledwie trzymasz się na nogach - zauważył krytycznie.

- No i co z tego? - Butnie odchyliła głowę. Co w nią wstąpiło?

Wiedziała, że igra z ogniem, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Właściwie to napiję się jeszcze. Mam co świętować - usłyszała swój głos.

Wychyliła kieliszek, zanim Marcus zdołał go jej odebrać, i rozejrzała się wokół w poszukiwaniu kelnera. Miała nieco zdrętwiałe usta i czuła mrowienie w palcach u stóp, ale przecież to z pewnością nie miało nic wspólnego z ilością wypitego przez nią szampana.

- Niby co świętujesz? - Jego uścisk się zacieśnił.

- Cud - odparła.

Może jej się tylko wydawało, ale odniosła wrażenie, że Marcus cicho zaklął.

- Cudem jest to, że wciąż trzymasz się na nogach - mruknął.

Nagle tuż obok znalazł się kelner. Wyciągnęła rękę do tacy z szampanem, ale Marcus błyskawicznie złapał jej dłoń.

- Zostaw to, Lucy - powiedział bardzo spokojnie.

- Pić mi się chce - zaprotestowała.

- Pora na nas. - Lodowaty ton jego głosu nieco ją otrzeźwił.

- Nas? - zapytała.

- Tak. I tak miałem już iść, a jeśli nie chcesz, żeby goście twojej cioci-babci mogli podziwiać cię pijaną na podłodze, to lepiej zdaj się na mnie. Nalegam.

- Jesteś zarządcą mojego majątku, Marcusie, a nie moim opiekunem.

- Teraz jestem człowiekiem, którego cierpliwość się kończy. Poza tym muszę z tobą porozmawiać o firmie.

Lucy zeszywniała.

- Jeśli znów będziesz wygłaszał tyrady na temat Nicka... - zaczęła, ale Marcus po prostu ją zignorował.

- Pamiętasz, że jakiś czas temu wspomniałem, że moja siostra Beatrice planuje przyjęcie-niespodziankę na pięćdziesiąte urodziny swojego męża?

- Tak - potwierdziła Lucy.

Beatrice była starszą siostrą Marcusa, a jej mąż George piastował odpowiedzialne stanowisko w administracji państwowej.

- Pod koniec tygodnia będę się z nią widział. Zaproponowała, żebym zabrał cię z sobą, omówicie szczegóły przyjęcia. Pomyślałem, że dam ci wcześniej znać, żebyś sprawdziła, czy zdołasz znaleźć dla mnie czas.

Lucy głęboko odetchnęła. Była wdzięczna za każde zlecenie, nawet jeśli oznaczało konieczność spędzania czasu w towarzystwie Marcusa.

- Ten tydzień mam w miarę wolny - oświadczyła jak najbardziej nonszalanckim tonem.

Tak naprawdę była wolna przez cały czas, na najbliższy miesiąc nie czekało ani jedno zlecenie.

Dotarli do drzwi wyjściowych, gdzie cioteczna babka Lucy żegnała kilku gości. Lucy zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby się teraz zaparła. Czy Marcus usiłowałby ją siłą wyprowadzić z mieszkania?

- Za szybko idziesz - poskarżyła się, sapiąc, po czym pisnęła nagle, gdy przystanął bez ostrzeżenia, a ona na niego wpadła.

Czuła cytrusowy zapach jego wody, a także ciepły aromat ciała. Nagle pod jej powiekami zebrały się łzy. Ile godzin zmarnowała na poszukiwanie tego zapachu w perfumeriach? Wąchała, testowała, szukała w nadziei, że może go rozpozna, kupi sobie tę wodę i będzie skrapiała nią poduszki, a nawet sama nosiła - tylko po to, by być bliżej Marcusa. Nigdy jednak nie zdołała odkryć, co to takiego.

Tak blisko niej szedł Marcus. To też był niemal cud...

- Marcusie, mój drogi, jak to miło, że przyszedłeś. I Lucy...

Lucy czuła, że ma na twarzy rumieńce. Marcus cofnął się o krok, ale wciąż trzymał dłoń na jej ramieniu.

- W końcu była okazja, droga Alice. Dziękuję ci ogromnie za zaproszenie.

- Drogi chłopcze, jak mogłabym cię nie zaprosić? W końcu twoja rodzina dbała o nasze finanse jeszcze przed kampanią napoleońską na Półwyspie Iberyjskim. Naturalnie powinno być jakieś jedzenie, ale obawiam się, że Lucy mnie zawiodła.

Lucy jęknęła z wściekłością.

- Przecież... Au! - syknęła, kiedy Marcus nastąpił jej na stopę, po czym dosłownie wyciągnął na ulicę.

Całkiem jakby eskortował więźnia, pomyślała z niechęcią.



- Masz świadomość, że przydeptałeś mi stopę? - odezwała się, wdychając dobrze znajomy zapach rozgrzanego słońcem miasta.

- Bo nie umiesz trzymać języka za zębami - odparł krótko.

Dopiero po chwili zrozumiała, co miał na myśli. Rozzłościło ją to.

- To ciocia babcia uznała, że nie będzie żadnego jedzenia. Ja za to nie odpowiadam.

- Czasem mnie zadziwiasz, Lucy. – Marcus pokiwał głową. - Nikt ci nie powiedział, że w biznesie bardzo się przydaje takt?

- I kto to mówi! Jakoś w rozmowach ze mną takt nigdy nie był ci potrzebny.

- Czasem trzeba działać bardziej stanowczo.

- Jeśli masz na myśli moje małżeństwo... - zaczęła, ale natychmiast przerwała.

Nie czuła się pewnie. Nie chciała, żeby dopytywał się o szczegóły. Wdawanie się w kłótnię, w której nie miała szans zwyciężyć, wydawało się bezsensownym posunięciem.

- No to teraz mnie puść, Marcusie! - syknęła po paru sekundach.

Marcus jednak zignorował jej słowa. Wciąż trzymając Lucy za ramię, zatrzymał machnięciem ręki taksówkę, otworzył drzwi i niemal wepchnął ją do środka. Odsunęła się jak najdalej, kiedy zajął miejsce obok.

- Dokąd? - spytał kierowca.

- Na Wendover Square, numer dwudziesty pierwszy.

- Arcott Street.

Oboje odezwali się jednocześnie.

- Proszę się zdecydować - mruknął taksówkarz.

- Wendover Square - powtórzył Marcus, zanim Lucy zdążyła się odezwać.

Spojrzała na niego ze złością.

- Byłoby grzeczniej, gdybyś najpierw mnie podrzucił.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmił lodowato.

- Gadaj.

- Prywatnie. - Wydawał się znacznie bardziej zirytowany niż zazwyczaj.

Taksówkarz wkrótce skręcił w Wendover Square, przy którym stały eleganckie budynki w stylu georgiańskim.

Dom Marcusa, który zamieszkiwali jego przodkowie od czasu wojny na półwyspie, stał w najbardziej reprezentacyjnym miejscu placu. Miał trzy piętra i podwójne drzwi, z tyłu zaś spory ogród. Był prawdziwie stylowy. Lucy zauważyła, że wywarł wrażenie nawet na taksówkarzu, który otwierał im drzwi auta.

- Mam nadzieję, że to, co zamierzasz ze mną omówić, nie potrwa zbyt długo, Marcusie. - Lucy usiłowała przemawiać rzeczowym tonem, ale język się nieco plątał. Dopiero teraz, pojeździe taksówką, uświadomiła sobie, jak bardzo kręci się jej w głowie.

- Gdzie pani Crabtree? - zdołała jeszcze wykrztusić, kiedy weszła do hallu i okazało się, że nigdzie nie ma śladu gospodyni.

Lucy wiedziała, że ta kobieta traktuje swego pracodawcę niemalże jak boga.

- Pojechała do córki pomóc jej przy niemowlęciu.

- Och! - wykrzyknęła Lucy tuż po tym, jak potknęła się w korytarzu.

- Mówiłem, że za dużo wypijałaś. - Marcus popatrzył na nią z niechęcią. - Z całą pewnością nie jesteś zdolna poruszać się o własnych siłach.

To Lucy zabolęło, tym bardziej że nie była to prawda. Przecież się nie upiła. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Marcus dodał:

- Wypadłaś z obiegu, Lucy. Wstawione, trzydziestoparoletnie kobiety w typie Bridget Jones odeszły do lamusa. Teraz w modzie są pracujące mamy z dwójką dzieci i mężem. Jeśli mi nie wierzysz, zerknij na swoje przyjaciółki. I Carly, i Julia mają mężów, i na dodatek obie zostały matkami.

I po co mi to przypominasz, pomyślała ze smutkiem.

- Nie mam trzydziestu paru lat - mruknęła. - A na wypadek, gdybyś zapomniał, pozwolę sobie zauważyć, że miałam męża.

- Gdybym zapomniał? Jak do cholery można by to zapomnieć?

- I wcale za dużo nie wypijałam - dodała Lucy z naciskiem.

Marcus spojrział na nią tak, że raz jeszcze oblała się rumieńcem.

- Nie? No cóż, jeśli byłaś w takim stanie, kiedy Nick Blayne cię poderwał, to nic dziwnego...

- Co nic dziwnego?! - przerwała mu z furją. - Nic dziwnego, że poszłam z nim do łóżka? No to dowiedz się, że poszłam z nim do łóżka, bo...

- Oszczędź mi wynurzeń o swojej miłości do niego, Lucy - powiedział z pozoru obojętnym tonem. - Blayne zwyczajnie cię wykorzystał finansowo, emocjonalnie i seksualnie. A ty mu na to pozwalałaś. Naprawdę nie widziałaś, co to za typ? - Marcus wydawał się

zmęczony. - Nawet szesnastoletnia dziewczica połapałaby się, że ten facet to manipulator.

- Szesnastoletnie dziewczice pewnie mają lepszy wzrok niż prawie trzydziestoletnie singielki - westchnęła z pozoru nonszalancko.

Wiele razy wykorzystywała nonszalancję jako broń przeciwko irytacji i chłodowi Marcusa. Niby jak miała się zachować? Gdyby nie nonszalancja, pewnie załamałaby się i zaczęła szlochać, a to już na pewno by mu się nie spodobało.

- Kochałam Nicka - skłamała.

- Kochałaś? A może po prostu pragnęłaś z nim sypiać?

- Marcusie, oprzytomnij. Teraz nie trzeba wychodzić za mąż, żeby iść z facetem do łóżka. Nawet nie trzeba go kochać, wystarczy tylko się dogadać.

Ujrzała niekłamana pogardę w jego oczach.

- Zdajesz sobie sprawę, jak prowokacyjnie to brzmi? I jak jesteś bezbronna?

Lucy wpatrywała się w niego.

- Co masz na myśli?

- To, że w tej chwili każdy, dosłownie każdy facet mógłby cię zaciągnąć do łóżka.

- To nieprawda!

- Nie? Mam ci to udowodnić?

- Nie zdołałbyś - prychnęła pogardliwie.

- Czyżby?

Chwycił ją tak nagle, że nawet nie zdążyła pomyśleć o uniku.

Znalazła się w ramionach Marcusa, przytulał ją do siebie. Poczowała jego

wargi na swoich, twarde i pewne, gorące. To nie była delikatna pieśczoła, tylko pocałunek zwycięzcy. Nic a nic jej to nie przeszkadzało. Ponownie zakręciło się Lucy w głowie, tym razem nie od bąbelków. Całował ją. Marcus ją całował.

Marcus ją całował!

RS

## ROZDZIAŁ TRZECI

W chwili, gdy Lucy otworzyła oczy, zorientowała się, że nie leży we własnym łóżku. Jednakże dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, gdzie jest - to znaczy, w czyjej sypialni. U Marcusa, w pokoju dla gości. W domu na Wendover Square.

Lucy jęknęła z rozpaczą na wspomnienie wydarzeń wczorajszego popołudnia i wieczoru. Co, na litość boską, w nią wstąpiło? No tak, kochała Marcusa, ale ta ostatnia noc...

Z trudem przełknęła ślinę na wspomnienie tego, co robili od momentu, w którym pocałował ją przy drzwiach wejściowych.

Popatrzyła na zegarek. Dziesiąta rano.

Usiadła gwałtownie na łóżku. To niemożliwe! Zawsze budziła się najpóźniej o siódmej. Zawsze, nawet podczas miodowego miesiąca.

Pomyślała, że jeszcze nigdy nie doświadczyła tak upajającego seksu jak tej nocy z Marcusem - ani podczas miodowego miesiąca, ani wcześniej, ani później.

Marcus? Gdzie on się teraz podział? Wstydliwie okryła się prześcieradłem, chociaż intuicja podpowiadała jej, że gospodarza nie ma w pobliżu. Ubranie Lucy, rozrzucone wczoraj po całej sypialni, było teraz poskładane. Na komodzie leżała koperta z jej imieniem wypisanym zamaszystym charakterem pisma Marcusa. Lucy podeszła do komody i sięgnęła po kopertę. W środku znalazła kartkę, na której Marcus napisał:

Nie wychodź bez śniadania - kawę, owoce, płatki znajdziesz w szafkach i lodówce. Skontaktujemy się po południu w sprawie wizyty u Beatrice.

Jakie to praktyczne. I bardzo w stylu Marcusa.

Lucy powędrowała do łazienki, po czym od razu wskoczyła pod prysznic.

Wystrój wewnątrz u Marcusa był nieco staroświecki.

Lucy uśmiechnęła się z aprobatą na widok nowej szczoteczki do zębów, a także nowego grzebienia, małego słoiczka kremu do twarzy i damskiego dezodorantu.

Na szczęście miała naturalnie proste włosy, więc wystarczyło je tylko umyć i uczesać. Pomyślała, że zanim dotrze do biura, całkiem wyschną. Miała w biurze kilka kompletów ubrań, więc po przybyciu na miejsce będzie mogła się przebrać.

Czuła nieprzyjemne łupanie w głowie - była to mieszanka niepokoju o reakcję Marcusa po tej nocy i braku kofeiny. Z butami na obcasach w dłoni powędrowała na dół.

Kuchnia Marcusa naturalnie była nieskazitelna. Lucy wpadła do niej rozpaczliwie spragniona filiżanki bardzo mocnej kawy.

Dziesięć minut później, po przeszukaniu wszystkich szuflad i znalezieniu wyłącznie kawy bezkofeinowej, musiała przyznać, że dla niej porządna kawa znaczy coś innego niż dla Marcusa.

Bezkofeinowa. Lucy zmarszczyła nos, przygotowała sobie napój i bez przekonania ugryzła banana.

Czuła się nieswojo. Przede wszystkim dlatego, że wczoraj uwiodła Marcusa. Nie musiał się specjalnie wysilać, żeby ją zdobyć. Po prostu

rzuciła się w jego ramiona. Choć oblała się rumieńcem na samą myśl o tym, że wkrótce będzie musiała stawić mu czoła, nie mogła jednak zaprzeczyć, że przeżyła niesamowitą i nie-wysłowioną rozkosz.

A co z emocjami? Lucy zastanawiała się nad tym, wychodząc z domu i zamykając drzwi. Stąd miała niedaleko do siedziby firmy na Sloane Street.

No cóż, od zawsze kochała Marcusa i bardzo pragnęła, by odwzajemnił tę miłość. Teraz promieniała po cudownej nocy i jednocześnie czuła potworny strach na myśl o popołudniowym spotkaniu z tym facetem.

Wpadła do kawiarni po niezbędną dawkę kofeiny. Ku swojej niesłychanej uldze zobaczyła, że jest jedyną klientką.

- To co zawsze? - zapytała radośnie dziewczyna za ladą.

- Tak, choć nie, Saro, zrób mi podwójną porcję. I do tego dwa czekoladowe ciastka.

Sara uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Kofeina i węglowodany? Musiała mieć pani niezłą noc.

- Najlepszą w życiu. Przynajmniej z tego, co pamiętam. - Lucy wywróciła oczami i uśmiechnęła się do dziewczyny.

Uświadomiła sobie, że powiedziała prawdę. Ta noc naprawdę była wyjątkowa.

Mało prawdopodobne, by to się miało zmienić, pomyślała, biorąc podwójne espresso i dwa ciastka.

Marcus z pewnością nie dopuści do powtórki, więc teraz, gdy wreszcie zdołała urzeczywistnić swoje erotyczne fantazje, pozostawało jej



żyć ze świadomością, że nie tylko nigdy nie pokocha nikogo innego, ale nawet nie będzie chciała z nikim seksu.

To żalosne, pomyślała, wpadając do budynku, w którym mieściła się siedziba Pret a Party.

Po drodze wymieniła uśmiech z portierem Harrym.

Niegdyś pomieszczenia firmy wypełniały natarczywe dzwonki telefonów od klientów oraz śmiech dwóch najlepszych przyjaciółek i zarazem współpracowniczek Lucy. Teraz pokoje były puste.

Lucy zrobiło się smutno.

Pięć minut później, już w podkoszulku i dżinsach, Lucy rozkoszowała się ostatnim łykiem pysznej kawy, jednocześnie czytając maile.

Od razu zorientowała się, że nie ma nowych ofert. Jedynym zleceniem było przyjęcie, na którym miał zostać zaprezentowany nowy model sportowego obuwia. Miało się odbyć w bardzo modnym lokalu, cenionym przez telewizyjne sławy, modelki, pierwszoligowych piłkarzy i im podobnych.

Wszystko było gotowe, ale po wypiciu kawy Lucy postanowiła jeszcze dopracować szczegóły imprezy.

Była pochłonięta pracą, gdy nagle zadzwonił telefon.

Marcus!

To musiał być on. Podniosła słuchawkę i nerwowo oblizała językiem spieczona usta.

- Czy mogę mówić z panią Lucy Blayne? - usłyszała.

Oslabła z ulgi Lucy tylko westchnęła.

- Tu Lucy Cardrew, nie noszę już nazwiska męża.

- Dzień dobry. Mówi Andrew Walker. Pani kuzyn Johnny...

Andrew Walker. Cudotwórca, który mógł uratować firmę Lucy i zostać jej współnikiem.

- Tak. Tak. Oczywiście, wiem, kim pan jest!

- To się zapewne wyda pani nieco nagle, ale od jutra będę poza krajem, więc proszę, by znalazła pani chwilę w porze lunchu. Moglibyśmy porozmawiać.

Lucy zerknęła na zegarek. Było już po dwunastej.

- Może o wpół do drugiej? - zaproponowała.

- Świetnie. Czy odpowiada pani Brasserie na Pont Street?

- Naturalnie.

Pont Street znajdowało się tuż za rogiem, a Brasserie była ulubioną restauracyjką Lucy.

- Znakomicie. No to widzimy się o wpół do drugiej.

Lucy odłożyła słuchawkę i spojrzała na swoje dzinsy. Doszła do wniosku, że musi się przebrać

w bardziej elegancki strój. Może w kostium od Armaniego, który jej przyjaciółki nazywały zbroją, gdyż Lucy zawsze wkładała go na oficjalne spotkania. No i na spotkania z Marcusem, kiedy zamierzała go prosić o pieniądze z funduszu powierniczego.

Lucy pomyślała, że być może otwiera się nowy rozdział w jej życiu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Punktualnie o wpół do drugiej wzmocniona jeszcze dwiema kawami i odziana w zbroję od Armaniego Lucy przedarła się przez paparazzi zgromadzonych przed Brasserie i otworzyła drzwi. Recepcjonista, który ją rozpoznał, podszedł z uśmiechem.

- Jem tu lunch z panem Walkerem - wyjaśniła. - Z panem Andrew Walkerem.

- Pan Walker już czeka na panią przy stoliku - oznajmił po chwili kierownik sali.

- Angelo, wróciłeś? Cudownie. Dobrze się bawiłeś w Sydney z synem i wnukami?

- Mój mały świetnie sobie radzi. Ma własną restaurację - poinformował ją dumnie Angelo, gdy szli do stolika w kącie restauracji, z dala od ciekawskich uszu.

Mężczyzna, który przy nim siedział, wstał i wyciągnął rękę.

- Andrew Walker - przedstawił się. Lucy uścisnęła jego dłoń i usiadła.

- Witaj, Andrew. Mówmy sobie po imieniu, jestem Lucy.

Był mężczyzną średniego wzrostu, w średnim wieku, o przeciętnej aparycji. Ubrał się w elegancki, nieco staroświecki garnitur, z pewnością szyty na miarę. Jego koszula i buty były też zapewne na miarę. Lucy pomyślała, że Marcus zawsze wygląda w swoich strojach, jakby się w nich urodził, tymczasem Andrew Walker najwyraźniej jeszcze do nich nie przywykł.

Machnął ręką na kelnera i powiedział do Lucy:

- Kuzyn pewnie ci już wspomniał, że jestem zainteresowany ewentualną inwestycją w twoją firmę?

- Tak.

Skinęła głową, dziękując kelnerowi.

- Tylko wodę - powiedziała stanowczo, gdy Andrew spytał, jakiego wina się napije.

Andrew milczał, dopóki nie pojawiły się ich dania. Wtedy zniżył głos i odezwał się konspiracyjnym szeptem:

- Muszę cię poinformować, że na tym etapie nie powinnaś rozmawiać o moim stanowisku z żadnymi osobami postronnymi.

- Ale mój prawnik musi o tym wiedzieć, prawda? - zapytała.

- W ostateczności. Chociaż wolałbym, żeby to najpierw mój prawnik przygotował umowę. - Lekko wzruszył ramionami. - Odkryłem, że odkąd osiągnąłem sukces, ludzie są niezmiernie zainteresowani moimi poczynaniami. Im mniej wiedzą, tym lepiej. Powiedz, proszę, ile masz teraz zleceń?

- Bardzo niewiele - odparła szczerze. - Z pewnością słyszałeś o finansowych problemach firmy od czasu mojego rozvodu?

- Naturalnie.

- W przyszłym miesiącu mam przygotować wielką imprezę - wprowadzenie na rynek nowego modelu sportowego obuwia...

- Czy to opłacalne?

- Przyjęcia dla firm są niezwykle opłacalne w porównaniu z prywatnymi imprezami - wyjaśniła mu Lucy. - Kiedy organizuję przyjęcie i klient chce mieć dostęp do mojego notatnika z adresami, żeby zapewnić

sobie obecność ludzi z pierwszych stron gazet, mogą zażądać więcej niż wtedy, gdy przygotowuję prywatną imprezę, na którą klient sam zaprasza gości. Naturalnie na prezentację nowego produktu musi przybyć określona liczba prawdziwych gwiazd. Na tej imprezie na przykład zjawi się jeden z najważniejszych piłkarzy, twarz marki. Wysłałam zaproszenie wszystkim, którzy są w stanie zwabić prasę i wzbudzić zainteresowanie mediów.

- A ci wszyscy to...? Lucy wzruszyła ramionami.

- Trochę supermodelek i gwiazd telewizji, ale tych najważniejszych, nie z drugiej ani z trzeciej ligi. Do tego dzieci gwiazd rocka, plus najbardziej rozrywkowe tuzy z branży internetowej. Ludzie, którzy błyszczą pełnym blaskiem i dodadzą go temu wydarzeniu.

- Rozumiem. Czyli główny atut Pret a Party to ten notes z adresami?

- Można tak powiedzieć - przytaknęła Lucy.

- A jeśli chodzi o jedzenie, drinki, lokalizację, kwiaty, tego typu rzeczy? Kto odpowiada za wybór dostawcy?

- Moja firma. Pod tym względem jestem nieugięta. Reputacja Pret a Party została zbudowana na jakości. Dotyczy to zarówno usług, jak i namiotów oraz jedzenia.

- Hm. Rozważałaś kiedyś franszyzę?

- Nie.

- A mnie bardzo to interesuje. Oczywiście, trzeba sporo wyłożyć, zanim gotówka się zwróci. Myślałem o tym, żeby stworzyć własne, zależne firmy świadczące usługi - to właśnie one zagwarantują jakość. Kupimy namioty i zapewnimy ludzi, którzy je rozstawiają. Będziemy też zatrudniali kelnerów, dostarczymy kieliszki i drinki. Podobnie będzie z

kwiatami, muzykami i personelem sprzątającym. Innymi słowy, dostarczymy wszystko, czego życzą sobie klienci.

Lucy wpatrywała się w niego.

- Genialne - oświadczyła po chwili. Jej oczy błyszczały. - Ale to będzie kosztowało fortunę.

- W rzeczy samej. Myślę jednak, że warto zainwestować.

Lucy nie miała pojęcia, co powiedzieć. Wcześniej liczyła tylko na niewielki zastrzyk kapitału, a Andrew Walker lekkim tonem mówił o stworzeniu imperium.

- Jak wspomniałem, musisz mi obiecać, że na tym etapie sprawa pozostanie między nami.

Lucy skinęła głową.

- Musimy się śpieszyć, ale powinnaś dobrze przemyśleć moją propozycję. Może spotkamy się, kiedy powrócę z podróży?

- Naturalnie. - Kręciło jej się w głowie z ulgi i zachwytu.

- Oto moja wizytówka. Właśnie kupiłem budynek na Holland Park. W tej chwili jest restaurowany, ale kiedy skończą się prace remontowe, wydam wielkie przyjęcie dla klientów oraz partnerów w interesach. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z moimi oczekiwaniami, mam nadzieję, że to Pret a Party zorganizuje przyjęcie i w ten sposób wszyscy zapoznają się z naszym nowym przedsięwzięciem.

- Genialnie - powtórzyła Lucy i naprawdę tak myślała.

Marcus ze zmarszczonymi brwiami wyglądał przez okno gabinetu. W tym samym pomieszczeniu pracowali jego przodkowie. Śmierć ojca, kiedy Marcus miał zaledwie sześć lat, spowodowała, że chłopca wychowali matka i dziadek, który dopilnował, by malec zdawał sobie

sprawę z tego, jak ważny jest bank, i że jemu powinien poświęcić całe swoje życie. Dlatego po ukończeniu z wyróżnieniem uniwersytetu Marcus zrezygnował z marzeń o podróżach i skoncentrował się na obowiązkach.

Był prawie sześć lat starszy od Lucy. Kiedy po raz pierwszy weszła do jego gabinetu, poczuł irytację i zniecierpliwienie. Irytację, bo miał już zbyt wiele spraw na głowie, a zniecierpliwienie, bo ujrzał w jej oczach rozmarzenie, świadczące o tym, że dziewczyna lada chwila się w nim zadurzy.

Marcus nie był próżny, ale wystarczająco doświadczony, by zauważyć wrażenie, jakie na niej zrobił. Właśnie dlatego postanowił traktować ją bardzo oficjalnie. Małżeństwo było w jego przekonaniu złem koniecznym, które należało odwlekać jak najdłużej. Ponadto nie zamierzał się zakochiwać.

Zacisnął wargi. Dobrze wiedział, co powoduje miłość. Jego ojciec zostawił rodzinę dla nowej miłości. Wtedy właśnie Marcus go znienawidził.

Trzy tygodnie później ojciec zginął w wypadku razem z kochanką. Marcus obiecał sobie, że nigdy się nie zakocha. Dlatego kobiety, z którymi się spotykał, były nieco starsze od niego, najczęściej rozwiedzione i akceptowały jego zasady. Innymi słowy, stanowiły całkowite przeciwieństwo Lucy.

Mimo tej irytacji i zniecierpliwienia nie mógł zaprzeczyć, że Lucy działała na jego zmysły. Był wściekły, kiedy okazało się, że poślubiła Nicka Blayne'a.

Nie brakowało jej inteligencji. Musiała zdawać sobie sprawę z tego, co to za typ. Najwyraźniej jednak „miłość” ją oślepiła. Miłość i pożądanie,

jak można było wywnioskować ze zdjęć z Blayne'em na karaibskiej wyspie.

Wtedy oprócz złości miał też poczucie winy. Nie był odpowiedzialny za to, że poślubiła Blayne'a ani za późniejszą katastrofę. Zrobił wszystko, żeby uchronić przed nią Lucy, tyle że ona nie chciała go słuchać. I przyszło jej za to zapłacić wysoką cenę.

Marcus czuł się winny, co paradoksalnie sprawiło, że Lucy jeszcze bardziej go irytowała. I intrygowała.

Ta wczorajsza noc... Kiedy wyciągał dziewczynę z przyjęcia, nie pomyślał nawet, że trafi do jego łóżka.

Jednak tak się stało. A teraz...

Zmarszczył czoło. Zbliżały się jego trzydzieste piąte urodziny, w tym wieku każdy jego przodek miał żonę i męskiego potomka, który po latach przejmował bank. Marcus wiedział, że i on będzie musiał wkrótce się ożenić. Znalezienie żony zapewne nie stanowiło problemu, ale odpowiedniej żony, takiej, która zrozumie jego obowiązki i tryb życia, mogło się okazać problematyczne, zwłaszcza że jemu zależało na związku z rozsądkiem.

Nadeszła pora, by poszukać odpowiedniej towarzyszki życia. Może takiej jak Lucy.

Lucy? Czy mu odbiło?

Ostatniej nocy jednak podziałała na niego tak, jak dotąd nie udało się żadnej kobiecie.

On z pewnością byłby dla niej lepszym mężem niż jakiś typ w rodzaju Nicka Blayne'a. Oboje skorzystaliby na małżeństwie. Marcus



potrzebował żony, a Lucy męża choćby po to, by uchronił ją od kolejnych związków z nieodpowiednimi facetami.

Do tego Lucy uwielbiała dzieci!

Tak, to małżeństwo wydawało się mieć sens. Jego świat był także jej światem. Oboje chcieli dzieci i dobrze im było z sobą w łóżku.

Postanowił, że ożeni się z Lucy. Im szybciej, tym lepiej. Musiał ją tylko do tego przekonać.

Po powrocie do biura Lucy zobaczyła migające światełko automatycznej sekretarki. Jej serce zaczęło walić jak młotem, gdy usłyszała nagrany głos Marcusa. Oznajmił, że pojedzie po nią o czwartej.

O czwartej? Uświadomiła sobie w panice, że to za dziesięć minut.

Trzydzieści i pół minuty później zbiegała już po schodach, z uczesаныmi włosami i błyszczącym na wargach.

- Jesteś. Idziemy. Po ulicy krąży strażnik miejski, nie chcę dostać mandatu.

Pospieszyła do bentleya nieprawidłowo zaparkowanego przed samym budynkiem. Marcus otworzył jej drzwi, a potem zasiadł za kierownicą.

Wnętrze auta pachniało skórą i Marcusem. Lucy odchyliła się i zamknęła oczy, oddychając powoli i głęboko.

- Nasz samolot odlataje o szóstej. Masz jeszcze chwilę, żeby się spakować, jeśli teraz zawiozę cię do twojego mieszkania.

- Co? Jaki samolot? Dokąd się wybieramy? - Błyskawicznie otworzyła oczy.

- Do Beatrice - odparł spokojnie. - Czyżbyś zapomniała?

- Przecież twoja siostra mieszka w Chelsea!

- Zazwyczaj. Ma również willę na Majorce i tam teraz przebywa.

Uznała, że powinienem cię przywieźć, bo porozmawiacie o tym przyjęciu, korzystając z nieobecności George'a. Beatrice nie chce, żeby się domyślił, co zaplanowała.

Lucy w milczeniu przetrawiała jego słowa. Nie było to aż takie niezwykle, jak się mogło wydawać, zdarzało się jej latać do klientów, żeby ustalić z nimi szczegóły przyjęcia.

- Ty też lecisz? - zapytała.

- Tak, muszę omówić z Beatrice pewne sprawy rodzinne, zasugerowała, żebyśmy przylecieli oboje - odparł. - Zatrzymamy się tam dwa dni, więc lepiej spakuj kilka rzeczy.

- Muszę się przebrać, przecież nie polecę do Palma w zbroi.

- W zbroi?

Lucy oblała się rumieńcem.

- Tak nazywam swój kostium - wyjaśniła.

- Hm - mruknął tylko.

Skręcił w Sloane Square i zaparkował przed budynkiem, w którym mieszkała Lucy.

- Wejść z tobą.

To nie było pytanie ani propozycja, tylko stwierdzenie.

Czy Marcus nie zamierzał rozmawiać o dzisiejszej nocy?

Najwyraźniej nie.

Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. Było małe, ale tylko jej. Nie kosztowało wiele w przeciwieństwie do apartamentu, który zajmowała wraz z Nickiem w trakcie małżeństwa.

Otworzyła drzwi i spojrzała na Marcusa.

- Zanim cokolwiek zrobię, napiję się kawy - oznajmiła. - Chcesz?

- Nie, dziękuję. Mamy niewiele czasu.

- To ty wszystko zorganizowałaś, a ja nie zamierzam ruszyć się bez zastrzyku kofeiny - burknęła i ruszyła do kuchni.

- Proszę bardzo. Gdzie trzymasz paszport, Lucy?

- W biurku za sofą.

Znalazł szybko dwa paszporty, otworzył jeden z nich i natychmiast tego pożałował. Zdjęcie zrobiono na początku małżeństwa Lucy - na zdjęciu widział radosną, wręcz szczęśliwą młodą dziewczynę. W jej obecnym paszporcie, który wyrobiła sobie po powrocie do panińskiego nazwiska, widniało zdjęcie zmęczonej młodej kobiety o smutnych oczach.

Co też ona widziała w tym Nicku Blaynie? Jak mogła go pokochać? Marcus nieraz zadawał sobie te pytania.

- Znalazłeś? - zapytała, mijając go z filiżanką kawy.

Wyciągnęła niewielką walizkę i zaczęła wkładać do niej niezbędne ubrania.

- Może spakuję ci kosmetyki?

Uznała, że to znacznie lepszy pomysł niż rozmowa o ostatniej nocy. Skinęła głową i podała mu kuferek na przybory toaletowe.

- Lucy, gdzie trzymasz pigułki? - zawołał po chwili.

Pigułki! Dzięki Bogu, że jej przypomniał. Nigdzie nie ruszała się bez lekarstw, które pozwalały znosić fotouczulenie.

- W komódce! - krzyknęła. - Druga szuflada od dołu, po prawej stronie.

Słyszała odgłos otwieranych szuflad, a po chwili Marcus zawołał:

- Nie mogę ich znaleźć!

Odłożyła torbę i weszła do łazienki.

- Tu są - oświadczyła po chwili i wyjęła lekarstwa z szuflady.

- Ale to nie są pigułki antykoncepcyjne - zauważył.

- Co? Nie biorę ich. Nie muszę. Nigdy nie musiałam.

Nie bardzo miała ochotę omawiać to z Marcusem, ale najwyraźniej nie dało się uniknąć tego tematu.

Gdy wróciła do sypialni, Marcus siedział nachmurzony.

Wczoraj, z nietypową dla siebie bez troską, nie pomyślał o zabezpieczeniach.

Patrzył na Lucy, kiedy kończyła pakowanie, i w pewnej chwili uświadomił sobie, że znowu jej pragnie.

Teraz musiał skupić się na tym, żeby to ona go zapragnęła.

- Gotowa? - spytał.

Bez cienia uśmiechu skinęła głową.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Lotnisko w Palmie było zawsze zatłoczone, ten dzień też nie stanowił wyjątku. Lucy usiłowała ominąć turystów i trzymać się Marcusa, który wywierał zdumiewający wpływ na ludzi. Wprost rozstępowali się przed nim.

W pewnej chwili, tuż przy wyjściu, podeszły do niego dwie bardzo ładne dziewczyny z firmy zajmującej się wynajmem samochodów. Lucy zazdrośnie zastanawiała się, czy proponują mu auto, czy też może randkę.

Po chwili odwrócił się do Lucy.

- Przyślą po nas samochód z hotelu.

- Z hotelu? - zdziwiła się. - Jak to? Myślałam, że zatrzymamy się u Beatrice?

- Naprawdę? Willa jest niewielka, a do tego leży na uboczu. Poza tym Beatrice właśnie remontuje łazienki. Wobec tego zarezerwowałam nam hotel. Leży w Deia, nieopodal Residentia, podobno jest nawet lepszy. Nie przejmuj się rachunkiem, biorę to na siebie. Jest już nasz kierowca.

Po chwili ujrzała eleganckiego mężczyznę z tabliczką, na której napisano: „Hotel Boutique, Deia”.

Lucy dość dobrze znała Majorkę, która ostatnio zrobiła się niezwykle modna wśród sław. Gwiazdy kupowały tu ekskluzywne wille i niewielkie hotele na wybrzeżu. Najmodniejsza była Residentia, ale Lucy słyszała, że nowy hotel Boutique robi jeszcze większe wrażenie. Tak przynajmniej twierdzili klienci firmy.

Gdy wyszli z lotniska, owiało ich gorące powietrze. Szofer otworzył drzwi mercedesa limuzyny.

- Gdzie właściwie leży willa Beatrice? - spytała Lucy niepewnie, gdy auto włączyło się do ruchu.

- Na wzgórzach za Palmą.

- Ale to bardzo daleko z Deia. Nie lepiej, żebyśmy zatrzymali się gdzieś bliżej?

- Boutique cieszy się znakomitą opinią, sądziłem, że zechcesz się tam zatrzymać.

- Jak długo będziemy tam jechali? - chciała wiedzieć.

- Niedługo. Dlaczego pytasz?

- Bo znowu potrzebuję kofeiny. Oddałabym majątek za łyk kawy.

- Mam poprosić szofera, żeby się gdzieś zatrzymał?

- Nie, poczekam - westchnęła.

Czuła się zmęczona i zaczynała ją boleć głowa, ale mimo wygodnego miejsca w aucie nie mogła się zrelaksować - Marcus był za blisko.

Po pewnym czasie mercedes skręcił w kamienny tunel, za którym leżał wyłożony kostką dziedziniec. Chwilę później znaleźli się w pachnącym jaśminami foyer, urządzone w typowym dla Majorki stylu. Białe ściany ozdobione były jaskrawymi obrazami oraz tkanymi dywanikami w przepysznych barwach.

- Proszę iść za Jose, zaprowadzi państwa do apartamentów. -

Uśmiechnięta recepcjonistka wręczyła Marcusowi dwa klucze, a bardzo przystojny tubylec wyrósł nagle przed nimi, by im towarzyszyć.

W windzie Jose z dumą oznajmił:

- Dostali państwo najlepsze apartamenty w całym hotelu. Niedawno zatrzymał się w nich król Hiszpanii z rodziną.

Na korytarzu znajdowało się tylko dwoje drzwi. Jose otworzył pierwsze z nich i cofnął się, by wpuścić Lucy.

Szeroko otworzyła oczy. Przed nią rozpościerał się duży i wysoki pokój, pełen mebli z ciemnego drewna. Jedną ścianę zajmowały drewniane rolety, a kiedy Jose je podniósł, Lucy aż jęknęła. Za roletami ukryto wysokie szklane drzwi na prywatny taras z niedużym basenem, a za nim rozciągał się wręcz nieprawdopodobny widok.

- Dziękuję, Jose, sama się wszystkim zajmę. - Lucy wręczyła młodzieńcowi napiwek i obaj mężczyźni wyszli.

Dziewczyna chwyciła za słuchawkę i połączyła się z obsługą hotelową. Dopiero po zamówieniu wytęsknionej kawy uważniej rozejrzała się po swoim pokoju. Rozległo się pukanie. Kawa! Rozradowana otworzyła drzwi i ujrzała za nimi Marcusa.

- Proszę, to dla ciebie - oznajmił i wręczył jej klucz o kształcie karty kredytowej. - Zadzwoń do Beatrice i umówię się z nią na jutro, a jeśli chodzi o dzisiejszą kolację, możemy się wybrać do świetnej restauracji przy przystani. Jest ósma, więc może zarezerwuję stolik na dziesiątą?

- Dobrze - zgodziła się Lucy i odetchnęła z ulgą na widok kelnera.

Dziesięć minut później, po uzupełnieniu niedoborów kofeinowych, Lucy poznała cały apartament, a na widok wanny poczuła, że nie oprze się pokusie kąpieli.

Leżąc w ciepłej wodzie z gęstą pianą, Lucy rozmyślała o Marcusie. Przypomniała sobie poprzednią noc, gdy był z nią, gładził jej ciało i czule pieścił. Przetoczyła się przez nią gorąca fala, która nie miała nic

wspólnego z temperaturą wody. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Lucy zamknęła oczy...

Niemal zasnęła w wannie! Zrobiło się już późno, minęła dziewiąta. Wyciągnęła korek i pośpiesznie złapała miękki, zmysłowy ręcznik. Przytuliła aksamitny materiał, wyobrażając sobie, że tuli się do Marcusa. Znowu zapomniała o całym świecie... Nagle usłyszała stuknięcie otwieranych drzwi.

Marcus był w sypialni Lucy, teraz stanął na progu łazienki! Ile czasu spędził w jej apartamencie? Najwyraźniej przeszedł przez drzwi łączące ich pokoje. Pewnie pukał, ale go nie usłyszała.

- Ile jeszcze czasu potrzebujesz na przygotowania? - spytał. -  
Dochodzi wpół do dziesiątej.

Spostrzegła, że już się przebrał. Miał na sobie jasne spodnie i ciemną koszulę.

- Jestem prawie gotowa – oświadczyła i przemknęła obok Marcusa do pokoju.

- Do przystani prowadzi długa, stroma droga, więc poprosiłem w recepcji o samochód z kierowcą - wyjaśnił Marcus

Po dziesięciu minutach ruszyli do wyjścia. Droga wiała się wzdłuż rzeki. Po obu stronach jezdni wznosiły się luksusowe wille, a sama przystań okazała się niewielkim portem z eleganckimi jachtami. W restauracjach z widokiem na morze pełno było eleganckich i niewątpliwie bogatych gości.

Już po kilku sekundach od opuszczenia samochodu, Lucy zobaczyła co najmniej pół tuzina sław show-biznesu.



- Podobno serwują tutaj rewelacyjne dania z ryb - zauważył Marcus.

- Wiem, że przepadasz za rybami, więc to miejsce powinno przypaść ci do gustu.

- Niewątpliwie - przytaknęła Lucy i stłumiła ziewnięcie.

- Śpiąca?

- Niespecjalnie. Chyba opadłam z sił po kąpieli - odparła.

Marcus zarezerwował stolik z widokiem na przystań. Na dodatek nie mylił się co do jedzenia. Lucy momentalnie ożywiła się na widok smażonych eskalopków z azjatycką sałatką na ciepło w stylu fusion. Zwróciła uwagę, że Marcus zamówił gruby stek z tuńczyka.

- Jeszcze odrobinę wina?

Stanowczo pokręciła głową. Kończyła już drugą lampkę i była przyjemnie odprężona. Nie potrzebowała i nie chciała więcej.

Także Marcus uraczył się dwoma kieliszkami, lecz w przeciwieństwie do towarzyszki, nie skinął głową, kiedy kelner zaproponował kawę.

- Espresso? - zdziwił się, gdy Lucy złożyła zamówienie. - Nie zaśniesz.

- Jeszcze się przekonasz - oświadczyła przewrotnie i natychmiast oblała się rumieńcem. Na miłość boską, Marcus pomyśli, że składa mu jakieś dziwne propozycje. - O której jutro spotykamy się z Beatrice? - spytała pośpiesznie, aby zmienić temat.

- Rano do mnie zadzwoni, aby potwierdzić spotkanie - odparł Marcus i zerknął na zegarek. - Nie chcę cię poganiać, ale lada moment powinien się zjawić nasz samochód.

Na szczęście szybko podano kawę, którą Lucy łapczywie wypila. Gdy rozkoszowała się jej aromatem i smakiem, Marcus przywołał kelnera i uiścił rachunek.

Po powrocie do apartamentu, Lucy zrzuciła sandaalki i sennie ziewnęła. Nie czuła się na siłach ponownie wchodzić do kąpieli, więc postanowiła zadowolić się prysznicem. Natłok zdarzeń ostatnich godzin powinien wzbudzić jej niepokój, lecz była niesłychanie odprężona - do tego stopnia, że przy paru okazjach wybuchnęła śmiechem. Marcus dowiódł, że jest zaskakująco dobrym rozmówcą i ciekawym kompanem, więc żałowała, że wieczór tak szybko dobiegł końca. Rzecz jasna, najchętniej zakończyłaby go w ramionach partnera.

Pośpiesznie się rozebrała, narzuciła na siebie szlafrok, złożyła ubranie i przeszła do łazienki.

Właśnie wycierała się po prysznicu, kiedy ktoś zapukał do okna, które wychodziło na taras. Na zewnątrz stał Marcus i machał do niej, by wyszła. Podobnie jak ona, miał na sobie hotelowy szlafrok - Lucy sięgał on za kostki, Marcusowi z trudem zasłaniał kolana. Dziewczyna z przyjemnością wbiła wzrok w nagie, zgrabne łydki mężczyzny.

Z trudem zapanowała na emocjami i podeszła do drzwi, aby je otworzyć. Cały czas starannie przytrzymała szlafrok, żeby się przypadkiem nie rozchylił. Dotąd nie wychodziła na zewnątrz i z satysfakcją zorientowała się, że dzieli z Marcusem taras, ciągnący się na całej długości apartamentów.

- Marcusie, właśnie szłam spać! - jęknęła. Puścił jej protest mimo uszu i wziął za rękę.

- Chodź - rozkazał. - Musisz na coś zerknąć. Z tymi słowami pociągnął ją ku kamiennej balustradzie, okalającej taras.

- Na co mam zerkać? - spytała i nagle znieruchomiała. - Och... - westchnęła oszołomiona, widząc eksplozję szkarłatnych sztucznych ogni, wystrzelonych z tarasu jednej willi.

- Fajerwerki - wyszeptała.

- Przypomniało mi się, jak bardzo je lubisz - wyjaśnił Marcus z uśmiechem.

- Są jak zaczarowane - wyznała cicho.

- Ktoś musi mieć powody do świętowania. Marcus pomyślał, że też chciałby uczcić znajomość z Lucy. Wolałby jednak świętować w sposób bardziej osobisty.

- Och, Marcusie... - Bez zastanowienia, odwróciła się do niego. Był tak blisko. Odurzająco blisko... Nie miała pojęcia, że tak bardzo go pragnie. - Muszę wrócić do siebie.

Tak bardzo się śpieszyła, że nie zwróciła uwagi, iż Marcus wszedł za nią do pokoju i zamknął drzwi na taras. Gdy dostrzegła, co się święci, było już za późno.

Zaschło jej w gardle, gdy do niej podchodził.

W całkowitym milczeniu wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do łazienki, gdzie zatrzymał się przed lustrem.

Pobladła twarz Lucy nagle odzyskała barwę. Kilkakrotnie musnęła wargami jej usta, aż wreszcie zapomniała o wszystkim, z wyjątkiem własnych potrzeb. Oparła ręce na jego ramionach i zacisnęła palce. W odpowiedzi ściągnął szlafrok z jej ramion, a Lucy potrząsnęła rękami, aby pozbyć się niepotrzebnej bariery.

Marcus powoli obrócił dziewczynę i przywarł do jej pleców. Teraz stał za nią, a ona widziała swoje i jego odbicie w lustrze. Męskie dłonie przesunęły się po jej ciele, gładziły skórę, pieściły piersi. Ustami Marcus drażnił delikatne miejsce tuż za jej uchem.

Wyprężyła się i odetchnęła głęboko. Nie miała siły się bronić, tylko zamknęła oczy, nieco wstrząśnięta erotyczną wędrówką dłoni Marcusa. Marzyła, by wziął ją natychmiast, bez wahania.

- Lucy, otwórz oczy i spójrz w lustro.

Bardzo powoli wykonała jego polecenie. Następnie wyprężyła się jak kotka i przywarła do niego.

Westchnęła i zadrżała, mrużąc oczy w oczekiwaniu tego, co zaraz miało nastąpić.

Nie mogła się poruszyć. Brakowało jej sił nawet na to, by stać. Była zaspokojona, ale nie usatysfakcjonowana. Marcus doskonale wyczuwał te emocje. Bez wahania wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

- Marcusie, nie wiem, czy powinniśmy to robić - wyszeptała niepewnie.

- Czemu nie? Poprzednia noc przypadła ci do gustu, prawda?

Czy przypadła do gustu? Oczywiście, że tak, ale nie o to chodziło, nie do tego zmierzała.

- Och, tak, ogromnie - odparła cicho.

- Co cię zatem trapi? - spytał.

- Chyba nic - westchnęła bez przekonania. Jak mogłoby ją coś trapić, kiedy Marcus całował ją tak czule?

- Mhm - zamruczała zadowolona i mocno otoczyła go ramionami.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lucy skierowała wzrok na sąsiednią poduszkę, na której zostało wgniecenie po głowie Marcusa. Pogłaskała je z czułością i uśmiechnęła się. Poprzednia noc była cudowna, dodatkową radość sprawiło jej to, że mogła zasnąć wtulona w kochanka. Budziła się kilka razy, tylko po to, by z przyjemnością upewnić się, że leży u jego boku.

Ale Marcus nie mógł na zawsze przy niej być. Nie miała pojęcia, co go skłoniło do zaangażowania się w tę seksualną przygodę, lecz wiedziała, że ona bardzo przeżyje rozstanie z nim. Nie potrafiła się pogodzić z myślą, że ten wspaniały mężczyzna zakończy ich związek. Pragnęła Marcusa na całe życie.

Nagle ogarnęło ją przygnębienie.

- Wstawaj, śpiochu, już czas. Zamówiłem śniadanie, lada moment zjawi się tu obsługa hotelowa.

Marcus! Lucy gwałtownie usiadła na łóżku i natychmiast zaczerwieniła się ze wstydu. Pośpiesznie sięgnęła po kołdrę, aby zasłonić piersi.

Nieco rozbawiony Marcus usiadł na skraju łóżka, odsunął kołdrę i złożył czuły pocałunek na dekolcie dziewczyny.

- Może jednak powinienem zadzwonić i poprosić, by przynieśli posiłek nieco później - mruknął.

- Mhm - przytaknęła Lucy, lecz wyrwała mu kołdrę, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Powiem, żeby zanieśli śniadanie na taras, przez mój apartament - zaproponował Marcus i wstał z łóżka, aby zasłonić żaluzje. - Tylko ani mi się waź zasypiać.

Zasypiać! Nawet jej to nie przeszło przez myśl. Zerwała się energicznie i poszła do łazienki wziąć prysznic.

Dziesięć minut później ponownie spotkała się z Marcusem.

- Właśnie miałem sprawdzić, czy nie zmorzył cię sen - oznajmił na powitanie, gdy wyszła na taras. - Zamówiłem dla ciebie kawę. Do tego sok owocowy i sadzone jajka z pomidorami i pieczarkami, oraz tosty.

- Śniadanie na ciepło? Faj! - wzdrygnęła się Lucy i momentalnie zapragnęła wypić cały dzbanek kawy.

Marcus już jej nalewał aromatyczny napar do filiżanki. Zauważyła, że sam wybrał zieloną herbatę.

- Organizm potrzebuje białka, zwłaszcza rano - oświadczył stanowczym tonem i zdjął pokrywkę ze swojego talerza. - Bez tego nie będzie prawidłowo funkcjonował.

- Dziękujemy doktorowi Atkinsowi za fachową poradę - zakpiła Lucy i sięgnęła po kawę.

Smażone jajka wyglądały jednak apetyczniej, niż sądziła. Wyciągnęła rękę i skubnęła kawałek pieczarki z talerza Marcusa.

- Do roboty. - Podsunął jej całe danie. - Zaraz po śniadaniu zadzwonię do Beatrice, żeby sprawdzić, o której ma zamiar się z nami spotkać - dodał. Lucy wbiła widelec w jajka i uświadomiła sobie, że umiera z głodu. Zjadła niemal wszystko i chwyciła za filiżankę. - Teraz musimy poważnie porozmawiać.

Odstawiła kawę, bo jej dłonie zaczęły drżeć. Zrozumiała, że nadeszła chwila, której tak bardzo się obawiała: będzie musiała wytłumaczyć się przed Marcusem.

- Jeśli chodzi o ostatnią noc... i wczorajszą... - zaczęła niepewnie.

- W rzeczy samej, chodzi mi właśnie o to - potwierdził. - Odnoszę wrażenie, Lucy, że dobrze by było, gdybyśmy się pobrali.

Nie przesłyszała się? Żartował sobie z niej?

- Mówisz o ślubie? Twoim i moim, naszym wspólnym? - dopytywała się ostrożnie.

- Oczywiście, że twoim i moim. Mówię o małżeństwie. Naszym - odparł cierpliwie.

- Ale dlaczego? Przecież niespecjalnie za mną przepadasz! - wypaliła, zdumiona własną otwartością.

- Moim zdaniem wręcz idealnie do siebie pasujemy.

Lucy wypiąła potężny łyk kawy. Uświadomiła sobie, że Marcus nawet nie wspomniał, iż cokolwiek do niej czuje, a już na pewno nie wyznał jej miłości.

- Pochodzimy z podobnego środowiska i podejrzewam, że prawie tak samo patrzymy na życie - wyjaśnił. - Oboje chcemy mieć dzieci, prawda? Chociaż twoje małżeństwo z Nickiem się rozpadło, zapewne zgadzasz się, że ludzie powinni się wiązać na całe życie, na dobre i na złe. Wierz mi, jeśli się pobierzemy, całkowicie i bezgranicznie poświęcę się naszemu małżeństwu, a także tobie i naszym dzieciom. Takiego samego poświęcenia będę oczekiwał od ciebie.

Całkowite i bezgraniczne poświęcenie ze strony Marcusa? Czyżby to był sen?

- Ale... ale...

- Ale co? - spytał chłodno. - Jak dowiodły ostatnie dwa dni, jesteśmy również dobrani seksualnie.

- Przecież ludzie nie biorą z sobą ślubów tylko dlatego, że świetnie się razem bawią w łóżku! - zaprotestowała Lucy. - To niewystarczający powód, byś mi się oświadczał, Marcusie.

- Są jeszcze inne - wyznał.

- Mianowicie?

- W grudniu stuknie mi trzydzieści pięć lat - oznajmił bez emocji. - Wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie: ojciec, dziadek, pradziadek i dawniejsi przodkowie brali ślub przed trzydziestym piątym rokiem życia. To rodzinna tradycja, której nie zamierzam łamać.

Czyżby chciał przez to powiedzieć, że znajdzie sobie inną kandydatkę, jeśli Lucy da mu kosza?

Zastanowiła się, jakby to było zostać żoną Marcusa. On jej nie kochał, ona nie wyobrażała sobie życia bez niego. Z pewnością by cierpiała, i to potwornie. Potem przyszło jej do głowy, że to byłby koszmar, gdyby Marcus ożenił się z inną kobietą tylko dlatego, że chciał mieć żonę przed trzydziestymi piątymi urodzinami. Nie zniosłaby świadomości, że jej ukochany związał się z kimś, choć to ona mogła za niego wyjść.

- Ponadto musimy brać pod uwagę, że możesz być w ciąży - zauważył Marcus. - Kochaliśmy się bez żadnego zabezpieczenia. Doskonale wiem, jak bardzo kochasz dzieci, ale mocno wątpię, byś marzyła o samotnym macierzyństwie. Z pewnością nie dopuściłbym do tego, żebyś wychowywała nasze dziecko bez mojego wsparcia. Chcę mieć



na to wpływ. Zrozum, nasz ślub rozwiązywałby wszystkie problemy. Byłby po prostu najpraktyczniejszym wyjściem z sytuacji.

Lucy nie interesowały praktyczne rozwiązania. Potrzebowała miłości do grobowej deski i obietnic, że na okrągło będzie obsypywana pocałunkami.

Marcus jej nie kochał. Musiała o tym pamiętać. Tak samo nie kochał jej Nick, i wszyscy się przekonali, co z tego wynikło.

Nie mogła wyjść za Marcusa i zarazem nie mogła nie brać z nim ślubu.

Nie kochała Nicka, wiedziała to na pewno. Kochała za to Marcusa, który zresztą w niczym nie przypominał jej byłego męża. Gdy Marcus stwierdził, że ich małżeństwo będzie związkiem na stałe, na pewno mówił poważnie. Pragnęła co rano budzić się u jego boku, mieć z nim dzieci, zestarzyć się razem.

Miłość może przecież dojrzewać, prawda? Marcus jej pragnął, w przeciwieństwie do Nicka chciał się z nią kochać.

- Marcusie, gdybyśmy jednak zostali parą, nie sądzisz, że ludzie uznaliby to za dziwne i zadawaliby kłopotliwe pytania?

- Niby czemu? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - A nawet gdyby zadawali pytania, powiedziałbym im po prostu, że zawsze miałem zamiar cię poślubić. Blayne wygrał ze mną w pierwszej rundzie, dlatego muszę dopilnować, by więcej nie powtórzyć tego samego błędu. Nie mogę pozwolić, by znowu ktoś mi cię odebrał.

Lucy poczuła pieczenie pod powiekami. Gdyby to była prawda...

- Zatem jesteś gotowa przyjąć moje oświadczenia? Przysięgam, że moim zdaniem nasz związek wytrzyma próbę czasu, i że dołożę wszelkich starań, aby tak się stało.

- Sama nie wiem... - wybąkała. - Jestem w kropce.

Marcus przemawiał tak, jakby przewodniczył zebraniu w interesach, a nie oświadczał się wybranej kobiecie.

Właściwie trudno się dziwić, pomyślała Lucy ze smutkiem. Dla niego małżeństwo jest formą dobijania targu.

- Może powinienem zaprowadzić cię z powrotem do łóżka - zaproponował łagodnie. - Tam szybciej byś podjęła ostateczną decyzję.

Poczuła, jak jej opór topnieje. Bez zastanowienia pokiwała głową.

- Doskonale - pochwalił ją Marcus. – Zatem wszystko jest na właściwej drodze. Nie ogłosimy nic publicznie, dopóki nie porozmawiam z twoim ojcem. Poza tym wolę zaczekać z wyborem pierścienia dla ciebie do czasu naszego powrotu do Londynu. Mamy w rodzinie tradycyjny pierścionek zaręczynowy, ale jest tak brzydki, że mama zagroziła zerwaniem z moim ojcem, jeśli nie pozwoliłby jej wybrać czegoś innego. Uważam, że mamy prawo wybrać biżuterię zaręczynową, niekoniecznie poddając się rodzinnej tradycji.

- Nic dodać, nic ująć - przytaknęła Lucy.

Czy to się działo naprawdę? Czy rzeczywiście rozmawiała z Marcusem o szczegółach ich ślubu, po cudownej nocy, którą razem spędzili?

- Mamy październik - ciągnął Marcus. - Mam urodziny na początku grudnia, zatem przed końcem listopada chcę być twoim mężem.

Uroczystość będzie skromna, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Och, jak najbardziej. Zaprosimy kilka osób do urzędu.

- Nie - zaprotestował Marcus. - Wolę uroczystość religijną.

Ostatecznie wiążemy się na całe życie. Nie brałaś ślubu kościelnego z Blayne'em, zatem nie ma przeszkód, byśmy zawarli ślub w kościele. Nawet gdybyśmy dopełnili formalności w urzędzie, i tak chciałbym otrzymać błogosławieństwo w kościele oratoriańskim w Brompton. Londyński dom twoich rodziców jest w Knightsbridge i...

Lucy przestała go słuchać. Kościół oratoriański był niesłychanie modny, wybierała go śmietanka towarzyska miasta i okolic.

Marcus spojrział na zegarek.

- Dochodzi jedenasta, a spotkanie z Beatrice mamy o wpół do pierwszej w Palmie. Daje nam to więc półtorej godziny na przygotowania. Na wszelki wypadek do niej zadzwonię i przypomnę, co ustaliliśmy. Nie znam nikogo o równie kiepskiej pamięci.

Oboje wstali, a Lucy pod wpływem impulsu pociągnęła Marcusa za rękaw i pocałowała w usta, gdy się pochylił. Poczowała, jak tężeją mu mięśnie, a do jej policzków napływa krew. Cofnęła się zmieszana.

Marcus popatrzył na nią spod zmrużonych powiek i nagle przyciągnął ją do siebie.

Nie miała pojęcia, jak i kiedy jego dłoń wśliznęła się pod szlafrok i spoczęła na nagim ciele. Instynktownie przysunęła się bliżej zachwycona jego gotowością. Dopiero po chwili z niechęcią przypomniała sobie o Beatrice.

- Powiedziałaś, że musimy się przygotować na spotkanie z twoją siostrą - zauważyła lekko zdyszana.

- Do diabła z nią - odparł, lecz wypuścił dziewczynę z objęć. Na pożegnanie mocno pocałował ją w usta. - Masz rację. Lepiej się zbierajmy.

Zatem Lucy miała wyjść za Marcusa. Nadal nie potrafiła się oswoić z tą myślą.

Dotarli do Palmy pięć minut przed spotkaniem; na miejsce dowiózł ich hotelowy szofer.

- Sądziłam, że pojedziemy do domu Beatrice, aby przedyskutować kwestie związane z przyjęciem - zauważyła Lucy.

- Beatrice zaproponowała wspólny lunch - odparł Marcus. - Restauracja jest tutaj.

Lucy nieźle znała Palmę. Restaurację, przed którą się zatrzymali, odwiedzali bogaci mieszkańcy i przyjezdni. Świadoma, w jak eleganckich i kosztownych strójach gustuje starsza siostra Marcusa, Lucy postanowiła włożyć coś nieco bardziej wyjściowego niż zwykle. Była zadowolona z wyboru, gdyż lunch zapowiadał się dość sztywno. Jej lniana spódnica pasowała do białego topu w paski, ukrytego częściowo pod asymetrycznym żakietem z bawełny i lnu.

- Beatrice najwyraźniej jeszcze nie dotarła, ale możemy usiąść przy stoliku i na nią zaczekać. Chyba że masz ochotę na drinka przy barze? - spytał Marcus.

- Nie, chodźmy do stołu - zdecydowała Lucy.

Nie chciała, by Marcus nabrał błędnego przekonania, że bez odpowiedniej dawki alkoholu jego przyszła żona nie jest w stanie wytrzymać do wieczora. Kawa... to zupełnie co innego.

Po mniej więcej pięciu minutach do restauracji wpadła zadyszana siostra Marcusa. Wysoka i ciemnowłosa jak brat, miała na sobie spodnie z czarnego lnu oraz beżowy top z bawełny. Jako opaski do włosów używała dużych okularów przeciwsłonecznych.

- Marcusie! - wykrzyknęła i pośpieszyła go ucałować. - Wybacz mi spóźnienie. Lucy, to bardzo uprzejmie z twojej strony, że zechciałaś poświęcić czas na spotkanie ze mną.

- Napijesz się czegoś? - spytał Marcus, gdy kelner podsunął jej krzesło.

- Och, chętnie. Poproszę sok, dzisiaj siedzę za kółkiem. Dlatego się spóźniłam. Nie potrafiłam znaleźć miejsca do parkowania. Jaka pogoda w kraju? Parę dni temu rozmawiałam z mamą i skarżyła się, że leje. Glazurnik niegodziwiec zapowiedział, że nie może ściągnąć glazury, którą zamówiliśmy. To oznacza, że na przyjazd Boffy i Izzy pozostaniemy tylko z jedną łazienką - Beatrice mówiła o wszystkim naraz.

Lucy wiedziała, że pomimo onieśmielającej powierzchowności Beatrice jest bardzo łagodną osobą.

- Zdecydowanie mogę polecić ten lokal. Świetnie w nim karmią, Lucy - zapewniła Beatrice. - Najlepsze są ryby, chociaż raczej unikaj zupy rybnej. Zbyt hojnie ją doprawiają.

Wkrótce podano menu. Lucy pogрузzyła się w lekturze, gdy Marcus i Beatrice rozmawiali, a właściwie Marcus słuchał, a Beatrice mówiła.

- Beatrice, masz już jakiś pomysł na urodzinowe przyjęcie-niespodziankę dla George'a? - spytała Lucy, gdy kelner przyjął zamówienia.

- Co takiego? Ach nie, raczej nie. George wolałby skromną uroczystość, tylko dla rodziny i przyjaciół. Poza tym lubi zamki i nawet się zastanawiał, czy moglibyśmy jakiś wynająć. Co ty na to?

- Och, to da się zrobić - zapewniła ją Lucy. Wkrótce podano potrawy i Lucy z zapalem przystąpiła do jedzenia. Uznała, że doskonały apetyt zawdzięcza nocnym ekscesom i natychmiast się zaczerwieniła.

- Na miłość boską, Lucy, ale masz wypieki. Dobrze się czujesz? Ciepło tutaj. Porozmawiamy jeszcze o przyjęciu, kiedy wrócę do Londynu. Ostatecznie mam teraz pilniejsze sprawy na głowie. Ci fachowcy wyprowadzają mnie z równowagi.

Gdy dokończyli posiłek, Marcus popatrzył na Lucy.

- Masz ochotę na pudding? - spytał łagodnie.

- Nie, dziękuję. Ale chętnie wypiję kawę.

- Kawę? Lucy, moje słońce, czy na pewno dobrze postępujesz? Przez tę kofeinę w organizmie będziesz trajkotała do samego wieczora.

Lucy powstrzymała się, aby nie zachichotać. Popęłniła jednak błąd i spojrzała na Marcusa. Był równie rozbawiony jak ona. Poczula, że doskonale się rozumieją, jakby już tworzyli stałą parę.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zadzwonię do mamy i opowiem o spotkaniu z wami - wyznała Beatrice dwadzieścia minut później, gdy odprowadzili ją do samochodu. Po chwili nie tylko uścisnęła Lucy, lecz także czule ją ucałowała. - Mama będzie zachwycona. Zawsze miała do ciebie słabość, Lucy.

- Marcusie, wydaje mi się, że Beatrice czegoś się domyśla - zauważyła Lucy, gdy pomachali odjeżdżającej siostrze.

- Jak to?

- Chyba wyczuła, że coś nas łączy.
- Mam nadzieję. Po tylu sugestiach, które wygłosiłem...
- Co takiego? Przecież powiedziałaś, że nikogo nie poinformujesz o naszych planach!

Marcus był przygotowany na to pytanie.

- Nie poinformowałem jej. Po prostu sugerowałem taką ewentualność. Znam Beatrice. Z pewnością już od dawna zdawała sobie sprawę z tego, co się święci. Dzięki temu unikniemy kłopotliwych pytań o to, dlaczego tak nam się śpieszy.

Marcus pomyślał z satysfakcją, że w ten sposób zamknął także Lucy drogę odwrotu.

- Mamy jeszcze godzinę do przyjazdu hotelowego samochodu - zauważył. - Co powiesz na przechadzkę?

- Z ochotą - odparła Lucy szczerze.

Nie była jednak przygotowana na to, że Marcus zabierze ją na spacer do bardzo ekskluzywnego jubilera.

- Widzisz tu coś dla siebie? - spytał, gdy przystanęli przed wystawą.

- Zdaje się, że miałam dostać pierścionek dopiero po powrocie do domu.

- Wszystko się zgadza. Po prostu pomyślałem, że sprawię ci jakiś dyskretny upominek. Dajmy na to kolczyki. Takie jak te - dodał i pokazał palcem brylantowe cacka, od których Lucy nie mogła oderwać wzroku.

- Marcusie, nic nie musisz mi kupować - zaprotestowała.

- To prawda. Nie muszę - zgodził się i zadzwonił do drzwi. - Ale chcę.

Po chwili znaleźli się w klimatyzowanym sklepie, którego podłogę wyłożono grubymi dywanami. Pełno w nim było biżuterii w szklanych gablotach. Na powitanie wyszło dwoje nienagannie ubranych sprzedawców.

Gdy tylko Marcus wyjaśnił, czego szuka, razem z Lucy został wprowadzony do małego pokoju na zapleczu. Oboje usiedli w wygodnych fotelach.

- Może mają państwo ochotę na coś do picia? - spytał sprzedawca. - Wodę, kawę?

- Och tak, poproszę kawę - uradowała się Lucy, udając, że nie zwraca uwagi na wysoko uniesione brwi Marcusa. - Może tobie nie jest potrzebna kofeina, ale ja bez niej nie wytrzymam - syknęła, gdy tylko zostali sami.

- Nie wytrzymasz bez kofeiny i bez szampana - zakpił Marcus.

Po chwili sprzedawca wrócił w towarzystwie starszego pana, niewątpliwie swojego przełożonego. Lucy nie zdążyła odeprzeć szampańskiej szarży Marcusa.

- Wyśmienity wybór, proszę pani - pochwalił ją wiekowy dżentelmen i położył kolczyki na czarnym aksamicie. - Kamienie są bez najmniejszej skaży. Należą do kategorii D, co oznacza, że są wyjątkowo czyste i klarowne. Każdy ma półtora karata, oprawiono je w platynę.

Lucy pomyślała, że w dodatku kosztują fortunę i pożegnała się z nimi.

- Są urocze - przyznała. - Niemniej...

- Może je przymierzysz? - zaproponował Marcus.



Lucy niechętnie przypięła kolczyki i zerknęła do lustra, podsuniętego przez sprzedawcę. Kamienie lśniły błękitnobiałym ogniem. Rzeczywiście, wydawały się wyjątkowo szlachetne.

- Zechcą mi państwo na moment wybaczyć - mruknął ekspedient i wyszedł.

- Marcus, nie wolno ci ich kupować! - oświadczyła Lucy.

- Czemu nie? Nie podobają ci się? Osobiście uważam, że doskonale do ciebie pasują.

- Oczywiście, że mi się podobają - wyznała. - Nie w tym rzecz.

- Tylko w czym?

- W cenie, rzecz jasna. Marcusie, one są niewyobrażalnie drogie.

Marcus zmarszczył brwi. Lucy była pierwszą znaną mu kobietą, która prosiła go o to, by nie kupował jej biżuterii, bo jest za droga.

Sprzedawca powrócił z małym aksamitnym pudełkiem.

- Bierzemy kolczyki - zdecydował Marcus.

- Mojej narzeczonej ogromnie przypadły do gustu.

- Zapewniam, że nie pożałują państwo wyboru - promieniał sprzedawca. - Kolczyki są naprawdę warte swojej ceny. Przyszło mi do głowy, że może mieliby państwo ochotę rzucić okiem na tę bransoletę, wysadzaną kamieniami tej samej jakości co kolczyki, lecz tylko jedno-karatowymi. Bransoleta jest wykonana z platyny i białego złota. Projekt nowoczesny, lecz subtelny - zachwycił się ekspedient.

Lucy ponownie wstrzymała oddech. Bransoleta była piękna, prosta i elegancka, zdobiły ją trzy brylanty.

- Przymierz - zachęcił Marcus. Lucy pokręciła przecząco głową.

- Nie - zaprotestowała stanowczo. - Rzeczywiście, to piękny przedmiot - zwróciła się do sprzedawcy. - Ale nie lubię nosić dużo biżuterii, najwyżej zegarek. Kolczyki w zupełności wystarczą.

Dyskretnie zaczekała w głównej części sklepu, podczas gdy Marcus uiścił rachunek za kolczyki. Po chwili oboje wyszli na późnopołudniowe słońce. Lucy marzyła o tym, by Marcus wziął ją za rękę, ale tego nie zrobił. Poczowała lekkie, lecz przykre ukłucie bólu.

- Dziękuję za kolczyki - powiedziała cicho. - Są piękne, nie powinieneś był mi ich kupować.

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że powinienem. Chciałabyś jeszcze coś obejrzeć? Samochód powinien się zjawić za parę minut.

Pokręciła głową. Tak naprawdę marzyła o tym, by wrócić do hotelu i zamknąć się w pokoju z Marcusem.

- Masz ochotę na kolację na tarasie? A może wyjdziemy albo zamówimy coś w hotelowej restauracji - proponował Marcus. - Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy porozmawiać o naszej przyszłości i wyjaśnić sobie wszystko, co może cię nurtować. Jutro rano wracamy do Londynu i powiadomimy wszystkich o zaręczynach.

Gawędzili w jej apartamencie, powróciwszy z Palmy.

- Kolacja na tarasie, cudownie - oświadczyła Lucy szczerze.

- Porozmawiamy o twojej wizji przyszłości Pret a Party - zaproponował Marcus.

Pret a Party! Lucy nagle sobie uświadomiła, że od pewnego czasu prawie wcale nie myśli o firmie.

- Och, nie musisz... - Machinalnie zaczęła zapewniać Marcusa, że nie powinien się martwić o firmę, bo nikt od niego nie oczekuje pieniędzy na jej ratowanie i spłacanie długów. Ugryzła się jednak w język. Andrew Walker powiedział, że nie chce, by na tak wczesnym etapie ktokolwiek dowiedział się o ich negocjacjach. Poza tym nie bardzo było o czym mówić, skoro nie przedstawił jeszcze żadnej konkretnej propozycji. Gdyby powiedziała Marcusowi, że jej problemy z biznesem to przeszłość, bo Pret a Party ma potencjalnego inwestora, wówczas musiałyby wyznać, że została na lodzie. Zachowałyby się więc głupio i nieprofesjonalnie. Tak właśnie się stało, gdy Nick ją oszukał. Nadal pamiętała, jak zły i rozsierdzony był Marcus. Nie chciała tego powtarzać.

- Czy musimy dzisiaj rozmawiać o Pret a Party? - westchnęła. - Pomyślałam, że ten wieczór mógłby być dla nas... - wyszeptwała.

Czuła, jak jej policzki pąsowieją.

- Dla nas? Z pewnością dobrze by było przedyskutować kilka kwestii, które należy ustalić.

Ogarnęło ją rozczarowanie. Nie o to jej chodziło.

- Kilka kwestii? - Chodziło mu o środki antykoncepcyjne? Lucy nie potrafiła zrozumieć, w czym rzecz.

- Tak jest - potwierdził. - Praktycznych kwestii. Na przykład: gdzie zamieszkamy. Wolałbym zachować dom przy Wendover Square. Tam mieszkalibyśmy, przebywając w Londynie.

Budynek należy do mojej rodziny od prawie dwóch wieków.

- Dom jest piękny - przyznała Lucy. - Zwłaszcza ogród. Ale i tak chciałabym go wyremontować. A w kuchni musi się zjawić ekspres do kawy - dodała z naciskiem.

- Remont? Zgoda - oświadczył Marcus. - Co do ekspresu... Tę sprawę musimy dogłębnie przemyśleć i przedyskutować. Może wypracujemy jakiś kompromis. Na pewno chciałbym z tobą poszukać domu na wsi.

- Mhm, chętnie. Pamiętaj: nie zamierzam rezygnować z pracy.

- Oczywiście. Ja również - dodał rozbawiony i zerknął na zegarek. - Zwróć tylko uwagę, że możesz być w ciąży, bo takie często bywają skutki seksu. Jednoczesne kierowanie firmą i nianczenie dziecka to niełatwa sztuka. Jest szósta, a ja chcę wziąć prysznic. Może wrócę do siebie, zamówię kolację na ósmą, umyję się, przebiorę, zadzwonię tu i tam, a potem spotkamy się na tarasie o wpół do ósmej?

- Doskonale - zgodziła się Lucy, choć rozczarowało ją, że Marcus odszedł, nie całując jej na pożegnanie. Postanowiła również wziąć prysznic, ale wcześniej zatelefonowała po kawę.

Umyła się szybko, a kiedy owinięta puszystym, pachnącym ręcznikiem wyszła z łazienki, okazało się, że dzbanek z kawą już czeka. Podeszła do stolika, aby nalać sobie filiżankę, lecz nagle znieruchomiała. Obok tacy spoczywało małe pudełko, zapakowane jak prezent. Natychmiast rozpoznała logo na wstążce: była to nazwa sklepu jubilerskiego, który odwiedzili po południu.

Lucy pomyślała, że to nie obsługa hotelowa pozostawiła taki upominek. Sięgnęła po paczuszkę. Opakowanie było dość duże. Kiełkujące w umyśle Lucy podejrzenie wkrótce się potwierdziło: w środku znajdowała się bransoleta, którą prezentował im sprzedawca.

Prezent od Marcusa? Oprócz kolczyków? Rozpieszczał ją. Lucy wolałaby być jednak rozpieszczana jego gestami.

Oboje postanowili, że kolację zjedzą w szlafrokach. Nikt ich nie podglądał, a to szczególne ubranie dodawało kolacji pikantnego smaczku. Lucy zerknęła na bransoletę, którą miała na przegubie. Księżyc w pełni zalewał taras chłodnym, ostrym blaskiem. Lucy sięgnęła po krewetkę i zanurzyła ją w majonezie. Gdy zjadła smakołyk, starannie oblizała palce i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Skąd takie uśmiechy? - zainteresował się Marcus.

- Pomyślałam sobie, że lubię folgować zmysłom - odparła.

- Doprawdy? To jakaś sugestia?

- W żadnym razie - zaprzeczyła, nagle zakłopotana.

Kiedy Marcus wstał i ruszył prosto do niej, serce Lucy mocniej zabiło. Miała nadzieję, że weźmie ją w ramiona, lecz on wyciągnął z kieszeni pudełeczko z kolczykami.

- Powinienem był wręczyć ci ten drobiazg już wcześniej - zauważył.

- Nie musiałeś kupować mi jeszcze bransoletki - oświadczyła. -

Kolczyki są wystarczające.

Sięgnęła po zawiniątko, lecz Marcus cofnął dłoń i pokręcił głową. Jednocześnie chwycił Lucy za rękę i pociągnął ku sobie, aby wstała.

Musiała wstrzymać oddech, gdy ostrożnie zakładał jej kolczyki. Nie bała się, że będzie niedelikatny. Ugięły się jednak pod nią nogi, gdy poczuła ciepły oddech Markusa na swej nagiej skórze.

Kolczyki znalazły się na miejscu. Lucy oczekiwała, że Marcus ją pocałuje, jak przystało na zakochanego narzeczonego, ale czekała na próżno. Marcus się cofnął.

Nagle jednak wrócił, tak niespodziewanie, że przeszył ją dreszcz. Pocałował ją w usta i jednocześnie ściągnął z jej ramion szlafrok.

Piękne, nagie ciało Lucy, skąpane w blasku księżyca, niemal pozbawiło go zdolności myślenia. Marcus pieścił jej skórę koniuszkami palców, ocierał się ustami o szyję.

- Cudownie pachniesz - wyszeptał, rozkoszując się gładkością Lucy.

Wiedziała, że dłużej nie wytrzyma. Bez słowa przywarł do niej.

- Nic nie mów - polecił dziewczynie.

Lucy posłusznie milczała. Zamknęła oczy i tylko oddychała coraz szybciej, rozkoszując się chwilą.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Marcusie, czy my na pewno dobrze postępujemy?

Właśnie powrócili z wizyty u jej rodziców, którzy nie posiadali się z radości na wieść o zaręczynach. Choć wszyscy w Londynie ogromnie się cieszyli, słysząc o rychłym ślubie, Lucy nie potrafiła pozbyć się smutku. Bezustannie nachodziły ją czarne myśli.

Promienie październikowego słońca wpadały przez okna ładnie urządzonej jadalni z widokiem na ogród Marcusa i odbijały od brylantu w zaręczynowym pierścionku. Lucy zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i nie mogła uwierzyć we własne szczęście, gdy Marcus go wzięł w palce i powiedział:

- Ten mi się podoba, ale, rzecz jasna, wybór należy do ciebie.

Niemal rozplakała się wówczas ze szczęścia. Na Majorce, niesiona na fali wspaniałych zmysłowych doznań i fantazji, miała wrażenie, że wszystko jest możliwe. Nawet to, że Marcus się w niej zakocha. Teraz, po powrocie do Londynu, rzeczywistość wydawała się Lucy zgoła odmienna.

- Co masz na myśli? - spytał zdumiony.

- Reakcja naszych rodzin na wiadomość, że bierzemy ślub, była pozytywna. To chyba dostateczny dowód na to, że słusznie postępujemy.

- Wstał i podszedł do okna, a Lucy drżącymi dłońmi chwyciła kubek z kawą.

Marcus niewątpliwie chciał zakończyć tę rozmowę, ale Lucy musiała ją kontynuować. Potrzebowała jego miłości, potrzebowała nadziei, że Marcus dojrzeje do tego, by odwzajemnić jej uczucia. Nie mogła mu

jednak tego wyznać, bo nie zrozumiałby jej potrzeb i tylko wzbudziłaby w nim irytację.

- Nasze rodziny zakładają, że jesteśmy sobie bliscy - zaczęła ostrożnie. - Nie znają prawdy. A ja nie wiem, czy związek... czy małżeństwo bez miłości ma szansę przetrwać.

- Miłość? - Marcus pokręcił głową. - Dlaczego wszyscy żyją w złudzeniu, że coś, co nazywają miłością, ma jakąkolwiek wartość? Absurd. Powinnaś dobrze o tym wiedzieć. Ostatecznie, wyszłaś za Blayne'a, bo go kochałaś. Sama widzisz, do czego to doprowadziło. Oboje mamy praktyczne powody, by się pobrać. Są znacznie ważniejsze od miłości. Potrzebuję i pragnę żony, która z wyrozumiałością podejdzie do mojego stylu życia i będzie pragnęła dzieci. Zdecydowanie nie chcę być pierwszym Carringiem, który nie przedłuży rodu. Oboje wiemy, że pasujemy do siebie. Chcesz mieć dzieci i z całą pewnością pragniesz stworzyć stabilny związek. Wyciągnij wnioski z własnych doświadczeń: wyszłaś za męża z miłości, popełniłaś błąd i nie powinnaś go powtarzać.

- A co się stanie, jeśli pewnego dnia zakochasz się w kimś innym, Marcusie?

- Miałbym się zakochać? - Popatrzył na nią wzrokiem człowieka, który widzi coś ohydneho. - W ogóle mnie nie słuchałaś? Mój ojciec twierdził, że się zakochał i dlatego odszedł od mojej matki. Zostawił ją i nas z powodu miłości, i gdyby nie zrzączenie losu, zrujnowałby nie tylko życie mojej matki, lecz także bank. Zapamiętałem wówczas, czym jest miłość, i przysiągłem sobie, że nigdy się nie zakocham.



Lucy chciała zaprotestować, przypomnieć mu, że miał wtedy zaledwie sześć lat, lecz się powstrzymała. Nie sądziła, że Marcus jest aż tak wrogo nastawiony do miłości.

- Nie jestem pewna, czy powinniśmy brać ślub - wyznała zniechęcona.

- Za późno na wątpliwości - oświadczył ostro. - Twoja mama z zapalem zabrała się do przygotowywania wesela, a poza tym pamiętaj: być może nosisz moje dziecko. Bierzemy ślub i koniec. Nic tego nie zmieni - dodał na zakończenie.

Lucy nie rozumiała, jak mogła wierzyć, że Marcus dorośnie do miłości. On nie chciał jej kochać. Nikogo nie zamierzał obdarzyć głębszym uczuciem.

- Chcę z tobą porozmawiać na temat Pret a Party - oznajmił krótko.

Lucy zdrętwiała. Wcale nie chciała rozmawiać z Marcusem o firmie. Otrzymała list od Andrew Walkera, który ponownie podkreślił, że cała sprawa powinna być zachowana w tajemnicy. Walker przez cały czas przebywał za granicą w interesach i zamierzał się z nią skontaktować po powrocie. Rzecz jasna pomiędzy żoną i mężem nie powinno być żadnych sekretów, niemniej Lucy dała wcześniej słowo i nie zamierzała go łamać. Na dodatek zdrada Nicka pozostawiła w jej duszy bolesną zadrę. Marcus nie oszukałby jej finansowo, w to nie wątpiła, lecz narastająca niepewność co do przyszłości małżeństwa sprawiła, że Lucy chciała zadbać o bezpieczeństwo Pret a Party. Gdyby kiedyś Marcus doszedł do wniosku, że jego małżeństwo „nie funkcjonuje” jak należy, mogła potrzebować własnej firmy - jako źródła dochodów i sensu życia.

- Postanowiłem, że najprostszym sposobem poradzenia sobie w obecnej sytuacji jest zastrzyk kapitału i likwidacja długów przedsiębiorstwa - oświadczył.

- Nie! Nie, nie chcę, żebyś to robił.

Lucy zauważyła, że jej wybuch go zdumiał.

- Dlaczego? - spytał zaskoczony. - Niecałe dwa miesiące temu błagałaś mnie, abym zasilił firmę wszystkimi środkami, które pozostały na twoim rachunku w funduszu powierniczym.

- To było co innego - podkreśliła. - Chodziło o moje pieniądze, nie o twoje. Poza tym... - Przygryzła wargę. Jeszcze nie mogła mu powiedzieć o Andrew Walkerze. - Pret a Party to moja działka i chcę, aby tak pozostało.

Lucy zerknęła na zegarek. O tej porze Marcus pewnie już był w Edynburgu. Powiedział, że wyjedzie tylko na parę dni, lecz już za nim tęskniła.

Tego wieczoru miała prezentację nowego modelu obuwia do piłki nożnej - to ostatnia ważna impreza, zorganizowana przez Pret a Party. Lucy była zadowolona z reakcji na rozesłane zaproszenia, spodziewała się nawet Dorlanda.

W pewnej chwili zabręczała jej komórka. Lucy mocniej zabiło serce, gdy zobaczyła numer Marcusa.

- Czy twoja mama rozesłała już zaproszenia? - spytał.

- Zrobiła to wczoraj - wyjaśniła Lucy. Jej mama spędziła kilka popołudni w piwnicach Smythsonian Sloane Street, przekopując się przez wzory zaproszeń. - Z braku czasu musiała także dzwonić do wielu osób. Masz świadomość, ilu gości przybędzie na nasz ślub?

- Według mojej ostatniej rachuby dwustu z tendencją zwykłą - westchnął - ale okazuje się to nieaktualne, Lucy. Chyba nie wiesz, że każda z naszych mam zamierza zaprosić po około dwustu gości, przy czym twoja nie potrafi ograniczyć się do dwustu pięćdziesięciu.

- Och, Marcusie - jęknęła Lucy. - Przecież planowaliśmy kameralną uroczystość.

- Porozmawiaj ze swoją rodzicielką - zaproponował ironicznie. - W jej opinii to kameralny ślub.

Lucy westchnęła.

- Na szczęście jest lato. Może postawimy u ciebie w ogrodzie wielki namiot? - Widziałem, jak coś takiego wygląda.

- Ja również i wiem także, ile się trzeba napracować przy organizacji takiej imprezy. Tak czy owak, planowaliśmy przyjęcie weselne, a nie bal na pół tysiąca gości w Ritzu.

- Nasze mamy inaczej to widzą. Przestań sobie zaprzętać tym głowę - poradził jej Marcus. - Niech sobie same radzą. Nie chcę, żebyś opadła z sił przed miesiącem miodowym. Lucy poczuła rumieńce na policzkach.

- Jeśli tak się stanie, to nie z powodu przygotowań weselnych - oświadczyła zaczepnie.

- Za bardzo cię męczę? - spytał wprost.

- Za każdym razem - wyznała. - Kiedy planujesz powrót? Pytam z powodu chrzcina - przypomniała.

- Nie zapomniałem, że w czwartek jedziemy do Julii.

Julia i Silas zaplanowali chrzciny trzymiesięcznego synka i poprosili Lucy, aby została jego matką chrzestną.

Chociaż Silas mieszkał w Nowym Jorku, razem z Julią spędzał każdą wolną chwilę w Anglii, głównie ze względu na dziadka Julii. Uroczystość miała się odbyć w małej wiosce, nieopodal domu seniora rodu.

- Będę kończył, uważaj na siebie - pożegnał się Marcus i rozłączył.

Nie powiedział: „Kocham cię”, nie spytał, czy go kocham, pomyślała Lucy zasepiona.

Ale właściwie czemu miałyby tak mówić, skoro naprawdę jej nie kochał?

- Lucy, paczka dla ciebie! - zawołała nagle gospodyni Marcusa.

- Naprawdę, do mnie? - zdumiała się Lucy i popędziła do kuchni, gdzie na stole spoczywało okazałe pudło z dołączonym bilecikiem, na którym Marcus napisał:

*Mam nadzieję, że dzięki temu drobiazgowi będziesz chętniej wstawiała w nasze wspólne poranki.*

Lekko zaróżowiona Lucy zabrała się do rozpakowywania prezentu. Marcus już wcześniej zadbał o to, by chętnie budziła się u jego boku. Lucy nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można by dodatkowo uprzyjemnić jej poranne doznania.

Wkrótce wszystko stało się jasne. Pudło nie zawierało wymyślnej zabawki erotycznej, tylko ekspres do kawy.

- Och, Marcusie... - wyszeptała, nieoczekiwanie przytłoczona emocjami, nad którymi próbowała zapanować.

- Dostrzegł, jak bardzo brakuje ci porannej kawy - wyjaśniła pani Crabtree, szeroko uśmiechając się do Lucy.

Zaprzagnęła do niego zadzwonić i mu podziękować, lecz zadowolili się tylko SMS-em, na wypadek gdyby rozmawiał już z klientem.

Lucy odetchnęła z ulgą. Zapowiadało się, że wieczór zakończy się sukcesem, na który tak bardzo liczyli jej zamożni klienci. Najwyraźniej trampie wybrała sześciu słynnych, pierwszoligowych piłkarzy, a także modelki i zespół cheerleaderek. Przybyła też spora grupa dziennikarzy, wszyscy raczyli się specjalnie skomponowanymi koktajlami w pomarańczowo-czerwone pasy, komponującymi się z kolorystyką nowych butów.

- Lucy!

- Dorland. - Lucy uśmiechnęła się z niekłamana radością, gdy właściciel i redaktor naczelny czasopisma „A-List Life” wziął ją pod rękę i zaprowadził do jednego ze stołów.

- Niegrzeczna dziewczynka - upomniał ją żartobliwie. - Ani słowem nie zająknęłaś się o Marcusie. O waszych zaręczynach dowiedziałem się z „Timesa”.

Lucy usiłowała roześmiać się przekonująco.

- To wszystko wina Marcusa - oświadczyła. - Ale przyjdiesz na ślub, prawda?

- Oczywiście.

Lucy się uparła, aby wysłać Dorlandowi zaproszenie, choć jej mama nie była przekonana do tego pomysłu.

- Chciałbym z tobą zamienić parę słów - dodał i nagle zrobił poważną minę. - Chodź, znajdziemy jakieś spokojne miejsce.

- Co się stało? - spytała Lucy, gdy tylko zaszyli się w kącie.

- Jeden z moich fotoreporterów wspomniał, że widział cię na lunchu w Brasserie przy Pont Street. Byłaś w towarzystwie Andrew Walkera.

Lucy się zaczerwieniła. Co za pech. Widziała paparazzich przed Brasserie i powinna była się domyślić, że wzięli ją na cel. Dorland miał wtyczki dosłownie wszędzie.

- To znajomy mojego kuzyna - wyjaśniła z udawaną swobodą, lecz Dorland nie dał się zwieść.

- Zadajesz się z nieodpowiednim człowiekiem, Lucy. Nie kontaktuj się z nim - ostrzegł stanowczo.

- Jak to? - Lucy osłupiała.

- Co o nim wiesz? - zapytał Dorland.

- To bogaty przedsiębiorca, który zbił majątek na wynajmowaniu profesjonalnych ekip sprzątających u bogatych klientów.

- Wiedz, że to tylko wierzchołek biznesu, przykrywka jego prawdziwej działalności - oświadczył Dorland stanowczo. - W rzeczywistości ten typek pracuje dla wschodnioeuropejskich organizacji mafijnych. Pierze dla nich brudne pieniądze. Zatrudniani przez niego robotnicy to w większości zastraszeni niewolnicy, którzy przyjechali tu z obawy o własne życie. Biedacy muszą na początek płacić tysiąc dolarów, aby tutaj dotrzeć, a gdy już zostaną przetransportowani, wmawia im się, że zostaną odesłani z powrotem, jeśli władze poznają prawdę. Z tego powodu tyrają za marne grosze, przetrzymywani w fatalnych warunkach, niczym kurczaki w ciasnych klatkach. Zresztą, nie to jest najgorsze. Młode kobiety, właściwie dziewczyny, bywają niekiedy sprzedawane przez rodziny, czasem porywane i zamykane w domach publicznych. Bandydzi handlują nimi i przekazują je z rąk do rąk. Walker uczestniczy w najpodlejszym procederze na świecie. Krzywdzi i poniża wiele osób. Poza tym nie nazywa się Andrew Walker.

- Skąd to wszystko wiesz? - wyszeptała Lucy, usiłując pojąć prawdziwy sens zasłyszanych informacji.

- W ubiegłym roku złożył mi propozycję: chciał kupić udziały w moim piśmie, twierdząc, że szuka możliwości zainwestowania pieniędzy zarobionych na wynajmie ekip sprzątających. Opowiadał o wprowadzeniu czasopisma na rynki europejskie, nawet do Rosji. Przyznaję, przez chwilę uległem pokusie, nie tylko z powodu zawrotnych sum, które wymieniał. Gdy jednak zajrzałem pod podszewkę, popytałem tu i tam, odkryłem zamiecione pod dywan brudy. Ten człowiek chciał kupić udziały w moim piśmie, bo szukał nowych sposobów prania pieniędzy, zarabianych na handlu uchodźcami i prostytutkami. Mówił mi o zatrudnieniu naszych pracownic jako „hostess” na ważnych imprezach. Z jego słów wynikało, że to przyzwoity i godny uwagi pomysł. - Dorland pokręcił głową. - Rzecz jasna chciał za pośrednictwem czasopisma dostarczać prostytutki najbogatszym klientom. Nie zamierzam wtykać nosa w twoje sprawy zawodowe, Lucy, ale wiem, jak działają ci ludzie: proponują doskonały interes, pod warunkiem że się dochowa tajemnicy. Jeśli dlatego umówiłaś się z tym człowiekiem na lunch, przyjmij moją radę i trzymaj się od niego jak najdalej.

- Skoro jest taki niegodziwy, to dlaczego władze nic nie robią? - spytała przygnębiona.

- Pewnie jest zbyt sprytny, aby cokolwiek mu zarzucić. Wiem o jego działalności tylko dlatego, że spytałem o to odpowiednie osoby. W Londynie mieszka spora grupa rosyjskich oligarchów. Niektórych z nich znam osobiście, oni znają innych ludzi i tak dalej. Nie utrzymują kontaktów z tym człowiekiem, nie parają się taką działalnością jak on, ale



stykają się z dobrze poinformowanymi źródłami. Wszyscy moi znajomi radzili mi: trzymaj się od niego z daleka. On i jego kumple są bezwzględni i całkowicie pozbawieni skrupułów. Wspomniałaś Marcusowi o swoim spotkaniu z tym kryminalistą?

Lucy pokręciła głową.

- Nie. Nie mogłam... Nie w tej chwili.

- To z pewnością by mu się nie spodobało - przyznał Dorland. - Na twoim miejscu nigdy więcej nie umawiałbym się z Walkerem. Daj mu do zrozumienia, że nie jesteś zainteresowana jego propozycjami, ani teraz, ani w przyszłości. Wiem, to nie moja sprawa, ale zawsze miałem do ciebie słabość. Nie brak ci klasy, podobasz mu się. Ciężko pracujesz, osiągasz sukcesy. Walker potrzebuje kogoś takiego jak ty. Kiedy wciągnie cię w swoje parszywe sprawy, wówczas prędko się z nich nie wygrzebieesz. Ci ludzie wiedzą, jak osaczyć ofiarę i uzależnić ją od siebie. Wraz z tobą mogliby pociągnąć na dno także Marcusa.

Lucy spojrzała na list, który właśnie skończyła. Napisała go do Andrew Walkera, aby wyjaśnić, że wkrótce wychodzi za mąż i dlatego rezygnuje z planów rozwoju przedsiębiorstwa, a jej przyszłym partnerem w interesach będzie mąż.

Podpisała się, starannie złożyła kartkę i wsunęła ją do zaadresowanej koperty. Postanowiła natychmiast iść na pocztę, aby Andrew Walker jak najszybciej otrzymał przesyłkę.

Przeszył ją dreszcz, gdy zaklejała kopertę. Dzięki Bogu, że Dorland ujawnił jej prawdziwe oblicze Walkera. Żałowała tylko, że wymiar sprawiedliwości jeszcze się nie zajął tym opryszkciem. Gdy wspomniała o tym Dorlandowi, jedynie pokręcił głową.



- Unieszkodliwienie go nie rozwiązałoby problemu - westchnął ciężko. - Na jego miejsce zjawi się setka innych bandytów. Nielegalna siła robocza to dochodowy biznes, a ludzie pokroju Walkera zgarniają podwójne pieniądze, najpierw nęcą ludzi perspektywą wolności i zabierają im pieniądze za wywiezienie ich do innego kraju, a potem odbierają tym biedakom większość wynagrodzenia pod groźbą poinformowania policji. Nieszczęśnicy nie mają szansy w konfrontacji z bandytami. Dlatego władze nie mogą nic poradzić, ofiary przestępców są zastraszone i nie mówią.

Lucy rozumiała, że Pret a Party byłby idealną pralnią brudnych pieniędzy, zwłaszcza że organizacja imprez wymagała ogromnych nakładów stosunkowo prostej pracy.

Dobrze, że nie powiedziała o tym Marcusowi. Na pewno nie przebierałby w słowach, gdyby wiedział, że dała się złapać na gładkie słowa Walkera.

Marcus wróci jeszcze tego popołudnia i pojedą na wieś, na chrzciny. Czy naprawdę musiała sobie narobić dodatkowych problemów z Andrew Walkerem? Przecież i tak miała o czym myśleć...

- Nic nie mówisz - usłyszała pytanie.

- Naprawdę? - Lucy posłała Marcusowi pogodny uśmiech, zadowolona, że może się ukryć za ciemnymi okularami.

W drodze na wieś oślepiało ich intensywne słońce. Jechali parę godzin wcześniej, aby Lucy, Carly i Julia mogły spędzić razem trochę czasu przed przybyciem gości.

Marcus zarezerwował pokój w małym hotelu i oświadczył, że przeprowadzą próbę generalną przed miesiącem miodowym, który zamierzali spędzić na Karaibach.

Lucy ogromnie tęskniła za Marcusem, lecz ostatniego wieczoru, gdy wrócił, była zdeprimowana z powodu Andrew Walkera. Na dodatek nie mogła się wyzalić Marcusowi, bo utrzymywała w tajemnicy tę sprawę.

Nawet w łóżku nie potrafiła się odprężyć.

- Udała się impreza z obuwiem piłkarskim?

- Pierwszorzędnie - odparła nerwowo.

Marcus zmarszczył brwi. Pod jego nieobecność coś się zmieniło, wyraźnie to czuł. Czyżby Lucy nadal miała wątpliwości co do ich ślubu? Zacisnął usta. Nie zamierzał z niej rezygnować.

Dlaczego nie rozumiała, że przy nim niczego jej nie zabraknie?

- Rozmawiałem z McVicarem i powiedziałem mu, że zamierzam zasilić konto Pret a Party, aby spłacić wszystkie zaległe długi i zostawić nieco kapitału obrotowego.

- Nie! - Lucy uświadomiła sobie, że jej sprzeciw był głośniejszy, niż zakładała, lecz nie umilkła. - Już powiedziałam ci, że nie chcę, abyś to robił. Moje pieniądze z funduszu powierniczego załatwią sprawę.

Marcus zacisnął usta.

- Mam świadomość, że jesteś bogaty - ciągnęła Lucy. - Spłata moich długów to dla ciebie drobiazg, ale nie chcę, byś to robił. Wolę uporać się z nimi samodzielnie. Nie chcę czuć, że moja firma stanęła na nogi tylko dzięki tobie.

- Jak wolisz. Może zatem dołączę do Pret a Party jako wspólnik? Moglibyśmy być partnerami...

Zamierzał powiedzieć, że jak dotąd sprawdzają się jako partnerzy, lecz Lucy przerwała mu w pół słowa.

- Nie! - krzyknęła ostro. - Nie, w żadnym wypadku.

Zdumiony Marcus chciał spytać dlaczego, lecz uświadomił sobie, że się boi, iż ją utraci... Na dodatek był urażony tą odmową. Lucy nie chciała przyjąć jego pomocy. Z czego wynikał ten upór?

Lucy przycisnęła palce do obolałych skroni. Desperacko pragnęła, by jej relacje z Marcusem układały się inaczej, by mogła mu wyznać prawdę i opowiedzieć wszystko o spotkaniu z Andrew Walkerem. Nie mogła jednak tego uczynić.

- Przy następnym zjeździe skręcamy z autostrady - usłyszała głos Marcusa. - Hotel znajduje się kilka kilometrów stąd. Pomyślałem, że pojedziemy tam najpierw, żeby zostawić bagaże. Na którą jesteśmy umówieni z Julią i Si-lasem?

- Mamy się u nich zjawić po drugiej. Nie ma pośpiechu - zapewniła go Lucy. Liczyła na to, że narzeczony zorientuje się, iż mogą spędzić razem parę chwil, zanim pojedą na spotkanie ze znajomymi. - Pogoda nam sprzyja. Podobno będzie ładnie przez cały weekend.

- To nasz zjazd - przypomniał Marcus. Przez resztę drogi w ładnej, wiejskiej okolicy odezwał się tylko raz:

- Ładnie tu. I wygodny dojazd do Londynu. Może warto by poszukać domu w tym rejonie. Co ty na to?

- Uwielbiam te okolice - wyznała Lucy. - Gdy chodziłam do szkoły, często odwiedzałam

Julię podczas wakacji. Zawsze wtedy myślałam, że dobrze byłoby tu zamieszkać na stałe.

- Nasz hotel - oznajmił Marcus i zajechał przed typowy, angielski dom na wsi.

Po chwili Lucy stanęła obok samochodu i zapatrzyła się na jelenia, który znieruchomiał w parku za budynkiem i obserwował przybyszów wielkimi, łagodnymi ślepiami.

W pachnącej woskiem i lawendą recepcji czekała uśmiechnięta recepcjonistka, ubrana w tweedową spódnicę i kaszmirowy sweter. Nieznajoma, która równie dobrze mogła być właścicielką hotelu, wyjaśniła, że przygotowała dla nich apartament poza główną częścią hotelu.

- Chyba przypadnie państwu do gustu - dodała. - Proponuję jednak, by zechcieli państwo rzucić okiem.

Po drodze przez podwórze Lucy zwróciła uwagę, że część dawnej fosy została przerobiona na staw, po którym krążyły dwa łabędzie i stadko ruchliwych kaczek.

- Adoptowały nas - oświadczyła recepcjonistka z uśmiechem. - Mamy też pawie. Proszę się nie bać, kiedy usłyszają państwo ich krzyki. Niektórym przeszkadza ten hałas, ale ja uważam, że uroda ptaków z nawiązką rekompensuje drobne przykrości wywołane ich wrzaskami.

Podeszli do piętrowego budynku ze słonecznym holem i szerokimi schodami.

- Mamy dwa apartamenty na piętrze i dwa na parterze. Państwo zatrzymają się na górze.

Lucy i Marcus posłusznie podążyli za gospodynią i zaczekali na galerii, aż ciężkim, staromodnym kluczem otworzy drzwi.

Za progiem ujrzeli wąski przedpokój, a dalej wielką sypialnię z imponującym łóżem i stylowym kominkiem.

- Apartament ma dwie łazienki, po jednej z każdej strony łóżka - wyjaśniła recepcjonistka. - Kanapy można rozłożyć, gdyby potrzebne były dodatkowe miejsca. Jest tu jeszcze jedno pomieszczenie... - Uchyliła drzwi obok kominka, za którymi znajdowała się bawialnia połączona z jadalnią oraz balkon z widokiem na okolicę.

- Odpowiada ci? - spytał Marcus.

- Jest tu cudownie - oświadczyła zachwycona Lucy.

- Doskonale. Zatem przyślę kogoś, kto przeniesie państwa bagaże - powiedziała kobieta i wyszła.

- Marcus, tu jest fantastycznie - westchnęła Lucy. - Tak romantycznie. Zwłaszcza przy kominku.

- Mhm - zgodził się powściągliwie. - Lepiej jednak jedźmy. Byliśmy tu nieco dłużej niż zakładałem.

Marcus odwrócił się plecami do narzeczonej, nie zwracając uwagi na jej subtelną kokieterię. Bez trudu rozszyfrowała jego zachowanie.

Nick wielokrotnie wysyłał jej niemal identyczne sygnały.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Lucy!

Lucy zmusiła się do uśmiechu, gdy rozradowana Julia mocno ją uścisnęła.

- Jesteś! Tak się cieszę. I Marcus! Pokażcie pierścione. Och, Lucy! Silas upiera się, że między tobą i Marcusem zawsze iskrzyło. Prawda, kochanie? - Julia zwróciła się do męża.

- Powiedzmy, że kobiety nie mają wyłączności na intuicję - odparł Silas.

- Czy mogę wziąć na ręce swojego chrześniaka? - spytała Lucy, aby zmienić temat.

- To kawał chłopca - ostrzegła ją dumna Julia.

- Wiecie, tuż przed waszym przyjazdem dzwoniła Carly. Wkrótce zjawią się oboje, ona i Ricardo. Na ten weekend wynajęli dom na wsi.

- Wiemy, napisała do mnie maila.

- Bardzo bym chciała zapewnić wam kąt u siebie, ale przyjechała już moja rodzina, a jutro spodziewamy się bliskich Silasa - tłumaczyła się Julia. - Na pewno nie jest zbyt ciężki?

- zwróciła się ponownie do Lucy.

Lucy oddała Nata jego stęsknionej mamie i pomyślała z przykrością, że Marcus nadal zachowuje się wobec niej tak samo chłodno jak w apartamencie hotelowym.

- Lucy, usiądź - zaprosiła ją Julia i poklepała puste miejsce na sofie. - Tak się cieszę, że twoje życie się układa - wyznała, gdy Lucy siadła obok.

- Nick zrobił ci wielką krzywdę, a ja nie mogłam pozbyć się wyrzutów sumienia. Ostatecznie, poznałaś go za moim pośrednictwem. Marcus z pewnością... - urwała, gdy za oknem pojawił się mercedes. - Och, wspaniale, to Carly i Ricardo! - wykrzyknęła.

Pięć minut później pomieszczenie wypełniło się głosami rozentuzjasmowanych kobiet, które przerzucały się nowinami i plotkami.

- Jak wyrósł! - zauważyła Lucy, z podziwem patrząc na syna Carly i Ricarda. - A ty, Carly? W szóstym miesiącu ciąży wyglądasz szalowo!

Lucy wyraźnie się odprężyła, do tego stopnia, że gdy Marcus położył rękę na jej ramieniu, miała ochotę przytulić się do niego i dać mu do zrozumienia, jak wiele dla niej znaczy.

- Cieszę się na twój ślub, Lucy - wyznała Carly.

- Tak, to cudowna wiadomość - zawtórowała jej Julia. - Marcus, kiedy się zorientowałeś, że kochasz Lucy?

Lucy natychmiast opuściła głowę, aby nikt nie widział jej zmieszanej miny

- Niedostatecznie wcześnie - odparł spokojnie. - Gdybym nie był takim gapią, nigdy bym nie pozwolił, aby poślubiła Blayne'a.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Lucy odetchnęła z ulgą. Czego właściwie się obawiała? Wyznania, że Marcus jej nie kocha? Nigdy nie pozwoliliby sobie na taką gafę.

- Bardzo miły wieczór.

- Nie byłam pewna, czy się będziesz dobrze bawił - odparła Lucy, gdy jechali bentleyem w kierunku hotelu.

- Tylko się utwierdziłem w przekonaniu, że warto kupić dom w tej okolicy. Co o tym myślisz?

- Już mówiłam, że jest tam urokliwie - zgodziła się Lucy.

Odchyliła się w fotelu i zamknęła oczy. Wieczór rzeczywiście przebiegł w bardzo przyjemnej atmosferze. Zdarzały się chwile, w których niemal wierzyła, że wraz z Marcusem tworzy parę zakochanych w sobie narzeczonych.

Ogromnie tego pragnęła. Podobnie jak chciałyby wracać do apartamentu hotelowego jako kochanka, która nie może się doczekać spełnienia najintymniejszych marzeń.

Lucy zasnęła w samochodzie. Po dotarciu na miejsce Marcus zaparkował samochód przed hotelem i popatrzył uważnie na narzeczoną. Cieszył się z małżeństwa z nią.

Delikatnie dotknął jej ramienia.

- Lucy - przemówił łagodnie. - Pora wstawać. Jesteśmy na miejscu.

- Marcus? - Popatrzyła na niego zaniepokojona.

Nagle poczuł się dziwnie, jakby ktoś kopnął go w kostkę. Coś przeniknęło go i poczuł niemiły dreszcz.

Lucy nie zauważyła, że targają nim jakieś emocje.

- Właśnie mi się śniłeś - wyznała sennie.

- I co? - spytał zaskoczony.

Zmagał się z własnym ciałem, które pragnęło ją objąć i zaspokoić potrzebę intymnej bliskości.

- I już. Wszystko. - Lucy pokręciła głową, lecz poczuła, że na jej policzkach wykwitł zdradziecki rumieniec.

Wszystko stało się jasne: Marcus zrozumiał, co ujrzała we śnie. Jego oczy nagle rozblęły się gorącym płomieniem.



- Czyżbym słusznie zakładał na podstawie tak uroczego rumieńca, że ten twój sen ochoczo powtórzyłabyś na jawie?

Lucy dopiero po kilku sekundach zrozumiała, że narzeczony z nią flirtuje. Odetchnęła głęboko i popatrzyła mu wyzywająco w oczy.

- Z całą pewnością było by mi bardzo przyjemnie, gdybyś się na to zdecydował - oświadczyła i nagle zaparło jej dech w piersiach, gdy Marcus złożył na jej ustach żarliwy pocałunek.

- Chodźmy. - Uwolnił ją z objęć. Wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył przed Lucy drzwi.

Po drodze do apartamentu wymieniali pocałunki tak często, że Lucy szalała z podniecenia. Marcus całował ją nawet wtedy, gdy wsuwał klucz i otwierał zamek.

W kominku płonął ogień, najwyraźniej rozpalony przez pokojówkę, która także zaciągnęła zasłony. W powietrzu unosił się zapach sosnowej żywicy, było ciepło i nastrojowo.

- Marcus... - wyszeptała niecierpliwie Lucy.

- Mhm?

- Szybciej.

- To znaczy?

Ciało Lucy przeszył dreszcz. Marcus nie zamierzał czekać.

Wciąż nie docierało do Lucy, że już za parę tygodni zostanie żoną Marcusa. Wypiła łyk kawy i upomniała się w myślach: „Jesteś w pracy i masz wypełniać obowiązki, a nie rozmyślać o tym, co najchętniej wyczyniałabyś z narzeczonym”. Pośpiesznie skupiła uwagę na uaktualnianiu danych o klientach. Jej firma ciągle przeżywała trudności -

Lucy mogła liczyć tylko na sporadyczne i litościwe zlecenia od rodziny i bliskich znajomych.

Ponownie napiła się ulubionej kawy i leniwie popatrzyła na album ze zdjęciami z chrztu Nata. Musiała przyznać, że Dorland wyjątkowo życzliwie zamieścił w swojej gazecie fotoreportaż z tego wydarzenia. Szczególnie dobrze wyszła fotografia, na której Lucy trzymała maleńkiego chrześniaka, a Marcus stał u jej boku.

Marcus. Pomyślała, że postępuje słusznie, wiążąc się z nim na resztę życia.

Nagle ktoś głośno zapukał do uchylonych drzwi gabinetu. Lucy odwróciła się gwałtownie, naiwnie licząc, że to może Marcus przyszedł do niej w odwiedziny, choć miał jechać do Manchesteru na spotkanie z klientem.

- Lucy. Świetnie. Miałem nadzieję, że cię tu zastanę.

Andrew Walker.

Lucy wbiła wzrok w nieoczekiwanego i zdecydowanie niepożądanego gościa.

- Och. Andrew - powiedziała z zakłopotaniem. - Otrzymałeś mój list, prawda?

- Tak, Lucy. Otrzymałem list – potwierdził i podszedł do okna. W ten sposób doskonale widział jej twarz, podczas gdy Lucy dostrzegała wyłącznie ciemną postać na jasnym tle.

- Z przykrością przyjąłem do wiadomości informację, że nie chcesz już realizować naszych wspólnych planów. Tak bardzo mnie rozczarowałaś, że postanowiłem przyjść osobiście i przekonać cię do zmiany decyzji.

Czy to było złudzenie, czy też usłyszała w jego głosie zawołaną groźbę? Serce Lucy załomotało ze strachu.

- Wszystko wyjaśniłam w liście, Andrew. Wychodzę za mąż...

- Tak, wiem. Za Marcusa Carringa, prawda?

- Właśnie - potwierdziła. - Po ślubie Marcus zostanie moim wspólnikiem.

- Czyżby? Wiesz, moja droga, odrzucasz niebywale korzystną propozycję. Co do twojego męża... Cóż, nastały takie czasy, że nikt nie może być pewnym przyszłości swojego małżeństwa. Nowoczesne związki są kruche. Rozsądna kobieta powinna dbać o finansową niezależność od partnera.

Lucy niemal westchnęła. Czyżby Andrew Walker czytał w jej myślach?

- Wraz ze wspólnikami przygotowałem dla ciebie bardzo korzystną propozycję. Chcemy wykupić udziały w Pret a Party. Zapewniam cię,

Lucy, transakcja będzie otoczona ścisłą tajemnicą. Jeśli zechcesz, pieniądze wpłyną na twój rachunek w zagranicznym banku. Tylko my będziemy wiedzieli o tym, że jesteśmy partnerami w interesach.

Lucy zorientowała się, że w innych okolicznościach czułaby ogromną pokusę, aby przystać na propozycję Walkera. Właśnie lęk przed małżeństwem bez miłości uniemożliwił jej przyjęcie oferty Marcusa. Z tego samego powodu-chciała zachować firmę pod kontrolą i nie dzielić jej z mężem.

Słowa Andrew Walkera przypomniały jej jednak o wszystkim, czego się dowiedziała od Dorlanda.

- Z pewnością nie dowiedzą się o tym ci biedacy, których zrujnowałeś, aby zdobyć pieniądze! - wybuchnęła. - Dobrze wiem, dlaczego chcesz przejąć kontrolę nad Pret a Party i mam świadomość, czym się zajmujesz!

Zapadło krótkotrwałe, pełne napięcia milczenie, przerwane przez Andrew Walkera.

- Doprawdy? - spytał ostro.

Popęłniła następny błąd. Zapewne fatalny w skutkach.

- Widzisz, Lucy, naprawdę nie powinnaś słuchać plotek rozsiewanych przez ludzi zawistnych i nieodpowiedzialnych - powiedział z udawaną troską w głosie. - Przyjmij moją radę i zastanów się głębiej nad naszą propozycją. Moi przyjaciele z pewnością nie byliby zadowoleni, gdyby Marcus Carrington został twoim współnikiem. W życiu nie ma nic pewnego, pamiętaj. Małżeństwa bywają nietrwałe. Wiesz to z własnego doświadczenia...

- Dość tego - przerwała mu wzburzona Lucy. - Nie przekupisz mnie. Nie chcę twoich pieniędzy i nie zmienię zdania.

- Czy jesteś pewna, że słusznie postępujesz, biorąc ślub z Carringiem?

Jego pytanie zbiło ją z tropu.

- Tak, oczywiście - skłamała. - Kocham go. - Przynajmniej to było prawdą.

- Pomyśl o tym, co powiedziałem - poradził jej, niezadowolony. Musiał wiedzieć, że Marcusa nie udałooby mu się zastraszyć z taką łatwością, z jaką usiłował sterroryzować Lucy. - Pozostaniemy w kontakcie - zapowiedział złowróźnie i wyszedł.

Lucy zrobiło się słabo. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, gdy chciała wstać i zamknąć drzwi na zamek, aby intruz nie mógł powrócić. Pomyślała, że zostało jej tylko jedno rozwiązanie: musi zlikwidować Preta a Party. Inaczej nie uchroni się przed bandytami.

Kiedy Marcus będzie ją wypytywał o przyczyny tak dramatycznej decyzji, wyjaśni mu, że przemyślała problem i postanowiła skupić się na małżeństwie i wspólnej przyszłości.

Innymi słowy, zamierzała go oszukać.

Nie miała przecież wyboru. Gdyby wyznała prawdę, popatrzyłby na nią tak jak wtedy, gdy mu powiedziała, że Nick ją zdradził, a w dodatku zrujnował finansowo jej firmę. Marcus czułby złość i pogardę. Nie zniosłaby tego.

- Podobno to zły znak, jeśli przed uroczystością narzeczony zobaczy przyszłą żonę w stroju ślubnym - zauważyła Lucy.

Właśnie oboje weszli do domu Marcusa, który przywiózł narzeczoną od jej rodziców.

- Nie masz na sobie ślubnego stroju, chyba że zmieniałaś plany i wyjdiesz za mnie w dżinsach.

- Nie gadaj głupstw. Nie mam na sobie sukni, ale nosiłam ją, gdy przyszedłeś.

- Nie widziałem cię wtedy - oświadczył Marcus, lecz Lucy dostrzegła, że skrzyżował palce za plecami. Mimowolnie się uśmiechnęła.

- Uszy do góry, wkrótce będzie po wszystkim - zapewnił przyszłą żonę, jakby rozszyfrował jej obawy. - Wypoczniesz podczas miodowego miesiąca.

Lucy ciężko westchnęła.

- Nie mogę się doczekać - oświadczyła z emfazą.

- Ja też nie - odparł Marcus po chwili milczenia. Nagle zapragnął ją objąć i mocno przytulić. - Może byśmy... - zaczął powoli, lecz przerwał, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Marcus poszedł sprawdzić, kto przyszedł, i po chwili wrócił z doręczoną przez kuriera paczką.

- Może przygotujesz drinki, a ja sprawdzę, co to takiego? - zaproponował.

Zapatrzona w narzeczonego Lucy nie śpieszyła się ze spełnieniem jego prośby. Po chwili w jej obecności otworzył paczkę i wbił wzrok w zawartość. Lucy zauważyła, że to zdjęcia. Nagle kilka z nich przypadkowo upadło na podłogę. Dziewczyna machinalnie się pochyliła, aby je podnieść.

- Nie, nie dotykaj ich. Zostaw - zaprotestował Marcus dziwnie szorstko i nieprzyjemnie.

- Dlaczego... - zaczęła, lecz urwała, przekonawszy się, co przedstawiają zdjęcia. - Marcusie...

Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Z niedowierzaniem patrzyła na przemian - na fotografie i na nieprzeniknione oblicze narzeczonego.

Na zdjęciach ujrzała własną, uśmiechniętą twarz, rozpromienioną, czego powodem było...

Ponownie zerknęła na fotografie i żołądek podszedł jej do gardła. Na zdjęciach Lucy była naga... a obok niej stało kilku mężczyzn w niedwuznacznych pozach!

Jak w transie podniosła jedną fotografię.

- Lucy, nie!

Marcus rzucił się, by wyrwać jej zdjęcie. Lucy popatrzyła na następne. Tym razem było jeszcze gorzej.

Lucy ochoczo i z zapalem uczestniczyła w brzydkich zabawach. Była bohaterką pornograficznych zdjęć!!!

Spojrzała na dłonie Marcusa. Trzymał kolejne zdjęcia i kasetę wideo. Na okładce była Lucy! Treść filmu nie pozostawiała wątpliwości...

Żołądek podszedł Lucy do gardła.

Pobiegła do łazienki i zwymiotowała. Roztrzęsiona, odkręciła kurki i pochyliła się nad umywalką, opłukała twarz, umyła zęby. Miała ochotę ściągnąć ubranie i wziąć gorący, długi prysznic.

- Lucy...

Marcus stał w otwartych drzwiach do łazienki. Odniosła wrażenie, że widzi w jego oczach ból, lecz pewnie się myliła. Z pewnością spoglądał na nią z obrzydzeniem.

- To nie ja - powiedziała powoli i ostrożnie, nie patrząc mu w oczy. - Ktoś się pode mnie podszywa. Rozumiem, że odwołujemy ślub?

- Lucy... - Łagodnie objął dłońmi jej twarz. - Przykro mi, że spotkało cię coś tak obrzydliwego...

- Marcusie, jesteś w błędzie. Wiem, co myślisz i co czujesz.

- Czyżby? - spytał tak gwałtownie, że się cofnęła. - Wątpię. Nie możesz wiedzieć, co czuję, gdy narażono moją narzeczoną na coś równie odrażającego. Wciągnięto cię w błoto i unurzano w nim.

- Marcusie, to nie tak. To nie ja. Uwierz mi - powtarzała ze świadomością, że może nie uwierzyć w jej niewinność.

Otrzymał przecież niezbite dowody w postaci potwornych fotografii.

- Wiem, że to nie ty. - Wzruszył ramionami, niemal obojętnie. -  
Przecież to oczywiste.

Uwierzył jej?

- Wierzysz, że to nie ja? - Nie ufała własnym uszom.

- No pewnie - potwierdził. - Masz mały, bardzo charakterystyczny  
pieprzyk na zewnętrznej stronie lewego uda - zauważył spokojnie. - U  
kobiety, która pozowała do zdjęć, nic podobnego nie zauważyłem. To  
fotomontaż. Poza tym od razu czułem, że to ohydna mistyfikacja.

- Dlaczego ktoś zrobił coś tak obrzydliwego? - zapytała Lucy z  
niedowierzaniem.

- Może to głupi żart - wyjaśnił Marcus. - Takie rzeczy zdarzają się  
bezustannie. Celują w nich młodzi durnie, tacy jak twój kuzyn Johnny. Nie  
mają nic lepszego do roboty, więc...

- Przecież to nie ma nic wspólnego z dowcipem - zaprotestowała  
Lucy.

- Najlepiej zapomnijmy o całej sprawie - zaproponował Marcus. -  
Ostatecznie wiemy już, co kierowało łotrem, który przysłał te paskudztwa:  
w najlepszym wypadku specyficznym pojęciem poczucie humoru, w  
najgorszym - okrutne pragnienie zniszczenia naszego związku.

- Tylko kto za tym stoi?

- Trudno powiedzieć. Spróbujmy nie myśleć o tej podłości -  
powtórzył Marcus, świadom, że nie jest całkiem szczery w rozmowie z  
Lucy.

Tego ranka obilo mu się o uszy, że kobieta, dla której Nick Blayne  
zerwał z Lucy, postanowiła zakończyć związek z kochankiem i wyrzuciła  
go praktycznie bez grosza.



W paczce brakowało listu, lecz Marcus podejrzewał, że zdjęcia i nagrania wideo były wstępem do niezdarnej próby szantażu i propozycji odstąpienia oryginalnych nagrań i filmów w zamian za odpowiednio wysoką sumę. Wszystko wskazywało na to, że w sprawie maczał palce Nick Blayne, ale Marcus nie chciał denerwować Lucy swoimi podejrzeniami.

A może się bał?

- Marcus, nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa, że nie pomyślałeś, iż to ja widnieję na tych ohydnych zdjęciach.

Marcus spontanicznie objął dziewczynę i mocno ją przytulił.

- Lucy, popatrz na mnie - polecił.

- Mam czerwony nos - zaprotestowała i chlipnęła.

- Faktycznie - przyznał i popatrzył ciepło na twarz Lucy. - Wierz mi, nawet gdybyś nie miała tego pieprzyka, i tak wiedziałbym, że to nie twoje ciało jest na tych zdjęciach.

- Skąd miałbyś tę pewność?

- Znam cię. Wiem, jakim jesteś człowiekiem - wyjaśnił szczerze.

- Więc nadal pragniesz wziąć ze mną ślub? Marcus uniósł brwi.

- Oczywiście - odparł. - Nie jestem na tyle odważny, by rozczarować twoją mamę, która zaplanowała wesele na pięćset osób.

- Naprawdę jej mówiłam, że chcemy urządzać kameralną imprezę - zapewniła go Lucy.

- Szczerze mówiąc, kochanie, nie obchodzi mnie, ile osób przyjdzie - wyznał. - Najważniejsze, byś ty się zjawiała i została.

- Bo masz prawie trzydzieści pięć lat i potrzebujesz dziedzica? -

Wstrzymała oddech, licząc na cud: tak bardzo chciała, by Marcus zaprzeczył...

- No właśnie - potwierdził bez wahania.

Pielegnowana przez Lucy nadzieja prysła, a jej miejsce zajęły żal i ból.

- Teraz odwiozę cię do twoich rodziców - zapowiedział.

- Marcusie! - zaprotestowała.

- Mówię poważnie, Lucy. Nie możesz tutaj zostać, zwłaszcza tej nocy. Oboje doskonale o tym wiemy.

Marcus miał też świadomość, że gdyby teraz dotknął narzeczonej, zapewne nie znalazłby w sobie dość siły, aby ją wypuścić z rąk.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lucy zdecydowanie nie chciała białej sukni ślubnej, ale dopiero w ostatnim momencie znalazła w Harrodsie jedwabną suknię w kolorze ecru. Zaprojektowała ją Vera Wang. Rzecz niesłychana, strój pasował idealnie.

Długa, obcisła suknia miała opinający ciało gorset, odpinaną spódnicę i krótki tren, przypominający rybi ogon. Lucy nie miała też ochoty nosić welonu, lecz w końcu zgodziła się włożyć na głowę wytworny toczonek z małą wólką.

Wszyscy skierowali na nią wzrok, gdy przy dźwiękach muzyki organowej wchodziła do kościoła. Marcus od razu się zorientował, co oznaczają szelesty za jego plecami. Zaprzagnął również się odwrócić i spojrzeć na pannę młodą, która środkiem kościoła szła prosto do niego.

Poczuł, jak jego ciało tężeje, a serce gwałtowniej bije. Ta kobieta budziła w nim nieznane dotąd emocje. Szczerze powiedziawszy, nigdy nie przypuszczał, że właśnie Lucy tak dramatycznie odmieni jego życie.

Oszołomiona Lucy uświadomiła sobie, że to się naprawdę stało. Marcus był jej mężem. Gdy na oczach biskupa i zebranych gości chłodno i z rezerwą musnął wargami jej usta, miała wrażenie, że zemdleje.

Wkrótce przy dźwiękach muzyki Haendla oddalili się od ołtarza i wyszli z kościoła na dwór, w słoneczny, listopadowy dzień. Goście obsypali ich płatkami róż, a potem za nowożeńcami pojechali w kawalkadzie czarnych limuzyn na ucztę weselną, przygotowaną w ogromnym gmachu zbudowanym przez wdzięczny naród dla bohaterskiego księcia Wellingtona.

- Czy na pewno nie jesteś rozczarowana, że na dzisiejszą noc nie zarezerwowaliśmy pokoju w hotelu? - chciał wiedzieć Marcus.

Znajdowali się w jego pokoju, w domu przy Wendover Square - od teraz ich wspólnej sypialni. W powietrzu unosił się delikatny zapach nowych tkanin.

- Skąd, ani trochę - zapewniła męża Lucy. - Już jutro lecimy na Karaiby, żeby spędzić miodowy miesiąc.

- Świetnie. Pani Crabtree zostawiła nam kolację na zimno, mamy też butelkę szampana. Wszystko przyniosę, tylko mi nie ucieknij.

- Marcusie, jak miałabym uciec? W tak wąskiej sukni ledwie mogę chodzić.

Wrócił niespodziewanie szybko, ledwie zdążyła rozejrzeć się po pokoju, zachwycając się odnowionym wnętrzem.

- Proszę. - Marcus wręczył żonie lampkę szampana.

- Może nie powinnam - mruknęła, mając w pamięci urodziny babci Alice.

- Zdecydowanie powinnaś - rozwiął jej wątpliwości Marcus. - Za nas!

- Za nas - wzniosła toast Lucy i zadrzała, gdy się pochylił, by ją pocałować.

Smak szampana na jego ustach pogłębił tę łagodną pieśczęotę.

Marcus wypił jeszcze łyk i odstawił kieliszek. Lucy była tak rozemocjonowana, że nie potrzebowała alkoholu. Z zainteresowaniem patrzyła, jak jej mąż ściąga marynarkę i krawat.

- Gdy cię zobaczyłem w kościele, pomyślałem, że nigdy w życiu nie byłaś piękniejsza - wyznał.

- Och, Marcusie - westchnęła tylko, ale wolałaby usłyszeć z jego ust wyznanie miłości.

Wkrótce Lucy stała przed nim w butach na wysokich obcasach, w jedwabnych kremowych pończochach i w skąpych figach. Marcus ukląkł przed nią i zaczął całować skrawek jej nagiego uda. Przestał tylko na chwilę...

- Trudno mi uwierzyć, jak szybko minął ten czas - westchnęła Lucy, gdy opuścili awionetkę, na pokładzie której przylecieli z Karaibów na międzynarodowe lotnisko. - Nie spodziewałam się, że miesiąc miodowy może być tak cudownym przeżyciem.

- Mamy jeszcze kilka godzin do odlotu do Londynu. - Marcus spojrzął na zegarek. - Co chcesz robić w tym czasie?

- Nic, może kupię kilka czasopism i jakąś książkę - powiedziała.

- A ja zadzwonię do paru osób. Zamówić ci kawę? - spytał Marcus.

- Proszę. - Lucy popatrzyła na niego z wdzięcznością.

Lucy stała w kolejce do kasy, kiedy go dostrzegła.

- Nick! - wyszeptała pobladłymi wargami.

Chociaż z całą pewnością nie mógł jej usłyszeć, natychmiast odwrócił głowę. Przestał rozmawiać z nieznaną Lucy kobietą i podszedł bliżej.

- Proszę, proszę! - oświadczył. - Moja była żona. Sama? - spytał niegrzecznie.

- Nie, przyleciałam z Marcusem - odparła Lucy lodowatym tonem.

Miała ochotę zignorować jego obecność, lecz stał tuż obok. Aby się od niego uwolnić, musiałaby zostawić zakupy i wyjść.

- Marcusem Carringiem? - spytał z obrzydzeniem.

- Tak, z nim. Moim mężem - dodała, nie mogąc sobie odmówić satysfakcji.

- Ożenił się z tobą? - zdumiał się. - Jak u licha udało ci się skłonić go do tego? No jasne, jesteś w ciąży, co? Byłem pewien, że rzuci cię w diabły, kiedy ujrzy prezencik, który mu wysłaliśmy z Andrew. Widać miał swoje powody. Jeśli jednak uważa, że zmusi Andrew do wyłożenia większej sumy za Pret a Party, to się grubo myli...

- Te zdjęcia to wasza robota? - przerwała mu Lucy, blada jak kreda.

- Mhm... Nieźle wyszły, co? - drażnił się z nią. - Zwłaszcza ta, na której się uśmiechasz...

Postanowiła nie okazywać, jak bardzo jest wstrząśnięta i zbulwersowana. Nie mogła też dać po sobie poznać, że przeraziła ją wiadomość o konszachtach byłego męża z Andrew Walkerem. Nie spodziewała się, że podejmą próbę zniszczenia jej planów, jeszcze przed ślubem z Marcusem. Andrew Walker był najwyraźniej gotów zrobić dosłownie wszystko, aby zawładnąć Pret a Party.

- Powinnaś przyjąć propozycję Andrew - ciągnął Nick. - I tak przejmie twoją firmę, w taki czy inny sposób.

- Skąd znasz tego człowieka? - wykrztusiła.

- A co ci do tego? Po prostu go znam. Przekonałem go, żeby zainwestował w Pret a Party - pochwalił się. - Ta firma spełnia jego wymagania.

- Czyli nadaje się do prania brudnych pieniędzy ukradzionych zastraszonym uchodźcom? - spytała wyzywająco.

- Proszę, proszę... Jaka jesteś wścibska... Lepiej nie wtykaj nosa w cudze sprawy, bo ktoś może ci go utrzyć. Chyba nie uświadamiasz sobie

pewnej sprawy: już wyraziłaś zgodę na to, by Andrew został twoim współnikiem, więc wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

- Bzdura. Tylko rozmawialiśmy o współpracy. Poza tym wówczas nie znałam prawdy.

- Nie masz żadnych dowodów - syknął Nick z satysfakcją. - W razie potrzeby Andrew z pewnością znajdzie coś na ciebie. Jest zdecydowany przejąć Pret a Party i nie ma ochoty widzieć w nim Carringa. Andrew zawsze dostaje to, na co ma ochotę.

Lucy ponownie zrobiło się niedobrze. Nie zniesie już ani jednej minuty więcej w towarzystwie Nicka. Nie mogła jednak pozwolić, by się tego domyślił.

Gdzie się podziała Lucy? Marcus wyszedł z kawiarni i ruszył na poszukiwania żony.

Bez trudu wyłowił ją z tłumu i natychmiast rozpoznał mężczyznę, stojącego obok niej.

Nick Blayne. Co u licha...?

Marcusa ogarnął gniew. Lucy należała do niego. Chciał podejść bliżej, lecz nagle Lucy odłożyła książki, które trzymała w dłoniach i zaczęła się oddalać od byłego męża. Szła do kawiarni. Gdy Marcus chciał ponownie spojrzeć na Nicka, ten zdążył już rozpląnąć się w tłumie.

Marcus podszedł do żony, która zatrzymała się przed kawiarnią. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

- Co się stało? - spytał z napięciem. - Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha.

Albo byłego męża, pomyślał.

- Jest mi gorąco i padam z nóg, to wszystko - skłamała.

Nick znał Andrew Walkera. Nick powiedział Walkerowi o niej i o Pret a Party. Nick i Andrew Walker sfabrykowali ordynarne zdjęcia i nagranie wideo. Andrew Walker chciał zniechęcić Marcusa do ślubu z nią, bo zamierzał przejąć Pret a Party.

Ani słowem nie wspomniała o spotkaniu z Blaynem. Czy wyznał jej, że znowu jest wolny? Czy umówili się na następne spotkanie? Może gdzieś w Londynie? Z pewnością mieli na to czas.

- Zapowiedziano nasz samolot - powiedział Marcus.

- Wiesz co... - zaczęła Lucy i umilkła. Desperacko pragnęła wyjawić mu prawdę i poprosić o pomoc, ale nie potrafiła się zmobilizować.

- Słucham - powiedział.

Przygryzła wargę.

- Nic takiego - mruknęła.

Jak mogła mu zdradzić, że postąpiła tak głupio? A jeśli siły ciemności wkroczą w ich życie? Lucy będzie temu winna, nikt inny. Marcus był człowiekiem honorowym, całkowitym przeciwieństwem Andrew Walkera.

Bała się. Tak bardzo się bała.

- Lucy. Niegrzeczna z ciebie dziewczynka. Ani razu nie oddzwoniłaś.

Usiłowała wstać, lecz Andrew Walker położył ciężką dłoń na jej ramieniu i dosłownie wcisnął ją w krzesło. Jak wszedł do jej gabinetu? Przecież zamknęła drzwi. Zawsze tak robiła.

Machnął jej przed nosem kluczem, zupełnie jakby odgadł, o czym myśli.



- Jakie to szczęśliwe zrządzenie losu, że Nick przypomniał sobie o zapasowym kluczu do twojego gabinetu. Jest w Londynie, wiesz? Dał ci już znać?

Lucy milczała. Bała się cokolwiek powiedzieć.

- Nick chce się z tobą spotkać - ciągnął.

- Wyznał mi w zaufaniu, że żałuje rozstania z tobą. - Puścił jej ramię i usiadł tak, aby uniemożliwić Lucy wyjście z pomieszczenia.

- Wracając do Pret a Party...

- Likwiduję firmę - oświadczyła natychmiast.

Nie przychodziło jej do głowy żadne inne rozwiązanie problemu.

- Och, obawiam się, że to niemożliwe - westchnął Walker. - Widzisz, Pret a Party doskonale się nadaje do naszych celów. Nick popełnił błąd, zostawiając cię i przedsiębiorstwo. Potrzebujemy firmy, ale także cię, Lucy. Jesteś dla nas ważna. Twoje nazwisko świadczy o wiarygodności Pret a Party.

- Wykluczone - zaprotestowała. - Nie zmusicie mnie do robienia tego, co sobie wymyśliliście.

- Biedactwo, żyjesz w świecie złudzeń. Możemy cię zmusić do wszystkiego, naprawdę. Kochasz męża, Lucy? Przecież nie chciałyś widzieć, jak dzieje mu się krzywda. Mógłby się zranić, i to poważnie, jeśli nie zrobisz tego, o co prosimy, rzecz jasna.

- Blefujesz! - warknęła. - Nie wierzę w twoje pogrożki.

- Wiesz, gdzie teraz bawi Marcus, Lucy? - zapytał Walker łagodnie. - W Leeds, prawda? Zadzwoń do niego. Masz przecież numer komórki.

- Pojechał na spotkanie z klientem - oświadczyła sztywno. - Nie zamierzam mu przeszkadzać.

- Rzeczywiście, pojechał do Leeds na spotkanie, ale się na nim nie zjawił. Co za pech. Spotkał go mały wypadek, przykra sprawa.

- Roześmiał się, widząc jej minę. - Lucy, okażę ci wyrozumiałość. Masz dobrą przemyślenie sprawy. Rozsądna z ciebie kobieta, więc sama zrozumiesz, że nie warto odrzucać naszej propozycji. Do zobaczenia jutro, w tym samym miejscu, o tej samej porze.

Andrew Walker odszedł, pozostawiając po sobie zapach wody toaletowej. Przerażona Lucy nie miała pojęcia, co dalej robić.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lucy z trudem chwyciła powietrze. Ręce jej drżały do tego stopnia, że dopiero po kilku próbach udało jej się chwycić słuchawkę i wystukać numer Marcusa. Po chwili usłyszała obcy głos.

- Co tam?! - warknął jakiś nieznajomy mężczyzna.

Natychmiast sprawdziła na wyświetlaczu numer, który wybrała. Nie było mowy o pomyłce.

- Chciałam mówić z Marcusem Carringiem, moim mężem.

- Chtiałam mówit' z Marcusem, moim menżem - przedrzeźniał ją nieznajomy. - No to piech, bo tu nie ma żadnego Marcusa - zarechotał obcy głos i się rozłączył.

Ktoś miał telefon Marcusa, lecz to nie oznaczało, że jemu stała się krzywda. Zadzwoiła do osobistego asystenta męża.

- Zachowaj spokój - poradził Jerome, gdy mu opowiedziała o całym zdarzeniu. - Z pewnością istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie.

Zatelefonuję do klienta i natychmiast do ciebie oddzwonię.

Po kilku minutach jej aparat zapiszczał. Nerwowo chwyciła słuchawkę i mocno przycisnęła ją do ucha.

- Lucy? - spytał Jerome.

- Tak, to ja - potwierdziła. - Rozmawiałeś z Marcusem?

- Tak...

Ton jego głosu wydał się jej dziwny. Momentalnie wpadła w panikę.

- Co się stało?! - krzyknęła. - Gdzie on jest?

- Miał drobny wypadek, ale wszystko jest w porządku.

- Jak to? Jaki wypadek? Na litość boską, gdzie on jest?

- W szpitalu w Leeds.

- Co? Jadę do niego. Co mu jest?! - krzyczała roztrzęsiona.

- Lucy, uspokój się. Marcus czuje się dobrze. Powiedział mi, że wróci jutro, zgodnie z planem - tłumaczył łagodnie Jerome.

- Muszę z nim porozmawiać... Jerome odetchnął głęboko.

- Obawiam się, że to wykluczone, Lucy. Marcus leży na urazówce... Spokojnie, to nic poważnego, tylko kilka siniaków i zadrapań. Mogło być gorzej, ale na szczęście przypadkowy patrol policji spłoszył młodych bandytów, którzy go napadli. Na wszelki wypadek lekarze chcą go zatrzymać do jutra.

- Jerome, opowiedz mi wszystko dokładnie - zażądała Lucy.

- Grupa młodych ludzi, jego zdaniem nielegalnych imigrantów z Europy Wschodniej, napadła go i zabrała portfel, telefon i zegarek. Marcus, jak to on, nie zamierzał ułatwiać im zadania. Na szczęście policja zjawiała się na czas.

- Natychmiast jadę do Leeds - oświadczyła stanowczo Lucy.

- Nie, Lucy - zaprotestował Jerome. - Marcus wiedział, że będziesz chciała go odwiedzić, i stanowczo oświadczył, iż nie ma potrzeby. Jutro wraca do domu, zgodnie z ustaleniami.

Lucy pożegnała się z JerOMEM i odłożyła słuchawkę. Uznała, że tylko ona odpowiada za to, co się stało. Przyszło jej do głowy, że wkrótce będzie jeszcze gorzej. Marcus oberwał tylko dlatego, że jest jej mężem.

Zapadła w dziwne odrętwienie, z którego po ponad godzinie wyrwał ją pisk telefonu.

- Marcus? - spytała niepewnie.

- Tak, to ja - potwierdził.

Ogarnęła ją taka ulga, że zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Co się stało? - wykrztusiła. - Dobrze się czujesz? Chcę jechać do Leeds.

- Napadnięto mnie. Nie przyjeżdżaj, szkoda zachodu. Jutro wieczorem wracam.

- Leżysz w szpitalu?

- Jadę taksówką do klienta. Lekarze mnie wypisali, bo poza siniakami nic mi nie dolega. Uszy do góry, Lucy. Spotkała mnie taka sama przykrość jak ta, której doświadczają różni ludzie. Nie róbmy z tego wielkiej sprawy. Muszę kończyć, dzwonię z użyczonego telefonu. Zatelefonuję do ciebie wieczorem.

- Przysięgnij, że dobrze się czujesz - zażądała porywczo.

- Naprawdę czuję się dobrze - zapewnił ją Marcus.

Tym razem Lucy nie była wstrząśnięta, gdy w jej gabinecie zjawił się Andrew Walker.

Przez całą noc nie zmrużyła oka i wiedziała, że niewyspanie widać na jej twarzy.

- Mam nadzieję, że poważnie przemyślałaś moje wczorajsze słowa - oświadczył prześladowca. - Na wszelki wypadek przyniosłem kilka zdjęć do przejrzania. Teraz na pewno będziesz traktowała mnie poważnie.

Lucy drgnęła, gdy ujrzała fotografie. Były nieostre, najwyraźniej robiono je w pośpiechu, lecz niewątpliwie przedstawiały Marcusa, który leżał na ziemi, bity i kopany przez czterech napastników. Lucy niemal krzyknęła, ujrawszy na jednym ze zdjęć, jak agresor wymierza

Marcusowi kopniaka butem w twarz. Na innej fotografii oprawca wymachiwał ostrym nożem.

- Tym razem Marcusowi dopisało szczęście. Policja wcześniej przyjechała, więc oberwał tylko trochę. Następnym razem nie będzie miał takiego farta, Lucy. I wierz mi: następny raz jest bliski.

Powolnym ruchem sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon komórkowy Marcusa.

- Oto dowód na to, że moje rozkazy zostały wykonane - wycedził łotr. - Następnym razem...

- Dość - przerwała mu dziewczyna. - Odpowiesz za to. Policja schwyta tych bandytów...

- Zapomnij o tym - zarechotał. - Oni dobrze wiedzą, jak się zaszyć w swoich kanałach. Poza tym bardziej się boją mnie niż policji, więc na pewno nie sypną.

Lucy z trudem powstrzymywała łzy. Bezpieczeństwo Marcusa było dla niej ważniejsze od własnego szczęścia.

- Nie będziesz mnie szantażował, grożąc Marcusowi - uprzedziła Andrew. - Nie chcę, żeby mu się coś stało, to jasne, ale w gruncie rzeczy żałuję ślubu z nim. Wiedziałam, że to błąd, gdy tylko ponownie ujrzałam Nicka.

Lucy wiedziała, że popełniła błąd, decydując się na ślub z Marcusem, bo Nick ujawnił jej, na jakie niebezpieczeństwo naraża przyszłego męża.

Walker patrzył na nią z niedowierzaniem, postanowiła więc rozwiązać jego wątpliwości.

- Gdy ujrzałam Nicka na lotnisku, dotarło do mnie, że go kocham - skłamała. - Od Marcusa zażądałam separacji.

Andrew Walker nie przestał mrużyć oczu.

- Ciekawostka - wycedził. - Nick z pewnością będzie zachwycony... o ile to prawda.

- Tak, to prawda - zapewniła go. - Wątpię jednak, aby Nick wpadł w zachwyty. Przecież mnie nie kocha - zauważyła Lucy.

Rzeczywiście, Nick kochał wyłącznie siebie.

- Bzdura, uwielbia cię.

- Nie pora na rozmowy o Nicku - oświadczyła. - Rozwód z Marcusem to kwestia czasu. Teraz zamierzam wyjechać z kraju i zamieszkać gdzie indziej.

- Zaskakujący pośpiech - mruknął. - Zdumiewasz mnie, o ile mówisz prawdę.

- Po co miałabym kłamać? Nie kocham Marcusa i nie chcę brać udziału w tym, co mi proponujesz. Cokolwiek zrobisz Marcusowi, nie zmienię decyzji.

- Mam myśl: poczekaj z ostateczną decyzją do czasu rozmowy z Nickiem. Co ty na to, Lucy? - spytał Andrew Walker z niemal ojcowskim uśmiechem.

Wolałabym umrzeć niż rozmawiać z Nickiem, pomyślała.

Andrew Walker powiedział Lucy, że potrzebują jej nazwiska i Pret a Party, a zatem chcieli ją zachować przy życiu. Co innego z Marcusem. On mógł umrzeć...

- Gdy wracałem z Leeds, zadzwonił McVicar - oznajmił Marcus chłodno. - Powiedział mi, że kontaktowałeś się z nim, aby spytać, czy

Blayne'a nadal należy uważać za pracownika Pret a Party, skoro nie podpisał rozwiązania umowy o pracę.

Lucy drgnęła tak gwałtownie, że parę kropli kawy, którą popijała, spadło na podłogę w kuchni. Serce dziewczyny mocno zabiło.

- Chciałam tylko wiedzieć, na czym stoję - wyjaśniła niepewnie.
- Trzeba było mnie spytać.
- Jesteś moim mężem, nie radcą prawnym.
- Lucy z trudem znosiła widok siniaków i otarć na jego twarzy.

Była bliska załamania i wyjawienia mu prawdy o tym, co się dzieje wokół niej i firmy.

- Wiesz już, jak spędzimy Gwiazdkę? - spytał Marcus, celowo zmieniając temat.

- Wczoraj rano rozmawiałam z mamą. Porozumiała się z twoją mamą i z Beatrice, i zaproponowały, abyśmy spotkali się wszyscy razem.

- Chyba nie w tym koszmarnym zamku, który zamierza wynająć na urodziny George'a? - przeraził się Marcus.

Zamiast wybuchnąć śmiechem, Lucy tylko się uśmiechnęła.

- Nie - zaprzeczyła. - Mama napomknęła o wyjeździe do Framlingdene.

Framlingdene obecnie należało do Towarzystwa Ochrony Zabytków, ale kiedyś było wiejską posiadłością rodziny ojca Lucy, która zachowała prawo do korzystania z jednego z apartamentów w budynku.

- Pomieścimy się tam?

- Skąd. Najlepiej będzie, jeśli zostaniemy w Londynie. Zazwyczaj urządzamy wielką imprezę rodzinną u babci Alice, bo ona ma duże mieszkanie.



- To z pewnością ma więcej sensu niż wyjazd do Yorkshire. Lucy, źle się czujesz?

Marcus zdumiał się, że to pytanie padło z jego ust. Od kiedy interesowały go uczucia?

- Skąd - wymamrotała, równie zaskoczona. - Czemu pytasz?

- Tak tylko. Po prostu nie wyglądasz na radosną pannę młodą - zwięźle wyjaśnił.

- Radosne panny młode zwykle kochają swoich mężów - odparła pogodnie. - Nie zauważyłam, by rozkwitała między nami miłość.

Wkrótce Lucy będzie musiała mu powiedzieć o konieczności zakończenia ich związku. Tak bardzo pragnęła spędzić z nim jeszcze trochę czasu... Obiecała sobie, że wszystko mu powie przed Nowym Rokiem.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co takiego?!

- Dobrze mnie słyszałeś, Marcusie - powtórzyła Lucy łamiącym się głosem. - Chcę rozwodu.

- Przecież pobraliśmy się zaledwie miesiąc temu! - wykrzyknął wstrząśnięty i wściekły.

- Wiem o tym - westchnęła. - Liczyłam każdy dzień naszego małżeństwa. Każdą godzinę. Nie mogę jednak żyć w związku, który nie daje mi szczęścia. Znajdę sobie jakiś kąt, a potem rozpoczniemy procedurę rozwodową.

- Wykluczone.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Kiedy braliśmy ślub, ostrzegałem cię, że wiążemy się na całe życie - przypomniał ze złością. - Rozwód nie wchodzi w grę.

Nie zamierzał pozwolić jej odejść. Należała do niego, kochał ją.

Kochał ją? Kochał Lucy?

Przecież to niemożliwe. Poprzysiągł sobie, że nigdy się nie zakocha. Ból, cierpienie i zazdrość eksplodowały w nim z siłą wulkanu.

Kochał Lucy!

Nie spodziewała się takiej reakcji z jego strony. Podejrzewała raczej, że każe się jej pakować i wynosić.

- Jak sobie życzysz - mruknęła. - Nie dawaj mi rozwodu. Nie zatrzymasz mnie jednak, Marcusie. Zamierzam odejść. Dla mnie nasze małżeństwo dobiegło końca.

Powoli, z irytacją wycodził słowa pełne goryczy:

- Nie myśl, że nie wiem, o co chodzi, Lucy. Mam świadomość, co się dzieje za moimi plecami. Chodzi o Blayne'a, prawda? - ciągnął uparcie. - Widziałem cię z nim na lotnisku.

Marcus ją widział? I pomyślał sobie...

- To był zbieg okoliczności! - wykrzyknęła wzburzona.

Co innego mogła powiedzieć? Z początku sądziła, że Marcus wie wszystko o Pret a Party i o Andrew Walkerze, lecz teraz zrozumiała prawdę. Jego zdaniem chciała zerwać małżeństwo, bo nadal kochała Nicka. Może powinien tak sądzić, aby nie zadawać pytań, na które nie znalazłaby odpowiedzi?

- Wyjątkowo nieszczęśliwy zbieg okoliczności! - warknął. - Gdybyś dopuściła do głosu swój zdrowy rozsądek, sama byś na to wpadła. Chyba nie zapomniałaś, co ten człowiek ci zrobił?

- Wszystko się zmieniło - zapewniła Lucy, przekonana o głębokiej słuszności tych słów. - On jest inny. - Tym razem skłamała.

- A ty, Lucy? Czy ty się zmieniłaś? - spytał z rozpaczą. - Czy na pewno wiesz, czego chcesz? Przecież mnie pożądasz...

- Nie! Długo sądziłam, że tak, ale prawda jest inna.

Lucy wiedziała, że pragnie jego i nikogo innego. Teraz i zawsze... Nie mogła już tego wytrzymać. Tak bardzo go kochała.

- Kłamiesz i zamierzam to udowodnić. Nie wierzył, że te słowa padają z jego ust.

Kompletnie stracił nad sobą kontrolę.

Wyciągnął ręce ku Lucy i nim zdołała go powstrzymać, przytulił ją i gorąco pocałował.

- Czy poszłaś z nim do łóżka po naszym ślubie? Lucy, odpowiedz mi - zażądał.

- Nie.

- Jeszcze nie, ale nosisz się z takim zamiarem?

- Nick...

- Przestań. Nie wymawiaj jego imienia! - rozkazał i pchnął ją na łóżko. - Zmuszę cię, byś mnie pragnęła.

- Marcusie, musimy się rozstać. Tak będzie najlepiej.

Marcus dostrzegł łzy na jej twarzy. Popatrzyła na niego.

- Powinniśmy już jechać - przypomniała.

- Dobrze wiesz, jaka jest babcia Alice.

Byli do niej zaproszeni na rodzinne spotkanie.

- Lucy, cała drżysz.

- Zimno mi - odparła Lucy zgodnie z prawdą i popatrzyła na mamę.

- Przecież tu jest ciepło. Coś cię boli?

- Nie, wszystko dobrze... - Lucy zmusiła się do uśmiechu, gdy wszedł Johnny, ciągnąc za sobą ładną, nieśmiałą dziewczynę.

- Poznaj Cię - oświadczył Johnny. - Napijesz się szampana, Lucy?

Lucy przeszył dreszcz. Nie mogła nawet pić kawy, tak źle się czuła.

Poza tym szampan przypominał jej o pierwszej nocy spędzonej z Marcusem.

- Słyszałaś, że Andrew Walker stał za aferą z przerwaniem nielegalnych imigrantów? - spytał Johnny i mówił dalej, nie czekając na odpowiedź. - Zdaje się, że policja od miesiąca obserwowała jego i innych gangsterów, a teraz mają ich wszystkich. Brali udział we wszystkich możliwych przestępstwach: prali brudne pieniądze, kierowali prostytutką,

wymuszali haracze. Nie miałem pojęcia, że jest zamieszany w tak obrzydliwe sprawy. Wiem wszystko od Des-siego Arlingtona. Jego ojciec jest adwokatem i twierdzi, że Walker pewnie spędzi resztę życia w więzieniu, razem z resztą gangsterów. Lucy? Lucy!

Marcus złapał ją w ostatniej chwili, gdyż zemdląca. Odzyskała świadomość po kilku sekundach i ujrzała nad sobą zaniepokojoną twarz Marcusa.

- Już dobrze, Lucy - pocieszył ją. - Straciłaś świadomość, i tyle.

- Marcus, źle się czuję - wyszeptała. - Proszę, nie zostawiaj mnie.

Godzinę później leżała już na jednym z łóżek ciotecznej babci, w dużej, chłodnej sypialni. Jej mama, mama Marcusa i Beatrice patrzyły na siebie z podnieceniem. Najwyraźniej miały pewne podejrzenia, ale nie chciały się z nimi zdradzić.

Lucy odpoczywała, usiłując pojąć znaczenie słów lekarza babci, specjalnie wezwanego z sąsiedniej ulicy.

Dziecko. Nosiła dziecko Marcusa. Dlaczego wcześniej się nie domyśliła? Nagle przypomniała sobie słowa Johnny'ego...

Andrew Walker!

- Gdzie jest Marcus? - spytała gwałtownie i spróbowała usiąść.

- Tutaj, kochanie.

Nie wytrzymała. Z jej oczu pociekły łzy. Marcus trzymał ją za rękę.

- Marcus, będziemy mieli dziecko.

- Tak, wiem.

- Cieszę się, że noszę twoje dziecko - wyznała.

- A ja mam ochotę wziąć cię w ramiona i trzymać w nich na zawsze - oświadczył. - Kocham cię.

- Marcusie! - Lucy patrzyła na męża z niedowierzaniem. Pomyślała, że musiała się przesłyszeć.

- Kochasz mnie? - spytała niepewnie. - Ale przecież...

- Tak, kocham cię, Lucy. Byłem głupcem, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nie chciałem usłyszeć własnych uczuć. Wiem, że wolałabyś być z...

- Nie! Nigdy! - przerwała mu raptownie. - Nick mówił, że jestem aseksualna i nudna, przy tobie poczułam się jak kobieta! Nie chcę rozwodu. Przeżyłam wstrząs, ujrawszy go na lotnisku. Sam do mnie podszedł... A ja nie powiedziałam ci o Andrew Walkerze... - Lucy wyrzucała z siebie wszystko naraz.

- Nic się nie stało, Lucy. Wiem wszystko. Przed chwilą odbyłem rozmowę z twoim kuzynem Johnnym, który wyjaśnił mi, że Walker chciał zainwestować w Pret a Party.

- Naprawdę na wiele lat trafi do więzienia?

- Tak mówi George. Policja najwyraźniej wszystko wiedziała, ale musiała zebrać więcej dowodów.

- George? Co on może wiedzieć? Przecież jest zwykłym urzędnikiem.

- Jest osobistością w ministerstwie.

- Och, Marcusie, tak bardzo się bałam. Andrew Walker chciał z Pret a Party zrobić pralnię brudnych pieniędzy i miejsce pracy nielegalnych imigrantów, których przerzucał przez granicę. Nick maczał w tym palce...

- Lucy zadrżała.

- Czemu mi nie powiedziałaś? Chciałaś chronić Blayne'a?

Lucy stanowczo pokręciła głową.

- Nie obchodzą mnie losy Nicka - wyznała wprost. - Wyszłam za niego, bo...

- Bo?

- Bo ciebie kochałam, a ty mnie nie chciałeś. Bałam się, że zrobię coś idiotycznego. Byłam pewna, że małżeństwo zakończy moje zauroczenie.

- Lucy, opowiedz mi o Walkerze.

- Z początku nie przywiązywałam do tego wagi, a potem było już za późno. Dorland otworzył mi oczy. Gdy postanowiłam odciąć się od Walkera, usłyszałam, że nikt mu nie stanie na drodze do Pret a Party. To Nick powiedział mu o mojej firmie. Wtedy na lotnisku wyjawiał, że razem z Walkerem przesłał tę kasetę. Potem Walker przyznał, że to on nasłał na ciebie zbirów w Leeds. Groził, że cię zabije, jeśli z tobą nie zerwę i nie dopuszczę go do Pret a Party...

- Lucy, przecież to ja powinienem cię chronić, a nie ty mnie - westchnął Marcus oszołomiony. - Lucy, Lucy, moja kochana...

- Kochana? - powtórzyła niepewnie.

- Kocham cię i zawsze będę kochał - wyznał Marcus z czułością. -  
Wiem to na pewno, nic tego nie zmieni.

- Och, Marcusie!

## EPILOG

*Rok później*

- Pragnę wznieść toast za zdrowie mojej żony, Lucy, Pierwszej Damy Biznesu tego roku, matki mojego syna... i pani mojego serca - dodał Marcus cicho, żeby tylko Lucy go słyszała.

Wszyscy zgodnie trącili się kieliszkami i hałaśliwie potwierdzili, że zgadzają się z Marcusem.

- Bez ciebie nie miałabym odwagi otworzyć nowej firmy - odparła Lucy z czułością.

- Nie deprecjonuj swoich dokonań, kochanie. Pret a Party dla dzieci to strzał w dziesiątkę.

- Dobrze, że się szybko zorientowałam, jak bardzo potrzebna jest firma organizująca kobietom przyjęcia dla dzieci i rodzinne uroczystości. I to wszystko za bardzo umiarkowaną, roczną opłatą. Miałeś genialny pomysł z wciągnięciem do współpracy Carly i Ricarda, a także Julii i Silasa. Ricardo i Silas dają nam finansowe wsparcie, a młodzież z sierocińców Ricarda ma u nas szkolenia. W ten sposób edukujemy i dajemy pracę.

- Jesteś naprawdę genialną kobietą - podkreślił Marcus.

- Moim najgenialniejszym posunięciem było zakochanie się w tobie - wyznała Lucy.



**Nicola Marsh**

# **Nowy wizerunek**

*(Contract to Marry)*

Created with

 **nitro**<sup>PDF</sup> professional

download the free trial online at [nitropdf.com/professional](https://nitropdf.com/professional)

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Fleur Adams wpadła do kafejki, otrząsała krople deszczu z poskręcanych włosów, wyciągnęła teczkę, laptopem, parasolkę i torebki. W duchu przeklinała kapryśną pogodę w Melbourne, niesprawną komunikację i męczyzn. Dokładnie w tej kolejności.

– Hej, licznok! To co zwykle? – Billy mrugnął do niej zza kontuaru, obrzucając ją taksującym, pełnym aprobaty spojrzeniem, jakim zwykle witał klientki.

Uśmiechnęła się z wdziacznością, kiedy zapach parującej kawy i wie o pieczonych ciasteczkach zaatakował jej zmysły.

– Ratusz miły! Och, daj mi dziś podwójną.

– Podwójna dawka kofeiny za dużo ci podnieci. Ale jeśli bieżesz potrzebowała rozładować energię...

– To zapisz się na gimnastykę!

Gdy po raz pierwszy trafiła do tej kafejki, Billy zdenerwował ją swoimi aluzjami seksualnymi, wkrótce jednak doszła do wniosku, że jest zupełnie nieszkodliwy. Poza tym serwował najlepszą kawę z mlekiem i czekoladowe babeczki w Melbourne. Choćby z tego powodu tolerowała jego niefrasobliwe zachowanie.

– Już dobrze, dobrze, pozwól chociaż facetowi próbować. – Wzruszył ramionami i odwrócił się do ekspresu. – Liv już jest – dorzucił.

– Dziękuję. – Rozejrzała się po tłumie, który kłócił się tu w porze lunchu, i wypatrzyła przyjaciółkę siedzącą przy narożnym stoliku, z nosem jak zwykle utkwionym w jakimś romansie.

Uważając, by nie zderzyć się z nikim po drodze, Fleur dotarła do stolika, wyliznęła się na puste miejsce i ustawiła swoje rzeczy przyścianą.

– Pozwól, że zgadnę: przemoc i seks. Wysoki, przystojny brunet zrywa stanik z pięknej bohaterki i...

– Przestań! Ile razy mam ci powtarzać, że w romantycznych powieściach nie ma przemocy. To współczesne baśnie, opowieści o tym, jaki wiat mógłby byś pić.

– I jest, tyle że za siedmioma górami, za siedzioma lasami...

– Nie znajdziesz czegoś, czego nie szukasz – odparła z godnością Liv, gapiąc się na Fleur zza okularów bez oprawek. Jej policzki zabarwił słaby rumieniec.

Fleur roześmiała się gromko.

– Wszystkie te romanse są takie same. Główny bohater to męczyzna z szerokimi, nagimi klatkami piersiowymi i dużymi...

– W porządku, już wyraziła swój punkt widzenia – uciła Liv i zamknęła książkę. – Do tej krytyki literackiej. Jak poszła prezentacja?

Uśmiech Fleur przybladł na wspomnienie kolejnej zawodowej porażki.

– Lepiej nie pytać – mruknęła, gdy kelnerka postawiła przed nią wielki filiżanki i babeczek czekoladowych.

– Tak dobrze, co?

– Beznadziejnie. – Fleur upiła łyk kawy, delektując się otyczką kofeiny. Nie mogła sobie darować, i porzuciła spokojną, dobrze płatną pracę, by gonić marzenia. Marzenia, które wkrótce zamieniły się w koszmar, jeśli szybko nie znajdzie zatrudnienia.

– Nie ma chętnych na rzutki księgową, która poprowadzi profesjonalne szkolenia, by przenieść firmę w dwudziesty pierwszy wiek?

Fleur pokiwała głową.

– Ani jednego chętnego. Wygląda na to, że takie terminy, jak „inteligencja emocjonalna” czy „zarządzanie poprzez kompromis” są zbyt nowoczesne dla przeciętnego dyrektora. Chociaż jeden z nich dał mi wizytówkę i nalegał, bym zadzwoniła... Ale w tym, by był zainteresowany zmianami w swojej firmie, zważywszy na to, w jaki sposób patrzył na moje nogi.

– A to seksistowska winia!

– Właściwie był całkiem do rzeczy... Oczywiście Liv rozszerzyły się.

– W takim razie zbłądziła, pozwalając uciec takiej okazji.

Fleur westchnęła.

– Jestem już zmęczona robieniem prezentacji, które nie spotykają się z odzewem. – Ze złości zaatakowała babeczkę, zastanawiając się, czy nie uszczknęła jej, nie mogła przełknąć.

Skierowała swoją ofertę do niezliczonych firm, między innymi wykorzystując kontakty, które nawiązała, gdy pracowała jako księgowa. Po uzyskaniu licencjatu z psychologii, którą studiowała wieczorowo, by zerwać z konserwatywnym stereotypem księgowej i zyskać nowe spojrzenie na świat i ludzi, po jakimś czasie wpadła na wspaniały pomysł, że odmiana wizerunku firmy i poprawa satysfakcji zawodowej pracowników może prowadzić do podniesienia stopy zysku. Z początku kilka firm przyjęło ciepło jej modernizacyjne propozycje, jednak ciepło zmieniało się w lód, gdy dochodziło do ostatniego punktu negocjacji, a mianowicie uzgodnienia warunków umowy, w tym przedstawienia kosztów projektu.

Liv pochyliła się do przodu.

– Pokaż mi swoje promocyjne materiały. Może zdołam coś pomóc.

– Och, naprawdę potrzebuję pomocy. – Fleur otworzyła teczkę i wyciągnęła plik papierów. Kiedy się prostowała, jej głowa zderzyła się z czyimś łokciem.

Właściwie łokieć stracił równowagę, wpadł na Fleur i wytrcił jej z ręki papiery, a zarazem tuż nad jej uchem rozległ się okrzyk:

– O do licha! – Oczywiście zaczęła zbierać rozrzucone materiały. – Pozwoli pani, że to zrobię.

Fleur uniosła głowę. Właściwie szkoda, że nieznajomy nie uderzył jej mocniej. Wtedy mogłaby stracić przytomność i obudzić się po wielu godzinach, mając już za sobą ten okropny dzień.

– Proszę zostawić – sarknęła, patrząc do góry na tego niezdara, który tylko pogorszył jej nastrój, jeśli to było jeszcze możliwe. – Hm... ciekawe.

O dziwo, niezdara wcale nie gapił się na nią, czego mogła się spodziewać, wiedziała

wszak, e m czy ni uwa ali j za atrakcyjn , cho , szczerze mówi c, ich zachwyty uwa ała za przesadne. Nie miała si za ostatni , ale te daleko jej było do gwiazdy filmowej. Długie do ramion, br zowe kr cone włosy, piwne oczy, zno na figura, redni wzrost, ot, przeci tno , no, mały plusik wi cej. A jednak nieodmiennie od lat przyci gała mskie spojrzenia.

Lecz ten łamaga okazał si kompletnie nieczuły na jej wdzi ki, natomiast z wielkim zainteresowaniem przegl dał broszury reklamowe.

– Sko czył pan? – Wyci gn ła r k , wiedz c, e jej głos zdradza rozdra nienie, ale o to nie dbała. Nie potrzebowała faceta, który w protekcyjnalny sposób traktowałby jej pomysły, które znaczyły dla niej tak wiele.

Nieznajomy podniósł na ni badawczy wzrok.

– Wspomniana w tych broszurach Fleur Adams to pani?

I oto zupełnie nieoczekiwanie Fleur do wiadczyła tego dziwnego, podniecaj cego uczucia, o którym Liv czytywała w swoich romansach. Otó po raz pierwszy w yciu poczuła ów słodkomdl cy ucisk w oł dku, który mógł by sygnałem, e spotkała na swej drodze wyj tkowego, ol niewaj cego m czyzn . Spojrzała na nieznajomego, zastanawiaj c si nad t dziwn reakcj . Wygl dał raczej zwyczajnie. Miał ciemne włosy, niebieskie oczy, silnie zarysowan , starannie ogolon szcz k i usta zaci ni te w w sk , znamionuj c niecierpliw o lini .

W sumie nic wielkiego, z wyj tkiem osobliwej aury, która biła od niego, przyci gała jej uwag w sposób wr cz magnetyczny.

W sumie miał w sobie to co , co czyniło z normalnego faceta nie tylko prawdziwego przystojniaka, ale kogo wr cz wyj tkowego.

– Tak? – Uniósł brew, jakby wzywał ucznia do odpowiedzi. Powstrzymuj c nagł potrzeb potrz ni cia głów i rozp dzenia mgły, która spowiła jej umysł, przytakn ła:

– Jestem Fleur Adams. A pan?

– Kim , kto jest zainteresowany pani ofert . – Przekartkował broszur , a potem wrócił do studiowania twarzy Fleur. – Jest pani pewna, e ma wystarczaj ce do wiadczenie, by oferowa takie usługi?

Och, je li o ciebie chodzi, przystojniaku, pomy lała, to miałabym mnóstwo do zaoferowania...

Fleur przeraziła si , e powiedziała to gło no, dostrzegła bowiem w jego niebieskich oczach błysk wiadcz cy o czym wi cej ni tylko przelotnym zainteresowaniu jej zawodow działalno ci . Ale błysk pojawił si i znikn ł, zanim zd yła go podda gł bszej analizie.

Skrzy owała ramiona, spojrzała mu prosto w oczy.

– Mam kwalifikacje zgodne z informacjami, jakie podałam w broszurach. Je li jest pan zainteresowany, z przyjemno ci zaprezentuj swoje pomysły, panie... ?

– Darcy Howard. – Wyci gn ła r k . – Miło mi pani pozna .

Fleur zd yła si ju wy wiczy w zawodowych u ciskach dłoni, ale nadal czuła si odrobin niezr cznie, kiedy m czy ni starali si zmia d y jej r k , by udowodni staro wiecki punkt widzenia, e samce s jednak dominuj c płci .

W chwili jednak, kiedy umie ciła sw dło w dłoni Darcy'ego, poczuła dziwny impuls, a jej rami podskoczyło do góry. Na domiar złego on to zauważył, ponieważ renice jego niebieskich oczu lekko się poszerzyły.

Powstrzymując gwałtownego wyszarpani ciarki, zdobyła się na słaby uśmiech i delikatnie, wręcz dostojnie wyzwoliła dłoń z jego uścisku.

– Jeśli pan pozwoli, panie Howard, zadzwoni do pana, by umówić się na spotkanie, podczas którego omówimy potrzeby pańskiej firmy.

– Mów mi Darcy. – Uśmiechnęła się na jeden krótki moment Fleur miała ochotę podskoczyć z radości. – Bardzo proszę. Możesz złapać mnie pod tymi numerami.

Gdy wręcz jej wizytówek, z trudem się powstrzymała przed arcydziełem jej studiowaniem, by zapamiętać każdy szczegół po wszystkie czasy.

Zamiast tego nonszalancko włożyła je do torebki, jakby miała w zanadrzu kolejną firmę oczekującą na jej usługi.

– Dzięki, skontaktuj się.

Skinął głowę, a potem skierował się w stronę drzwi. Z otwartymi ustami patrzyła za oddalającą się wysoką postać przyodzianą w czarny trenz.

– Dobra robota, mała ka!

Entuzjastyczne słowa Liv wytręciły jej z zamyślenia.

Usiadła prosto, próbując zachowywać się tak, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. A przecież spotkanie z Darcym Howardem wstrząsnęło niżej, niż chciałyby to przyznać.

– Może wreszcie szczerze się do mnie uśmiechnęło? Miejmy nadzieję, że jest naprawdę zainteresowany tym, co mam do zaoferowania.

Liv schowała księzkę; na jej twarzy malował się entuzjazm.

– Och, jest zainteresowany! Jeszcze jak!

– O czym ty myślisz? – spytała Fleur z udawanym obojętnością, mając nadzieję, że się nie zaczerwieniła.

– Chyba zauważyła, że ten facet jest wspaniały? I gapił się na ciebie jak w obraz.

Serce Fleur podskoczyło z radości. Był może blask w jego oczach nie był wytworem jej wyobraźni...

Jaknęła w duszy; powinna się stuknąć w głowę. O czym ona myśli? Musi wykorzystać szansę, jaką przed nią stanęła, a nie ulegać nedorzecznym nadziejom i mieszać sprawy zawodowe z przyjemnościami.

Wzruszyła ramionami.

– Wspaniały? Za dużo naczytała się romansów. Mnie się wydaje staro wiecki.

Liv uśmiechnęła się pełnym satysfakcji uśmiechem. Zauważyła przecież, jak Fleur zareagowała na Darcy'ego Howarda.

– Pamiętam, że gustowała w starszych mężczyznach. Fleur upiła łyk kawy, starając się ukryć uśmiech.

– Tak, ale nie zamierzam kolekcjonować antyków.

– Och, na pewno przyciągnął twój uwagę. Kiedy zamierzasz do niego zadzwonić?

Nagle Fleur zdała sobie sprawę ze swojego kłopotliwego położenia. Darcy Howard miał zostać jej zleceniodawcą, czyli faktycznie szefem, lecz ona reagowała na niego w taki sposób... To było zupełnie nieprofesjonalne! I może stał się powodem mnóstwa kłopotów. Zarazem jednak...

– Jutro z samego rana.

– To brzmi rozsądnie. Naprawdę nie zwlekaj. Takie okazje nie pojawiają się zbyt często.  
– Liv zmrużyła oczy. – Zaufaj mi, ja to wiem.

Nagle obraz intensywnie niebieskich oczu Darcy'ego Howarda przemknął przez umysł Fleur, podsycając pragnienie, by schwycić tę okazję i za nic w świecie jej nie wypuścić.

Darcy wpadł do swego gabinetu i z trzaskiem zamknął drzwi. Miał dziś szczęście, że wyszedł poza biuro na lunch. Nie przydarzyło mu się tego od ponad miesiąca. Ale cóż, znów jest w biurze, znów wrócił do tych wszystkich kłopotów i problemów.

Nic nowego.

Jego życie od dawna było niekończącym się pasmem problemów, począwszy od śmierci rodziców, kiedy w wieku dziesiętnastu lat przejął odpowiedzialność za wychowanie swego jedenastoletniego brata i stosów długów po niefrasobliwym ojcu, a po dzień – gdy usiłował wydrzeć firmę z finansowej zapaści.

Następnie dzieje się w biurze, pomiędzy łóżkami, zapadającymi w skórzanym fotelu, aby przejrzeć pliki raportów piętrzących się na biurku.

Pomimo kompetentnego personelu zyski firmy spadały w alarmującym tempie. Był w rozterce. Zdawało mu się, że spróbował już wszystkiego: budowania zespołów, indywidualnych zachęt, systemu dodatków motywacyjnych. Nic nie skutkowało. Dziwny letarg, w który zapadła większość jego pracowników, zaczynał w zaskakującym tempie przekładać się na spadek zysków.

Potańczał czoło, odchylił się na fotelu. Ledwie zamknął oczy, a obraz Fleur Adams pojawił się w jego głowie. Zastanawiał się, czy dobrze robi, zatrudniając ją, by ratowała firmę. Był pod wrażeniem, do diabła, był szczerze zdumiony usługami, jakie reklamowała w swoich materiałach informacyjnych. Jakby czytała w jego myślach i dokładnie wiedziała, czego potrzebował!

W porządku, nie tylko broszury wywarły na nim wrażenie. Kiedy spojrzał na kobietę, która niechętnie potrafiła, był miło zaskoczony. Para młodych, szeroko otwartych, brzozywych oczu patrzyła na niego zaskakująco przenikliwie jak na kogoś tak młodego. Domyślał się, że miała niewiele ponad dwadzieścia lat, dlatego powątpiewał, by potrafiła zrobić to wszystko, czym chwaliła się w swoich broszurach. Czy ktoś tak młody mógłby być aż tak doświadczony?

Ja byłem, pomiędzy łóżkami.

Skrzywił się. Miał nadzieję, że urocza, młoda kobieta, na którą szczęśliwie wpadł dzień rano, nie dostanie tak twardej lekcji życia jak on. Patrzył na nią z dystansem i stanowczo zbyt zmęczonym wzrokiem jak na młodą dziewczynę zaledwie trzydziestoletnią. Ale nic nie było w stanie tego zmienić. Po prostu tak się dzieje, gdy człowiek dorasta zbyt szybko.

Potrzebuję głowę, zakończył czytanie raportów. Miał nadzieję, że Fleur zadzwoni. Bo

je li nie, b dzie musiał wymy la nast pne sposoby, by usprawni prac w firmie. Albo ludzi si nadziej , e wpadnie na inn kobiet , która wzbudzi jego zainteresowanie...

Obcasy Fleur stukały po wypastowanym parkiecie w rytm jej wal cego serca, gdy zmierzała do recepcji Innovative Imports. Miała za sob co najmniej trzydzie ci takich spotka , powinna wi c odczuwa wi ksz pewno siebie. Wiedziała jednak, e jej nerwowo miała wi cej wspólnego z m czyzn , którego wczoraj poznała, ni z prezentacj swojej oferty.

Recepcjonistka ledwie na ni spojrziała, gdy Fleur do niej podeszła.

– Przepraszam, nazywam si Fleur Adams i przybyłam na spotkanie z panem Darcym Howardem.

Dziewczyna popatrzyła na ni wzrokiem ni to znudzonym, ni zm czonym.

– Prosz usi . Powiadomi go, e pani przyszła.

Fleur u miechn ła si w odpowiedzi i otrzymała w zamian grzeczne skinienie głowy. Recepcjonistka odwróciła si , by nacisn interkom.

Fleur poczyniła pierwsze spostrze enia. Je li ta dziewczyna była wizytówk firmy, to znaczy, e zmiany s konieczne. Robota w sam raz dla niej. Oczywi cie je li Darcy Howard j zatrudni.

Ledwie zd yła usi , gdy wspomniany m czyzna ukazał si w pobliskich drzwiach.

– Prosz wej , panno Adams. Oczekuj pani.

Fleur wstała, chwyciła teczk i pospieszyła za nim do gabinetu, czuj c si troch jak niegrzeczna uczennica, któr wezwał na dywanik dyrektor szkoły. Je li za pierwszym razem Darcy Howard wydał jej si nieco onie mielaj cy, có mogła teraz powiedzie ? Wygl dał jeszcze bardziej sztywno i wynio le na tle swego ponurego gabinetu. Nic dziwnego, e recepcjonistka nie miała w sobie ani odrobiny wigoru. Biedna dziewczyna musiała by zbyt wystraszona, by przejawia jakiegokolwiek oznaki ycia.

– Prosz usi . – Skin ł r k w stron wy ciełanego skór fotela, który nie wygl dał wygodnie. – Czy mog co poda ? Herbat ? Kaw ?

– Nie, dzi kuj . I prosz mówi mi Fleur. – Przysiadła na brzegu fotela, który zgodnie z jej przewidywaniem starał si rzuci nieproszonego go cia ze swojej błyszcz cej, wypolerowanej powierzchni i w adnym razie nie zach cał do odpoczynku. Do licha, była tu zaledwie pi minut i ju wiedziała, e Darcy Howard potrzebował jej usług, by usprawni organizacj pracy w firmie, która potrzebowała radykalnych zmian na wszystkich polach, od umeblowania do personelu.

Siedział przy gigantycznym, mahoniowym biurku i trzymał splecione w wie yczk palce na wysoko ci klatki piersiowej, do złudzenia przypominaj c jej starego dyrektora z liceum. Miała wra enie, e za chwil usłyszysz sakramentalne pytanie: „Fleur Adams, czy paliła za szkoł ?” albo: „Twoja sukienka jest za krótka. Podłu j natychmiast!”.

– Czy widzisz co miesznego?

Staraj c si opanowa mimowolny chichot, przybrała na twarz mask profesjonalizmu.

– Ale nie. A wi c od czego mam zacz ?



Lekki grymas, nieznacznie zmieniając układ jego warg, trudno było nazwać spontanicznym uśmiechem.

- Chciałbym usłyszeć, co możesz zrobić dla poprawy sytuacji mojej firmy.
- To zależy od pana.
- Czy by?

Jak mógł pomóc ci tyle dezaprobaty w dwóch krótkich sylabach, nie miała pojęcia, ale nie zrażała się, cięgnęła wielokrotnie już wiczon przemowę:

– Pani Howard, musisz poznać zarówno mocne, jak i słabe strony pańskiej firmy, a także perspektywy rozwoju i wszelkie zagrożenia, zanim opracuję pogłębioną analizę obecnej kondycji i sformułuję program naprawczy. Zaczniemy od partnerów oraz kluczowych klientów...

- Lepiej nie – przerwał swej rozmówczyni, lustrując ją badawczym wzrokiem.
- Słucham?

Wstał i zaczął chodzić po pokoju miarowym krokiem, przyciągając jej uwagę do markowego garnituru, który przykrywał smukłe, sprężyste ciało. Jako biznesmen znajdował zapewne czas na uprawianie sportu. Szkoda, że nie starał się odpowiednimi wiczeniami poprawić swojej osobowości.

– Nie potrzebuję żadnych ogólników. Już je przeczytałem w twoich materiałach reklamowych i to jest właśnie to, o co mi chodzi. – Zatrzymał się na moment i przysiadł na brzegu biurka, patrząc na nią z góry. – Opowiedz mi lepiej o sobie.

Nie potrafiła ukryć zdziwienia i nagł wolta. Nerwowo porządkowała w głowie dane ze swojego zawodowego życiorysu, ale im bardziej starała się skupić, tym bardziej jej uwagę rozpraszała męcząca siedząca naprzeciw niej.

Odcięgnęła wzrok od jego szerokiej klatki piersiowej i spojrzała do góry. Patrzył na nią tymi wszytkowiedzycymi, niebieskimi oczami, i – mogłaby przysięść – zauważyła przelotne rozbawienie na ich dnie.

Chrzęknęła i rozpoczęła skróconą wersję swego życiorysu.

– Z zawodu jestem księgową. Szybko zrozumiałam jednak, że ta praca mnie ogranicza. Postanowiłam więc uzupełnić swoje wykształcenie i zrobiłam licencjat z psychologii. Studiowałam zarówno dla przyjemności, jak i po to, by zmienić wizerunek statecznej księgowej. Potem dostrzegłam w tym aspekt praktyczny i poświęcałam nabyte umiejętności tworząc programy naprawcze dla firm.

Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

– Ale co było tak ograniczające w księgowości?  
– Wszystko – odpowiedziała zbyt szybko, zbyt emocjonalnie. – Chodzi o to, że niektórzy ludzie nie są stworzeni do tego typu pracy, i ja do nich należałam.

– Dlaczego? – Uniósł brwi.

– Nie lubię być w klatce, otoczona kompletnie przewidywalnymi, konserwatywnymi ludźmi. To nie dla mnie... Dlatego postanowiłam spróbować czegoś innego. – Rozmowa przybrała zdecydowanie osobisty charakter, ale, o dziwo, wcale jej to nie przeszkadzało. Więcej nawet, w pewnym sensie schlebilo jej próba, że Darcy Howard chciał poznać



motywy jej postpowania.

– To wszystko? – Pochylił się do przodu i przez jedną, szaloną chwilę pomyślała, że mógłby ją pocałować.

Skinęła głową, przeklinając Liv za pobudzenie jej wyobraźni tymi romantycznymi idiotyzmami, których naczytała się w swoich powieściach.

Wstał i wyciągnął rękę.

– W porządku. Jeste zatrudniona.

Fleur zdobyła się na uśmiech. Gdy wyciągnęła do niego rękę, była już przygotowana na ów specjalny impuls, który przebiegł przez jej ramiona.

– Dziękuję, że dostałam szansę. Postaram się pana nie zawieść.

Nie była pewna, ale chyba przytrzymał jej rękę ułamek sekundy zbyt długo, zanim ją puścił.

– Kiedy może pani zacząć?

– Kiedy pan sobie życzy.

– Dziś wieczorem? – Powietrze wokół nich zelektryzowała jakaś nieokreślona siła i Fleur odczuła wyraźną potrzebę sprawdzenia się w starciu z nowym szefem.

Może mogłaby mu pomóc się zabawić i sama mieć trochę rozrywki...?

Ale to twój szef...

Ta myśl ostudziła jej zapędy.

Co jej się kołatało w głowie? Dostała wreszcie doskonałą pracę w dużej firmie, co mogło znacząco wpłynąć na jej karierę, i co zamierzała? Podrywać szefa? Nonsens. Musiała skierować myśli na inne tory. I to szybko.

– Może by tak. Co pan ma na myśli? Wrócił za biurko.

– Może zjemy kolację, podczas której wprowadzę cię w arkana firmy? – Przerzucił kilka papierów, jakby nie dbał o jej odpowiedź.

Serce Fleur podskoczyło na myśl, że spędzi wieczór z mężczyzną, który tak pobudza co działa na jej zmysły.

– Oczywiście. Gdzie i o której?

Gdy na nią spojrział, wyraz ulgi złagodził jego ostre rysy.

– W „Potter Lounge”. O ósmej?

Fleur miała nadzieję, że zdziwienie nie odmalowało się na jej twarzy. Wymienił właśnie jedną z najbardziej pretensjonalnych, snobistycznych restauracji w Melbourne, uczyszczaną przez stałych gości oraz tych, którzy akurat musieli się pokazać.

– Wieczorowy czy koktajlowy strój?

– Na co masz ochotę. – Jego spojrzenie powdrowało w dół jej ciała, pozostawiając po sobie ślad w postaci gęsiej skórki. – Jestem pewien, że będziesz wyglądać wspaniale w czymkolwiek.

Rumieniec wystąpił na jej policzki. Zanim zdążyła z ripostą, Darcy Howard przemierzył pokój i przytrzymał dla niej otwarte drzwi. Był to oczywisty znak, że zakończył rozmowę.

– Do zobaczenia wieczorem.

Wyciskając teczkę pod pachę i zarzucając torebkę na drugie ramiona, Fleur przeszła obok

niego.

– Do zobaczenia. I jeszcze raz dziękuję, panie Howard.

– Mam na imię Darcy, pamiętasz?

Zdobyła się na grzeczny uśmiech i przytaknęła, zanim zamknęła za sobą drzwi.

„Mam na imię Darcy, pamiętasz?”

Jego głęboki głos rozbrzmiewał echem w jej głowie wraz ze wszystkimi słowami, których użył podczas tej dziwnej rozmowy.

Zważywszy na to, jakie zrobił na niej wrażenie, jakoby mogła zapomnieć?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Min ło du o czasie, od kiedy Darcy zaprosił kobiet na kolacj . Nadmiar obowi zków zawodowych ograniczył jego ycie towarzyskie do minimum. Zreszt adna kobieta nie przyci gn ła jego uwagi tak bardzo, by chciał si za ni ugania .

A do dzi .

Potrz sn ł gów , by skierowa my li na inny tor. Miał zatrudni Fleur Adams do pracy, nie dla rozrywki. Nie powinien zapomina o tym, je li naprawd chciał uzdrowi firm .

Bił si jednak z my lami.

A je li ju zdecydował, e j zatrudni, zanim przeprowadził rozmow kwalifikacyjn ? Powinien wiedzie wi cej o kobiecie, której powierza przyszło swojej firmy. Dzisiejszy wieczór potraktuje jako nast pny sprawdzian.

I dlatego wybrał najmodniejsz restauracj w mie cie? No có , lubił dobr kuchni i wina, a je li ju miał je poza domem, to wolał doborowe towarzystwo ni jak jego n dzn namiastk . Bo e, robił z siebie pompatycznego dupka! Jeszcze wystraszy t biedn kobiet , je li zdradzi si z takimi pogl dami.

Miał wra enie, e Fleur wzi ła go za starego nudziarza, dlatego zafundował jej komplement, by zrozumiała, e potrafił doceni prawdziwe pi kno. Jej reakcja go zaintrygowała. Młode kobiety w dzisiejszych czasach rzadko si czerwieniły. Zastanawiał si , czy jej odwa ne stwierdzenie o „spróbowaniu czego innego” nie były podszyte fałszyw brawur .

By mo e mógłby j sprawdzi ?

Zatrzymał samochód przed wej ciem do restauracji, schował kluczyki do portfela, a potem prawie wbiegł na marmurowe schody.

Kto wymy lił t głupi zasad o niemieszaniu pracy i przyjemno ci?

Dzi wieczorem miał wielk ochot przełama utarte schematy.

Fleur wzi ła uspokajaj cy oddech, uniosła podbródek i weszła do eleganckiej sali jadalnej „Potter Lounge”. Starła si nie rozgl da dookoła. Przy mione yrandole rzucały mi kkie wiatło na stylowe umeblowanie i wypolerowane srebra, stwarzaj c przytuln , acz wykwintn atmosfer , kryształowe kieliszki zach caj co błyszcząły w migotliwym wietle wiec.

Trudno było utrzyma wyobra ni na wodzy. Ta sceneria była stworzona do romansu, a nie interesów. Nie miała poj cia, dlaczego Darcy wybrał wła nie to miejsce.

Nieco skr powana i onie mielona, maj c jednak nadziej , e tego po niej nie wida , pozwoliła szefowi sali zaprowadzi si do stolika.

Nie był to zwykły stół, lecz kameralna wn ka w odległym k cie sali, osłoni ta od ciekawskich spojrze r cznie malowanym, japo skim parawanem.

– Wspaniale – mrukn ła pod nosem, u wiadamiaj c sobie, e kolacja z przystojnym szefem wła nie nabrała całkiem nowego znaczenia.

By jeszcze pogorszy spraw , Darcy wstał na jej widok, a serce Fleur wykonało takie

samo niesamowite salto jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy w kawiarni. Nie miało to nic wspólnego z jego wyglądem; nadal sprawiał bardzo dostojne i konserwatywne wrażenie w ciemnym, eleganckim garniturze, białej koszuli i krawacie w paski. Jednak już wcześniej nie stwierdziła, że roztaczał wokół siebie niezwykłe aury, która działała na nią niezwykle pociągająco. Nie doświadczyła takiej siły przyciągania od lat czy te zgoła nigdy.

Gdy wysunął dla niej krzesło, poczuła się niezwykle kobieco.

– Wyglądasz pięknie – powiedział prosto do jej ucha. – Dzięki. – Usiadła, czując, jak puls jej przyspiesza, a zdradzieckie ciepło obejmuje kark i policzki. Co się z nią dzieło? Rzadko się rumieniła, a już na pewno nie z powodu miłych komplementów.

– Zdecydowała się na strój koktajlowy – skomentował.

– Kiedy ma się w toplewo ci, pozostaje mała czarna. Uniósł brwi.

– Mała czarna?

Czy on sobie o tym myślał? Naprawdę nie wiedział, że tak nazywa się ten strój, prawdziwe zbawienie dla kobiet, który Coco Chanel wymyśliła jeszcze przed drugą wojną światową?

Fleur uśmiechnęła się szeroko, by sama sobie dodać otuchy.

– Mała czarna sukienka – wyjawiła. – Podstawa damskiej garderoby.

– Aha. – Skinął głową, jakby rozumiał, o czym mowa, chociaż zakłopotany wyraz jego twarzy świadczył, że nie miał bladego pojęcia.

– Myślałam, że masz taką jak ty często jada kolacje z kobietami w małych czarnych – zakpiła, licząc, że rozładuje napięcie.

– Nie mam na to czasu. – Skinął na kelnera i zamówił szampana, oczywiście francuskiego.

Jak widać, założyła, że pijała drogiego szampana albo że powinno to na niej wywrze wrażenie. To już od razu rozżęciło, ale szybko przypomniała sobie o celu, w jakim tu przyszła.

– Opowiedz mi o firmie – poprosiła. – Nawet nie wiem, co importujesz.

– Głównie galanterii i upominków.

– Na tego typu produkty jest wielki rynek. Dlaczego firma nie przynosi zysków?

Potrzebuję głosu.

– Jeśli znałbym odpowiedź, nie musiałbym cię zatrudniać – stwierdził z goryczą. – Personel stał się o wiele mniej efektywny. Wszyscy wydają się pogrzebani w jakimś letargu i mimo wysiłków, nie są w stanie się z niego wyrwać.

– Tak, rozumiem... – Pamiętała flegmatyczną, nonszalancką recepcjonistkę, wiedziała więc, o czym mówił.

– Gdy zaczęli pracować, mieli znacznie więcej zapału. Kreatywność, inicjatywa... Lecz to gdzieś się rozmyło, przepadło.

Przed oczami stanął jej posępny gabinet Darc/ego.

– A czy tobie praca sprawia radość?

Przez chwilę gapił się na nią, jakby przemówiła w obcym języku.

– Co masz na myśli?

Upiła szampana, delektując się jego wspaniałym smakiem. No i te białki...

– Wiem, że ludzie boją się do tego przyznawać, ale proszę, odpowiedz mi szczerze: czy twoja praca ci bawi?

– Praca to praca. Je li chciałbym rozrywki, zatrudniłbym kłownów.

– Cóż, może powinieneś?

Wciąż zdezorientowany, podrapał się po nosie.

– Czy ty zwariowałaś?

Wyprostowała się, nagle przyjmując bardzo oficjalną postawę.

– Nie, ale chciałabym zasłuchać pewnie idee w twoim umyśle. – Odetchnęła głębiej. Miała nadzieję, że jej nowy szef gotów jest zmierzyć się z prawdą. – Posłuchaj uważnie. Gdy po raz pierwszy weszłam do twojego biura, wyczułam atmosferę nudy, marazmu i beznadziei. Uważam, że firma gwałtownie potrzebuje dynamicznych zmian, od funkcjonowania recepcji aż po wystrój twojego gabinetu.

O dziwo, nie wyglądał na rozszłoszczonego. Pochylił się do przodu i oparł łokcie na stole.

– A więc uważasz, że jestem nudny?

– Mówi o twojej firmie. – Na lito bosko, co za diabeł w nim wstąpił! – O tobie zbyt mało wiem, bym mogła ci coś doradzić.

Zignorował te uwagi.

– Mów dalej.

– Pracownicy muszą czuć się docenieni, a co jeszcze ważniejsze, powinni mieć wiadomość, że dba się o ich pracę i mają szansę się wyróżnić. – Przerwała, by zarzucić na ucho niesforny kosmyk. Czy zdobył się na odwagę, by powiedzieć mu do końca, na czym jej zdaniem polegał problem? – Odniosłam wrażenie, że twój personel nie ma takiej wiadomości.

– Dlaczego? – Zmarszczka, która nagle pojawiła się pomiędzy jego brwiami, dodała mu pięć lat.

Fleur napiła się szampana dla nabrania animuszu.

– Ostateczna diagnoza? Patrz na siebie i bierz przykład.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się. Fleur zapragnęła nagle wtopi się w krzesło, lub, jeszcze lepiej, schować się pod stół, a potem zniknąć z tej snobistycznej restauracji.

– Jak mam to rozmięć? Wypuściła z impetem powietrze.

– Cóż, wydajesz się trochę sztywny.

– Sztywny? – Jego brwi poszybowały do góry.

Gdyby nie stała po tak delikatnym gruncie, wybuchnęłyby śmiechem na widok komicznego wyrazu jego twarzy. Ciskał palce pod obrusem i modlił się, by nie straciła pracy, gdy do końca, cięgnęła:

– Onie miałeś ludzi. Twój wygląd, twój strój, sposób bycia, wszystko świadczy o chłodnej wyniosłości i wielkim dystansie do otaczającego cię świata, a więc i do firmy. Zastanów się więc, skoro sam nie przejawiasz entuzjazmu, czy może oczekiwać, że twój personel będzie żywo zainteresowany pracą?

Czekała na wybuch. I nie mogłaby go za to winić. Do licha, sama zmyłaby mu głowę, gdyby o mielił się powiedzieć jej coś podobnego podczas pierwszego spotkania.

Darcy pochylił się do przodu, skrzyłował ramiona i patrzył na nią złym wzrokiem.

– Doceniam twoje umiejętności psychologiczne. Teraz więc, kiedy dogłębnie prześwietliła zarówno mnie, jak i moją firmę, jakie masz propozycje rozwiązania naszych problemów?

Stłumiła nerwowe podniecenie. Jeśli nadal będzie na nią patrzył w ten sposób, nie zdoła zebrać myśli. Co w głębi jego niebieskich oczu nie pozwalało jej skupić się na istocie problemu.

– To proste. – Zdobyła się na uśmiech, mając nadzieję, że nie wypadł krzywo. – Zaczniemy od góry, a potem zejdziemy w dół.

– Ciekawa terapia.

Jego oczy zabłysły przelotnym światłem, a jej serce zabiło w odpowiedzi. Jak przystało na staro-wieckiego delfina, potrafił flirtować, obracając niewinne słowa w aluzję.

– Ufff... – Uśmiechnęła się ciepło, by rozluźnić atmosferę. – Będzie to dla mnie trudne wyzwanie, bo nie wyglądasz na mężczyznę, który lubi zmiany.

– Jestem aż tak łatwy do rozszyfrowania? – Spojrzał jej głęboko w oczy.

Rozmowa nieoczekiwanie nabrała intymnego charakteru.

– Nazwij to intuicją. – Wzięła menu, by zająć czymś niespokojne ręce i oderwać uwagę od jego badawczego wzroku.

Ku jej zaskoczeniu sięgnął przez stół i wyjął menu z jej ręki.

– Zakończmy ten wątek, zanim złożymy zamówienie. Co muszę zrobić, by odwrócić tę niekorzystną sytuację?

Na pewno wiem, co ja muszę zrobić, pomyślała w popłochu. Uciec na koniec świata od ciebie i twoich oczu...

Być może podjęcie tej pracy nie było jednak najlepszym pomysłem. Nigdy nie brakowało jej pewności siebie, ale Darcy Howard potrafił jednym spojrzeniem wprowadzić ją w zupełną konsternację. To było doprawdy frustrujące. Wić jej, przerażenie.

– Co na to powiesz, gdybym za kilka dni przedstawiła ci biznesplan?

– Ale wspomniałaś, że zaczniemy od góry. Przypuszczam, że chodziło o mnie?

– Zgadza się. Mam kilka pomysłów, ale chciałabym najpierw porozmawiać z twoimi pracownikami. Zawsze staram się zachować kolejność. – Małe kłamstewko, ale nie chciała, by się domyśliła, że to jej pierwsze prawdziwe zadanie. Poza tym zyska trochę czasu i zdobędzie nowe informacje, dzięki czemu dopieci swój biznesplan w każdym szczególe. Wiedziała już, że poradzi sobie ze wszystkimi wymaganiami nowego szefa. W granicach rozsądku, oczywiście.

– Wietnie. – Wręczył jej kartonik. – Czekam niecierpliwie na twój mistrzowski plan.

– Za kilka dni. – Odetchnęła z ulgą, choć jedynie na chwilę.

– Pamiętaj, Fleur, daj mi trochę czasu. I nie chciałbym doznać zawodu.

– Nie obawiaj się – powiedziała, wiedząc, że da z siebie wszystko. Dla dobra ich dwojga.

Darcy przekręcił klucz w zamku. Zdziwił się, że frontowe drzwi były otwarte. Mógłby przysiąc, że je zamknął, gdy wychodził na kolację. Ale może perspektywa spotkania z Fleur

zaprzętnęła mu umysł bardziej, niż przypuszczał?

Ledwie jednak wszedł do holu, zrozumiał, dlaczego drzwi były otwarte. Z pokoju napierze dobiegał nieznośnie, dudniący łomot jakiej heavymetalowej muzyki, której Darcy zapewne nigdy nie słyszał.

Wbiegał po dwa stopnie na górę. Z jednej strony chciał ucisnąć swego krnąbrnego brata, ale z drugiej – chętnie by go udusił za to, że tak długo nie pokazywał się w domu. Drzwi do pokoju Seana były otwarte na oścież.

– Witaj, braciszku, dawno ci nie widziałem! – Sean poderwał się z łóżka z kawałkiem pizzy w jednej, a piwem w drugiej ręce.

Darcy ciszył muzykę, zanim odpowiedział:

– Dawno? Trzy lata to dla ciebie po prostu dawno? Sean wyszczerzył zęby.

– Odpuść, stary. Nie bądź taki... ojcowski. Cieszysz się, że mnie widzisz?

Złość znów zalała Darcy'ego. Wychowywał go od jedenastego roku życia, ale, jak widać, nie nauczył dojrzałości. Sean nie doceniał po prostu brata, który w młodym wieku musiał wcielić się w rolę rodzica. Zawsze traktował go jak bezdusznego, wymagającego potwora.

Sean nadal był jak beztroski chłopiec, i właśnie to najbardziej drażniło Darcy'ego. Dlaczego wcielenie musiał być za wszystko odpowiedzialny? Przecież jego brat miał już trzydzieści lat. Najwyższa pora, by dojrzał.

– Dwa telefony w ciągu trzech lat. Nie sądzisz, że mój niepokój był uzasadniony?

Sean skinął głową i pociągnął łyk piwa.

– Niewiele się zmieniło.

– Tak samo jak ty. – Darcy zacisnął pięści. Sean nadal mówił i zachowywał się jak zbuntowany nastolatek, poczynszyszy od ostrego języka aż po upodobania muzyczne. – Jak długo zostaniesz tym razem?

Sean wzruszył ramionami, jakby wcale o to nie dbał.

– Kto wie? Mógłbym zacząć się tutaj na chwilę, zobaczysz, co ciekawego Melbourne ma mi do zaoferowania.

– A jak twoja sytuacja finansowa? – Darcy, choćby nie wiedział, jak się starał, nie potrafił porzucić roli zatroskanego ojca. Wiedział, że Sean tego nie cierpiał i pragnął, by to wreszcie się skończyło. Jednak przez prawie dwadzieścia lat troska o młodszego brata weszła mu w krew i niech go diabli, jeżeli przestanie troszczyć się o niego teraz.

– Przestań się zamartwiać, braciszku. Czy z tego powodu posiwiiałe?

– Nie mam siwych włosów! – obruszył się Darcy.

– Och, masz... – Sean odłożył niedojedzony kawałek pizzy do kartonowego pudełka i podszedł do Darcy'ego, wskazując na jego skórę. – O tu, widz jeden! Jest całkiem biały.

– Braciszku! – Darcy odsunął rękę Seana, ale w końcu uciekł, a wzruszenie rozświetliło mu oczy.

– Też za tobą skniłem. – Sean objął go niedźwiedzim uściskiem, a Darcy poklepał młodszego brata po plecach.

Po chwili odsunęli się od siebie i odwrócili wzrok, niepewni, jak przerwać niezręczną ciszę, która nieuchronnie zapada w chwilach wzruszenia. Darcy skierował się do drzwi, lecz

zatrzymał się w progu.

– Dobrze, że jesteś w domu – powiedział. Sean uśmiechnął się.

– Dobrze być z powrotem, nawet jeśli musisz znów patrzeć na twój garb.

Darczyemu cię gnęły się rysi.

Co Fleur by sobie pomyślała, gdyby go teraz zobaczyła?

Wyglądała niewiarygodnie w czarnej sukience z eleganckim, małym dekoltem, na tyle jednak głębokim, by przyciągać skądś spojrzenia. No i te lśniące, gładkie włosy... Chyba z godzin musiała prostować niesforne loki, które podziwiał, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Wreszcie wyszywane cekinami pantofle... no i w ogóle. Naprawdę miał trudno ci ze skoncentrowaniem się na rozmowie.

Ale jedno było pewne – nadal uważał go za sztywniaka.

Cóż, niebawem jej pokaże, że jest inaczej.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Wykorzystując swoją wiedzę psychologiczną, Fleur analizowała każdą randkę – od sposobu, w jaki mężczyzna na nią patrzył, a po to, co i jakim tonem powiedział. Niestety, na randce z Darcym jej analityczny mózg nie pracował.

Randka? Skąd jej to przyszło do głowy? Zaprosił ją na kolację biznesową, a nie na randkę. Im bardziej sobie to uświadomiła, tym lepiej.

A jeżeli raczył ją dobrym jedzeniem i winem i zadawał osobiste pytania, ponieważ był nią naprawdę zainteresowany?

Nie bądź głupia! – ofuknęła się w duchu.

Kiedy szef może wypytywać nowego pracownika o co tylko chce, zwłaszcza jeżeli ten pracownik ma uratować jego upadającą firmę.

No cóż, jej wybujała wyobraźnia doszukiwała się w tym znacznie więcej, niż było w rzeczywistości. I mimo szczerych chęci, by zrobić korzystne profesjonalne wrażenie na przyszłym szefie, raz po raz opuszczała ją czujność i reagowała na niego jak kobieta, a nie młoda bizneswoman, która walczy o intratny kontrakt. Ale cóż, Darcy Howard trochę ją o mieleł. Mogłaby przysiąc, że wiele razy widziała pośladki w jego oczach, a wtedy odbierało jej dech, za ciało ogarniała zdradziecka gorączka.

Na szczęście przez następne dwa dni rzadko go widywała. Kiedy rozmawiała z pracownikami Innovative Imports, chował się w swoim ponurym gabinecie lub wychodził z biura, zostawiając jej wolność, a jednocześnie niepokój ducha.

Wiedziała jednak, że to długo nie potrwa. Dziś musiała przedstawić ostateczny biznesplan. Ta sytuacja trochę ją przerażała. Wykonała gigantyczną pracę i powinna być dumna z siebie – a jednak obawiała się, jak Darcy zareaguje na słowa prawdy. Jak zdoła powiedzieć mu prawdę, nie narażając jego męskiego ego na frustrację, albo gorzej – nie cięgnąc na siebie jego gniewu?

Ubrała się starannie, by wywrzeć korzystne wrażenie. Niemniej jednak w chwili, gdy weszła do gabinetu Dracy'ego i gdy na nią spojrział tym uważnym, lustrującym spojrzeniem, poałowiała, że nie włożyła czegoś bardziej statecznego niż ciemnozielona spódnica, która odkrywała kolana, i dopasowany kciuk, spod którego prze witywał czarny stanik.

– Kawa? – zaproponował.

Potrzebuję głowę. Była już wystarczająco pobudzona.

– Jak plan? – Wskazał jej ręką niewygodny fotel, pierwszy mebel, który zamierzała stąd wyrzucić.

– Gotowy. – Powstrzymała się, by nie obciągnąć nerwowo spódnicy przy siadaniu.

Odchylił się na krzesło, dziwny uśmiech błysnął w kącikach jego ust.

– Pozwól, że zerknę.

Patrzyła na jego usta, zastanawiając się, dlaczego uznała je za zbyt wściekłe, gdy widziała je po raz pierwszy w kafejce. Miał wspaniałe usta i im dłużej im się przyglądała, tym bardziej była ciekawa, jak by to było, gdyby przyłgnęły do jej ust.

Sięgnęła po filiżankę z kawą, ona zaś zyskała trochę czasu na odzyskanie spokoju. Przyglądając się jego ustom, odczuła przypływ podniecenia, którego, miała nadzieję, nie zdradził kolor jej policzków.

Chrzęknęła.

– Zanim przedstawi moje propozycje, musisz wiedzieć, czy jesteś na nie gotowy.

– Chętny i gotowy. – Uśmiechnął się, a serce jej podskoczyło, gdy spostrzegła iskierek podania w jego oczach.

Popatrzyła na dokumenty, które kilka razy układała na nowo, odkąd rano wyszły z drukarki.

– Przygotowuję ten plan, przywiecał mi jeden cel: być, zgodnie z twoim życzeniem, firmą poprawiającą swoją efektywność. Spędziłam mnóstwo czasu na rozmowach z twoimi pracownikami. Okazali się niezwykle lojalni, ale starałam się czytać mi między wierszami.

– Tak?

Słaby uśmiech ulotnił się z jego twarzy i zastąpił go grymas, który jej mocno onie mielił.

Utrzymuj się nerwy na wodzy, cięgnięła z wysiłkiem:

– Twój personel jest zaangażowany w pracę, ma wspólne cele oraz wiarę w misję firmy i bardzo pragnie poprawić organizację pracy.

– Ale... ?

Próbując grać na czas, położyła dokumenty na biurku, a dłonie na podolku, uycząc sobie, by Darcy nie był tak cholernie dociekliwy. Przedstawiła mu najpierw pozytywy, ale on wiedział, jak przystało na doświadczonego menedżera, że najważniejsze zatrzymuje na później.

– To nie wystarczy. – Odwróciła wzrok i skupiła uwagę na smutnym obrazie na ścianie, na którym aglowiec rozbijał ponure fale. Jeszcze jeden dowód, że to okropne biuro potrzebowało kompletnej modernizacji.

– Powiedz mi, Fleur. Musz usłyszysz wszystko. Przygotowana na eksplozję złości, popatrzyła mu prosto w oczy.

– Straciłeś zapach. Odnoszę wrażenie, że twoim pracownikom trudno jest okazać zainteresowanie pracą, kiedy ich szef przychodzi do biura z takim minem, jakby dźwigał na swoich barkach ciężar całego świata.

Włożył palec za kołnierzyk koszuli, jakby krawat nagle zaczął go uwierać.

– Mów dalej.

– Opieram się na swoich domysłach, ponieważ nie dano mi tego wprost do zrozumienia. Trudno o entuzjazm do pracy, gdy szef wlecze się do biura jak wół prowadzony na rzeź. – Mówiła w półpiechu, nie chciała, by jej przerwał, zanim nie powie całej prawdy. – I nie chodzi tylko o twój postaw. Na przykład spójrz na ten gabinet. – Powiodła ręką dookoła. – Jest nudny i bez życia. Kądy, kto tu wejdzie, natychmiast ma ochotę uciekać. – Odchyliła się na fotelu.

– Ze mną walczy. Nienawidzę tego fotela!

– Skończyła?

Zaczerwieniła się, wystraszona jego lodowatym tonem.

– Tak. Tu wszystko jest opisane.

Gdy wrzuciła mu raport, rzucił go od niechcienia na stert papierów.

– Przeczytam póki niejdzie. A teraz, gdy już zdefiniowała problem, jakie widzisz rozwiązanie?

Położyła dłonie na stole i zwrócił się do niej z powagą, srogi młody człowiek, która już zdetonowała jeszcze bardziej niż kontrolowana w ciekłym powietlu w jego głosie.

– Naucz mnie, jak się rozluźnić.

Darcyego zaskoczyła ta propozycja, Fleur zaś bez mrugnięcia wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami w kolorze czekolady. Wstrząsnęła nim, mówiła serio.

Rozejm się gorzko, – artujesz, prawda? Chciałabyś mnie nauczyć, jak się mam bawić?

– Właśnie nie. – Skinęła głową, prawie niewidoczny cudaczny koczek niepewnie kołyszący się na czubku głowy. Wolała, jak miała włosy swobodnie rozpuszczone i opadające na ramiona, tak jak podczas kolacji, lub kuszący co poskręcał wokół twarzy, jak tamtego pamiętnego dnia, gdy już zobaczył po raz pierwszy.

– Chcę dobrze zrozumieć. Mam się nauczyć, jak można się bawić?

Znow się zarumieniła, on zaś zapragnął sięgnąć poprzez stół i ująć jej policzki w dłoń.

– Musisz się odprężyć. Wyluzować. Być może kiedyś to potrafię...

Skrzywił się. Chociaż nie powiedziała niczego, czego sam nie wiedział, był zdziwiony, że jego pracownicy myśleli o nim w ten sposób. Wiedział, że stracił zapas do pracy. Czuł się jak bezwolny manekin i wykonywał swoje obowiązki automatycznie. Wolał, że nie był bardziej podobny do Seana, który rzucił wszystko i gonił po świecie w poszukiwaniu przyjemności. Ale on nie mógł. Dobrze pamiętał postawę swego ojca i widział, jak to się skończyło – mierci obojga rodziców.

Brnął więc dalej, ale stawał się coraz bardziej zamknięty w sobie. Rzadko udzielał się towarzyszko, umawiał na randki lub wychodził z domu, jeżeli nie dotyczyło to biznesu. Praca wykonywana bez entuzjazmu i brak rozrywek uczyniły jego życie nudnym i monotonnym. Może z kobiet tak jak Fleur mógłby się zmienić?

– W porządku, powiedzmy, że masz rację. Jak zamierzasz mnie tego nauczyć? – spytał niecierpliwie.

Bawiła się guzikami od sukienki, przyciągając jego uwagę do czarnego stanika, który wabił co migotał pod spodem. Do licha! Zgromił się w duchu za snucie niestosownych fantazji.

Nigdy nie powinien był się do niej zbliżyć, choćby dlatego, że Fleur była uosobieniem tego wszystkiego, czego za wszelką cenę unikał. Zuchwała, przebojowa, pozbawiona kompleksów, lubiła przełamywać schematy. Taka sama jak Sean i jego ojciec. Niech go licha, jeżeli skończy tak jak oni!

– Potrzebujesz rozrywki. Pokaż mi, na czym to polega. – Wstała. – Spotkajmy się przed tym budynkiem powiedzmy jutro o ósmej rano. I ubierz się w coś swobodnego.

Odprowadził ją wzrokiem do drzwi, podziwiając smukłe nogi i sposób, w jaki spódnica opinała jej biodra.

– Ale jutro jest sobota. – Czy by uznała go za taki przypadek, że musieli

natychmiast przystąpi do rzeczy?

Zatrzymała się z ręką na klamce.

– A więc wolisz zacząć dziś wieczorem? Zauważyła wyzwanie w jej oczach.

– Im szybciej, tym lepiej – powiedział bez namysłu.

– Dobrze. Zabiorę ci o dziesi tej. Pamiętaj, ubiór swobodny.

O dziesi tej? Zwykle kładł się spać o tej porze. Co go, u licha, podkusiło?

Na twarzy Fleur odmalował się triumf. Nie, nie da jej satysfakcji, pytając, co zamierza robić o tak późno w godzinie.

– A więc do zobaczenia. Mieszkam w South Yarra, The Terrace 20.

– Nie ma problemu.

Wyszła, on zaś pozostał, cały wprost płonący z ciekawości.

Gdy Fleur ubierała się, Liv leżała na jej łóżku i zadawała mnóstwo pytań, które na ogół pozostawały bez odpowiedzi.

– Zabiorę ci na kolację do „Potter Lounge”, a teraz ty go zabierasz do nocnego klubu. Czy aby na pewno nie podrywasz swojego szefa?

Fleur przypięła kolczyki, spojrzała na odbicie przyjaciółki w lustrze.

– Daj spokój, dobrze? Dziś w nocy pracuję, a nie udzielam się towarzysko.

Liv prychnęła.

– Dobrze sobie! Ładny mi strój do pracy!

– Idziemy do klubu. Muszę włożyć coś odpowiedniego. – Obcisłe, czarne spodnie i bluzka bez pleców stali bywalcy klubu, do którego zamierzała zabrać Darcy’ego, uznaliby za strój konserwatywny.

– Chciałabym mieć taką pracę jak ty... – Liv westchnęła z zazdrością. – Nie wiem, jak to robisz, ale porządnie faceci zawsze wpadają w twoje ręce.

Porządnie faceci? Fleur nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz spotkała takiego faceta, który nie byłby zainteresowany wskoczeniem jej do łóżka na pierwszej randce.

Prostując się wyniośle, odwróciła się do przyjaciółki.

– Darcy nie wpadł mi w ręce. Moja głowa zetknęła się z jego ramieniem, pamiętasz?

– Ciekawe. Może powinnam czasami spróbować? Chociaż, znając moje szczęście, jaki wódek przy okazji obleje mnie drinkiem, niż zaoferuje wymarzoną pracę.

– Jaka to wymarzona praca? Po prostu praca i tyle. Liv usiadła.

– Płacę ci za spędzanie czasu z takim facetem jak Darcy. Nie uważasz tego za wymarzone zajęcie?

Fleur wyszczerzyła zębów uśmiechem, a potem dokończyła makijaż.

– Ale co będzie, jeśli przegram? Jeśli nie uda mi się go rozerwać?

Tamtyl przemknęła jej przez głowę już wcześniej, gdy opuszczała jego gabinet, przepełniona fałszywym brawurą, ale dopiero teraz ubrała ją w słowa.

– To proste. Uwiedź go.

Fleur rzuciła Ripleya, ulubionego pluszowego pieska, prosto na głowę Liv. Przyjaciółka parsknęła śmiechem, ale Fleur nie mogła zaprzeczyć, że jej artobliwe słowa wywołały w niej dreszcz podniecenia.

Darcy przemierzał salon, spoglądając raz po raz na zegarek. Czuł się dziwnie i mieszknie.

– Wychodzisz? O tej porze? – Sean opierał się o framug drzwi z szerokim uśmiechem.

– Co ci do tego? – warknął Darcy. Już mówił, że zgodził się na propozycję Fleur. Co za pech! Sean przebywał poza domem przez większość czasu, ale dziś, jak na złość, wrócił wcześniej.

– Nazwij to braterską troską. A więc posłuchaj: nie wracaj zbyt późno, nie upij się i nie wpakuj się w kłopoty – wyliczał na palcach, naładując mimikę i głos Darcy'ego. – I zadzwoni, gdyby mnie potrzebował.

– Nie wymyślaj, chłopczyku. – Darcy podszedł do okna i wyjrzał, zastanawiając się, czy zdecydowałby się wybiec, gdyby Fleur zatrzymała się przed domem.

Sean zagwizdał.

– No, no, to musi być niezła laska. Od jak dawna nie był na randce?

– To nie jest randka – powiedział, nim zdecydował pomyśleć.

– A więc co?

– Nie twój interes! – Darcy spojrzał ze złością na brata.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Sean pognał je otworzyć, zanim Darcy zdecydował się poruszyć. Mruczyc gniwnie, poszedł do holu.

– Cześć, nazywam się Fleur. Czy jest Darcy?

Darcy stał jak wryty w holu, kilka kroków za Seanem, schowany za starym zegarem dziadka. Zauroczony gapił się na Fleur.

Już podziwiał kilka razy jej wspaniałą figurę, ale ciało, które dziś odsoniła, powinno mieć przyklejone tabliczkę: „Wysokie napięcie. Nie dotykać”. A ręce wierzbiły, by je dotknąć... Oczy i usta podkreślone makijażem i poskręcane, rozwichrzone włosy nadawały jej twarzy egzotyczny, nieco drapieżny wyraz. Wyglądała po prostu oszałamiająco i... należała do niego. Przynajmniej na czas kontraktu, chociaż praca była ostatnią rzeczą, o której teraz mógł myśleć.

Sean szeroko otworzył drzwi.

– Tak, mój brat, stary piernik, jest w domu. Mam na imię Sean. Miło mi cię poznać.

Darcy miał ochotę udusić Seana, gdy ten wycisnął pocałunek na jej dłoni.

Oczy Fleur błysnęły, gdy spojrzała na Seana. Darcy dałby wiele, by choć raz spojrzała na niego w taki sposób.

– Mnie również.

– Piękne imię dla pięknej kobiety. Po francusku znaczy kwiat. Podoba mi się.

Sean nic a nic się nie zmienił, w stosunku do kobiet zachowywał się zawsze z przesadną galanterią. Darcy'ego zacząła zalewać krew.

– Dziękuję, mam nadzieję, że nie zasuszony fiołek. Darcy uśmiechnął się. Cała moja Fleur! – uradował się w duchu. Nie pozostawała dłużej.

Moja Fleur? Skąd mi to przyszło do głowy?! – zdumiał się.

Podszedł do drzwi.

– Cześć, Fleur. Gotowa?

Przełiznęła się po nim wzrokiem i, Bogu dzięki, odnalazł w jej oczach aprobatę.

– Oczywiście, ruszajmy. Sean poklepał go po plecach.

– Dobrej zabawy! Nie róbcie niczego, czego bym sam nie zrobił. – Przesłał Fleur pocałunek, który na niby złapała w rękę i przytknęła do policzka, a potem puściła oczko.

– Nie zachcaj go – mruknął Darcy, gdy sprowadzał ją po schodach.

– Jest nieszkodliwy.

– Owszem, jeżeli lubisz rekiny.

Roze miała się, a potem otworzyła auto, wleźła na siedzenie i zapaliła silnik.

– Masz się dziwyluzować, pamiętasz?

– Spróbuj. – Wyjrzał przez okno, by nie patrzeć na jej dłoń spoczywającą na gałce od skrzyni biegów, przez co powstawały w jego umyśle fantastyczne skojarzenia.

– Nie wiedziałam, że masz brata – odezwała się Fleur.

– Jeszcze dużo o mnie nie wiesz.

Poczynając od tego, że bardzo chciałbym ci teraz pocałować, pomyślała.

– Dlaczego nie opowiesz mi o sobie?

– To może być dla ciebie nudne.

– Podejm ryzyko, jeżeli i ty je podejmiesz.

Mówiła artobliwym tonem, ale Darcy wyczuł, że rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót i postanowił zdobyć punkt.

– Jeżeli o to chodzi, zauważ, że ryzyko to moja specjalność.

Gdy stanęła na czerwonych wiałach, uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie.

– Być może jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

– Nie spisuj mnie zbyt szybko na straty. Mogłoby ci jeszcze zadziwić. – Przy odrobinie szczycia, dodał w duchu.

Oczy Fleur zabłyśły w półmroku. Chciałby mieć moc, by rozświetlać w ten sposób jej oczy przez cały czas.

– Uwielbiam niespodzianki.

Poprawka: przy ogromie szczycia. Kogo chciał oszukać? Minęło przecie wiele czasu, od kiedy spotykał się z kobietami... A jeżeli chodzi o zadziwienie... Cóż, przy okazji zaimponowałyby jej drobiazgowości i spontanicznym zachowaniem!

Z wysiłkiem odwrócił od niej wzrok.

– Zielone, jak rozumiem, oznacza, że można jechać. Roze miała się. Ruszyła z piskiem opon, pozostawiając za sobą chmurę spalin.

Przytrzymał się tablicy rozdzielczej i zgromił Fleur spojrzeniem. Zgodnie z przewidywaniem nie odniosło to żadnego skutku. Uniosła tylko brwi i posłała mu łobuzerski uśmiech, a potem skupiła uwagę na drodze.

– Nie powiedziała mi, że jesteś kierowcą rajdowym.

– Nie tylko ty masz sekrety. Zdradzi ci je, jeżeli ty mi zdradzisz swoje.

Kuszący ton jej głosu i zapach przepełniającego samochód, sposób, w jaki trzymała kierownicę, a także w skórę spodnie opinające uda – to wszystko oszałamiało jego wyobraźnię. Do licha, czy kiedykolwiek jakaś kobieta skupiła tak bardzo uwagę Darcvego?

Była jego pracownikiem, na lito bosk ! Powinien okiełzna zmysły, zanim zrobi z siebie kompletnego osła.

– Lepiej opowiedz mi, dokąd to dziś wybieramy.

– Nie wychodzisz zbyt czysto, prawda?

Skrzywił się. Dzięki Bogu, nie widziała wyrazu jego twarzy, ponieważ całkowicie koncentrowała się na drodze.

– Wychodź.

– Naprawdę?

– Tak. – Włożył w to zapewnienie maksimum przekonania.

Ale jej nie zmylił.

– Powiedz mi więc, gdzie taki facet jak ty wychodzi o takiej godzinie, żeby się rozzerwać?

Wiedziała, do licha, wiedziała, że oszukiwał. Rzadko zaczynał wieczór po dziesiątej, ale nie zamierzał się do tego przyznać. Już do siebie ubawiła jego kosztem.

– Preferuję subtelniejsze rozrywki. Za miła mi się lekko.

– To dość enigmatyczna odpowiedź.

– Wychodź do galerii sztuki, na degustacje win, na imprezy charytatywne... – Urwał, u wiadomościach sobie nagle, że jego ulubione rozrywki brzmiały przeraźliwie nudnie.

– No, no, Francja-elegancja! – Wjechała w jakiś zaułek i zaparkowała. – W takim razie nastaw się dziś na odmianę. Nie idziemy do galerii sztuki.

Rozejrzał się dookoła. Znajdowali się w rozrywkowej dzielnicy Melbourne, gdzie słabo oświetlone uliczki usiane były nocnymi klubami i baremami.

– Jestem w twoich ramach – powiedział, nagle przytłumcząc sobie, żeby słowo ciałem się stało.

– Masz szczęście. – Jej miękki jeszcze bardziej podniecił jego wyobraźnię. – Zapraszam na lekcję numer jeden.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Cz sto tu przychodzisz? Fleur drgn ła i odwróciła głow .

– Och, to ty! – powiedziała, tłumi c miech, gdy Darcy wr czał jej drinka.

– A wi c? – Stukn ł kieliszkiem w jej kieliszek. Zastanawiała si , czy przezroczysty płyn, który s czył, to wódka czy raczej woda. Znaj c Darcy’ego, postawiła na to drugie.

– Pora zmieni repertuar. Takie łośne teksty ju nie działaj na kobiety. Wyszły z mody w tym samym czasie co spódnice babki czy lustrzane kule.

– To nie był aden „tekst”. Po prostu zastanawiałem si , jak cz sto tak si bawisz. – Wskazał r k parkiet taneczny, zatłoczony ciałami wyginaj cymi si cudacznie w rytm muzyki techno.

U miechn ła si na widok jego miny. Dwie dziewczyny ubrane w szorty tuliły si do siebie, obejmuj c si ramionami, a grupa facetów zach cała je oklaskami.

– Byłam tu kilka razy.

– A co robisz poza tym? – Skrzywił si na widok tancerzy, którzy przybierali komiczne pozy.

– Czy kiedykolwiek próbowałe ? – spytała prowokacyjnie. Nie potrafiła sobie wyobrazi , by cho raz ta czył przy innej muzyce ni piosenki Franka Sinatry.

– Nie. To takie trudne? Chod my! – Złapał j za r k i poci gn ł na parkiet; ledwie zd yła odstawi pusty kieliszek na najbli szy stolik.

– Nie b d taki John Trarolta – mrukn ła, gdy popchn ł j w tłum i poprowadził na rodek parkietu.

Na ich przyklejone do siebie ciała napierał tłum.

– Widzisz, to nic trudnego – szepn ł jej do ucha.

– Słucham? – Udawała, e nie dosłyszała, ogłuszona muzyk . Chciała, by jego ciepły oddech znowu wywołał zmysłowy dreszcz na jej skórze.

W odpowiedzi przyci gn ł j jeszcze bli ej. Otoczyła mu szyj ramionami i niemal na niej zawisła, rozkoszuj c si dotykiem jego ciała i pragn c, by znikła bariera, któr stwarzały ubrania.

– To jest zabawa. – Poddawał si rytmowi muzyki z zadziwiał c łatwo ci i lekko ci .

Wiedziała, ju wiedziała, jak bardzo jej po dał.

Do licha, nie powinna by z tego zadowolona... Ku własnemu zdziwieniu w przypływie nagłego wstydu zaczerwieniła si . Najch tniej natychmiast by st d wyszła...

Nie mog c spojrze mu w oczy, odsun ła si gwałtownie.

– Koniec lekcji numer jeden! – Musiała prawie krzykn , by przebi si ponad grzmi ce basy płyn ce z konsoli. – Czas na przerw .

Skin ł głow i opu cił za Fleur parkiet. Nie rozmawiali, dopóki nie znale li si w spokojniejszym miejscu przy barze.

– Wła nie si rozgrzałem. Jak wypadłem?

Jego oczy błyszczały w jarzeniowych wiatłach. Trudno było stwierdzi , czy mówi



artem, czy powa nie. Cofnęła się o krok, by stworzyć większy dystans, zanim zrobi coś głupiego...

– Nie le jak na nowicjusza. – Starła się mówić spokojnie w nadziei, że nie zauważy, jak bardzo jest podekscytowana.

– Co będzie na drugiej lekcji? – Wyciągnęła rękę, zwinęła pukiem jej włosów dookoła palca i przyciągnęła ją bliżej do siebie.

Dech jej zaparło.

– Może lepiej, jeśli poczekaamy z następną lekcją do jutra? – wykrztusiła z wysiłkiem.

– Nie bądź nudna – szepnęła, nachylając usta do jej ust.

Fleur nigdy dotąd nie przeżyła takiego pocałunku. Wargi Darcy'ego były miękkie, leniwe, ale pod ich dotykiem stawała się bezsilna jak lalka i jedyne, co zrobić mogła, to odwzajemnić pieszczoty. Gdzieś z tyłu głowy dochodziły do niej sygnały, że całowanie się z szefem niczego dobrego nie wróży, ale jej ciało ignorowało ostrzeżenia.

Zamknęła oczy i pochyliła się ku Darcy'emu, upojona jego zapachem. Gdy pogłębiony pocałunek, odpowiedziała tym samym. Pragnęła dotyku jego gorących ust – dotyku mistrza – na całym swym ciele.

Kiedy oderwał się od niej, mogła wreszcie odetchnąć.

– To było dobre... – mruknęła, wodząc po jej policzkach opuszkami palców. – Bardzo dobre.

Gardło miała ściśnięte z emocji, nie mogła wymyślić adnej sensownej odpowiedzi, żeby rozładować napięcie. Zwykle potrafiła się zmiażdżyć w takich sytuacjach, ale nie dzisiaj. Darcy podkopał jej pewność siebie.

– Dobrze się czujesz? – Odsunął się o krok, nieco skonsternowany.

Wzięła głęboki oddech.

– Pewnie. – Zdobyła się na wzięcie uśmiechu. – Błyskawicznie się uczysz. Rozluźniasz się w mgnieniu oka.

Opuścił rękę. Wyglądał na trochę zdenerwowanego.

– Jeśli chodzi o ten pocałunek...

– Nie ma sprawy. Chciałem pokazać nauczycielowi, jak szybko robisz postępy. Jestem doprawdy pod wrażeniem.

– Gdyby tylko wiedział, jak świetnie miał technik! – Poddużył się wrażliwie.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Traktuj to jako komplement.

– Powinieneś.

Atmosfera znów się podgrzała, ale zanim Darcy zdążył odpowiedzieć, ktoś zasłonił Fleur oczy rękami.

– Zgadnij, kto, licznok?

Fleur zduśnięta. Ze wszystkich osób na wieczie, których wolałaby dziękować, jej kochanek był pierwszym na liście.

– Cześć, Mitch. Jak się masz?

Chwytnął ją za rękę i otoczył od tyłu ramionami.

– Wspaniale... ponieważ ciebie tu widzę. – Pochylił się i szepnął jej do ucha: – Kim jest ten przyk?

Fleur odsunęła się od niego, z trudem się powstrzymując, by go nie walnąć.

– Darcy, mam przyjemność przedstawić ci Mitcha, mojego dobrego przyjaciela.

– Cześć, gogusiu. – Mitch potrząsnął ręką Darcy'ego, a Fleur skuliła się w sobie.

Gogusiu? Czy on zawsze tak mówił i tak się zachowywał, gdy z nim chodziła? Wida miała gorszy gust, niż myślała. Ale skoro teraz podobał jej się Darcy, poczyniła postępy, czy nie?

– Miło mi cię poznać – powiedział Darcy, udając zadowolenie.

– Zataczysz? – Mitch objął Fleur ramieniem, jakby do niego należała.

Wyzwoliła się z tego ucisku.

– Nie, dziękuję. Właśnie nie wychodzimy.

– Już czas lulu? – Popatrzył wymownie na Darcy'ego.

Fleur omal nie eksplodowała ze złości. Co za chamstwo! Zastanowiła się, czy różnica wieku była tak widoczna. Z początku myślała, że Darcy miał około trzydziestu pięciu lat. Teraz, w czarnych spodniach i rozpiętej pod szyję koszuli, wyglądał młodziej niż w swoim codziennym słabym garniturze. Mimo to, sędząc po minie Mitcha, można by pomyśleć, że Darcy to niemal staruszek.

Gdy już otwierała usta, by zripostować, Darcy sam się odezwał:

– Masz rację, kolego. Gdy się jest z takimi kobietami, nie sposób myśleć o czym innym.

Ku jej zdumieniu chwycił jej rękę, posłał po równy uśmiech Mitchowi i odszedł, pociągając ją za sobą.

Fleur czekała, aż znajdzie się na zewnątrz, zanim wyrwała rękę z jego dłoni.

– O co ci chodzi?

– Co takiego? – Niewinna mina nie zmyliła jej ani na sekundę.

– Niepotrzebnie się wkurzyłem. Ten macho, który ci zdenerwował, wycofał się, zanim wyciągnęłam stamtąd jak jaskiniowiec. – Choć nigdy by tego przed nim nie przyznała, była pod wrażeniem, jak sobie poradził z Mitchem.

Zmieszał się.

– Przepraszam, nie zasłużyła na to. Po prostu twój chłopak nawrzucał mi od staruszków, więc chciałem go usadzić.

– Skąd wiesz, że był moim chłopakiem?

– Być może jestem stary, ale nie lepy ani nie głupi. Zachowywał się jak twój pan i władca.

– Chciałby! – Nie znosiła sposobu, w jaki Mitch ją traktował, gdy byli razem, a wyglądało na to, że niewiele się zmieniło. Nadal wydawało mu się, że został stworzony, by uszczęśliwić kobiety. – Nie znosisz facetów, którzy tak się zachowują. Nie potrafił się pohamować, okazał się ciepły dla ciebie. Zawsze próbował jak najszybciej zaciągnąć mnie... – Urwała. Czy Darcy był naprawdę zainteresowany jej perypetiami z Mitchem?

– Chodźmy już. Mam do nauki jak na jeden wieczór. – W jego głosie pobrzmiwała gorycz. Nie odważyła się spojrzeć jej w oczy.

Fleur uniosła brwi. Nie rozumiała, skąd wziął się u niego ten ton. Przecież powinien wiedzieć, że była zła na Mitcha, a nie na niego.

Zaczął niecierpliwie bębnić palcami w samochód. Najwyraźniej nie mógł doczekać się końca tego wieczoru.

Przewróciła oczami i złorzecząc w duchu gatunkowemu skiemu, otworzyła drzwi samochodu, usiadła za kierownicę i zawiozła Darcyego do domu.

Darcy syczył espresso, zastanawiając się, ile czasu minęło, odkąd wziął wolny weekend, by odpocząć, pić kawę i czytać gazety.

– Jak przebiegła wielka randka? – Sean wszedł do kuchni. Oczy miał bardziej zaczerwienione niż zwykle.

– Myślałem, że byłeś w domu ostatniej nocy. – Darcy opróżnił kubek i starannie złożył gazetę. Nie było mu w smak pytanie brata.

– Nie rób tyle hałasu! Och, moja biedna głowa! – Sean pomasażował skronie, a potem przeszukał apteczkę i wrócił z aspiryną.

– Kolejna zarwana noc, co? – Darcy uśmiechnął się z politowaniem.

– Wycieczka do nowego klubu. – Sean przełknął aspirynę i popił sokiem pomarańczowym z domieszką alkoholu. Potem odsunął krzesło i objął głowę dłońmi. – No, dawaj, braciszku. Czekam na szczegóły.

– Dobrze się bawiłem.

– Dobrze się bawiłem! – przedrześniał go miłym głosem Sean. – Nie musisz niczego przede mną ukrywać.

Fleur jest fajna. Zastanawiam się właściwie ciwie, co ona robi u twego boku?

Darcy uśmiechnął się krzywo. Nie pozwolił zepsuć sobie nastroju tego wspaniałego poranka.

– Zazdrosny? – Przewrócił stronę i zaczął przeglądać ostatnie rezultaty ligi futbolowej. – Zmierź się z tym, braciszku. Kto ma szczęście, a kto inny nie.

– No, ja je mam. Mnóstwo szczęścia!

– Kto ci to powiedział? Kobiety czy twoje nadmuchane ego?

Sean podniósł głowę.

– Wiem, co ci tak bardzo uszczęśliwiło! Dostałem co ostatniej nocy, prawda?

Dobry humor Darcyego ulotnił się jak poranny opar. Z ochotą dzieliłby brata. Jak miał sugerować, że Fleur mogłaby pójść z nim do łóżka po pierwszej randce? W dodatku to wcale nie była randka! Och, nie będzie temu nieokrzesana cowa tłumaczyła wszystkich zawiłych szczegółów!

– Dajmy temu spokój, Sean. – Miał nadzieję, że lodowaty ton przekona jego brata do porzucenia tematu.

Sean uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Nie denerwuj się, człowieku. Wiem, że detelmen nie miele ozorem.

Darcy po prostu wyszedł z kuchni i udał się do jedynej miejscy, gdzie mógł mieć swój spokój – do swego gabinetu.

Fleur przemknęła na tył sali gimnastycznej. Grupa rozpoczęła już wyczenie aerobiku. Odetchnęła z ulg. Przynajmniej tu uniknie niekończących się pytań Liv. Ale szczęście pewnie nie potrwa długo. Potrzebowała oddechu – do ciała, potrzebowała spokojnie przelecieć wszystko, co się zdarzyło ostatniej nocy.

Zamierzała nauczyć Darcy'ego swobodnej zabawy, a tymczasem sama dostała lekcję. Zabawił się ni jak prawdziwy uwodziciel, całując ją z wprawą eksperta.

Zaplanowała wszystko starannie – i zabierze go do nocnego klubu, gdzie będzie się czuł bardzo skrępowany i zadowolony. Ale on ją zaskoczył... Zamiast krytykować zbyt głośną muzykę, cudacznym gości i obskurny lokal – czego mogła oczekiwać – po prostu ją całował, a na dokładkę całował ją namiętnie. Zachowywał się tak, jak stali bywalcy.

Jeździła, rozciągała się. Jak dawno całowała się publicznie w nocnym klubie? Chyba ostatni raz w szkole średniej! Nawet Mitch nie był tak miłośny...

Jak to się stało, że ktoś tak opanowany, tak powściągliwy jak Darcy mógł stracić głowę i zrobić coś podobnego w publicznym miejscu? Czy sobie z niej kpił? Czy starał się przejść inicjatywę, by zdobyć punkt?

To poruszyło ją bardziej, niż chciała przyznać. W przyszłości będzie musiała być czujna.

Kłaśnie cię w dłonie wytręciło ją z zamyslenia. Koniec zajęć.

Zgodnie z przewidywaniami Liv wychynęła jak spod ziemi, kiedy Fleur usiłowała wymknąć się przez tylne drzwi.

– Nie tak szybko. – Liv zagroziła ramieniem drzwi. – Jak było wczoraj wieczorem?

– Dobrze. Pozwól, że wezmę teraz prysznic. – Popchnęła przyjaciółkę, ale bez skutku.

– Po prostu dobrze, tylko tyle? Z pewnością cię masz więcej do opowiedzenia. – Liv sugestywnie uniosła brwi i cmoknęła. Wyglądała naprawdę komicznie.

– Wszystko przebiegło nadspodziewanie dobrze. Następną lekcję poprowadzisz w przyszłym tygodniu. Wystarczy?

– Niezupełnie. Oczekuję emocjonujących szczegółów: czy wyglądał seksownie, jak był ubrany, czy dobrze pachniał, czy ją całował, czy... wydarzyło się coś romantycznego?

Fleur roześmiała się. Postanowiła zaspokoić ciekawość przyjaciółki w najprostszym sposób.

– Tak, tak, tak i nie.

– Nie było romansu?

Wspomnienie ust Darcy'ego przemknęło przez jej głowę jak błyskawica. Nie, nie było w tym żadnego romantyzmu... Namiar, owszem. Ale romantyzm... ?

Nie! Po prostu okolicznie ci popchnęli dwoje ludzi ku sobie. Nic wielkiego.

– Czy ty kiedykolwiek odpuszczasz? – spytała lekko zirytowana Fleur, uśmiechając się do siebie, by siebie przekonać tak łatwo. Po tym, jak zawiozła Darcy'ego do domu, nie zmrużyła oka, odtwarzając w pamięci każdy dotyk i słowo, każde szczegółowe wieczoru.

Liv opuszczała ramiona.

– W porządku, wygrała. Ale nie jestem głupia. Wiem, że coś ukrywasz i dowiem się, co to jest. Może kawa z babeczkami czekoladowymi rozwił ci język, co?

– Przekupstwo zaprowadzi cię donikąd. Mam zasznurowane usta. – Fleur zacisnęła usta w

ciemny kresk , wiez c, e powinna zrobi to samo wczoraj wieczorem.

Przynajmniej to rozwi załoby jeden problem – problem, który j nurtował, odk d odwiozła Darcyego do domu.

Jak by zareagowała, gdyby sytuacja znów si powtórzyła? I co wa niejsze – czy zareagowałyby inaczej?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

– Min 1 tydzień od pierwszej lekcji. Jesteś gotowy do lekcji numer dwa? – Fleur spojrzała spod arkusza kalkulacyjnego. Była pod wrażeniem cyfr, które właśnie zobaczyła.

– Czy będzie równie zabawna jak lekcja numer jeden? – Darcy odłożył pióro i złapał wyprostowane palce.

– Przyznaj, że się dobrze bawiłaś.

– Przez pewien czas. – Jego wymowne spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że tego wieczoru miał na myśli.

Rumieniec znów oblał jej policzki. Jak on to robił? Potrafiła flirtować bez skrępowania, dlaczego więc teraz było inaczej?

Flirt? Czy Darcy z nią flirtował? – zastanawiała się.

Napotkała jego wzrok. Była dumna ze swojej umiejętności rozszyfrowywania ludzi. To był jeden z jej atutów podczas studiów psychologicznych. Jednak Darcy Howard wprowadził ją niezmiennie w zakłopotanie.

– Lekcja druga będzie bardziej wyczerpująca i bardziej... brudna.

Jego brwi poszybowały do góry.

– Intrygujące.

– Założę się, że nie robiłaś tego nigdy w życiu.

– Wiesz już, że moje rozrywki to wypadki do muzeów, galerii sztuki, winiarni...

– Nuda – odpowiedziała, ale bez zbytniego przekonania. Właśnie ciwie czemu nie? Jeśli miałaby Darcy'ego do towarzystwa...

Wzruszył ramionami.

– Jesteś za młoda, by docenić takie wyszukane rozrywki.

Wyraziła się z nim droczył, ale Fleur nagle odniosła wrażenie, że celowo podkreśla różnicę wieku pomiędzy nimi. To jej się nie podobało. Ani trochę.

– Ile masz właśnie ciwie lat?

Uśmiech, który był kąś w kącikach jego ust, zniknął.

– Trzydzieści osiem.

Słysząc po ponurym wyrazie jego twarzy, spodziewała się, że doda: „Zbyt dużo o dla ciebie”. Ale powstrzymał się.

– Hm... prawdziwy staruszek – rzuciła ze smiechem, by rozładować sytuację.

– Czasami tak się czuję. – Odwrócił wzrok, jakby coś mu się przypomniało. – Ale nie sądzę, byś była taka młoda, bez troski i rozrywkowa kobieta jak ty to rozumiała.

– Zdziwiłam się, podrosłaś – powiedziała rozdrażniona, składając z powrotem dokumenty, które położyła na biurku. Nie znosiła, gdy ktoś jej z góry osądzał. – Moja matka i ojciec są tak stateczni, tak nudni, tak uporządkowani i przewidywalni, że musiałam uciekać, aby nie zwariować. I co? Stwierdziłam, że nasz wielki, wspaniały świat jest taki, jaki jest, a ja nie odebrałam odpowiednich lekcji, by sobie w nim poradzić. Nazwiesz to bez troską w życiu?

– Przykro mi. Nie zamierzałem wskrzeszać przykrych wspomnień. Odnosisz się do twojej

obecnej postawy. Nie mógłbym być w taki sposób jak ty.

– Dlaczego?

– Bo jestem przywiązany do staromodnych ideałów, zbyt mocno osadzony w tradycji. Nie wiem, co ludzie mówią, ale nie nauczysz starego psa nowych sztuczek. – Gorycz w jego głosie poruszyła jak delikatną strunę w jej sercu.

– Nie ma nic złego w tym, że się jest staromodnym. – Przypomniała sobie jego pocałunek, delikatny dotyk warg, jakby obawiały się odtrącenia. To było miłe... do licha, to było fantastyczne, że facet traktował ją w ten sposób! – Staro-wiecka galanteria ma swoje dobre strony.

– Twój raport temu przeczy – rzekł posępnie. – Mój personel również.

– Cóż, jeszcze jeden powód, by udowodnić im, że się myli. Dlatego jutro zaczniemy lekcję numer dwa. – Uniosła podbródek i patrzyła na niego wyzywająco.

Nie rozczarował jej. Przyjął wyzwanie.

– Powiedz, gdzie i kiedy.

Wstała i skierowała się ku drzwiom.

– Przyjadź po siebie, żeby nie wycofał się w ostatniej chwili.

– Uwagaż mnie za tchórza, panno Adams? Umiechnął się. Powinien robić to za ciebie, pomyślała.

Umiechnął jego twarz, ujmując dziesięć lat.

– Na złodzieju czapka gore. – Odwzajemniła uśmiech i pomachała ręką. – Do zobaczenia jutro, punktualnie o dziewiętej! I włóż coś starego.

– „Stary” to mój ulubiony przymiotnik – mruknął Darcy, patrząc, jak Fleur wychodzi, poruszając zalotnie biodrami.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, odchylił się na fotelu i zastanawiał po raz setny w tym tygodniu, co najlepszego robił, snując fantazje na temat kobiety, której nie mógł przeciegnąć. Na dokładkę, aby podkreślić przepaść, która istniała pomiędzy nimi, spytała dziwnie o jego wiek, zlekceważyła jego hobby i opowiedziała mu o swoich rodzicach. Nie miał złudzeń, co sugerowała. Był dokładnie taki sam jak oni, a to ją przerażało.

Dałby wiele, by mieć takich rodziców jak ona! Jego ojciec był nieodpowiedzialnym, snującym nierealne pomysły piśmiennikiem, który nieobliczalnym zachowaniem pogrywał całą rodzinę. Darcy już w dzieciństwie postanowił sobie, że nigdy nie pójdzie w jego ślady. Kiedy rodzice zginęli podczas trekkingu w Nepalu, wziął odpowiedzialność za wychowanie Seana i próbował zaszczepić młodszemu bratu zgoła inne wartości. Bezskutecznie. Sean był klasycznym przykładem potwierdzającym dominujący wpływ genów na charakter. Do złudzenia przypominał ojca, mimo że to Darcy wychowywał go od jedenastego roku życia.

Zadzwonił przez interkom.

– Pański brat do pana, panie Howard.

– Dziękuję, Sheree. Niech wejdzie.

Czy byłeś z nim kiedyś? Od wielu lat Sean nie postawił nogi w biurze. W rzeczywistości, jeżeli pamięć Darcy’ego nie zawodziła, Sean poprzysiągł, że nigdy nie wróci do firmy. Stało się to podczas burzliwej kłótni, do której doszło kilka lat temu. Sean chciał



porzuci prac , eby podró owa , a Darcy si temu sprzeciwiał. Ostatecznie Sean, jak kiedy ich rodzice, postawił na swoim. Wybrał swoje marzenia.

– Cze , braciszku. Czy to Fleur wyszła st d przed chwil ? Musisz by ni naprawd zauroczony, skoro pozwalasz, by przeszkadzała ci w robocie. – Sean wszedł wolno do gabinetu i rozejrzał si dookoła. – Widz , e niewiele si tu zmieniło.

Darcy podrapał si po nosie. Nie był w nastroju do kolejnej sprzeczki, rozmowa z Fleur wystarczaj co go wyczerpała. Marzył jedynie, by w drodze do domu kupi chi szczyzn , zasi wygodnie przed telewizorem i obejrze ulubiony teleturniej.

– Co chcesz przez to powiedzie ?

– Dekoracje. Ludzie. – Sean zamilkł, a potem u miechn ł si troch sentymentalnie. – Ty.

Darcy usiadł i zacz ł porz dkowa papiery na biurku.

– Miałem ci ki dzie , Sean. Czego chcesz?

– Nie mo e brat po prostu wpa do brata?

– O ile pami tam, trzy lata temu, wychodz c st d, powiedziałe , e twoja noga nigdy nie przest pi tego prog. Rozumiem, e masz mi co cholernie wa nego do zakomunikowania, skoro upadasz tak nisko.

Sean odwrócił wzrok. Oczywi cie dobrze pami tał swoje słowa, gdy rozstawał si z Innovative Imports.

– Potrzebuj przysługi.

Darcy poczuł ból w sercu. Có , po co si łudził? Sean z pewno ci rozpaczliwie potrzebował pieni dzy, je li zdecydował si przyjecha .

– O co chodzi tym razem? – spytał, maj c nadziej , e nie okazuje rozczarowania. Kochał brata i cho sprawy potoczyły si inaczej, ni by chciał, na pewno nie odmówiłby mu pomocy.

Sean wstał i zacz ł chodzi po pokoju. Niepokój Darcy’ego wzrósł. Jego brat nigdy nie chodził nerwowo – był zbyt nonszalancki, zbyt rozlu niony. W gr musiała wchodzi naprawd du a przysługa.

– Zamierzam wróci na uniwersytet, by sko czy studia mened erskie. Musz znale firm , która zatrudni mnie na pół etatu. – Sean chrz kn ł. – Wiesz, chodzi o praktyk zawodow .

Ośłupiały Darcy popatrzył na brata. Wr cz odebrało mu mow .

– Zastanawiam si – ci gn ł Sean – czy nie mógłby zatrudni mnie ponownie? Wiem, e powiedziałem kiedy kilka głupich rzeczy, ale mam nadziej , e mi wybaczysz i zapomnisz.

– Nie.

Słowo zawisło w ciszy. Darcy widział, jak z Seana uchodzi powietrze. Z minuty na minut tracił pewno siebie.

– Pomy lałem, e mo e si zgodzisz... Zrozum, ja...

– Nie, nie zrobi ci przysługi, zatrudniaj c ci z powrotem. – Darcy spróbował zmarszczy brwi, ale w efekcie zrobił komiczn min . – Przyło ysz si do pracy tak jak wszyscy inni. Chocia szef mo e okaza ci troch wyrozumiało ci podczas sesji egzaminacyjnej.

Rado rozlała si na twarzy Seana.



– Naprawdę, braciszku? Dasz mi znów szansę?

Darcy wstał, podszedł do Seana i poklepał go po plecach.

– Tak, ale nie pozwól, bym tego łował.

– Nie poławiasz! – Sean objął go niedźwiedziem uściskiem.

– Czy to ma znaczenie, że będziesz stał w pobliżu? – Darcy walczył z nietypowym dla siebie przyływem emocji. Uwolnił się i odsunął o krok, starając się zachować nonszalancką, choć wiedział, że nie oszuka Seana.

– Masz to jak w banku! Będziesz w swoim żywiole, ojczulku.

Darcy uśmiechnął się. Kiedy Sean był nastolatkiem, często artował z jego nadopiekuńczością i używał tego przezwiska.

– Upewniam się tylko, czy nie będziesz siedzieć w moim fotelu i spać w moim łóżku.

– Nie ma problemu. O ile, oczywiście, nie znajdę tam wspaniałej Fleur zwiniętej w kłębek...

– Wynosić się!

Sean rozejrzał się i otworzył drzwi.

– Do zobaczenia w domu, braciszku. I dziękuję. Za wszystko.

Sean zatrzasnął drzwi, zanim Darcy mógł odpowiedzieć. Potrzebał głębiej zastanawiać się, czy nie obudził się z jakiegoś dziwnego snu. Sean wrócił do Innovative Imports. Ktoś mógł przewidzieć?

– Nie mogłem uwierzyć, że za to ci płacę. – Darcy rozglądał się wokół z zakłopotaniem. – Czy ci ludzie są tu naprawdę?

Fleur uśmiechnęła się szeroko, wymachując bronią w jego kierunku.

– Tak. Nie grałem nigdy w paintballa? Najwyższy czas spróbować.

– Pozwól, że wyłożę to jasno. Jedziemy godzinę z Melbourne do tej dziury w rodzaju pustkowia, przebieramy się w ubranie maskujące, ładujemy broń kulami paintballowymi, a potem strzelamy do każdego osoby w polu widzenia. Muszby skończonym głupkiem! – mruknął, zarzucając broń na ramię i patrząc na innych zawodników. – Gdy wrócimy, wylewam ci!

– Psujesz zabawę! – Uśmiechnęła się, podziwiając jego sylwetkę w obcisłych spodniach khaki i kurtce. Jak na faceta, który spędził życie za biurkiem, miał całkiem niezłe ciało. Właściwie – fantastyczne!

– Przestań się ze mnie mniać. Wiem, że wyglądam jak pajac.

– Och, biedactwo! I co z tym zamierzasz zrobić, nieszczyśny chłopcze?

– To!

Powinna zauważyć nagły błysk w jego oczach i zmianę postawy. Jednak droczenie się z nim sprawiało Fleur przyjemność i dlatego jej reakcja była nieco spótna.

Pierwszy wstrząs posłał ją prosto na piach.

Przez chwilę leżała – oszołomiona, a następnie z wysiłkiem usiadła i spojrzała na przód swojej kurtki, pokrytej fluorescencyjnymi pomarańczowymi farbami.

– Niezły strzał jak na nowicjusza, prawda? – Pochylił się nad nią, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Tak jest, Rambo. To jest wojna! – Gdy wstawiała i otrzępywała się z kurzu, Darcy, grając palcami na nosie, uciekał w stronę drzew.

Nagle tłum wokół nich ruszył do akcji. Wszyscy, wrzeszcząc jak potylice, rozpierzchli się w poszukiwaniu schronienia.

Fleur nie przejmowała się pociskami innych ludzi. W głowie miała jeden cel – dopa Darcy'ego. Facet, który nigdy nie postawił stopy na poligonie do paintballa miałby ją pokonać? Niedoczekanie!

– Naprawdę jestem przerażony! – zawołał ktoś, chowając się pomiędzy drzewami.

– Sam się o to proszę! – wrzasnęła, oddając strzał w jego kierunku.

– Nie le! – Wskazał farbą rozpryski na pniu pobliskiego drzewa i rozejmął się głośnym miechem, który odbił się echem w ródgostwiny drzew. – Potrzebujesz trochę praktyki, co?!

Wyszedł zza drzewa i wykonywał krótki taniec zwycięstwa.

– Gotów, cel, pal!

Fleur zmrużyła oczy, wycelowwała i zaczęła strzelać do jego wirującej postaci, zastanawiając się, dlaczego tak się wystawił.

Trafiła go w prawe ramię, pocisk eksplodował i purpurowa farba oblepiła mu twarz.

– Punkt dla mnie! – Wyrzuciła piisto w górę i zdając sobie sprawę, że od dawna tak dobrze się nie bawiła, zaczęła podskakiwać jak małe, podekscytowane dziecko.

Jednak jej radość okazała się przedwczesna, ponieważ Darcy zatoczył się i padł jak długi na ziemię.

– Wszystko w porządku? – Szła w jego kierunku z uniesioną bronią, spodziewając się, że Darcy skoczy na równe nogi i wystrzeli. Ale im bliżej podchodziła, tym wikszy ogarniał ją niepokój. – Przestań się wygłupiać. To nie jest mieszane.

Gdy podeszła do niego, nadal się nie poruszył. Z mocno bijącym sercem przyklękła.

O Boże, żeby tylko nic mu się nie stało, modliła się w duchu.

Pod wpływem paniki oczy jej wypełniły się łzami. Czy to możliwe, aby pocisk z farby zrobił mu krzywdę?

– Darcy? Słyszysz mnie? – Wpatrywała się w jego twarz, oczekując, że lada moment otworzy oczy i krzyknie triumfalnie: „Nabrałem ci”.

Ale on nadal leżał bez ruchu. Gwałtownie zaczęła tracić nadzieję. Stało się coś strasznego! Serce miała ciśniecie, nie była w stanie rozśdnie myśleć.

– Skoncentruj się – wymamrotała, sprawdzając mu puls, a potem zbliżyła policzek do jego ust w nadziei, że nadal oddycha. Na kursach pierwszej pomocy sugerowano, by sprawdzać oddech przy pomocy lusterka, ale skoro nie miała go pod ręką, policzek musiał wystarczyć.

Westchnęła z ulgą, gdy jego ciepły oddech owionął jej policzek. Nie jest źle. Teraz powinna przekroczyć go do pozycji na wznak...

– Gdzie ja jestem? – Zamrugał.

Fleur podskoczyła, zbyt wiadoma jego bliskości. Jak na kogoś, kto jeszcze przed chwilą był nieprzytomny, spojrzenie jego niebieskich oczu było zdumiewająco wrażliwe. Nagle bez

cienia w tliwo ci u wiadomiła sobie, e przez cały czas udawał.

Zanim zd yła si odsun i bezlito nie go obsztorcowa , obj ł j ramionami i mocno przyci gn ł do siebie.

– Sprawdziła , co prawda, kilka istotnych funkcji yciowych, ale o czym zapomniała ...

– Pu mnie! – Zacz ła si wyrywa . Nie chciała si przyzna nawet przed sob , jak dobrze si czuła w jego obj ciach.

– Pocz wszy od tego... – Poło ył jej dło na swoim sercu, które, ku jej zaskoczeniu, waliło równie mocno jak jej zagubione serduszko. – I nie zapominajmy o tym. – Musn ł jej usta najl ejszym z pocałunków, a potem nacisn ł je mocniej, aby pobudzi jej apetyt.

– Nie s dz , aby potrzebował reanimacji metod usta-usta – wyszeptała, gdy zmienił k t pocałunku, a nast pnie pie cił jej kark, tul c j mocno do siebie.

– Je li chodzi o ciebie, potrzebuj reanimacji wszystkimi. mo liwymi metodami. – Pogł bił pocałunek.

Porzucaj c my l o ucieczce, całym ciałem przywarła do Darcy’ego, napawaj c si jego ciepłem i ałuj c, e nie znajduj si w bardziej sprzyjaj cym miejscu, gdzie mogliby swobodnie odda si nami tno ci, która przy lada iskierce wybuchała mi dzy nimi.

Pierwsza powinna przerwa pocałunek i odzyska zdrowy rozs dek. Do licha, w ogóle nie powinna go straci !

Ale to Darcy oderwał si od niej pierwszy, a wokół jego ust pojawił si zmysłowy, nieco lubie ny u mieszek.

– Twoje lekcje zaczynaj mi si coraz bardziej podoba .

– A ja zaczynam coraz mniej ci lubi ! – Skoczyła na równe nogi. Otrzepuj c si z kurzu, nie miała na niego spojrze , by nie poznał po jej twarzy, e powiedziała przed chwil kosmiczn bzdur .

– Co ja takiego zrobiłem? – spytał, wstaj c z ziemi.

– Słyszałe kiedy o chłopcu, który podniósł fałszywy alarm? Zdenerwowałe mnie, ty głupku! – Poprawiła zwi zane w ko ski ogon włosy.

– Po prostu troch si zabawiłem. – Znów u miechn ł si do niej figlarnie. – Do czego mnie zreszt namawiała .

Odwróciła si , by pokry zmieszanie. Jak to mo liwe, e tak szybko zakochała si w Darcym? Reprezentował sob to wszystko, czego nie lubiła u m czyn. Stateczny, solidny tradycjonalista, prowadz cy ustabilizowane ycie. Na dodatek zbyt... stary. Na lito bosk , przypominał jej własnego ojca! Zdecydowanie nie chciała takiego m czyny.

Co z tego, e był przystojny, miał wysportowane ciało i całował jak marzenie? Nie był dla niej odpowiednim partnerem. Im szybciej przestanie igra z ogniem, tym lepiej.

– Masz na twarzy farb . Poczekał, wytr ci . – Wyj ł z kieszeni bawełnian chusteczk , podkre laj c tym samym, jaki jest staro wiecki, i wyci gn ł r k ku Fleur.

– Wła nie tak my lałam! – powiedziała i energicznym krokiem odeszła, zostawiaj c go u miechni tego od ucha do ucha.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Darcy po wejściu do biura podszedł do recepcjonistki. Było to jak na niego niecodzienne zachowanie.

– Dzień dobry, Sheree. Jak się masz?

Sheree, która ledwie raczyła na niego spojrzeć, kiedy pojawił się w drzwiach, podniosła oczy znad gazety.

– Dobrze, panie Howard. A pan?

– Lepiej niż dobrze. – Uśmiechnął się do niej, w pewnej mierze ciesząc się z jej zdziwienia. – Spróbuj! Jest wyśmienita. – Położył papierowe torebki z bułeczkami czekoladowymi na jej biurku i podszedł do swojego gabinetu. – Aha, jestem dziś dla wszystkich dostępny.

Zaryzykował i obrzucił spojrzeniem recepcjonistkę, kiedy zamykał drzwi. No tak, patrzyła na niego z półotwartymi ze zdumienia ustami. I bardzo dobrze. To go zdołało do wprowadzenia dalszych zmian w swoim życiu zawodowym.

A co z życiem osobistym?

Zignorował tę myśl. Nie zamierzał teraz się nad tym rozwodzić. Fleur spowodowała już dostatecznie dużo zamieszania w jego firmie i obawiał się dalszych komplikacji.

Rozległo się pukanie.

– Proszę. – Rzucił okiem na swoje nowe biurko, podziwiając jego opływowe linie i porządek na blacie. Reszta gabinetu też zmieniła się nie do poznania.

– Darcy, mam nowe plany, które... – Fleur zamknęła za sobą drzwi i obróciła się dookoła. – Och! Kiedy to wszystko zmieniło się?

– Podczas weekendu. Jak ci się podoba? – Wstrzymał oddech. Liczył się z jej opinią, bardziej niż chciałby się do tego przyznać.

– Fantastycznie! – Obeszła pokój, oglądając grafiki na ścianach, nowoczesne oświetlenie, modne meble. – Naprawdę wkroczyłeś w dwudziesty pierwszy wiek! Jestem pod wrażeniem.

– To tylko część twojego planu. – Zbył jej komplement, jakby niewiele dla niego znaczył, starając się nie okazać dumy.

Patrzyła na niego. Jej piękne oczy promieniały ciepłem. Wstrzymał oddech w oczekiwaniu na to, co powie.

– Niełatwo posłuchać czyjejś rady i zmienić całe swoje życie, ale ty się naprawdę starasz. I dobrze ci idzie. – Przerwała, jakby szukając właściwych słów, a on powściągnął chęć, by złapać ją w pół i obrócić z radością. – Masz powody do dumy.

Starał się zachować skromny min, ale wiedział, że jego promienny uśmiech zdradzał wielką satysfakcję.

– Dziękuję. – Wskazał szerokim gestem pokój. – To dopiero początek. Poczekaj, zobaczysz, co jeszcze zaplanowałem.

– Nie mogłabym się doczekać. – Powiedziała to spokojnie, ale atmosfera pomiędzy nimi nagle zgęstniała.

– Ja też nie mogłabym się doczekać na lekcję numer trzy. Minął już miesiąc od czasu twojej

sromotnej pora ki w paintballa. – Tysi ce razy wspominał ten pocałunek, mają nadzieję na powtórk .

– Nie grałem fair. – Rumieniec zdradził, że dobrze pamiętała tamtą chwilę .

– W miło ci i na wojnie wszystko jest fair.

Przez moment jej oczy rozszerzyły się i mogłoby przysięść, że szykowała się do ucieczki. Oczywiście, artował... Ale jej reakcja na słowo „miło ” zbiła go z tropu. Przecież była młoda i na pewno miała nadzieję , że pewnego dnia się zakocha i przeżyje ten cały sielank : małe stwo, dzieci, kredyty...

– W naszym przypadku na szczęście była to wojna, prawda? – Roze miała się , by rozładować napięcie i sięgnęła do aktówki. – A teraz przejdźmy do interesów.

Darcy próbował skoncentrować się na danych liczbowych, które Fleur przygotowała, ale cyfry migają mu przed oczami, ponieważ w tym momencie był gdzie indziej. A wierzbiły go dłonie, by jej dotknąć , odgarnąć niesforny kosmyk z czoła, rozmasować zmarszczkę pomiędzy brwiami. Zaczepił powietrze, ale to wcale nie pomogło. Kwiatowy aromat jej perfum pobudził jego zmysły, przywołał wspomnienie pocałunku. I zapagnął więcej...

Myślał o seksie z Fleur od wielu już dni spędzała mu sen z powiek. Marzył, by sprawy potoczyły się szybciej... Ale cóż , miał związane ręce. Tamtego wieczoru, gdy natknął się w klubie na Mitcha, Fleur jasno dała do zrozumienia, co myślał o takich szybkich Billach.

I chociaż Darcy pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek kobiety w życiu, nie był głupi. Jeśli Fleur nie lubiła po piechu, dostosuje się ... Do diabła, nawet jeśli to ma go do kosztować !

– Czy masz czas w najbliższy weekend? – wypalił, kiedy objęła ostatnie analizy dotyczące stopy zysku.

– Byłbym . – Wertowała papiery, włączyła na niego nie patrząc .

– Wybieram się do nowej winiarni. Pomyślałem, że może chciałaby ją zobaczyć . – Od tak dawna nie zapraszał kobiety na randkę , że zerała go trema. Obawa, że Fleur odmówi, wytręcała go z równowagi.

– Brzmi interesująco – odpowiedziała do obojga tym samym tonem.

– W porządku. – Nie oczekiwał, że podskoczy do góry z radością, ale trochę więcej entuzjazmu by nie zaszkodziło.

– Nie zamierzasz chyba mnie nawracać , prawda? – zapytała.

– Nawracać ?

– Może masz nadzieję , że staniesz osobą degustującą wino, rozmiłowaną w sztuce i nosząc tweedy?

– Tak jak ja, masz na myśli? – rzucił z goryczą .

Miała na tyle przyzwyczajenia, aby się zaczerwieniła , zanim odwróciła wzrok.

– Nie widziałam cię ani razu w tweedowym garniturze.

– Posłuchaj, jeśli nie masz ochoty na ten wypad, to trudno.

– Ale mam ochotę .

Mimo szczerych chęci, nie potrafił się oszukiwać . Perspektywa spędzenia z nią całego dnia poza biurem była podniecająca.

– W porządku. Na czym wiążesz stanęli my?

Uważała jego hobby za staro wieckie. Pokaże jej więc, że może na równie dobrze się bawić w winiarni jak w miejscach, do których ona go zabierała. A nawet lepiej, jeżeli o niego chodziło.

– Zakochała się w nim, prawda?

Fleur zerknęła na Liv spod ramiączki z kawy.

– Nie chcę o tym mówić.

– Ale to wspaniale! Czas, żeby przeżyła mały romans. Fleur zmarszczyła brwi.

– Nie jestem bohaterką twojej powieści, dobrze o tym wiesz.

Liv uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że nie jesteś. One mają lepszy refleks od ciebie. Kiedy zjawia się ten jedyny właściwy kandydat, chwytaj go i nie pozwalaj mu odejść.

Fleur zakłótyła ramiączko i upiła łyk.

– A co, jeżeli właściwy mężczyzna okazuje się tym niewłaściwym?

Liv uniosła brwi.

– Darcy jest doskonały! Jak mógłby być niewłaściwym?

Fleur zadawała sobie to pytanie od wielu dni. Im więcej spędzała z nim czasu, mimo dzielących ich różnic, tym bardziej się w nim zakochiwała. Oczywiście, że czasami wydawał się nieco nاپuszony, ale nawet to w nim lubiła. Doceniała jego staro wieckie wartości, jego odpowiedzialny stosunek do życia. Miewała randki z młodszymi facetami, którzy kałdego dnia żyli tak, jakby był to ich ostatni dzień życia. I za każdym razem zostawała przez nich zraniona. Może nadszedł czas, by spróbować czegoś innego?

– Jestem tym przerażona, Liv – przyznała w końcu.

– Mylisz, że on będzie dążył do stałego związku, prawda?

Fleur skinęła głową. Liv, jak zwykle, wykazywała się dobrą intuicją. Nigdy jej nie poradziła, mimo swoich romantycznych ideałów.

– Nie chcę skończyć jak moja matka, uwięziona w małżeństwie bez perspektyw, z mężczyzną, którego życie ogranicza się do codziennej rutyny.

– Ale przecież kochasz swojego ojca?

– Jako ojca, tak... Ale nie wyobrażam sobie założenia rodziny z kimś takim. – Zadrżała na samą myśl o szarej, nudnej egzystencji, która towarzyszyła wielu związkom partnerskim, nie tylko małżeństwu jej rodziców. W takim związku ponure dni zamieniały się w monotonne miesiące, potem w niekończące się lata. Dla niej byłaby to powolna śmierć.

Liv pochyliła się ku niej z troską.

– Czy Darcy jest taki jak twój ojciec? Fleur wzruszyła ramionami.

– Nie mogę na to odpowiedzieć z całkowitą pewnością. Wiem tylko, że pod niektórymi względami jest do niego podobny i to mnie przeraża. Po co podejmować ryzyko i angażować się w związek bez perspektyw?

– Czy ulotny dotyk szczęcia nie jest tego wart? Jak masz alternatywę? – zapytała Liv.

Fleur dokończyła kawę i pokręciła głową.

– Chciałabym znać odpowiedź. Naprawdę bym chciała.



– Słuchaj głosu swojego serca, nie za rozszdaku, a wszystko dobrze się ułoży – doradziła Liv.

Fleur zdobyła się na uśmiech. Oby jej przyjaciółka miała rację.

Fleur leżała na kocu z zamkniętymi oczami, chłonąc promienie słoneczne przenikające przez gałęzie starego figowca. Łatwo by się przyzwyczaiła do takiego stylu życia... Zbyt łatwo! Musiałaby tylko wyzbyć się uprzedzeń. Rozważała radę swojej przyjaciółki, aby się wycofała. Liv miała rację, ale...

– Mam nadzieję, że to nie moje towarzystwo sprawia, że zasypiasz. – Głęboki głos Darcy'ego był równie ciepły i miły jak promyki słońca.

– Nie śpię, tylko odpoczywam. – Lekko otworzyła oczy, aby na niego zerknąć. Bo przecież, jak się okazało, nie wyglądał w szortach khaki i białym polo, które przylegało do jego muskularnego torsu. Nigdy przedtem nie widziała go w takim zwyczajnym stroju. Podobał jej się w nim. Nawet bardzo.

– Czy mogłabyś uwaga, że piknikowy lunch i wino ci smakowały?

Poklepała się po brzuchu i zamruczała.

– Nie domagam się komplementów. Wystarczy spojrzeć, ile zjadłam.

– Grunt to dobry apetyt. – Zniżył głos i od razu nabrała pewno, że wcale nie mówił o jedzeniu.

To oczywiście, że jej powiedział... Ale czy ona chciała tego samego co on?

Do licha, tak!

– Artowałem, no wiesz.

Otworzyła szerzej oczy, czując dotyk jego ręki na swoim policzku. Tkliwie, którą dojrzała na dzień jego reńca, zupełnie ją podbiła.

Przekręciła się na bok i podparła łokciem.

– Może nadszedł czas, aby myśko czyli z artami? – Jednak to powiedziała! A on się wycofał...

Uśmiechał się. Po prostu się uśmiechał, a jej puls galopował milion uderzeń na minutę.

– Myślałem, że postawiłaś sobie cel, bym się rozluźnił, a teraz chcesz, abym przestał artować? Droga Fleur, nie jestem w stanie za pani nadążyć.

– Czy byś myślała dzisiaj o pracy?

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Niezupełnie.

– W takim razie o co chodzi? – Wstrzymała oddech, obawiając się jego odpowiedzi, a jednocześnie nie bardzo jej pragnęła.

– Chodzi o dwoje ludzi, którzy razem spędzają dzień. Ni mniej, ni więcej. – Gdy oderwał dłoń od jej twarzy, poczuwał nagłą pustkę na policzku.

Mogłaby porzucić ten temat, ale za daleko zaszła, aby się wycofać.

– Ale teraz ty mnie zaprosiłaś. Dotychczas spędzaliśmy razem czas, ponieważ wdrażałam w życie swój plan naprawczy.

Niepotrzebnie to powiedziała. Zrozumiała to, ledwie przebrzmiały jej słowa. Twarz

Darcy'ego zmieniała się w ciągu sekundy. Pojawił się na niej nieprzyjazny wręcz grymas.

– Odpowiedz, proszę. Gdybym ci nie zatrudnił, żeby zmodernizowała firmę, czy w ogóle chciałaby się ze mną umówić?

Serce zabiło jej mocniej. Cóż, musiała powiedzieć prawdę. Tyle przynajmniej była mu winna.

– Prawdopodobnie nie. – Chłodny dreszcz przeszył jej serce, kiedy dostrzegła martwą pustkę w jego oczach. Poczuli się w obowiazku przynajmniej uzasadnić swój punkt widzenia.

– Zbyt łatwo się różni. Inaczej patrzmy prawie na wszystko. To się po prostu nie uda.

– Co się nie uda?

– My. – Czy udawał głupka, czy raczej bawił się wbijaniem jej noża w serce?

Przesunęła dłoń po włosach Fleur, delikatnie ci tego gestu objawiając swoją słabość.

– Czy nie słyszała nigdy o starym powiedzeniu, że przeciwieństwo się przyciąga? A może znów chodzi o mój wiek?

– Nie przeczę, że się przyciągamy, ale mam wrażenie, że oczekujesz czegoś więcej. Czy nie wystarczyłby ci romans?

– Jestem mężczyzną, prawda? – Jego miękki zabrzmiał gorzko, unikał patrzenia jej prosto w oczy.

– Jesteś równie facetem w starym stylu. A ja, ze swojej strony, nie mam ochoty ofiarować swej wolności komukolwiek. – Nie musiała dodawać: „Nawet komu twojego pokroju”.

– Myślisz więc, że błąd w związku, ludzie narażają się na utratę wolności?

Skinęła głowę. Nie potrafiła zapomnieć o nudzie i monotonii panującej w małżeństwie jej rodziców. Ani o przysiędze, którą sobie złożyła: że nigdy się do nich nie upodobni.

– Wiem, że tak jest.

– Pozwól, że postawię sprawę jasno. Nie jesteś więc zainteresowana czymkolwiek poza romansem? Mam rację?

I tu ją dopadł! Nie mogła mu przecie powiedzieć, że im więcej będzie z nim spędzała czasu, tym mocniej się w nim zakocha. Nie zamierzała w ogóle się w nim zakochać ...

Poza tym, gdyby zaprzeczyła, zapewne dalej by ją męczyły pytania o motyw jej postępowania.

– Czy nie mam racji? – naciskał, obrzucając ją badawczym spojrzeniem.

– No, chyba tak... Tak mi się wydaje.

– Spróbuj powściągnąć swój entuzjazm – stwierdził z sarkazmem.

Cóż, byłoby lepiej, gdyby nie zaczęli tej rozmowy. Co gorsza, ałowała, że w ogóle zaczęła pracować w jego firmie.

Darcy wstał z gracją, jednym płynnym ruchem. Nie potrafiła powściągnąć podziwu dla sposobu, w jaki się poruszał. .. Chodził długimi, pewnymi krokami, jak przystało na człowieka, któremu w życiu się wiodło.

– W porządku, będzie, jak sobie życzysz, Fleur. – Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. – Ale zapamiętaj, że cokolwiek się stanie, będzie twoim wyborem.

Fleur wzięła lampkę na biurku. Wiatło zalało ją przed nią dokumenty. Nie



zamierzała pracować a do tej pory, ale kiedy usłyszała głos Darcy'ego na korytarzu za drzwiami, schowała się w swoim pokoju i czekała, aż on wyjdzie z firmy. Nie chciała na niego trafić. A skoro już została, postanowiła wykonać jak pracę, chociaż była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę w czwartkowy wieczór.

O rany, ale się zmieniła! W czwartkowe wieczory zwykle uganiała się z Liv po mieście, odwiedzając najmodniejsze lokale i kluby, lecz od kiedy rozpoczęła tę pracę, pozostawała w domu. Wolała zwinąć się na kanapie i oglądać film na DVD. Łośne!

Czy by upodobała się do Darcy'ego? Przeraża ją cała ta sytuacja! Na szczęście trzymał się od niej z daleka po ostatniej wycieczce do winiarni i była z tego powodu zadowolona. Wprawdzie Liv nie omieszkała zauważyć, że straciła swój wigor, a Billy przestał flirtować z nią w kawiarni, twierdząc, że rzadko ostatnio się u niego pojawia.

No i co z tego? Ochrona swego serca i swej niezależności ci były tego warte.

Przetarła oczy. Spróbowała skoncentrować się na liczbach.

– No, no, co taka przebojowa dziewczyna jak ty robi tu w czwartkowy wieczór?

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Cześć, Sean. Nie słyszałam, jak wszedłeś.

– Widzisz, że stała się pracowitką, tak jak mój brat.

– W każdym razie! – Zaprosiła go gestem. – Możeś mi poprzeshkadzać.

Puścił oczko, siadając naprzeciwko niej.

– Jak się mają sprawy?

– Nie źle.

– Naprawdę?

Potwierdziła wzruszeniem ramion, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo czuła się przygnębiona.

– Praca jest fantastyczna. Już niedługo z wszystkim się uporam i Innovative Imports znów stanie się siłą, z którą trzeba się liczyć na rynku.

– Nie miałem na myśli pracy. – Spojrzał na nią. Wciąż zdumiewało ją jego podobieństwo do starszego brata.

Bawiła się ręką spodnicy, by nie patrzeć mu prosto w oczy.

– A o co jeszcze może chodzi?

– Hej, możeś być ze mną szczera. Wiesz, co mam na myśli. Ciebie i mojego brata, to co dzieje się pomiędzy wami.

Serce jej zamarło. Czy jej uczucia do Darcy'ego były tak wyraźnie wypisane na twarzy? Skoro wiedział o nich Sean, to pewnie i reszta pracowników. Był może na miewali się z nią poza plecami...

Miała nadzieję, że uwierzy w to, co właśnie zamierzała powiedzieć.

– Nic się nie dzieje. Skąd ci to przyszło do głowy? Za miał się gromko.

– Może nie jestem Einsteinem, ale oczy mam otwarte. Mój brat, który od lat nie był zainteresowany adn kobiet, snuje się jak zakochany uczeń, a tobie twarz promienieje z radością, kiedy on wchodzi do pokoju. Wybacz, nietrudno dodać dwa do dwóch.

Potrzebowała głową.

– W ogóle nie masz racji – Czy by?

Mo e dlatego, e było ju pó no, a mo e po prostu była zm czona, ale nagle Fleur odczuła potrzeb zwierzenia si Seanowi.

– W porz dku, mo e co zacz ło si dzia , ale to nie ma perspektyw. Zbyt si od siebie ró nimy.

– Racja. Te si dziwi , dlaczego zainteresowała si tak skamienielin jak on.

– On nie jest taki stary – spontanicznie zacz ła broni Darcy’ego.

Sean u miechn ła si szerzej.

– W takim razie na czym polega problem?

– Darcy chciałby zbudowa co trwałego, a ja nie potrafi mu tego da .

Sean zmarszczył brwi.

– Powiedziała mu o tym?

Przypomniała sobie rozmow na pikniku. ałowała tamtych słów. Wzruszyła ramionami.

– Po prostu nie nadaj si do mał e stwa. Potrzebuj niezale no ci, a Darcy d y do stałego zwi zku. A je eli chodzi o... – Przerwała, nie chc c powiedzie : „Po co w ogóle zaczyna , skoro finał jest do przewidzenia”.

– To ci ka sprawa. – Sean zamy lił si . – Je eli mógłbym w czym pomóc... – Wstał, obszedł biurko i poło ył w pocieszaj cym ge cie dło na jej ramieniu.

– Dzi kuj , Sean. – Oparła głow o jego r k , zastanawiaj c si , jak dwaj tak fantastyczni faceci jak Darcy i Sean mog ci gle by samotni.

– No, no, có za wzruszaj cy widok. Doceniam prac w nadgodzinach, ale czy to jednak nie przesada?

Fleur gwałtownie podniosła głow . Darcy sztywno stał w drzwiach. Wygl dał gro nie, jakby za chwil miał wywali ich oboje z pracy.

– Uspokój si , Darcy – powiedział Sean, opuszczaj c r k . Darcy zignorował te słowa. Obrzucił Fleur lodowatym spojrzeniem, które zmroziło jej krew w yłach.

– Sean, wyjd , prosz . Chciałbym pomówi z Fleur. Na osobno ci.

– Nie mów, e ci nie ostrzegałem – mrukn ła Sean, zmierzaj c w stron drzwi.

Fleur zastanawiała si , czy skierował te słowa do niej, czy do Darcy’ego.

Ale nie to było teraz problemem. Darcy zatrzasn ła drzwi i zwrócił do niej twarz.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Chciała porozmawiać o jakiej sprawie? – spytała Fleur głosem, który przypominał ciche, niewinne mruczenie, a który podziałał na niego jak płachta na byka.

Jakby jego w cieknęła krew – nie osiadała na jego twarzy, gdy zobaczył Seana trzymającego ją na jej ramieniu!

– Dobrze pytanie! – parsknął. Trzema długimi krokami przemierzył pokój i stanął przed jej biurkiem.

– Sean i ja pracujemy. Dyskutowaliśmy. – Skrzywiła się, przybierając na twarz beznamnitą maskę.

To jeszcze bardziej go rozwołało.

– On cię dotykał! – Słowa zabrzmiały mu w uszach. Ale nie mógł ich cofnąć.

Ku jego zaskoczeniu Fleur poderwała się na równe nogi i pochyliła nad biurkiem. Ich twarze znalazły się w odległości kilku centymetrów od siebie.

– Jesteś moim szefem, a nie aniołem stróżem. Nie masz prawa mnie nachodzić i wysuwać pochopnych wniosków. Po prostu odczep się, dobrze?

Pomimo napiętej atmosfery, nie mógł się powstrzymać, aby nie podziwiać jej nieustępliwości i ognia. Wyglądała niewiarygodnie pięknie. Ciemne oczy rzucały błyski, a pełne usta były dla niego w wyrazie nieodpartej dezaprobaty. Nigdy przedtem nie miał tak wielkiej ochoty, by pochylić się jeszcze trochę i pocałować te urocze usta.

Fleur, jakby rozpoznając jego myśli, cofnęła się nieznacznie.

– Jesteś beznadziejny!

– Po prostu jestem facetem, który oszalał! Oszalał na twoim punkcie. – Nie zastanawiając się dłużej, pochylił się nad biurkiem i zmiażdżył jej usta pocałunkiem, który miał przypieczętować słowa.

W chwili, gdy wargi Darcy'ego dotknęły jej ust, Fleur ogarnął strach.

Powinna walczyć, stawiać opór, a tymczasem chwyciła go za poły marynarki i przycisnęła do siebie.

Długo trwało, nim oderwali się od siebie. Z trudem łapali powietrze.

– Och, do diabła... – wymamrotał, kompletnie oszołomiony.

Była to doskonała okazja, aby się wycofać, ale na temat hormonów i zbagatelizowała całą sytuację. Jednak Fleur tego nie robiła, za to wycisnęła rękę i położyła ją na piersiach Darcy'ego, potem rozpostarła palce i powoli, falistym ruchem, przesunęła je w dół w stronę paska jego spodni. Zaskoczyła ją własna miłość, a jednocześnie nie była napędzana dziwną, przemochną siłą.

– Fleur, to jest...

– Raj – wyszeptała, drobnymi pocałunkami obsypując jego szczękę, zanim dotarła do ust.

Chociaż nigdy nie brała lekcji uwodzenia, doskonale jej szło. Darcy przygwoździł do biurka, zrzucając przy okazji papiery na podłogę. Poerał jej usta jak wygłodniały człowiek,

jak kto, kto rozpaczliwie walczy o przeżycie. W odpowiedzi wzdawała rękami po jego ciele, wznosząc iskry między nimi napięcie do poziomu prawie nie do zniesienia.

– Myśl, że to zły pomysł – mruknął, obsypując pocałunkami jej twarz, a następnie przenosił się na szyję.

Nigdy nie była całowana w ten sposób, jej ciało roztopiało się pod wpływem jego pieszczot. Głowa odchyliła do tyłu, dając lepszy dostęp do wrażliwych miejsc na szyi.

– A więc przestańmy le.

Dopiero gdy sięgnął do suwaka przy jej sukience, a jego usta ponownie poszukały ust Fleur, odezwał się w niej głos rozsądku.

Pomimo ogromnej chęci, aby odrzucić na bok wszelką ostrość, utonął w jego objęciach i zapomnieli o całym świecie, przerwała pocałunek.

– To nie jest odpowiedni czas ani miejsce – powiedziała. Westchnął i oparł się czołem o jej czoło.

– Masz rację.

– Dlaczego zawsze musisz być taki cholernie rozsądny?

– Jedno z nas musi. – Wyzwolił się z jej uścisku i cofnął, jakby chciał stworzyć pomiędzy nimi fizyczny dystans.

– Przykro mi z powodu tego wszystkiego. To już się nie powtórzy.

Komu było naprawdę przykro?

Odsunęła się od niego. Nagle łzy wypełniły jej oczy. Dlaczego płakała? Przecież chciała, by przestał, prawda?

Dlaczego więc miała wrażliwość, że właśnie nie popełniła ogromnego błęd?

A co gorsza, on zachowywał się tak, jakby to nie miało znaczenia.

Gdy szukała w torebce chusteczki, położyła dłoń na jej ramieniu.

– Powiedziałem, że jest mi przykro. Po prostu zapomnijmy o całej sprawie.

– Wiesz co? Jak na tak inteligentnego człowieka, czasami bywasz skoczonym idiotą! – Wytarła oczy i nie oglądając się za siebie, wyszła.

Fleur odsłuchiwała wiadomość pozostawioną na automatycznej sekretarce.

– Cześć, kwiatuszku. Tutaj twój tata. Chcę ci tylko przypomnieć, aby przyjechała do domu w najbliższy weekend na przyjęcie urodzinowe ciotki Ruby. Nie może się doczekać, by cię zobaczył. Minęło już tyle czasu, kochanie. A więc do zobaczenia. Ucałowania.

Jeździła. Nie mogła mieć gorszego dnia.

Leżała na kanapie z zamkniętymi oczami, ałowała, że nie może wymyślić jakiejś sensownej wymówki, by wymigać się od tego przyjęcia. Co prawda udało jej się sprytnie uniknąć ostatnich trzech spotkań Adamsów z przyległymi ciętami, odbywających się w małym miasteczku, gdzie nadal mieszkała wisko rodziny, wiedziała jednak, że czwarta nieobecność będzie kroplą, która przepełni czar.

– Jeszcze to było mi potrzebne! – Wiedziała, że jej pojawienie się wywoła jak zwykle lawinę nieznośnych pytań.

„Kiedy wyjdiesz za mąż, kochanie? Znalazła sobie już chłopaka? Tylko nie czekaj zbyt

długo z dzie mi, potem mo e by za pó no. Ju dawno powinna si ustatkowa ”.

Zrobiaby wszystko, aby unikn tego nudnego zrz dzenia. Mi dzy innymi z tego powodu uciekła przed laty do Melbourne i poszła na studia.

Zawsze, gdy przychodziło jej do głowy słowo „nudny”, wracała my lami do Darcy’ego.

Ale dzi wieczorem udowodnił, e je li chodzi o seks, miał du o inwencji i wielk wpraw .

A jednak wycofał si ...

No, mo e była troch niesprawiedliwa. To ona, a nie on, wstrzymała bieg wydarze , mimo e na chwil straciła głow . A jednak poczciwy, stary, niezawodny Darcy nie musiał si z ni zgadza .

– Do diabła! – Wzi ła do r ki poduszk i sfrustrowana zaczę ła j mi tosi .

Gdyby cho miał wiadomo , e jest tak irytuj co rozs dny!

W ko cu po tygodniach rozmy ła doszła do jedyne go mo liwego wniosku: cho w ostatniej chwili stchórzyła i wycofała si , w przyszło ci zaspokoi swoj nami tno do tego m czyny. Przez ostatnie dni chodziła jak struta, poniewa wynajdywała wszystkie mo liwe argumenty, dlaczego nie powinni si wi za . Ale czy miało to sens?

Zawsze szczyciła si nowoczesnym spojrzeniem na ycie. Dlaczego nie miałyby zainicjowa romansu, a potem odej , gdy uczucie si wypali? Je li zrobi to wiadoma konsekwencji, na pewno nie zostanie zraniona. A je li Darcy przystanie na t propozycj , dlaczego nie mieliby spróbowo ?

Gwałtownie usiadła i odrzuciła poduszk . Za witał jej w głowie genialny pomysł.

„Gdyby cho miał wiadomo , e jest tak irytuj co rozs dny”... To zdanie wci pobrzmiwało jej w głowie.

Czy był lepszy sposób na dowiedzenie swych racji, ni pokazanie mu swego ojca, który był jego lustrzanym odbiciem?

Je li na własne oczy zobaczy jej rodzin , zrozumie, dlaczego ona nie chce takiego zwi zku. Mo e wła nie wtedy zdołaj si porozumie ?

Ale przede wszystkim – b dzie go miała przez cały weekend tylko dla siebie... Zatrzymaj si w hotelu... Nie b dzie drogi odwrotu...

U miechaj c si po raz pierwszy tego wieczoru, si gn ła po telefon.

Ju si nie mogła doczeka przyj cia u ciotki Ruby.

– Nie powiedziała mi, e jeste dziewczyn z prowincji.

– Nie pytała . – Fleur rzucała ukradkowe spojrzenia na Darcy’ego, który był całkowicie skoncentrowany na drodze. Lubiła, jak prowadził. Jego spokój i do wiadczenie sprawiały, e czuła si przy nim bezpiecznie.

– Na pewno jest jeszcze wiele rzeczy, których o tobie nie wiem.

– Nie martw si , moja rodzina szybko to nadrobi. – J kn ła w duchu, wiedz c, e z jednej strony ten weekend b dzie dla niej tortur , z drugiej za umo liwi wprowadzenie w ycie pewnych planów. Za miał si cicho.

– Nie mog si doczeka . Chocia ty nie wygl dasz na specjalnie zachwycon .

– Ostrzegam ci . Oni b d wyci ga pochopne wnioski na nasz temat, które mog bv dla

nas krępięce. – Sądzić z zaciekawienia, które dosłyszała w głosie ojca przez telefon, Darcy'ego czekała gorsza przeprawa, niż się spodziewała.

– Nie martw się o mnie. Poradz sobie z nimi. A ty?

– Po prostu ich nie zachcaj, dobrze?

– Czyja mógłbym coś takiego zrobić? Umiechnął się od ucha do ucha, na co zareagowała mocnym biciem serca.

– Do diabła, tak! – Roze miała się, ciesząc się niewymuszonymi, koleżeńskimi stosunkami, które nieoczekiwanie między nimi zapanowały.

Spodziewała się, że po pamiętnych wydarzeniach w biurze powstanie między nimi niezręczna sytuacja, ale ku jej zaskoczeniu Darcy tak samo jak ona unikał tego tematu, a gdy zaprosiła go na rodzinny uroczystość, zgodził się z wielką ochotą. Czy by miał nadzieję, że dokończą to, co zaczęli w jej gabinecie?

Ona miała ją na pewno, a Liv utwierdzała ją w tym, mówiąc, że weekendowy wyjazd to znakomita sposobność, aby go uwieść.

Wszystko zaplanowała: zarezerwowała pokój w motelu, zagłuszyła głos rozszedku i zamierzała pofolgować rozkołysanym zmysłom.

Ale ten mistrzowski plan pokrzyżowała jej staro-wiecka rodzina. Rodzice w ogóle nie chcieli słyszeć o noclegu w motelu i nalegali, aby zatrzymali się u nich, a to oczywiście oznaczało oddzielne sypialnie.

Zniechęciła odwołała rezerwację. Marzenia, że pokaże Darcy'emu, jak jest wyzwolona kobietą, w okamgnieniu legły w gruzach. Cóż, musiało jej wystarczyć, że skonfrontuje go ze swoimi rodzicami i ich archaicznymi poglądami na życie. Może w wyniku tego dojdzie do wniosku, że jednak warto postąpić inaczej i po powrocie do Melbourne, wpadnie prosto w jej chętnie ramiona... Kto wie?

– Czy tutaj skręcamy? – Wskazał na stojące przy drodze skrzynki pocztowe i za nią miał się znów. – Rodzina Adamsów, co?

Pokręciła tylko głową, ponieważ ogarnęła ją fala wspomnień.

– Nie mogą uwierzyć, że jeszcze tego nie zmienili. W szkole wszyscy się ze mnie wyśmiewali, że nasza rodzina to potwory i dziwolągi.

– Widziałem cię już w twoim najgorszym stanie i muszę przyznać, że niezbyt pięknie wyglądałaś.

Uderzyła go artobliwie w ramiona.

– To jeszcze nic. Poczekaj, jak zobaczysz rano moją matkę w lokówkach na głowie i w różowym szlafrocuku!

– Czy kobiety nadal używają wałków do włosów?

– To ty powinieneś wiedzieć. To gady z twojej epoki, nieprawda?

Zamiast jej zgromić spojrzeniem, co zrobiłby kilka tygodni temu, roze miał się serdecznie.

– W dobrym roczniku nie ma nic złego. Jestem jak szlachetne wino, z wiekiem staję się coraz lepszy.

– Tak, ale jeśli zbyt długo będzie przechowywany w piwnicy, wybuchnie.

Skręcił, zaparkował samochód w cieniu ogromnego eukaliptusa, zgasił silnik, po czym



odwrócił się do niej, wyciągnął rękę i pieszczotliwym ruchem dotknął jej policzka.

– Och, ju teraz czujesz się tak, jakbym miał wybuchnąć. Puls jej przyspieszył.

– Obiecanki-cacanki! – Lekko przekrzywiła głowę, dziękując mu za jego kciuk dotknął jej ust.

Wyczuwając zachętę, pogładził palcem jej wargi, po czym ujął dłoń podbródek.

– Ludzie starej daty potrafią dotrzymywać obietnicy, pamiętaj.

– Na to liczę. – Otworzyła usta i polizała jego palec, obserwując, jak renice oczu Darcyego rozszerzają się z podania. Chociaż nigdy przedtem nie zachowywała się tak bezwstydnie, po wyrazie jego twarzy poznała, że postępuje wbrew ciwie.

Jedną ręką, odchylił głowę i oparł ją na zagłówek, jednocześnie nie zamykając oczu.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, co mi robisz?

– Chyba bzdury musiał mi powiedzieć. – Przez chwilę podgryzała jego palec, a potem odepchnęła rękę.

Kilka minut zauważyła rodziców spieszących do samochodu.

– Czas na przedstawienie! – Skrzywiła się w oczekiwaniu na szturm rodziny Adamsów.

Musiała przyznać, że Darcy ma klasę. Fleur, pomimo że kochała swoich rodziców, nie mogła znieść ich obecności dłużej niż pół godziny, a tymczasem on spokojnie wysłuchiwał głędzenia ojca o lokalnej drużynie piłkarskiej oraz niekończącego się szczebiotu matki o kole gospody domowych, nie wspominając już o wciśniętych pytaniach dotyczących dalszych zamiarów Darcy'ego, na które udzielał rzeczonych, niezobowiązujących odpowiedzi.

Tego spodziewała się po rodzicach, a Darcy spisał się na medal, lecz oto z najmniej spodziewanej strony spotkała ją niespodzianka.

– Kwiatuśku, gdy skończycie herbatę, może zechcecie odpocząć i odwieźć się przed przyjściem? – Ojciec zwracał się do niej tak, od kiedy sięgała pamięcią. Uważał to za zabawny gr słów, wszak miała na imię Fleur. Ona była przeciwnego zdania.

– Wspaniały pomysł, tato. – Skoczyła na równe nogi, gotowa uciekać, gdzie pieprz rośnie.

– A teraz, jeśli chodzi o pokoje... – Ojciec niezdarnie zaszurał stopami, jakby poruszanie tego tematu sprawiało mu trudno.

Darcy znów uratował sytuację.

– Nie chciałbym się narzucać, panie Adams. Chętnie wynajmę pokój w motelu.

Ojciec westchnął z ulgą.

– To wspaniale, Darcy. Chodzi o to, że mamy dziś mało miejsca... Rozumiesz, rodzina i goście...

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, może zabraliby z sobą Fleur? – wtrąciła nieoczekiwanie matka. Wszyscy odwrócili się i gapili na nią z niedowierzaniem. – Chodzi o to, że dom nie jest zbyt duży... i mam obawy, czy się pomieścimy. Nie masz nic przeciwko temu, kochanie? A ty, Darcy?

Fleur starała się nie okazać zdumienia. Gdyby nie znała matki tak dobrze, przysięgłaby, że próbuje zapewnić im trochę prywatności. Uznała jednak, że to niemożliwe. Gdy dorastała, zasady zacnej pani Adams dotyczącej obecności chłopców w domu, nie mówiła już o sypialni, były równie surowe jak jej matka.

– Florence! – Zgorszony ton głosu seniora rodu pobudził Fleur do działania.

– Nie ma problemu, mam. Darcy i ja zatrzymamy się w motelu w mieście. – Ucisnęła matkę i był to pierwszy szczerzy przejaw czułości, jaki jej okazała od dłuższego czasu. – Do zobaczenia na przyjęciu, tato. – Cmoknęła go w policzek, po czym spojrzała przez ramiona na Darcy'ego, starając się wzrokiem pokazać mu drzwi.

– To była prawdziwa przyjemność poznania. Do zobaczenia na przyjęciu. – Ucisnęła dłoń ojca, który wyglądał tak, jakby miał dostać ataku apopleksji, a potem pocałował jej matkę w policzek, co sprawiło, że zarumieniła się jeszcze bardziej.

Fleur ukrywała radość, a znalazła bezpieczne schronienie w samochodzie. Dopiero tu pozwoliła sobie na okrzyk triumfu.

Darcy odwrócił się do niej. Blask bił z jego oczu.

– Wyglądają na to, że zostali my sami, małżonka.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Fleur wstrzymała oddech, krocząc zamaszyście do recepcji motelu w Springwood. Wyglądała tak, jakby dokonywała tu rezerwacji codziennie. W rzeczywistości ci kolana jej się trzęsły, a serce biło jak szalone na myśl o tym, że spędzi noc z mężczyzną, który w tak krótkim czasie wywrócił jej dobrze zorganizowany świat do góry nogami.

Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zapraszając go na weekend. Co się stanie, jeśli zaangażuje się uczuciowo? To znaczy jeszcze mocniej niż obecnie? Pomimo solennych przysięg, że utrzyma niezależność i nigdy się nie zaangażuje w trwały związek, który mógłby skończyć się małżeństwem w stylu jej rodziców, zdawała sobie sprawę, że Darcy był w stanie podkopać to postanowienie. To ją przerażało. Miertelnie.

Myślała, że zaszokuje go zaproszeniem na weekend, ale on potrafił ukryć zdziwienie i nie dopytywał się o przyczynę tak zasadniczej zmiany. Był może uznał, że nie warto doszukiwać się logiki w postępowaniu kobiet. Przyjął zaproszenie, podziękował, a ona, chociaż próbowała zachowywać spokój, trwała od tego momentu w stanie wyczerpującego, pełnego napięcia wyczekiwania.

Powiedziała mu o konserwatywnych poglądach swoich rodziców, szczególnie na temat seksu, ale ku jej rozczarowaniu nie przejął się tym zbytnio, a przynajmniej takie sprawiało wrażenie.

Na dodatek, pod wpływem jakiegoś dziwnego zrzeczenia losu, jej matka wkroczyła w końcu w dwudziesty pierwszy wiek i niemal się wypchnęła ich z domu, by tę noc spędzić razem. Chociaż Fleur nie była w stanie odgadnąć jej motywacji, trzykilometrową drogę do motelu pokonała w tempie odcinka specjalnego podczas rajdu samochodowego, na wypadek gdyby rodzice zmienili zdanie, a ojciec zaczął mierzyć do Darcy'ego z dubeltówki.

Kiedy w końcu stanęła oko w oko z właścicielem motelu, próbowała zachowywać się nonszalancko, ale wewnątrz gotowała się z nerwów.

– Mieliśmy rezerwację, która została odwołana na początku tygodnia. Czy pokój jest jeszcze wolny?

– Fleur Adams? Mała córeczka Flo i Maurie, prawda?

– Tak jest. Czy pokój jest wciąż wolny? Właściciel skinął głową.

– Oczywiście, że jest. Chcielibyście go zobaczyć?

– Byłoby dobrze. – Gdy obróciła się w stronę Darcy'ego, zaskoczył ją nerwowy wyraz jego twarzy. Co go zaniepokoiło? Powinien przecież być szczęśliwy...

– Czy ci to odpowiada?

– Jak najbardziej. – Darcy próbował mówić opanowanym głosem, ale jedyne, czego pragnął, to porwać ją w ramiona i zanieść po schodach do ich pokoju.

Ich pokój... Sama myśl o tym budziła podniecenie, jakiego od dawna nie odczuwał. Co było w tej kobiecie, że tak bardzo jej pragnął?

Oczywiście była urodziwa i pociągająca, lecz najważniejsza była jej osobowość. Rozpierała ją energia, miała wielki temperament, kochała życie i uwielbiała się znakomicie

bawi, potrafiła miać się równie z samej siebie, a przy tym była bystra, wykształcona i bardzo kompetentna zawodowo. Z równym entuzjazmem wywijała po parkiecie, grała w paintballa, jak i wykonywała swoją pracę. Podchodziła do wszystkiego z naturalną swobodą i zaangażowaniem. Wszystko to czyniło z niej nadzwyczajną kobietę i zamierzała udowodnić jej w ten weekend, jak wiele dla niego znaczyła.

Podął za nią po schodach do pierwszego pokoju po lewej, ignorując w ciemności spojrzenie właściciela. Czy by rujnował Fleur reputację? Był może powinien czuć się winny, bo plotki, że marnotrawna córka wróciła do Springwood z pretendencją do ręki i dzieliła z nim pokój, rozejdły się lotem błyskawicy.

Ale był daleki od poczucia winy, gdy Fleur zatrzasnęła drzwi przed nosem właściciela i powiedziała:

– No dobrze, mamy go z głowy.

– Czy o czym zapomniałem? – Postawił torby na podłodze i wyjrzał przez okno, ale widok zielonych pagórków i pastwisk nie ukoił jego napiętych nerwów.

– Twoja reputacja w tym mieście została zrujnowana. – Udało jej się zachować powagę, chociaż ciki jej usta drżały od z trudem powstrzymanego śmiechu.

– Nie o swojej reputacji się martwi. – Uśmiechnął się, ale szukał na jej twarzy wskazówki, czy jednak nie odczuwała dyskomfortu z powodu sytuacji, w jakiej się znalazła.

– W ogóle o tym nie myśl. Nie zarezerwowałabym jednego pokoju, gdybym się przejmowała tym, co ludzie o mnie myślą.

– A twoja rodzina?

Skrzyżowała ramiona, a półtora miech zniknęła jej z ust.

– Nie mieszkam pod ich dachem, więc mogę robić, co mi się podoba.

Podszedł do niej i położył dłoń na ramieniu.

– Skąd wziął się w tobie ten bunt?

– To nie jest żaden bunt. – Strzeliła jego ręką z ramion, podniosła torbę, udając, że bawi się zamkiem.

– Dopiero co poznałem twoich rodziców, ale zauważyłem, że cię kochają. Dlaczego jesteście w stosunku do nich taka krytyczna?

– Przypominam ci, że to ja jestem psychologiem. – Z impetem rozpięła torbę. – Poza tym nie rozumiałbyś. – Ledwie dosłyszał, jak mruknęła: – Jesteś taki sam jak oni.

Ten komentarz go rozdrażnił. A więc nadal uważała go za nudnego faceta, ospałego, zasklepionego w rutynie sztywniaka? Jeśli tak, to dlaczego zaprosiła go na ten weekend?

Kręcił głowę, podął do drzwi.

– Idź się przebrać.

– W porządku. – Starła się, by zabrzmiało to obojętnie, jakby go ignorowała.

– Przyjcie zaczyna się o siódmej? Skinęła głową, unikając jego spojrzenia.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, spotkamy się na miejscu. Obiecałam mamie, że pomogę w przygotowaniach.

– W porządku. Do zobaczenia. – Zamknął delikatnie drzwi, chociaż miał ochotę nimi trzasnąć.

Fleur wiedziała, że zbyt ostro potraktowała Darcy'ego, ale nie była w stanie się opanować. Sam przyjazd do rodzinnego domu i miasteczka był dla niej wystarczająco trudny, by mogła znie analizowanie przyczyn jej zachowania przez kogokolwiek, choćby i Darcy'ego. Dołczył się jeszcze do tego przyjazd do motelu. Bardzo się denerwowała, nie wiedziała, jak się zachować, gdy zostaną sami. Już zaplanowanie uwiedzenia Darcy'ego było miałym pomysłem, ale wprowadzenie tego planu w życie okazało się o wiele trudniejsze, niż przypuszczała.

Zamierzała rozegrać tę sprawę na chłodno, a zachowała się jak kapryśna panienka, przez co sprawiła Darcy'emu przykrość. Opuścił ją bardzo zły i dotkliwy dołek. Wcale tego nie chciała, ale tak po prostu wyszło.

A teraz mieli spędzić wspólny wieczór, stawiając czoła niedyskretnym pytaniom i ukrytym aluzjom dotyczącym ich związku. Zbiorowisko starych, w cibskich nudziarzy! Oto cała jej rodzina.

No i przyjdzie wreszcie się zacząć.

Kiedy ciotka Ruby weszła na podium pod ręką z wujem Jackiem i opowiedziała historię ich pięćdziesięcioletniej miłości, popatrzyła wymownie na Fleur i dodała, że właśnie nie miłość nadaje życiu sens i młodzi ludzie powinni o tym pamiętać.

– Kto o tym zapomni, kto dla kariery odkłada najważniejsze decyzje i zamyka się w swoim samolubnym świecie, ten odrzuca najpiękniejszy dar od Boga, jakim jest miłość, rodzina, dzieci. – Tymi słowami zakończyła ciotka Ruby swój przemówienie, a wzrok cały czas miała utkwiony w jednej jedynej osobie.

Spojrzenia wszystkich obecnych spoczęły na Fleur, ona zaś najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Dzięki Bogu, że stał obok niej Darcy, który pokręcając głowę cisnął jej rękę. Zdołała się na uśmiech pełen wdzięku. Czym zasłużyła sobie na takiego faceta jak on?

– Wyjdźmy stąd – szepnęła, mając nadzieję, że odczyta jej intencje.

– Przyjdzie jeszcze się nie skończyło. Zmarszczyła brwi.

– Tak naprawdę dopiero się zaczął, ale mam to w nosie. Spadamy stąd – odpowiedziała ledwie słyszalnie, by nikt niepowołany nie wyłapał tych skandalicznych słów.

Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, ale położył dłoń na jej karku i lekko popchnął ją w kierunku drzwi.

– Prowadź!

Puls szalał jej z podniecenia, kiedy, trzymając się za rękę, zmierzali w stronę motelu.

– Dziękuję, że jesteś tu ze mną. – Powróciła do uprzejmej konwersacji, która dodawała jej pewności siebie.

– Dziękuję za zaproszenie – odparł grzecznie. Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć.

Popatrzyła na gwiazdy, czując się jak dawna, mała Fleur Adams: nie miała, naiwna dziewczyna, oczekując miłości.

Rzeczywiście, spacer z Darcym po głównej ulicy Springwood przypomniał jej tamten wieczór, kiedy Nick Darvey trzymał ją za rękę, a potem próbował pocałować. To dziwne, ale w obecności Darcy'ego czuła się tak samo, jak wtedy – oszołomiona, zakłopotana.

rozmarzona. Jeszcze jeden powód, by jak najszybciej z tym skończyć.

– Piękna noc – powiedział, zatrzymując się przed wejściem do motelu. – Ale ty jesteś piękniejsza. – Spojrzał na nią z ledwie skrywanym podnieceniem.

– Dziękuję. Idziemy na górę? – Chciała, by głos jej brzmiał swobodnie, jakby nie pierwszy raz zapraszała mężczyznę do swojego pokoju.

Mocniej ujął jej rękę, przyciągnął ją do siebie i obejmując ją za ramiona. Szli po schodach w ciszy.

– Jesteś tego pewna? – Przekręcił klucz w drzwiach i wprowadził ją do pokoju.

Nigdy w życiu nie była czegokolwiek mniej pewna, ale obecność Darcy'ego krzepiała ją. Sprawiał, że wszystko, co się działo, wydawało się najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Chciała być szczęśliwa, zasługiwała na to. Nadszedł czas, aby podjąć ryzyko.

Objęła ramionami jego szyję i spojrzała mu w oczy.

– Porzuć rycerskość, Darcy. Przynajmniej tej nocy. Ciężki miech, pełen rozkosznej obietnicy, był całkiem blisko ust. Zamknęła oczy, ledwie poczuła jego usta na swoich. Zaskoczył ją, muskając koniuszkiem palca jej czoło, powoli przesuwając go wzdłuż nosa, obwodził usta i wdrugał się po brodzie, aby zatrzymać się w dołku pomiędzy obojczykami.

Wstrzymała oddech, kiedy bawił się guzikiem bluzki. Kolana się pod nią uginały, nogi robiły się ciężkie, w miarę jak dłoń ogarniała jej ciało.

– Czekałem na to przez cały wieczór – mruzczał, rozpinając guziki z nieskazitelną cierpliwością, podczas gdy jego wargi posuwały się wolno po szyi Fleur.

Westchnęła w upojnym zawrocie głowy, czując dłoń Darcy'ego na swej nagiej skórze i usta na ustach. Pragnęła go dotykać, pieścić, rozkoszować się wraz z nim tą nocą.

Przerwał pocałunek, aby na nią spojrzeć. Na dnie jego oczu widniało podniecenie, ale i rozbawienie.

– Jeśli chcesz wyrazić inicjatywę, to proszę, miało.

– Dziękuję za przyzwolenie. – Zsunęła mu koszulki i pokryła drobnymi pocałunkami jego pierś.

Przyciągnął ją mocno do siebie.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa. – Popchnął ją w stronę łóżka, przez cały czas mocno ciskając w objęcia.

– Na twoje szczęście jestem psychologiem. – Przesuwała dłońmi po jego muskularnych plecach, jednocześnie wtulając twarz w szyję. – I mam zamiar dać ci bardzo, ale to bardzo intymną konsultację ...

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTY

Darcy już dawno to podejrzewał, a teraz nabrał pewno ci. Bez reszty oddał swe serce Fleur, a ostatnia noc tylko to przypiecz towała. Kochali się wiele razy, a jej niezaspokojona dłoń doprowadzała go do szaleństwa. Tęgo ranka prawie zapomniał, ile ma lat. Jednak tylko „prawie”.

Nigdy nie spotkał kobiety tak bardzo naturalnej w wyrażaniu potrzeb swojego ciała, tak spontanicznej. To go niezwykle zdumiało, chociaż po prawdzie w czasie szalonej nocy niewiele miał sposobności, by zadumać się nad tym choć przez chwilę.

Natomiast gdy słońce wstało, po cudownej, leniwej chwili wszechogarniającego szczęścia zaczął go dręczyć wstyd.

Co taka kobieta mogła w nim dostrzec?

Jej zachowanie w dalszym ciągu nie dawało mu odpowiedzi.

Kiedy rano zamierzał porozmawiać o tym, co między nimi zaszło i zorientować się, jak stoją sprawy, Fleur wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną i wyluzowaną, jakby oszałamiający całonocny seks nie był w jej życiu czymś niezwykłym.

A może naprawdę nie był?

Pokręcił głową, natychmiast odrzucając tę myśl. Nie wyglądała na kobietę, która kolekcjonowałaby facetów, korzystając ze swej urody i wdzięku, ale w gruncie rzeczy cóś o niej wiedział poza tym, że lubiła być pełnię i nie znosiła osoby, które postępowyły inaczej. Czy ją w ogóle znał?

Niewątpliwie. Dowiedział się, co nią kieruje. Przecież musiał dobrze poznać kobietę, z którą zamierzał się ożenić.

– Oto jesteście my. – Zatrzymała samochód przed jego domem, ale nie wyłączyła silnika.

– Może wpadłaby na chwilę... – Na przykład na zawsze?

– Nie. Mam sporo roboty. – Ledwie rzuciła na niego okiem.

– Ale dziś jest przecież niedziela! – Pragnął zabrać ją do siebie i udowodnić, że ostatnia noc nie była jednorazowym wyskokiem. Chciałby stale ulegać jej magii. Chciał się we Fleur zapamiętać, zatrzymać ją w ramionach i nigdy nie pozwolić odejść.

– Posłuchaj, Darcy, bawiliście się doskonale. Ale pora wrócić do rzeczywistości.

Zdumiał go jej ostry, spity ton. Pomimo że nie rozmawiali z sobą za wiele w drodze powrotnej do Melbourne, przynajmniej do tej pory była uprzejma.

Straszna myśl zawitała mu w głowie.

– Tylko mi nie mów, że ostatnia noc była kolejną lekcją, jakiej mi udzieliła.

Lekko zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

– Powiedziała, że weekend był doskonałą zabawą. Czy tym była dla ciebie ostatnia noc? Kolejną lekcją pokazującą nudnemu, staremu Darcy’emu, jak można się zabawiać? Pokręcił głową, nie patrząc mu w oczy.

– To nie tak...

– Wi c sk d ta zmiana nastroju? Sk d ta odmowa? I có znaczy ta „rzeczywisto ”? – Zasypał j pytaniami, cho obawiał si , e odpowiedzi mu si nie spodobaj .

W ko cu na niego spojrzła, a bezbarwny ton jej głosu zranił mu serce.

– Rzeczywisto to wiat, w którym yjemy. Jeste my dwojgiem ludzi, którzy zetkn li si na krótki czas, a pó niej pod dalej osobnymi drogami. ycie to nie bajka, jak była ostatnia noc.

Słowa docierały do niego jak przez mgł .

– Dlaczego mamy pod y osobnymi drogami? Czy nie znasz zakl cia: „A potem yli długo i szcz liwie”?

K ciki ust jej opadły.

– Masz na my li prawdziwy zwi zek?

– Tak, do licha! – krzykn ł, trac c panowanie nad sob . – Dlaczego nie, Fleur? Dlaczego nie?

Ku jego zdumieniu roze miała si gorzko, odbieraj c mu wszelk nadziej .

– Pozwól, e wyło spraw jasno. Sp dzili my razem weekend, a ty od razu chciałby pój na cało ? Bo e, rzeczywi cie jeste dinozaurem!

Spojrzał na ni z niedowierzaniem, zastanawiaj c si , dlaczego przedtem le interpretował jej gesty i słowa. Zrobił z siebie kompletnego głupca.

– Przepraszam, Darcy. Ja tylko...

– Do zobaczenia w biurze. – Wysiadł z samochodu, trzasn ł drzwiami i odszedł, nie ogl daj c si za siebie.

To był bardzo ci ki tydzie . Fleur siedziała zavalona po szyj robot papierkow . Praca przynajmniej miała t zalet , e dzi ki niej udawało si z powodzeniem unika telefonów od Liv. Wiedziała, e przyjaciółka a si pali do tego, by wysłucha szczegółowej relacji z ostatniego weekendu, lecz sama ledwie była w stanie o tym my le , a co dopiero rozmawia .

Totalna katastrofa! Owszem, wiedziała, e Darcy był człowiekiem starej daty, ale liczy na lub po jednej sp dzonej razem nocy? W głowie si nie mie ci!

To prawda, sp dzili cudown noc, ale ona nie planowała mał e stwa nawet z tak wyj tkowym kandydatem jak Darcy, a odwiedziny u rodziców jedynie umocniły j w tym postanowieniu. Jej plan wła ciwie spalił na panewce. To nie Darcy dostrzegł podobie stwo pomi dzy sob a jej rodzicami, to ona przejrzała na oczy i zdała sobie spraw z czego , co próbowała przez chwil ignorowa . Zakochała si w m czy nie, który kompletnie do niej nie pasował, a seks z nim jeszcze bardziej umocnił to uczucie.

Z jednej strony ucieszyła si , e zaproponował stały zwi zek To by wiadczyło o wzajemno ci uczu . Ale nie chciała złama mu serca, kiedy st d wyjedzie, a zamierzała to zrobi w niedalekiej ju przyszło ci. Tkwienie w miejscu, na jednej posadzie, w tym samym mie cie – to nie dla niej. Musiała stale potwierdza sw niezale no , a taki spokojny facet jak Darcy nigdy nie zdecydowałby si na podobny tryb ycia.

Có wi c zrobiła? Rzuciła si w wir pracy, któr niebawem przyjdzie jej zako czy . Zmiana strategii zarz dzania w Innovative Imports przyniosła zdumiewaj ce rezultaty w postaci stale wzrastaj cej efektywno ci pracy, co przekładało si na wzmierne zvski



finansowe. Firma złapała wiatr w ogonek, powiększała się, dystrybucyjna, wci podpisywano umowy z nowymi odbiorcami. Zrealizowała swój plan, modernizacja spółki się powiodła i powinna czuć satysfakcję, zwłaszcza że był to jej pierwszy projekt. Dlaczego więc ogarniał ją dziwny, pomieszany z ulgą smutek, że kontrakt z Innovative Imports dobiega końca?

Zamknęła oczy i potarła skronie. Najwyższa pora iść do domu. Ostatnio niechętnie wracała do swego pustego mieszkania. W pracy przynajmniej nie miała czasu na rozmyślanie, za to w domu myśli tłukły się po jej głowie jak szalone i odbierały sen. W rezultacie od ostatniego weekendu z trudem przesyiała kilka godzin dziennie. To było po niej widać. Nic dziwnego, że Darcy jej unikał. Wyglądała jak straszdyło.

– Dostosuj się! Dlaczego mnie unikasz?

Fleur szeroko otworzyła oczy na dźwięk głosu Liv.

– Co ty tu robisz? – spytała z udawanym obojętnością.

– Miałam, wyglądasz okropnie! Co się stało? – Typowa Liv, szczerą aż do bólu, chociaż jej słowa nie podniosły Fleur na duchu.

Fleur wskazała ręką na porządnie ułożone papiery na biurku.

– Kto musi pracować.

Gdyby powiedziała to z odrobiną nonszalancji, może Liv zostawiłaby Fleur w spokoju, ale przyjaciółka zbyt dobrze ją znała.

– Zaraz, zaraz. Unikasz moich telefonów, nie odpowiadasz na SMS-y i przez cały tydzień nie byłaś ani na aerobiku, ani w kawiarni. Czy coś się stało, kochanie?

W oczach Fleur zabłyśły łzy.

– Można tak to nazwać.

– Co złego musi się dziać, skoro się rozplakała. – Liv pogrzebała w torebce i podała jej chusteczkę. – Co się stało?

– Darcy chce, żebyśmy byli razem... – Błyskawicznie wyrzuciła z siebie te słowa i natychmiast tego pożałowała.

– Czego chce? – pisała Liv, przysiadając na najbliższym krześle.

– Głupi, nie? – Fleur przycisnęła dłoń do oczu. Do licha, spodobało jej się to zestawienie: Darcy i razem...

– Głupi? – Liv z podniecenia aż klasnęła w dłoń. – W żadnym wypadku! To fantastyczne! Masz pojęcie? Spotkałam faceta, ot tak, w kawiarni, i zakochałam się przed ołtarzem! Jakże to romantyczne!

– Zupełnie jak w jednej z tych twoich beznadziejnych, zakłamanych powieści, prawda?

– Wcale nie są beznadziejne. Spójrz na siebie. Gdybym była pisarką, ty i Darcy stalibyście się bohaterami mojej szlagierowej powieści romantycznej! Samo życie, a nie żadne kłamstwo! – entuzjastmowała się. – Och, może naprawdę zacznij pisać? Taki temat, taki temat...

Fleur potrząsnęła głową.

– Ta historia nie kończy się szczęśliwie. Liv zmrużyła oczy.

– Odrzuciła go?

– Oczywiście! – wypaliła Fleur. – Nie mogłoby z nim zostać.

– A niby dlaczego?

Fleur chciała by podać tysiąc przyczyn, rozpoczynając od „nie kocham go”, „nie jest w moim typie” czy „nie wyobrażam sobie spędzenia z nim reszty życia”. A jednak nie mogła wypowiedzieć żadnego z tych zdań, ponieważ nie były prawdą. Zdecydowała się więc na wymówki, których posługiwała się sama przed sobą.

– Jest dla mnie za stary, mamy za mało wspólnego, no i, co najważniejsze, przypomina mi mojego ojca. – Te wyjątki zabrzmiały nadzwyczaj marnie nawet w jej uszach.

– Nie chce mi się wierzyć, że dotychczas nie poradziła sobie z kompleksem na punkcie rodziców.

Fleur westchnęła.

– Po prostu nie chcę skończyć tak jak oni.

– Nie chcesz być szczęśliwa? – Liv, choć co roznosiło ją od rodka, starała się mówić spokojnie, rozważnie. – Nie kaźdy marzy o wielkim wiesz, sama wiesz. Dlaczego nie zaakceptujesz faktu, że oni kochają swoje życie? Przecież nie trzymają ci przy sobie, sfinansowali twoją naukę, pozwolili, byś żyła po swojemu. Uznali, że masz prawo sama zdecydować o sobie, choć na twoim miejscu z pewnościodokonaliby innych wyborów. Lecz ty wciąż czepiasz się ich wzorca, pod niego, na zasadzie negacji, ustawiasz swoje życie, zamiast popatrzeć na świat jak wolny człowiek i samodzielnie zbudować swoje przyszłość. Na Boga, przecież to ty jesteś psychologiem, a ja mam ci tłumaczyć takie abecadło? Otrzymaj się, przestań być niewolnicą swoich wydumanych kompleksów! – Liv zaśmiała się ze zdenerwowania. Możliwe i romanse, które tak namiętnie pochłaniała, nie były traktatami filozoficznymi, lecz pomagały zrozumieć wiele spraw. Nie uważała siebie za intelektualistkę, ale dlaczego jej młoda, wykształcona przyjaciółka w najważniejszej sprawie w jej życiu zachowywała się jak idiotka? – No więc powiedz mi jeszcze raz, dlaczego odrzuciła Darcy’ego.

– Ponieważ boję się, że cokolwiek zrobi, i tak skończy jak oni. Oszaleję, znudzę się, pogrzebię w marazmie – upierała się przy swoim.

– Dobrze, przyjmuję ten argument. – Liv nagle zmieniła tony. Tej sprawy nie załatwiła podczas krótkiej rozmowy. – Bo, jak rozumiem, uważasz, że Darcy jest ulepiony z tej samej gliny. Czy tak?

Fleur kiwnęła głową, zbyt zdenerwowana, aby coś powiedzieć.

Liv spojrzała na nią jak na jakiś dziwny okaz. Nie musiała dobrze znać Darcy’ego, by wiedzieć, że jej przyjaciółka pada ofiarą zwykłej obsesji, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, przez co jej sprawny umysł kompletnie przestał pracować. Wiedziała, że nie przekona upartej Fleur. Mogła tylko zrobić jedno: jak najdłużej z nią rozmawiać, by móc coś zalegnąć w jej głowie... Albo po prostu popłakać wraz z nią nad parszywym życiem.

Podumała chwilę, a potem poderwała się z krzesła.

– Chodźmy, musimy to oblać.

– Nie jestem w nastroju, Liv.

– Ale ja jestem. – Siłą postawiła Fleur na nogi. – Chodźmy.



Co miała zrobić ? Podreptała za Liv.

Darcy poczekał, a Fleur i Liv wyjdą, a potem zamknął biuro i udał się do domu. Parę chwil przedtem, kiedy zamierzał je wyprosić, usłyszał fragment rozmowy, który zmroził go do szpiku kości.

A więc Fleur zabrała go do swego rodzinnego domu, żeby poznać jej rodziców. Uważał, że był tak jak oni: ospały, nudny, pogroźony w marazmie. Te słowa odbijały się echem w jego głowie. Niemal krzyczał z bólu.

Oto i cały jego magiczny urok! Przespała się z nim prawdopodobnie z jakiejś lekkiej potrzeby, a nie dlatego, że go kochała. Jak mógł tak bardzo się pomylić? Myślał, że do wiadczyli razem czegoś wyjątkowego, począwszy od pierwszego pocałunku w nocnym klubie. Zamierzał dalej się temu przyglądać i analizować sytuację, nie spodziewając się jednak, że tak szybko zakocha się we Fleur. Myślał, że dawno ma już za sobą głupie i nierozsądne porywy serca.

Może i był stary, ale na pewno nie grzeszył młodością!

Wszedł do domu i skierował się prosto do salonu. Rzadko kiedy sięgał po alkohol, ale dziś potrzebował kieliszka brandy, żeby opanować dreszcz, który mroził mu serce, odkąd usłyszał słowa Fleur.

– Zalewasz robaka? To do ciebie niepodobne. – Sean wkroczył do pokoju, a Darcy spojrzał na niego ponuro ponad kieliszkiem. – O co chodzi?

– Musisz mi włożyć na głowę? – warknął Darcy. – Nie masz nic lepszego do roboty?

Sean opadł na kanapę i przeciągnął się.

– Nie. To jest o wiele przyjemniejsze.

– Wynosi się! – Darcy bujał kieliszkiem, patrząc w wirujący bursztynowy płyn. Miał nadzieję, że uwalni się w trupa, a potem obudzi się i zapomni o tym całym cholernym bałaganie.

– Kłótnia kochanków? To by pasowało, zwłaszcza, w jakim ona jest nastroju w ostatnim czasie...

– Nie chcę o tym mówić. – Darcy upił łyk brandy, a potem zrobił coś kompletnie nie w swoim stylu, to znaczy chlusił resztkami drinka w twarz Seana.

– O, wyglądnij na to, że musimy pogadać, braciszku. Cholera, wyrzuć to z siebie!

Ku swojemu zdziwieniu, Darcy poczuł, że zwierzenie się Seanowi może mu przynieść ulgę.

– Ona myśli, że jestem ospały, nudny i za stary. Do licha, ona myśli, że jestem jak jej ojciec!

– Udowodnij więc, że to nieprawda – poradził Sean. – Co...?

– Słyszałem, co mówiłem. Nie jesteś obojętny Fleur, bo inaczej po tym waszym zerwaniu nie wyglądałaby jak siedem boleści, dlatego, jeśli ją kochasz, a widzisz, że tak, musisz o nią walczyć. Skoro więc uważasz, że jest za starego przyka, safandulą i nudziarzą, udowodnij jej, że nie ma racji. Zdobądź ją!

– Gadasz, byle gadać... – Darcy spojrzał na Seana tak, jakby mówił w obcym języku.

– Nieprawda. Wiem, co mówisz. Jesteś młodszy ode mnie, lepiej wykształcony, ale, wybacz, w tych akurat sprawach zachowujesz się jak pijane dziecko we mgle. – Umiechnął

si do brata. – Zrozum, to wcale nie jest takie trudne. Poka jej siebie takim, jakiego chciałaby ciebie widzie . Zaskocz j . Zwal j z nóg. – A wtedy, dodał w duchu Sean, równie sam zrozumiesz, e wcale nie jeste takim sztywnym piernikiem, na jakiego pozowałe przez te wszystkie lata. – Nie dziel włosa na czworo, nie kombinuj w tym swoim analitycznym umy le, tylko po prostu zrób to. Co masz do stracenia?

Wszystko, pomy lał Darcy.

Jednak nie wypowiedział tego słowa w obawie, e mogłoby sta si prawd .

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Fleur nie lubiła prac ogrodniczych, ale włożyła rękawiczki, wzięła narzędzia i wyszła na dziedziniec przed domem, w którym od kilku miesięcy wynajmowała mieszkanie. Znajdował się – tu mały trawnik oraz klomby, którymi od czasu do czasu należało się zająć.

Było bardzo ciepło, ale znając kapryzny klimat Melbourne, pod koniec wiosennego dnia można się było spodziewać deszczu oraz podmuchów zimnego wiatru. Wyrwanie chwastów okazało się zajęciem terapeutycznym, ponieważ odzyskała nieco spokoju. Następnie przystąpiła do strzyżenia krzewów. W pewnej chwili rozproszył jej uwagę ryk silnika motocykla podjeżdżającego ulicą.

– Pirat! – mruknęła, przez pomyłek cinając pocięte rowery.

Dwukrotnie, zamiast słabnąć, wzmagając się. Odwróciła głowę. Kto to robił taki harmider?

Ku jej zaskoczeniu motocykl zahamował przed jej domem. Wyprostowała się i dłonią zasłoniła oczy przed słońcem, aby dojrzeć niespodziewanego gościa. Teraz, gdy ryk silnika umilkł, zamieniając się w monotony pomruk, mogła podziwiać przed sobą nowego harleya.

A jeżeli chodzi o *je dca*... Skórzany kombinezon ciasno opinający jego długie nogi, muskularne uda i szerokie ramiona oraz kask z przyciemnionym szkłem nadawały mu aurę tajemniczości. Musiał zabłądzić, nie znała bowiem nikogo, kto posiadałby taki pojazd, chociaż Mitch nieustannie ją czaił, a ma za mało pieniędzy, by kupić coś podobnego.

Ale to nie był Mitch.

Podeszła do mężczyzny odzianego od stóp do głów w czarną skórę, ałując, że przez przyciemnione szkło nie może dojrzeć twarzy. Wychodząc naprzeciw jej myślom, tajemniczy mężczyzna powoli, centymetr po centymetrze, jakby rozkoszując się jej napięciem, zdjął z głowy kask.

– Chcesz się przejechać? – Darcy uśmiechnął się szeroko, niczym chłopiec, który właśnie dostał najwspanialszy w życiu prezent.

Fleur stała jak wryta, nie mogąc dopasować ciemnej postaci na zabójczej maszynie do mężczyzny, którego znała dotychczas jako statecznego detelmena.

– Co ty wyprawiasz na tym motorze? – wypaliła w końcu. Darcy pieszczotliwym gestem pogłaskał przed siebie kask, a Fleur przez ułamek sekundy pośladowała, że to nie ona jest przedmiotem tej czułości.

– Zawsze chciałem mieć harleya. Podoba ci się? Skinęła głową. Gwałtowna, zdradziecka fala podniecenia ogarnęła jej ciało.

– Chcesz się przejechać czy nie? – spytał z pewnym siebie uśmiechem, który odebrał jej dech.

Już myślała, że się z tym uporała. Przez cały tydzień robiła co w jej mocy, by stłumić reakcje na tego mężczyznę. A on w ciągu pół minuty zburzył starannie wzniesione bariery! Znowu poczuła się jak niedoświadczona nastolatka.

– Chcesz? – Zdając sobie sprawę, że głos jej brzmiał nie miało, cichnąc rękawiczki, przerzuciła je przez ogrodzenie i usiadła na tylnym siedzeniu harleya. Darcy podał jej kask.

– Trzymaj się mocno! – krzyknął, zwiędłszy obroty silnika, i ruszył z impetem.

Objęła go ramionami w pasie i mocno się do niego przytuliła. Nigdy nie jechała z tyłu na motorze i okazało się, że do wiadczenia było o wiele bardziej podniecające niż sobie wyobrażała.

A może doznawała tych niesamowitych uczuć z powodu mężczyzny, który zabrał ją na przejażdżkę?

Po krótkiej, o wiele za krótkiej rundce wokół bloków, zatrzymał się przed jej domem, nie gasząc silnika.

Niechacie zsunęła się z siedzenia. Miała dziwną potrzebę, aby nadal się go trzymała.

– Dzięki, to było cudowne. – Oddała mu kask i wiedząc, że musi wyglądać jak czarownica, przesunęła dłonią po rozwichrzonych włosach.

Ale Darcy wpatrywał się w nią w taki sposób, że nagle przestała przejmować się swoim wyglądem.

– Zawsze, gdy będziesz miała ochotę, możemy to powtórzyć. – Zasalutował, opuścił kask i odjechał, a ona patrzyła za nim, czując kompletny młotek w głowie.

Co tak naprawdę się wydarzyło? Nie miała pojęcia.

Nazajutrz Darcy przyjechał na harleyu do pracy. Wywołał ogólny szok, wkraczając do biura ubrany w czarną skórę. Pracownicy otoczyli go wianuszkami, ale zamiast pytań o mięso, czego trochę się obawiał, zadawali mnóstwo pytań, wykazując szczerze zainteresowanie. A gdy wyciągnął swój ostatni zabawkę – oryginalne jojo o nazwie diabeł, które zamówił przez internet – wszyscy włączyli się do zabawy.

Ciekawe, co Fleur sędzi o takim marnowaniu czasu na głupstwa...

– Wystarczy, wracamy do pracy! – Umiechnął się, słysząc jej krzyk niezadowolenia, i poszedł do gabinetu, gdzie zdjął swój skórzany kombinezon i przebrał się w zapasowy garnitur, który trzymał w szafie.

Gdy ktoś czyłwi za krawat, rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołał, wypierając zmyślenia fantazji, jak to on jest rozebrany, a Fleur wchodzi do jego gabinetu.

Gdy pojawiła się w drzwiach, stłumił uśmiech.

– Cześć, jak się masz?

– Doskonale, dziękuję.

Chociaż niewiele mogło popsuć jej urodę, nietrudno było spostrzec, że zapewnienia Fleur nie pasowały do wyglądu. Darcy zastanawiał się, czy podobnie jak on, nie miała ostatnio kłopotów ze snem.

– Ciesz się – odrzekł uprzejmie.

– Co tak wszystkich rozbawiło?

– Och, nic takiego. Pokazałem dziewczynom moje diabeł.

– Twoje... diabeł? – Zachichotała, a na jej twarzy pojawił się uśmiech, który tak pokochał.

– Chcesz obejrzeć? – Z powagą minęła się pod biurko. Umiechnęła się szerzej.

– Co mi się kołocze w łepetynie – puknęła się w czoło – kiedy ją widziałam.

– A jednak ci pokaż! – Wyciągnął jojo. – No i jak ci się podoba?

– Co to jest? – Wpatrywała się w zabawkę, a on pragnął, aby jak najdłużej toczyła się ta beztrudna rozmowa. Od dawna nie rozmawiali tak swobodnie.

– Gra zręcznościowa wymyślona w Chinach jakie dwa tysiące lat temu. Bardzo przydatna dla ludzi uwięzionych przez cały dzień w biurze.

– Dobrze się czujesz? – Błysk w jej oczach sprawił, że serce zaczęło mu walić. Tak bardzo chciał, aby mogli zacząć wszystko od nowa.

– Nigdy nie czułem się lepiej. Życie jest krótkie, więc trzeba łapać każdą okazję, by nie przegapić tego, co nam fortuna dobrego podsuwa pod nos. No a mnie fortuna, czyli internet, akurat podsunęła jojo diabła. Spodobało mi się, więc je mam. – Spojrzał jej w oczy. – To widać ciwa postawa, nie sądzisz?

Skinęła głowę. To już nie była beztrudna rozmowa, Darcy wiedział jednak, że jeszcze nie przekonał Fleur.

– A mówię ci o nowych rzeczach, oto ostatnie podsumowanie wyników firmy. Myślę, że będziesz zadowolony. – Przerwała na chwilę, zanim podała dokumenty. – Oznacza to również, że prawie wykonałam już moje zadanie. Tylko jeszcze jakieś drobiazgi. Zostanę do końca tygodnia, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. W porządku?

Wziął przygotowane przez nią dokumenty. Chciał powiedzieć, że się nie zgadza, że to wcale nie jest w porządku. Potrzebował jej i niech go diabli, jeżeli po prostu będzie tak siedział i pozwoli jej odejść! Jednak musiał trzymać się swojego planu, bo tylko on dawał szansę na sukces.

– Doskonale. – Nie podniósł wzroku znad papierów. – Może dasz się zaprosić na kolację w podziękowaniu za wszystko, co zrobiła?

Nie odpowiedziała od razu, zmuszając go, by na nią spojrzął. Po jej twarzy przetoczyła się burza emocji.

– To miło z twojej strony – odpowiedziała w końcu. – Kiedy i gdzie?

Pohamował się, by nie wyrzucić jej do góry w triumfalnym geście.

– Ustal szczegóły, zgoda? Och, Fleur, znakomita praca... Doskonale się spisała. – Powrócił do studiowania papierów, dając jej tym samym sygnał do wyjścia.

– Dziękuję.

Opuściła gabinet, pozostawiając Darcy'ego z pełnym satysfakcji uśmiechem na twarzy. W głowie kłębiły mu się tysiące pomysłów.

– Pomóż mi, Sean. Nie mam pojęcia, gdzie ją zabrać na kolację. To musi być jakieś niezwykle miejsce... – Darcy jak bomba wtargnął do pokoju brata. Sean jak dotychczas dobrze mu radził. Teraz również liczył na jego pomoc.

– Uspokój się. Niech pomyśl... – Sean wyciągnął się na łóżku i wsunął ręce pod głowę. – A więc wszystko przebiega zgodnie z planem?

Darcy wzruszył ramionami, znów ogarniły go fale niepewności. Chociaż był dorosłym mężczyzną, przy Fleur czuł się jak uczeń, który nie wie, co powinien zrobić lub powiedzieć.

– Harley zrobił na niej wrażenie. Co do diabła, nie jestem pewien.

– Woli więc szybko i maszyny... – Sean usiadł i pstryknął palcami. – A tak więc z tego co

o niej wiem, lubi przygody i niespodzianki. Czyli tajemnicza podróż w nieznane!

Pomysł od razu zapadł Darcy'emu w serce i z każdą chwilę wydawał się coraz bardziej interesujący.

– Nie le, braciszku. Zarezerwowa lot nie wiadomo dokąd. .. Czy jest lepszy sposób, by udowodnić, że mam fantazję? Na pewno będzie zachwycona. Może polecie do Cairns, do Darwin, a może do Perth...? – Każde z tych celów wydawał mu się interesujący, skoro miała mu towarzyszyć Fleur.

– Cóż, jeżeli chodzi o kobiety, jestem geniuszem – skromnie wyznał Sean.

– A właściwie nie, skoro o tym mowa. Co z tobą? Nigdy przedtem nie był tak długo sam.

– Mówiłem ci, że rozpoczynam nowy rozdział w życiu. Na razie koncentruję się na studiach i karierze. Nie mam czasu na głupstwa.

– Hm? A odkąd to Casanov Howard nie ma czasu na małe romansiki?

Ku zaskoczeniu Darcy'ego Sean przybrał poważny wyraz twarzy.

– Już ci kiedyś zawiodłem, braciszku. To się wić nie powtórz. – Przerwał, szukając właściwych słów. – Wiesz, nie jestem taki jak ojciec.

Darcy ledwie wierzył własnym uszom. Zawsze uważał, że Sean uwielbiał ojca, skoro pod tyloma względami starał się go naśladować. Prowadził niestabilny tryb życia, nigdzie dłużej nie zagrzebał miejsca, zawsze w pogoni za nowymi przygodami nie chciał przyjąć na siebie żadnej odpowiedzialności. A teraz nagle przyznawał, że ich ojciec nie był wcieleniem cnót.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy – rzekł Darcy, przepełniony dumą, że udało mu się wychować Seana na porządnego mężczyznę.

– Czasem trudno jest szczerze porozmawiać, prawda? Poza tym przez ostatnie lata niezbyt często się widywaliśmy. A przy okazji, jeżeli jeszcze ci tego nie powiedziałem, dziękuję ci, że się mną opiekowała. Byłem nieznośnym gówniarzem, ale nigdy się nie skarżyłem. Nie wiem, jak ze mną wytrzymała.

Darcy uśmiechnął się, usiłując rozładować atmosferę, by się nie rozkleić, bo z trudem panował nad wzruszeniem.

– Kto to musiał zrobić. – Klepnął Seana po plecach. – Dziękuję za radę. Zaraz zadzwonię do linii lotniczych.

– Życz ci szczęścia.

Darcy naprawdę na niego liczył. Gdy wszystko się wyjaśni, Fleur uczyni go najszcześliwszym mężczyzną na świecie.

– Ostatni tydzień pracy Fleur w Innovative Imports zleciał jak sen. Zanim się obejrzała, już miała spakowane rzeczy i pojechała się z pracownikami.

Pozostała tylko kolacja z niespodzianką, na którą zaprosił ją Darcy.

Chcąc zrobić wrażenie, włożyła obcisły top z dużym dekoltem, pasujący do niego spódnice oraz sandały ozdobione cekinami. Wiedziała przecie, jakie restauracje lubi Darcy. Na wspomnienie ich pierwszej wspólnej kolacji w „Potter Lounge” nadal czuła się nieswojo. Nie była stworzona do takiego życia. Woląла miejscówkę pizzerii z hałaśliwym właścicielem i obrusami w biało-czerwone kratki.

Dzwonek do drzwi zadzwonił akurat w chwili, gdy po włożeniu kolczyków pręsknęła się

ulubionymi perfumami. Darcy zgodnie ze swoim zwyczajem pojawił się punktualnie o ósmej.

– Cze ... – Słowa powitania uwił zły jej w gardle, gdy otworzyła drzwi i zobaczyła, że ma na sobie sprane dżinsy i koszulkę polo.

Zagwizdał głono.

– Wyglądasz wspaniale.

– Dziękuję... – Roze miała się. – Ale taka dama jak ja nigdzie nie pójdzie z takim obdartusem jak ty. Zaraz się przebiorę... Ale dokąd się wybieramy?

– Och, drobna zmiana planu. Przepraszam.

Ale nie wyglądało na to, by naprawdę było mu przykro. Spojrzała na niego czujnie. Już się nie uśmiechała.

– Darcy, co kombinujesz? – spytała jak na przesłuchaniu.

– Dzisiejsza kolacja została zamieniona na jutrzejsze niadanie. Na lotnisku. Może by? – Uśmiechnął się, bardzo zadowolony z siebie.

Ale wcale jej nie udobruchał. Skrząca ramiona i zrobiła zniecierpliwioną minę.

– Nie, nie może być. Mogła zadzwonić i mi o tym powiedzieć. – Nie dodała tylko: „Kupiel relaksująca, peeling, manikiur, pedikiur, maseczka, makijaż, włosy... I po co to wszystko?”.

Chociaż miała zamiar nieodwołalnie się z nim pojechać i raz na zawsze wykreślić go ze swojego życia, by pozostawić po sobie nieprzemijającą wrażliwość, udała się z wizytą do fryzjera i manikiurzystki, sama tęskniła, by zrobić z siebie bóstwo.

– Co jest w tym zabawnego? – Nagle jej cierpliwość się wyczerpała, a narastająca od kilku tygodni napięta atmosfera punkt krytyczny. – Nie wiem, co próbujesz udowodnić, ale zmiana planu w ostatniej chwili wcale nie jest zabawna. To po prostu niegrzeczne. A co do niadania na lotnisku, nie mogę.

Jej wybuch go oszołomił. Uśmiech znikł z jego twarzy, wyciągnął do niej rękę, ale się cofnął.

– Niadanie to tylko wstęp do głównego wydarzenia. Zarezerwowałem dla nas bilety na tajemniczy lot. A wić, niespodzianka!

– Co zrobię? – Ton jej głosu podniósł się o oktawę. – Jak w ogóle mogła pomyśleć, że gdziekolwiek z tobą polecę?

Zamiast uśmiechać się, zmarszczył brwi.

– To ty wybierzesz chwilę. Pomyślałem, że spodoba ci się spontaniczny wyjazd.

Nagle do jej głowy wkradło się podejrzenie, które szybko zmieniło się w pewność.

– Tylko nic nie mów! Motor, dziwaczne jojo, a teraz to... Czy próbujesz coś mi przekazać?

Wzruszył ramionami, niemniej jednak wyglądał na zmieszanego.

– To nic wielkiego. Chciałem spróbować kilku nowych rzeczy, inaczej spojrzę na życie, do czego zresztą mnie zachęcała.

Pokręciła głową, przerażona, że zdobył się na taki wysiłek, aby zrobić na niej wrażenie, a ona i tak zakochała się w nim.

– Nie musisz się zmieniać, Darcy. Powinieneś być sobą.



– To po co gadała te głupoty, e musz si wyluzowa ? – Przygwo dził j badawczym wzrokiem, ale ona ani drgn ła.

– To był biznes. – Mówiła lekkim tonem, ałuj c, e musz odby t rozmow .

– Ju dawno nasze stosunki nabrały bardziej osobistego charakteru, nieprawda ? A mo e była to kolejna z twoich lekcji?

Gorycz, któr słyszała w jego głosie, sprawiała jej ból. Miała ogromn ochot rzuci mu si w ramiona i szuka w nich pocieszenia.

– Nie rób tego, Darcy.

– Czego mam nie robi ? Mam nie walczy o to, co jest dla mnie wa ne? Nie rozumiesz? Do diabła, jestem w tobie zakochany! A ty o niczym nie masz poj cia... – Przesun ł palcami po włosach.

Nigdy nie widziała go tak roztrz sionego.

Min ło kilka sekund, zanim jego słowa do niej dotarły, ale i tak nie mogła w nie uwierzy . On j kochał? To niemo liwe! To nie miało si zdarzy . Kompletnie do siebie nie pasowali... W adnym razie nie zaanga uje si w zwi zek pozbawiony jakichkolwiek perspektyw. Nawet je li miałyby zazna przelotnego szcz cia. Jaki by to miało sens, je li w niedalekiej przyszło ci zaczn si nienawidzi albo, co gorsza, całkiem sobie zoboj tniej , tak jak jej rodzice?

Wpatrywała si w niego z przera eniem. I cho serce jej p kało, szukała odpowiednich słów, by zrazi go do siebie na zawsze.

Nim zd yła zareagowa , uj ł jej twarz w dłonie.

– Prosz , powiedz mi, e nic nie czujesz. Powiedz mi, e si mył ...

Próbowwała si wyrwa . Bezskutecznie.

– Powiedz mi, e mnie nie kochasz! – gor czkował si . Była to najtrudniejsza rzecz, jak w yciu musiała zrobi .

Musiała go okłama . Wiedziała, e to najlepsze rozwi zanie. Nie wytrzymuj c tego pal cego spojrzenia, odwróciła wzrok i wyszeptowała słowa, które gwarantowały, e Darcy od niej odejdzie.

– Nie Kocham ci .



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Springwood było ostatnim miejscem, które Fleur właśnie nie teraz chciała odwiedzić, ale matka, która szóstym zmysłem wyczuwała kłopoty, zadzwoniła do niej wczorajszego wieczoru, akurat gdy Darcy zniknął z jej życia. Fleur nie potrafiła się pohamować i wybuchła płaczem. Reszta potoczyła się błyskawicznie. Zanim zdążyła się zorientować, obiecała, że przyjedzie do domu na weekend. Wiedziała, że będzie tam rozpieszczana jak za dawnych lat. Co dziwniejsze, gdy skręcała na podjazd domu rodziców, zatęskniła za tym.

Klaustrofobiczny lęk, który ogarniał ją z każdym razem, gdy przyjeżdżała do domu, zniknął, ustępując miejsca poczuciu ulgi. Dotarła do jedynego miejsca na ziemi, gdzie mogła ukoić złamane serce. Ku jej zaskoczeniu rodzice nie wybiegli na powitanie, jak to czynili zazwyczaj, przytłaczając ją w ten sposób swoją miłością.

Gdy Fleur zapukała, matka otworzyła jej drzwi.

– Wejdziesz, kochanie. Tata pojechał do miasta.

Wpadła w kochającego ramiona, znajdując pocieszenie w znajomym zapachu – mieszaninie esencji różanej i waniliowego ciasta – który zapamiętała z dzieciństwa, ale dopiero teraz w pełni doceniła.

– Dziękuję, mamo. Naprawdę tego potrzebowałam. – Fleur odsunęła się i przetarła opuchnięte od płaczu oczy. Od dwudziestu czterech godzin nieustannie szlochała.

– Wiesz, że zawsze możesz tu przyjechać, kochanie. To jest twój dom. – Zaprowadziła Fleur do kuchni i zabrała się do parzenia herbaty, która była jej panaceum na wszystkie smutki.

Fleur usiadła przy kuchennym stole i rozglądała się wokół, jakby po raz pierwszy widziała stary, drewniany kredens po prababci, kolekcję porcelanowych talerzy i dziwnie zbieranin kubków, których liczba zdawała się rosnąć z każdym rokiem.

I nagle doznała olśnienia. To był jej dom! A ona tak naprawdę nigdy nie przywizywała do niego wagi. Stroniła od jego ciepła, zawsze gotowa do ucieczki, zawsze w pogoni za czymś innym i lepszym.

– Mamo, jak ty ze mną wytrzymałaś?

Florence uśmiechnęła się i postawiła przed nią filiżankę herbaty oraz talerzyk z domowymi słodkimi ciasteczkami.

– Jesteś moją córką. Nie miałam ci wyboru, prawda?

– Byłam taka okropna! I pewnie nadal jestem – mruknęła, popijając herbatę.

Matka usiadła obok i pocieszając gestem położyła dłoń na ramieniu córki.

– Od wczesnego dzieciństwa pragnęła szeroko rozwinąć skrzydła, kochanie. Pamiętasz, jak zeskoczyła ze stogu siana i złamała rękę? Miała cztery lata, a ja już wtedy wiedziałam, że jesteś swobodna jak ptak, ciekawa świata i nie spędzisz życia w małym miasteczku. – Uśmiechnęła się i popatrzyła w przestrzeń, pogrając się we wspomnieniach. – Powiedziała mi wtedy, że próbowała odfrunąć wraz z kukaburami, oraz że pewnego dnia i tak to zrobisz. – Poglaskała córkę po policzku. – Miała na twarzy wypisany upór,

determinacji. Wiedziałam, że w końcu podążysz za swoim marzeniem i nas opuścisz.

W oczach Fleur zebrały się łzy; gwałtownie zamrugwała.

– Chodzi o coś więcej, mamo...

– Wiem. Uważasz, że twój ojciec i ja utknęliśmy w tym zabitym dechami miasteczku i prowadzimy beznadziejnie nudne życie.

Fleur zarumieniła się w przypływie wyrzutów sumienia.

– A tak to po mnie widać? Florence za miała się.

– Moje jestem stara, ale jeszcze nie zdziecinniałam.

– Okropnie narozrabiałam. – Postanowiła zrobić wszystko, by naprawić stosunki z rodzicami. Och, gdyby naprawa reszty jej życia była równie prosta...

Matka, jakby czytając w jej myślach, spytała:

– Jak się ma twój przyjaciel?

– On nie jest mój. – Przecież tego właśnie nie chciała. Dlaczego więc czuła się tak okropnie?

– A chciałaby, żeby był?

Pomimo że Fleur zadawała sobie to pytanie już milion razy, nadal nie potrafiła szczerze odpowiedzieć.

– Nie wiem.

– Wygląda na prawdziwego dentyelmena, a na dodatek jest bardzo przystojny. – Błysk w oczach matki zaskoczył Fleur. – I żałuję, że jest dobry w łóżku!

– Mamo! – Fleur nie mogła uwierzyć, że Florence to powiedziała.

– Nie jestem taka zacofana, jak myślisz, moja droga. Kochasz go?

Fleur chciała wykrzyknąć „tak” całemu światu, ale zbyt długo temu zaprzeczała, by bez protestów pogodzić się z nieuchronną prawdą. Długo więc zwlekała, by wreszcie wydusić z siebie:

– Chyba... tak.

– Chyba, córeczko? Albo się kocha, albo nie.

– Tak, mamo. Kocham go – przyznała wreszcie pełnym głosem.

– Na czym więc polega problem?

– Zbyt blisko siebie różniemy – zaczęła starannie mówić. – Darcy jest sporo starszy ode mnie i niewolniczo przywiązany do swego stylu życia. Natomiast ja lubię wolność, czuję zmiany, ruch... Rozstali się w nienawiści.

Florence pokręciła głową.

– Niekoniecznie. Spójrz na swojego ojca i na mnie.

– Nie rozumiem... Co wy macie z tym wspólnego? – zdziwiła się Fleur.

Przez twarz jej matki przemknął cień cierpki uśmiech.

– Ja też kiedyś byłam młoda, choć tobie trudno w to uwierzyć. I dobrze wiem, skąd u ciebie to zamiłowanie do włóczki po wiecie. Masz to po mnie.

– Artujesz? – Nie do końca, że matka bezceremonialnie wspomniała o seksie, to jeszcze przyznała się, że ma w sobie tak samo awanturniczy żłk.

– Nie artuję. Jak wiesz, twój ojciec i ja poznaliśmy się w szkole średniej. On chciał się ustatkować, ja wprost przeciwnie. Przez rok mieszkałam w Sydney, pracowałam. Właśnie... –

Głos jej zamarł na moment, zatraciła się we wspomnieniach, Fleur zaś walczyła z sobą, aby szeroko nie otworzyć ust ze zdumienia. – Doskonale się bawiłam, kochanie, spotykałam z wieloma mężczyznami, ale żaden z nich nie był taki jak twój ojciec. Wróciłam, czuję, że jestem już gotowa na prawdziwe życie. Nie ma nic złego w solidnym partnerze, na którym możesz się oprzeć podczas życiowych wznoszeń i upadków. Zabawa nie trwa wiecznie, a przyzwyczajenie mężczyzna będzie stał przy tobie przez cały czas.

Fleur wpatrywała się w matkę, jakby widziała ją po raz pierwszy. Z niezawodną pewnością ujawniła problem, oszołomiona tymi rewelacjami Fleur zastanawiała się, jak mogłaby zastosować jej rady we własnym życiu.

– Darcy to dobry człowiek – wykrztusiła w końcu.

– Trzymaj się go i nie pozwól mu odejść. – Florence mocno ją ucisnęła; obie uroniły kilka łez.

– Dziękuj, mamo, dziękuj za wszystko. – Fleur wolno odsunęła się, zastanawiając się, czyjej matka w ogóle zdaje sobie sprawę, jak wielkiej zmianie na lepsze uległy ich wzajemne stosunki podczas tej krótkiej rozmowy.

– Zawsze jestem przy tobie, kochanie. Zawsze byłam i będę.

Fleur miała wrażenie, że z jej ramion zdjął to ogromny ciężar. Głowa miała przepelnioną tysiącami myślowymi obrazami, a przede wszystkim miała nadzieję, że dla niej i dla Darcy'ego nie jest jeszcze za późno.

Darcy stał w oknie swojego gabinetu i spojrzał na połyskujące wiatłami Melbourne. W zeszłym tygodniu pracował jak maniak, z nowym entuzjazmem rzucając się w wir zajęć. Dzięki Fleur i jej miałym pomysłom firma znów rozkwitła. Powinien być szczęśliwy.

A jednak przygniatało go ogromne poczucie pustki.

Nawet teraz, gdy minął już tydzień od chwili definitywnego zatrzaśnięcia mu drzwi przed nosem, nie mógł zbyt długo skoncentrować się na jednym zadaniu, ponieważ jego myśli nieustannie dryfowały w kierunku Fleur.

Co by było, gdyby go pokochała? Co by było, gdyby był inną osobą? Co by się stało, gdyby spotkali się kilka lat wcześniej...?

Doskonale jednak wiedział, że takie rozważania są całkowicie bez sensu. Wszelkie gdybania prowadziły donikąd. Szczególnie to ostatnie. Do diabła, gdyby poznali się dziesięć lat wcześniej, Fleur akurat rozpoczynałaby naukę w szkole średniej! I że ze wszystkich kobiet na świecie musiał zakochać się w kimś nie do zdobycia, w kobiecie skoncentrowanej na własnej karierze i mającej bzika na punkcie niezależności!

Powinien to wiedzieć od samego początku. Przecież bez ogródek mówiła mu pewne rzeczy, odbierając nadzieję, że kiedykolwiek zwiędzie z nim swój los. Byli zbyt różni... Choćby nie wiedział, jak usiłował się zmienić, nie stałby się bardziej atrakcyjny dla takiej kobiety jak ona.

Właściwie, mimo zbolełego serca, powinien być jej wdzięczny. Naprawdę się wyluzował i teraz zbierał owoce swoich wysiłków. Z przyjemnością przychodził do pracy, a stosunki z pracownikami, zamiast stanowić udręk, dostarczały mu satysfakcji. No i – Harley. To była jego prawdziwa duma i radość. Przejeżdżał ki motorem stały się codziennym frajdem i nigdy go nie

nu yły, ponieważ zaspokajały u pion przez lata potrzeb przygody i fantazji.

Gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi, gwałtownie się odwrócił, zdumiony, że kto jeszcze był w biurze.

– Prosz .

– Pan Darcy Howard? – Do pokoju wszedł kurier i podał mu kopert . – Pilna przesyłka. Prosz tu podpisać .

– Miło wiedzieć , że mimo późnej pory ktoś jeszcze pracuje – powiedział Darcy, zastanawiając się , jaka to wa na wiadomość nie mogła poczekać do rana.

– To prawda – mruknął kurier, po czym schował po wiadomości odbioru i wyszedł.

Darcy z narastającą ciekawością rozzerwał kremową kopertę , wyjął z niej na pół kartonik i otworzył go.

*„Galeria sztuki «Olivia» ma zaszczyt zaprosić Pana na prywatny wernisaż oraz kolację w dniu 27 października o godzinie 22.*

*Strój niezobowiazująco”.*

Darcy wpatrywał się w zaproszenie i zastanawiał się , dlaczego ta wystawa była a tak ważna, że zaproszenie dostarczono kurierem. Często odwiedzał galerie sztuki w Melbourne, ale o tym miejscu nie słyszał, chociaż , szedł z adresu, znajdowało się niedaleko jego biura. A co było jeszcze bardziej intrygujące, na zaproszeniu nie widniało nazwisko artysty prezentującego swoje prace.

Wrzucił zaproszenie do teczek. Wiedział, że prawdopodobnie pójdzie tam jutro wieczorem, bardziej z ciekawości niż jakichkolwiek innych powodów.

W końcu co miał lepszego do roboty w sobotni wieczór?

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? – spytała chyba po raz setny Liv, układając Fleur włosy. Cofnęła się , aby krytycznym okiem popatrzeć na swoje dzieło.

– Co mam do stracenia? Teraz albo nigdy. – Fleur rozejrzała się , zadowolona z nastroju, jaki tworzyły przy mionie wiatła, kilka zapalonych świec oraz bogato udrapowane zasłony, które chroniły wnętrze przed oczyma ciekawskich.

– Nie miej zbyt dużych nadziei. On może wcale nie przyjdzie .

Fleur wzruszyła ramionami, próbując opanować nerwy.

– Jeśli nie przyjdzie, będzie musiała do niego zadzwonić . Tak czy inaczej , cięgnij go tutaj. Albo po prostu pójść do niego.

Liv uniosła do góry kciuki.

– Miałeś, masz więcej odwagi niż ja. Mam nadzieję , że ci się uda.

– Ja również ...

Liv uciśnięła przyjaciółkę .

– Nie daj się zbyt ponownie uczuciom i nie zapomnij zamknąć drzwi, dobrze?

– Nic się nie martw. Idź już . Powinien zaraz tu być .

Liv na odchodnym posłała jej jeszcze pocałunek i pozostawiła Fleur z własnymi myślowymi

I obawami. Wymyśliła ten idiotyczny plan w powrotnej drodze ze Springwood, wiedząc, że potrzebuje jakiegoś oryginalnego sposobu, aby przyciągnąć uwagę Darcy'ego. Włożyła tyle wysiłku, aby zrobić na niej wrażenie, więc musiała mu dorównać. A on uwielbiał galerie sztuki, dlatego zamierzała dać mu pokaz, którego nigdy nie zapomni.

Jakby wyczarowała go myślimi, bo nagle usłyszała cichy brzęk dzwonka, wiadcząc, że ktoś otworzył frontowe drzwi. Biorąc głęboki oddech dla uspokojenia, ukradkiem wyjrzała zza zasłony, która oddzielała galerię od zaplecza. Chociaż przygotowywała się psychicznie na to spotkanie, widok Darcy'ego w czarnych dżinsach i podkoszulku pobudził jej wyobraźnię. Ledwie powcisnęła chustkę, by rzucić mu się w ramiona. Wyglądał fantastycznie, lepiej niż go pamiętała. A przecież minął dopiero tydzień.

– Halo? Jest tu ktoś?

Widziała, jak marszcząc brwi, rozgląda się wokół.

Poprawiwszy sukienkę, wynurzyła się zza zasłony, gotowa odegrać swoją rolę, by odzyskać miejsce swoich marzeń.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Ciesz się, że przyszedłem – powiedziała Fleur, podchodząc do Darcyego z wysoko podniesionymi głowami. Musiała zrobić wrażenie osoby pewnej siebie, zanim zaenowana ucieknie i schowa się z powrotem za zasłonami.

– Co ty tu robisz? – Wpatrywał się w nią jak w ducha. Wzruszyła ramionami, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego.

– Wiem, że lubisz galerie sztuki, pomyślałam więc, że zainteresujesz się pewnym szczególnym dziełem, które jest tutaj eksponowane.

Zmarszczył brwi. Jej pewno siebie zaczęła gwałtownie słabnąć.

– Czy ty postradała zmysły?

– Nie, właśnie nie odzyskałam rozum. Proszę, chodź za mną... – Nikt nie mógł im teraz przeszkodzić. Na trzaskających się nogach podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

– Nie mam nastroju na kolejną lekcję, Fleur. Wystarczy te, które już mi dała.

W odpowiedzi wzięła go delikatnie za rękę, choć w odwodzie miała bardziej drastyczny rodek, a mianowicie zacięgnięła go do tylnego pomieszczenia. Jednak poszedł za nią, nie stawiając oporu. Serce waliło jej w piersi, gdy w pełni zdała sobie sprawę z wagi tego, co zamierza zrobić.

A jeżeli po tym, co za chwilę się stanie, nie zechce z nią zostać? Nie zniesie ani dnia więcej bez niego! Ostatni tydzień był piekielną udręką. Nigdy nie myślała, że tak bardzo może na nią kimś sknieć. Nigdy nie myślała, że może pokochać kogoś tak bardzo, jak ona pokochała Darcyego. I musiała mu to udowodnić. Za każdą cenę.

– Co tu, u diabła, się dzieje? – Stanął jak wryty w drzwiach, podczas gdy Fleur odsunęła zasłonę, weszła do drugiego pomieszczenia i zdjęła sukienkę, próbując zachowywać się tak, jakby codziennie rozbierała się w mskiej asyście.

– To prywatny pokaz, pamiętasz?

Oczy Darcy'ego błyszczały w świetle wiec, ale ich wyraz był nieodgadniony.

– To nie jest dobry pomysł, Fleur.

– Naprawdę? – Zbierając w sobie resztki odwagi, stanęła na palcach i przywarła do niego całym ciałem.

Nawet się nie poruszył, gdy położyła dłonie na jego klatce piersiowej i przesuwała je do góry, upajała się twardymi mięśniami jego ciała.

– Myślałam, że tego nie chcesz. Nie chcesz naszego związku.

Usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze.

– Myślałam sobie. – Objęła go rękami za szyję. – Czy jest lepszy sposób, bym ci o tym przekonała?

Otworzył usta, ale ona nie dała mu dojść do głosu. Włożyła całe serce i duszę w ten pocałunek.

Gdy chciał się od niej oderwać, jeszcze mocniej go objęła.

– Darcy, proszę...

– Nie, to si nie mo e sta . – Rozplatał jej r ce, zdj ł je ze swojej szyi i cofn ł si o krok.  
– I włó co na siebie.

Gwałtownie mrugaj c, aby powstrzyma łzy, zapi ła sukienk . Co miała teraz pocz ? Wyobra ła sobie, e b d si nami tnie kocha , a potem powa nie porozmawiaj o wspólnej przyszło ci. Liczyła na jego temperament. W ko cu nie oparł jej si w przeszło ci. Je li nie uda jej si go uwie , jak ma szans go przekona ?

– Masz ochot na kolacj ? – Robiła to przez całe ycie, a mianowicie próbowała rozładowa napi t sytuacj przy pomocy łośnych artów. – Zapewniam, e nie podam czarnej polewki.

Nie roze miał si .

– O co w tym wszystkim chodzi, Fleur?

Poczuła nagle ogromne znu enie, jakby wyparowała z niej cała energia. Ci ko opadła na krzesło. Kogo próbowała oszuka ? To si nie uda. Nie mo e si uda . Za chwil m czyzna, którego kocha, wyjdzie st d i na zawsze opu ci jej ycie.

– Pomy łałam, e powinni my porozmawia .

– Nie s dzisz, e ju do mi powiedziała ? ciska kurczowo dłonie, oparła je na podółku.

– Nie byłam z tob szczerza. – Nie odpowiedział, a gdy spojrzała w gór , dostrzegła na jego twarzy zniecierpliwienie. Ci gn ła jednak dalej: – Gdy widzieli my si po raz ostatni, powiedziały , e mnie kochasz, a ja zaprzeczyłam, e darz ci jakimkolwiek uczuciem. Có , to nie była prawda... – Odchrz kn ła. Do licha, jej głos brzmiał okropnie piskliwie. – Po prostu zakochałam si w tobie.

Zapadła niezr czna cisza, która zdawała si rozci ga w niesko czono . Fleur wznosiła modły do niebios, by Darcy co powiedział, cokolwiek, byle złagodzi napi cie. Lecz on stał nieruchomo i tylko wpatrywał si w ni .

– Co chcesz, ebym z tym zrobił? – Gdy wreszcie si odezwał, a podskoczyła, ale jego słowa odarły j z resztek złudze .

– Pomy łałam... e mo e zechcesz rozpocz wszystko od nowa...

– Zapomnij o tym! Mam do tego pokazywania, na co mnie sta . Wszystko, co robiłem, okazało si nieskuteczne. Dlaczego my lisz, e teraz b dzie inaczej? Nadal jestem tym samym człowiekiem, i widz , e ty równie si nie zmieniła .

– Skrzywił si z wyra n drwin .

– Co chcesz przez to powiedzie ? Szerokim gestem pokazał pokój.

– Nadal grasz albo yjesz w wiecie fantazji. Nie jestem pewien, która wersja jest prawdziwa. Je li naprawd chciała porozmawia , czemu po prostu do mnie nie wpadła ?

– Popatrzyl na ni z niesmakiem. – No tak, to byłoby zbyt nudne... Potrzebujesz nieustannych wyzw i podniet, bez dreszczyku emocji po prostu nie istniejesz. Przykro mi, moja droga, ale ju mnie to nie interesuje.

– Nie rozumiesz? Zmieniłam si . – Jej głos był zaledwie szeptem, za po policzku spłyn ła samotna łza.

– Zostaw ten popis dla kogo , kogo to zaciekawi i podnieci. – Obrócił si na pi cie i



wyszedł, pozostawiając ją zalaną łzami.

Liv była wspaniałą przyjaciółką. Starła się pocieszyć Fleur, proponując coraz to nowe rozrywki. Bezskutecznie. Dopiero po miesiącu od sromotnej kliszy w galerii sztuki, Fleur stwierdziła, że czas przestać się mazać i iść dalej. Na początek umówiła się z Liv na lunch.

– Hej, licznoko! Oto cappuccino, które zamówiłaś. – Billy mrugnął do niej, stawiając na stoliku kawę z pianką, a Fleur zdobyła się na uśmiech.

– Dziękuję, Billy.

– Dawno ci nie widziałem. Założyłaś się, że rzuciłaś mnie dla jakiegoś innego faceta.

– Nie żartuj. Kto inny potrafiłby zaparzyć taką kawę? – Wypiła łyk, upajając się znakomitą smakiem i aromatem.

– Wszystkie tak mówią. – Przewrócił oczami. – Lepiej już wróć do pracy. Miło ci znów widzieć cię, cukiereczku.

Czy rzeczywiście tak długo stroniła od ludzi? Na szczęście dzięki pieniądzą, które zarobiła u Darcy'ego, na najbliższe miesiące była zabezpieczona finansowo, ale czy naprawdę minęło aż tyle czasu, odkąd umówiła się z kimś na lunch?

– A to ci dopiero, ty tutaj? – Liv opadła na przeciwległe krzesło, mimowolnie udzielając odpowiedzi na rozterki Fleur.

– Chyba nie trwało to aż tak długo?

– Malejka, nawet grizzly na krócej zapadają w sen zimowy!

– Nie zapadłam w sen zimowy, tylko leczyłam złamane serce, a to co zupełnie innego. – Fleur udało się nawet zachichotać, co stanowiło najlepszy dowód, jak daleko drogą przebyła.

– A tak w ogóle, co słychać? – Liv przestała się uśmiechać. Wrzuciła dwie kostki cukru do kawy i zamieszała.

– Lepiej. Dziękuję ci.

– Tak wiele nie zrobiłam.

– Zrobiłaś dużo. Dziękuję, Liv. Przyjaciółka zarumieniła się.

– Ty też mi pomogłaś.

– Co ty?

– Dałam sobie spokój z romansami. Życie jest zupełnie inne niż je w nich opisują. Po prostu jest do bani!

Fleur uśmiechnęła się szeroko.

– To, że mi dźwignę i Darcym się nie udało, nie oznacza, że kiedyś romans musi kończyć się klęską.

– Ale wy tak do siebie pasowaliście... – Speszona, Liv nie dokończyła zdania. – Lepiej o tym nie mówmy. Jakie masz plany? Jest coś nowego na widoku? Fleur skinęła głową.

– Kilka dni temu dostałam mail. Pewna firma wchodzi na rynek, proponują mi, abym zajęła się polityką kadrową.

– Brzmi nieźle. Weźmiesz to?

– Chyba tak... – Fleur, mieszając fusy w kawie, popadła w pośpiadum. Żadna praca jej nie pocięgała, bo kiedyś kojarzyła się z ostatnim zleceniem, a wtedy powracała



wspomnienia o Darcym. Znow czuła si jak na rozp dzzonej karuzeli.

– My l , e powinna przyj zlecenie. Potraktuj to jak recept na pozbycie si niechcianego baga u.

Liv miała racj . Musi przesta rozczula si nad sob , sprawi , by jej ycie wróciło na wła ciwe tory. Do ju straciła czasu.

– Jutro rano odpowiem na ich mail. – Gło ne wypowiedzenie tych słów roznieciło w niej iskierk entuzjazmu. Z Darcym Howardem czy bez niego, dzie toczy si za dniem i trzeba i do przodu.

– wietnie. A teraz powiedz, co zjemy na lunch?

Fleur wło yła czarny, markowy kostium, który kupiła w ramach, jak to nazwała Liv, terapii ozdowie czej, nast pnie uło yła włosy, zrobiła staranny makija i wzi ła now torebk . Ledwie mogła rozpozna swoje odbicie w lustrze. Ostatni miesi c snuła si po mieszkaniu w spodniach od dresu i rozci gni tych podkoszulkach.

Najwyszy czas wróci do rzeczywisto ci, a jaki jest lepszy sposób na poprawienie sobie humoru ni dobry wygl d?

W drodze próbowała przypomnie sobie szczegóły, które ustaliła na temat nowej firmy, zajmuj cej si ubezpieczeniami. Oprócz nazwy How Now, która wiele nie mówiła, wiedziała, e zamierzaj działa na zasadzie franszyzy, co znaczy tyle, i w okre lonych warunkach wysoko odszkodowania ulega ograniczeniu. W odpowiedzi na jej mail ofert pracy zło yli pisemnie. W li cie nie podano numeru telefonu, co j troch zdziwiło, dlatego mailem potwierdziła termin spotkania w biurze How Now, które znajdowało si w centrum miasta.

Zjawiła si pi minut za wcze nie i weszła do nowoczesnego biurowca. Ju w holu zorientowała si , e projektant stworzył du e powierzchnie biurowe, które ka dy najemca mo e zagospodarowa w dowolny sposób za pomoc cianek działowych. Spodobała si jej taka koncepcja, pozostawiaj ca swobod wyboru. By jednak rozpocz tu działalno gospodarcz , trzeba było mie naprawd zasobne konto. Fleur nie miała co do tego w tpliwo ci, znała bowiem ceny wynajmu w ródnie ciu Melbourne.

Po wjechaniu na pi tnaste pi tro przeszła przez szklane drzwi i zauwa yła, e biuro nie zostało jeszcze urz dzone, co stwarzało iluzj jeszcze wi kszej przestrzeni. Rozpocz cie pracy od podstaw b dzie prawdziwym wyzwaniem. Nie mogła si doczeka spotkania z wła cicielem firmy i powa nej rozmowy.

– Jest tutaj kto ? – zawołała, a jej głos odbił si echem w prawie pustym pomieszczeniu.

– A ju bałem si , e nie trafisz.

Zamarła na widok wysokiego m czyzny, który pojawił si nie wiadomo sk d.

– Sean? Co ty tu robisz? – W głowie jej zawirowało na my l o mo liwych konsekwencjach tego spotkania.

– Te si ciesz , e ci widz . – Roze miany od ucha do ucha podszedł do niej z wyci gni t na powitanie r k . – Witaj w mojej nowej firmie. Jakie s pierwsze wra enia?

Spokojnie, male ka, tylko spokojnie! – napomniała si w duchu, nazywaj c si tak, jak mówiła do niej Liv, jej opoka.

Nie wspomniał o Darcym, a ona w adnym razie nie b dzie tak głupia, by o niego pyta .

– Ładne biuro. Bardzo ekskluzywne.

– Tak jak ty. Znakomity kostium. – Przesun ł pełnym podziwu wzrokiem po jej sylwetce, a Fleur poczuła raczej dum ni za enowanie. Obaj bracia Howardowie mieli klas , musiała im to przyzna .

– Dzi ki. A wi c o co tutaj chodzi?

– Wejd do mojego gabinetu, porozmawiamy. Weszła za nim do małego pokoju. Stało tu tylko biurko, dwa fotele i faks.

– Jak widzisz, dopiero si urz dzam. – Usiadł w fotelu naprzeciwko niej, skrzy ował ramiona, a wyraz jego twarzy wskazywał wyra nie, e jest z siebie bardzo zadowolony. – Jak si masz?

– Nie le. – Ogl dnie powiedziane. Czują si okropnie, ale Sean nigdy si o tym nie dowie. Nie daj Bo e, powtórz Darcy’emu, e ona usycha z t sknoty i... – Opowiedz mi o swojej firmie – skierowała rozmow na wła ciwe tory, zanim Sean zada jej wi cej dociekliwych, osobistych pyta , na które nie miała zamiaru odpowiada .

– Ci gle ta sama Fleur, co? Gotowa chwyci wiat jak cytryn i wycisn .

– Nie ma nic złego w tym, e kto jest ambitny. Spójrz na siebie.

Sean si rozpromienił.

– Tak, syn marnotrawny powraca i zostaje dyrektorem generalnym. Kto by pomy lał?

Fleur zm czyła ju ta paplanina, wi c tylko uprzejmie si u miechn ła. Wolałaby przej do rzeczy.

– Porozmawiamy o interesach?

– Och, to. – Machn ł lekcewa co r k . – Porozmawiasz o szczegółach z kierownikiem projektu. O, wła nie przyszedł.

Fleur okr ciła si w fotelu, wstała i wyci gn ła r k , chc c jak najszybciej pozna człowieka, z którym by mo e przyjdzie jej współpracowa .

– Sean, co tu, u diabła, si dzieje? – rozległ si gniewny głos.

Fleur poczuła u cisk w sercu. R ka opadła jej bezwładnie, gdy zobaczyła m czyzn , o którym tak bardzo starała si zapomnie .

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Zadałem ci pytanie! – Darcy ze złości cię patrzył na Seana, unikając wzroku Fleur.

– Robi ci przysługę. – Sean uśmiechnął się znacząco. Wyglądało na to, że wietnie sobie bawi. – Mógłby okazać mi choć odrobinę wdzięku.

– To wcale nie jest mieszane.

– A kto mówi, że jest? – Sean wstał i skierował się w stronę drzwi. – Wybaczcie, ale jestem przekonany, że macie ważniejszą sprawę do omówienia.

– Nie mamy nic do omówienia. – W końcu Darcy zaryzykował i zerknął na Fleur, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić.

Zbladła, jej ciemne oczy lśniły jak latarnie. Musiał walczyć z sobą, aby do niej nie podejść, nie objąć, nie pocieszyć. Wyglądała tak, jakby potrzebowała, aby ktoś ją utulił w ramionach i zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

– Czy to jakiś sztuczki? – Fleur przyglądała się uważnie braciom, a w jej niezwykłych oczach pojawił się lodowaty błysk.

Darcy poczuł ból. To nie powinno boleć, do diabła, nie powinno! Minął już ponad miesiąc, odkąd widzieli się po raz ostatni, i przez cały czas starał się o niej zapomnieć.

Nie było to łatwe, ale już niewiele brakowało. A do teraz. Jej widok podzielał na niego jak cios. Myśli zaczęły mu się plątać w głowie, brakło tchu i robiło się słabo. Sean pokręcił głową.

– Przepraszam, Fleur, to nie jest sztuczki. Po prostu nie widziałem innego sposobu, żebyście się spotkali.

– Ale po co?

Darcy zrozumiał, że czuła się równie źle jak on. To jej pełne bólu pytanie – niemal krzyk rozpaczy – odbiło się głośnie echem od ścian, przeniknęło mur, który wznosił wokół siebie, żeby o niej zapomnieć, i trafiło prosto do jego serca.

– Ponieważ się kochacie i najwyższy czas posprzątać ten cały bałagan. – Sean mówił cichym, przekonującym głosem, jakby stwierdzał coś oczywistego. – A poza tym mam już do brata, który walczy z błędnych powodów, w najmniej odpowiednich momentach sięga wzrokiem w nieodgadnioną dal i wzdycha do gwiazd na ciemnym niebie. – Powstrzymał uśmiech, zachował powagę na chwilę. – Innymi słowy, zupełnie zwariował, a to mi nie odpowiada.

– To ty zgłupiałeś do reszty – sarknął Darcy, obserwując, jak krew odpływa z twarzy Fleur. – A teraz wynoś się!

– Jak sobie uczynisz, braciszku. – Sean minął go w drzwiach. – Tylko proszę, tym razem nie schrzaj wszystkiego!

Darcy poczekał, aż Sean wejdzie do windy, po czym skierował spojrzenie na Fleur. Opadła na krzesło. Wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć.

– Przykro mi z powodu tego zamieszania... Nie miałem pojęcia... – powiedział, zdumiony jej biernością i słabością.

Co się stało z hard , ywiółow dziewczyn , która nie pozwoliłaby nikomu i niczemu stan na swojej drodze? Fleur, która znała, zbyłaby miechem ten epizod, kład c go na karb dziwnego poczucia humoru Seana.

Podniosła wzrok. Jej łośne, zbolące spojrzenie wyzwało w nim opiekę cze instynkty.

– To nie twoja wina.

Nagle zdał sobie spraw , e to nieprawda. To z jego winy znale li si w patowej sytuacji. Był zbyt uparty, zbyt dumny, zbyt przywi zany do swoich racji, aby zapomnie i przebaczy . Nawet gdy o wiadczyła, e go kocha, odepchn ł j , poniewa nadal czuł si upokorzony wcze niejszym odrzuceniem. Przez cały miesi c wymy lał rozmaite wymówki, aby wymaza Fleur z pami ci. W kółko powtarzał sobie, e jest nieprzewidywalna, zbyt młoda, za bardzo przypomina jego rodziców, którzy yli w sposób nieodpowiedzialny, nie mają c dla niego czasu ani miło ci.

Poza tym bał si , e je li zaufa miłosnym deklaracjom, wcze niej czy pó niej Fleur zrani go tak samo jak oni, a w ko cu pozostawi samego.

Doprawdy, co za ironia, przecie wła nie tak to si sko czyło! Pozostał sam. I okropnie cierpiał.

– Mo e Sean miał racj . Naprawd musimy porozmawia . – Wstrzymał oddech, zastanawiaj c si , czy nagła iskierka nadziei w jej oczach była tylko wytworem jego wyobra ni.

– Pozostało co jeszcze do powiedzenia?

Przeszedł przez pokój i przysiadł na brzegu biurka. Owiał go zapach jej perfum, uwiódł swym mi kkim czarem i o ywił wspomnienia, które starannie usiłował stłumi .

– Mo e jeszcze nie jest dla nas za pó no – zaczą ł cicho, a ona wpatrywała si w niego w bezruchu. – Byłem głupi, Fleur. Tamtego wieczoru w galerii zachowałem si jak nad ty, stary dure . Jest mi naprawd przykro. Przepraszam ci , prosz o wybaczenie. Powiedziała , e mnie kochasz, a ja ci odepchn łem. A przecie powinienem...

– Co?

– Post pi tak. – Zsun ł si na kolana, wzi ł j w ramiona i pocałował. I poczuł wielk ulg . Tak bardzo tego pragn ł, t sknił, potrzebował słodczy jej ust.

Powinna walczy , powinna go odepchn , jednak w momencie, gdy jej dotkn ł, zrozumiała, e tu, w jego ramionach, było jej miejsce. Teraz i zawsze.

Rozchyliła wargi na powitanie jego ust i obj ł ramionami tak mocno, jakby nie miała zamiaru nigdy go pu ci . Jego r ce były wsz dzie, pie ciły jej piersi, targały włosy, badały ka dy centymetr jej ciała, a w jednej chwili po danie zapłon ło pomi dzy nimi niczym ogie piekielny, który groził, e wymknie si spod kontroli i pochłonie ich oboje.

Przywołuj c na pomoc resztki samokontroli, przerwała pocałunek i usiłowała si cofn .

– Mieli my porozmawia – przypomniła.

– Rozpraszasz mnie. – Nadal przed ni kl cz c, pocałował j w czubek nosa. – Ale masz racj . Musimy porozmawia .

Nie wierzyła, e ta rozmowa w ogóle si toczy. Odetchn ła gł boko, aby si uspokoi .

– Moje uczucia si nie zmieniły, Darcy.

– Moje te nie. – Popatrzył w jej oczy z takim miłościwym wyrazem, a serce jej podskoczyło na ten widok.

– A więc co teraz zrobimy?

– Może spróbujemy być razem? W prawdziwym, uczciwym związku, bez udzielania sobie lekcji, bez potrzeby udowadniania czegokolwiek. A jeśli tak ci na tym zależy, również bez żadnych zobowiązań?

Serce jej się ścisnęło.

– Dlaczego bez zobowiązań? Ujął jej dłoń.

– Wiem, że bardzo różnimy się od siebie. I rozumiem twoje potrzeby, wolno ci, nawet jeśli się z tym nie zgadzam. Wolby ci twojego życia, niż w ogóle w nim nie istnieć. Jeśli więc w jakimś momencie będziesz chciała się wycofać, powiesz mi o tym, a ja będę musiał sobie z tym poradzić.

– Zrobiłbyś to dla mnie? – Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czy by kochał ją tak bardzo, że zrezygnowałby dla niej z własnego szczęścia?

– Kocham cię. – Wzruszył ramionami, jakby powiedział najbardziej oczywistą rzecz na świecie. – To fakt, że moje życie w porównaniu z twoim było spokojne i nudne, ale ja chciałem, by tak wyglądało. Wcześniej nie straciłem rodziców, którzy zginęli z powodu własnej nieodpowiedzialności i beztroski. Zamknąłem się w sobie. Twoja postawa życiowa przypominała mi ich. Choć pragnąłem ci bardziej niż czegokolwiek na świecie, nie chciałem otworzyć serca i ryzykować kolejnego bolesnego ciosu, szczególnie że już raz mnie odepchnęła. – Ścisnął jej dłoń. – A więc odpowiedź na twoje pytanie brzmi „tak”, zrobiłbym to dla ciebie. Nie chcę tłumaczyć twojej osobowości i próbować cię zmienić. Kocham cię tak, jaka jesteś.

Nawet nie usiłowała powstrzymywać łez. Płynęły strumieniami po jej policzkach.

– Jesteś wspaniałą... Ja również porównywałam cię z moimi rodzicami, i to mi przesłoniło wszystko inne. Miałam uraz na punkcie stylu ich życia, dlatego nie dotarło do mnie, że człowiek zrównoważony i odpowiedzialny niesie z sobą wielką wartość. Powiem więc, w głębi duszy pragnę takiego życia. Dotąd od niego uciekałam, napędzana tą nieszczęsną fobią, ale już zm drżałam. – Uśmiechnęła się wreszcie. – A przede wszystkim chcę cię. Takiego jakim jesteś. Całego.

– Pomimo że jestem stary, nudny, nieciekawym i dr twój? – Uśmiechnął się szeroko i wytarł łzy z jej twarzy.

– Zapomnij, że to powiedziałam. Jesteś najcudowniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam, i zawsze będę cię kochać. – Objęła dłońmi jego twarz i delikatnie pocałowała w usta. – I zapomnij o braku zobowiązań. Jesteś na mnie skazany.

– Skoro więc kłócisz, pozwól, że o coś spytam. – Wyprostował ramiona i tak mocno chwycił ją za ramię, jakby nigdy nie miał ich puścić. – Fleur, wyjdiesz za mnie?

Wpatrywała się w niego z niepojętą radością, opanowana uczuciami, których nigdy nie spodziewała się doświadczyć. Poczuciła się wolna i swobodna jak nigdy dotąd, zdało się jej, że stała się szybcyjcem po niebie ptakiem z dziecięcych marzeń, choć wcale nie zakuwała się w małżeńskie kajdany.

Ot, paradoks miło ci.

– Tak!

– W takim razie chodź i gorzko pocałuj swojego starego narzeczonego.

Gdy wzięła go w ramiona, wiedziała, że znajduje się w jedynym miejscu na świecie, w którym chciała być.

## EPILOG

– Ładny mi zwyczajny lub! – Liv wygramoliła si z przyczepy motocyklowej i próbowała wygładzi satynow sukienk .

– Przecie nie znosisz banału – szepn ła Fleur, przytrzymuj c welon, aby nie pofrun ł z wiatrem. – Czy to nie był twój pomysł, by my zajechali tu na harleyach?

– Mo e... – Liv zarumieniła si . – Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, e b dzie tu tyle towaru. Och, musz wygl da okropnie! Rozejrzyj si , male ka. Szpaler interesuj cych facetów. Darcy ma fantastycznych przyjaciół...

– Masz mi pomaga , a nie interesowa si facetami. Zostaw to sobie na przyj cie. Teraz jeste mi naprawd potrzebna.

Liv przewróciła oczami, z trudem odrywaj c spojrzenie od grupy m czyzn w smokingach.

– Oto i cała ty! Skoncentruj si lepiej na swoim wyst pie, a ja zajm si szukaniem faceta, który mnie poprowadzi do ołtarza, dobrze?

– Sean b dzie tu wkrótce.

– No to co? – Liv zarumieniła si jeszcze bardziej, a Fleur u miechn ła si szeroko. Liv udawała, e brat Darcy’ego nic jej nie obchodzi, co było pewn oznak , e naprawd jej si spodobał.

– Pomy łałam tylko, e mo e zechcesz wiedzie . W ko cu to normalne, e druhna i dru ba współpracuj z sob , pilnuj , aby wszystko poszło gładko, a potem si upijaj i razem wychodz z przyj cia...

– Cicho! Jeszcze kto usłyszycy... – Liv w panice rozejrzała si wokół.

Fleur nie miała w tpliwo ci, e Seana czekaj kłopoty. Jej przyjaciółka nigdy nie była tak wytr cona z równowagi. Brat Darcy’ego naprawd jej si podobał.

– I co z tego? – spytała nawinie.

– Daj spokój, lepiej ju id i we ten lub. – Liv schowała niesforny kosmyk włosów, który wysun ł si spod tiary Fleur i zaczą ła poprawia jej brylantowe kolczyki. – Wtedy zaczniesz dr czy Darcy’ego zamiast mnie.

– Nie pozb dziesz si mnie tak łatwo. – Fleur u miechn ła si i pospiesznie cmokn ła przyjaciółk w policzek. – Dzi ki za pomoc, Liv. Bez ciebie nie dałabym sobie rady.

– Oto i całe moje ycie. – Westchn ła. – Etatowa druhna, nigdy panna młoda. – Liv mocno u ciskała Fleur. – Ale ciesz si . Chod my. Darcy ju czeka.

Bior c gł boki oddech, Fleur podeszła do ojca.

– Jeste gotowa, kwiatuszku?

– Gotowa.

– A wi c ruszajmy. – Wsun ł jej r k pod swoje rami i czekał na pierwsze takty muzyki.

Chocia scenariusz lubu miał zrywa z tradycj , Fleur nalegała, aby ojciec podprowadził j do pana młodego. Na trawniku w ogrodzie jej rodziców rozło ono wi c czerwony dywan. Bardzo pragn ła zrobi ten drobny gest, aby pokaza wszystkim, jak bardzo kocha człowieka,

którego przez tyle lat niewłaściwie oceniała.

Gdy kwartet smyczkowy zaczął grać, Liv puściła oczko do Fleur i niczym zjawisko w niebieskiej, satynowej sukni, dostojnym, wolnym krokiem zaczęła sunąć do przodu.

– Teraz nasza kolej. – Ojciec cisnął ręką Fleur, ona zaś wytrzymała wzrok, by pierwsza zobaczyć pana młodego.

Gdy okręcili stary dół, na którym w dzieciństwie czuła się bezpiecznie, zobaczyła strumień, a na jego brzegu Darcy'ego, który stał prosto niczym olbrzym, czekając na nią w asyście pastora. Podchodząc do niego, ledwie słyszała westchnienia podziwu i szmery podniecenia zgromadzonych gości, ponieważ wzrok miała utkwiony w mężczyźnie, który za chwilę miał zostać jej mężem.

– Należy do ciebie. – Ojciec włożył jej dłoń w dłoń Darcy'ego, a Fleur uśmiechnęła się, rozkoszując się uwielbieniem bijącym z jego oczu.

– Dobrze się bawisz? – spytał Darcy, gdy pochylił się, aby pocałować ją w policzek.

– Kochanie, dla nas zabawa dopiero się zaczyna – wyszeptwała.